

A stack of books is shown, with the top book wrapped in pink paper and tied with a red ribbon. Several white daisies with yellow centers are placed on top of the books. The background is a dark, textured surface.

Gabriela Gargaś

Czy miłość zawsze jest dobra?
Nawet wtedy, gdy kochasz wroga?

A między nami wspomnienia

FILIA

Gabriela Gargaś

A między nami
wspomnienia



FILIA

Niniejsza powieść jest wytworem mojej wyobraźni. Nie jest to powieść historyczna, aczkolwiek niektóre fakty znane są z historii. Wszyscy bohaterowie są fikcyjni, a jakiegokolwiek podobieństwo do istniejących osób jest przypadkowe.

*Czasami robimy coś z pełną świadomością,
wiedząc jednocześnie, że nie powinniśmy tego robić.*

autor nieznany

*Nigdy nie umiałam jej sobie wyobrazić. Miłości, która jest
tak niepodważalna, że mogę być zapłakana i rozbita,
a mimo to pewna, że ktoś będzie mnie trzymał i chciał,
bym następnego dnia obudziła się przy nim.*

Eliina Hirvonen

PROLOG

Każdy z nas ma swoją historię utkaną z tysięcy przeżyć. Każda historia to suma doświadczeń i wyborów. To trudne relacje, uśmiechy i wylane łzy. Upadki i wzloty. Choć ja wolę sądzić, że tych wzlotów jest więcej niż upadków. Są historie głośno wypowiedziane i te, o których nikt nie słyszał. Każda historia coś znaczy. Każdy uśmiech, każda łza, każde szczęście i każde cierpienie kształtują nasze człowieczeństwo.

Dla każdego człowieka jego własna historia jest najważniejsza. Historia, która ukształtowała taką, a nie inną jednostkę.

– Wiesz, że czasami chciałabym zniknąć – powiedziałam do babci.

– Wiem, wiem – odpowiedziała z rozbijającą szczerością. – I na pewno nie tylko ja to wiem, ale też tamten pan w garniturze biegnący do pracy, i dziewczyna o smutnym spojrzeniu karmiąca łabędzie, i szczęśliwa mężatka, i dorastający chłopak. Wszyscy przynajmniej jeden raz w życiu chcieli na chwilę zniknąć, zapomnieć, zakopać się w swojej norze, do której nikt nie ma dostępu. Każdego spotkało mniejsze lub większe nieszczęście. Każdy z nas miał kiedyś złamane serce, rozdartą duszę. Dokonał złego wyboru, postawił wszystko na jedną kartę.

– Czasami trudno się podnieść.

– Bardzo trudno, zwłaszcza kiedy wszystko cię boli. Tylko że życie biegnie do przodu czy tego chcemy, czy nie. Nie warto rozpamiętywać tego, co boli, lepiej się skupić na tym, co dobre.

Długo nie mogłam zasnąć.

Myślałam o mężczyźnie, którego tak bardzo kochałam. Pamiętam, jak sześć lat temu uwierzyłam w nas. I chciałam, żeby to, co nas łączyło, było na zawsze, ale wiem, że teraz nie ma dla nas szansy. Pamiętam wszystkie te chwile, w których zamykaliśmy cały nasz świat: słodycz truskawek, spacer boso po zroszonej trawie, wspólne śniadania, pocałunki na dzień dobry, wszystkie początki i końce... Uwielbiałam czuć w sobie jego słowa.

Tak pięknie do mnie mówił. Potrafił zaczarować mnie słowami. Jego słowa mnie rozgrzewały, kiedy było mi zimno. A ja miałam łzy w oczach, kiedy tak czule do mnie mówił – taki ze mnie tkliwy wrażliwiec. Potrafiliśmy rozmawiać ze sobą godzinami, a ja już wtedy bałam się, że wyczerpiemy wszystkie tematy do rozmowy i nadejdzie taki dzień, kiedy nie będziemy mieli już sobie nic do powiedzenia.

I nadszedł ten dzień, kiedy nie tylko nie mogliśmy ze sobą rozmawiać, ale nawet na siebie patrzeć. To znaczy, ja nie mogłam patrzeć na niego. Nienawidziłam go i kochałam... A może na odwrót: najpierw kochałam, a potem nienawidziłam?

Zacisnęłam mocniej powieki. Tęsknię za nim. W myślach prowadzę z nim rozmowy:

– Tęsknię za listami, których do mnie nie napisałeś.

- Wiesz, ja nie lubię pisać esemesów.
- Tęsknię za widokiem twojej uśmiechniętej twarzy.
- Wiesz, ja nie lubię za długo patrzeć w monitor.
- Tęsknię za naszymi długimi rozmowami.
- Wiesz, ja nie lubię pić kawy w pośpiechu, parzy w usta.
- Tęsknię za twoim czułym dotykiem, długim pocałunkiem.
- Wiesz, szybki seks mnie nie zadowala.
- Tęsknię.
- Wiesz, ja naprawdę tęsknię do ciebie...

Następnego dnia poszłam do parku. Od kilku dni przychodziłam tam codziennie. Siadałam na ławce otoczonej z dwóch stron krzewami. Z dala od ludzkich spojrzeń czułam się dobrze. Praktycznie trudno mnie było dojrzeć, więc sama mogłam obserwować ludzi. Codziennie do parku przychodziła szykowna staruszka. Ubrana w popielaty sweter, eleganckie spodnie. Jej głowę zdobił szary kapelusik ozdobiony czerwoną wstążką. Podpierała się laską, widać było, że chodzenie sprawia jej już trudność. Mimo wszystko jej ruchy były pełne lekkości, jakby na przekór całemu światu, na przekór starości chciała iść do przodu, czuć każdy mięsień, każdą komórkę swojego ciała, czuć życie. Zanim dotarła do ławki, zatrzymała się, przymknęła powieki i głęboko westchnęła. Myślę, że była uparta i lekko zadziorna. W jej oczach malowało się dobro i jakaś olbrzymia radość. Siadała na ławce naprzeciwko mnie. Nasze spojrzenia dość często się krzyżowały, ale wtedy ja przesuwałam się na koniec ławki, chowając się za zaroślami.

To był ten gorszy dzień. Wciąż zdarzały mi się te gorsze dni. Mimo że od tragedii minęło już sześć lat, ja wciąż rozmyślałam o tym, co się stało. Praktycznie codziennie rozdrapywałam rany, ale tego dnia były one tak poszarpane, że mocno krwawiły.

Usiadłam na ławce i płakałam. Po pewnej chwili płacz zamienił się w szloch. I nagle poczułam czyjś dotyk na swoim ramieniu. To była ta staruszka. Z jej twarzy biło ciepło, którym mogłaby obdarzyć niejedną osobę. Miała oczy tak błękitne jak toń wody w ciepłe, letnie popołudnie. Wyjęła z kieszeni chusteczkę i otarła mi łzy. Zdziwiło mnie jej zachowanie, ale poczułam to ciepło, które rozprzestrzeniło się w moim ciele. Między mną a nią działo się coś dziwnego, wręcz metafizycznego. A potem ona chwyciła moje dłonie w swoje ręce.

– Nie znam cię i bardzo tego żałuję, bo widzę w twoich oczach tyle smutku... I mogłybyśmy porozmawiać o tym, co cię boli, i o tym, z czego się kiedyś śmiałaś, ale jesteśmy tu tylko na chwilę... Nie znam cię, ale kimkolwiek jesteś, życzę ci szczęścia... Jesteś wyjątkowa. Każdy z nas jest niepowtarzalny. I gdybym była czarodziejką, sięgnęłabym po różdżkę i spełniła twoje marzenia. Wymalowałabym na twoich ustach uśmiech, dałabym ci trochę pewności siebie, odpędziłabym tę niepewność z twojego serca. I uniosłabym twoją dłoń wysoko, byś mogła sięgnąć gwiazd, bo zasługujesz na to, co najlepsze. I pewnie teraz wszystko wydaje ci się takie pogmatwane i poplątane, ale uwierz mi, kiedyś wszystko się wyprostuje i będzie lepiej. Będzie lepiej! Zaufaj mi. Szkoda, że tak mało się znamy... – powiedziała i uśmiechnęła

się do mnie.

I ja odwzajemniłam jej uśmiech. Chciałam coś powiedzieć, ale zrezygnowałam.

Staruszka chwyciła swoją laskę i ruszyła w stronę bramy. Długo patrzyłam w tamtą stronę. A potem, nie wiadomo dlaczego przypominała mi się historyjka opisana w jednej z gazet:

– Dzień dobry. Mam zamiar wyruszyć na poszukiwanie Szczęścia. Chciałbym zaopatrzyć się na drogę.

– Proszę się rozejrzeć.

– Ile kosztuje Miłość?

– Jest najcięższa, daleko pan z nią nie zajdzie. Zresztą, mając Miłość, pan w ogóle nigdzie nie pójdzie... Wyrzucić też jej się nie da, bo szkoda – to jest bardzo droga Miłość.

– Dobrze, w takim razie wezmę Słowa.

– Słowa to dobry wybór... Prawie nic nie waży, tym bardziej że są puste... Można w nich przechowywać różne różności.

– Doskonale... A może wezmę też kilka Słodkich Ambicji?

– Nie wiem, czy pan je udźwignie. No i są piekielnie drogie.

– A to tam, takie piękne – co to jest?

– To jest Wolność. W rękach głupca waży tyle, co solidny nagrobek... W rękach mistrza umożliwia latanie.

– Zajrzę po nią w drodze powrotnej...

– No to jak, zdecydował się pan?

– Tak. Chyba wezmę Nic. To chyba nic nie waży?

– Nic waży tyle, ile Miłość, Słowa, Ambicje i Wolność razem wzięte. Choć nie waży nic...

– To co mam kupić?

– Zważę panu trochę Świadomości. Produkt zbędny, ale uspokaja...

Świadomość. Jest naprawdę ważna. Muszę sobie uświadomić, że trzeba iść dalej, że niestety nic już nie będzie takie jak dawniej.

Już czas. Prawda, Michasiu?

Nigdy więcej nie spotkałam tej staruszki, mimo że wyczekiwałam jej w parku. Przychodziłam tam niemal codziennie, ale jej nie było. Chciałam jej podziękować za to, że otarła moje łzy i złapała moje dłonie w swoje ręce. Potrzebowałam wtedy drugiego człowieka jak nigdy wcześniej.

ROZDZIAŁ 1

Kuba był moim pierwszym poważnym chłopakiem i ojcem Michała. Wierzyłam mu. Myślałam, że będziemy ze sobą na zawsze. Teraz już wiem, że nic nie jest na zawsze. Nigdy nie sądziłam, że byłby w stanie mnie skrzywdzić. A jednak tak się stało.

Mieliśmy plany – że weźmiemy ślub, zamieszkamy razem. Urodzę dziecko i jakoś damy sobie radę. Specjalnie się nie zabezpieczaliśmy. On przekonywał mnie, że teraz jest dobry czas na dziecko, jesteście młodzi, jego rodzice nam pomogą. W październiku miałam zacząć studia, on już drugi rok studiował prawo. Nie był to jego wymarzony kierunek, bo bardziej interesował się sportem, ale skoro ojciec załatwił mu miejsce na uczelni, a znajomi profesorowie przepychali z semestru na semestr, to dlaczego miał z tego nie skorzystać.

– Chcę mieć z tobą dziecko – powtarzał mi niemal codziennie.

– Poczekajmy – przekonywałam go za każdym razem.

– Teraz. Kiedy będziemy mieli trzydzieści lat, będziemy podróżować, robić karierę. Gdy nasi znajomi będą zakładać rodziny, my już będziemy mieli pieluchy dawno za sobą.

Nie wiem, dlaczego się zgodziłam. W sumie nie chciałam jeszcze mieć dziecka. Nie byłam na nie gotowa. I stało się...

Okres spóźniał się kilka dni. Od razu wiedziałam, że jestem w ciąży. Kupiłam test. W małym okienku pojawiły się dwie kreski. Pobiegłam prosto do Kuby i powiedziałam mu o tym. Porwał mnie w ramiona i zaczął kołysać w przód i w tył. Byłam bardziej przestraszona od niego. Bałam się powiedzieć rodzicom i babci. On niczego się nie bał.

– To cudownie, kochanie. To naprawdę cudownie – powiedział. Był radosny i pełen entuzjazmu.

Opiliśmy naszą ciężą jabłkowym sokiem.

Przez pierwsze trzy miesiące żyłam jak w bajce. W głowie planowałam już ślub. Nasi rodzice również się cieszyli z tej wiadomości. Chyba nie przeszkadzał im fakt, że jesteśmy tacy młodzi. Tylko babcia Zosia sceptycznie podchodziła do tematu.

– Będziesz miała prawnuczka – powiedziałam z radością w głosie.

– Tak, twoja mama mi o tym powiedziała.

– Nie cieszysz się?

– Cieszę się, ale... Jesteś taka młodziutka... – Babcia patrzyła na mnie badawczym wzrokiem.

– Ale szczęśliwa. Kuba jest...

– Dzieckiem.

– Ty wychodziłaś za dziadka, kiedy miał dwadzieścia lat.

– I nigdy nie twierdziłam, że był wtedy dojrzałym mężczyzną. Mężczyźni powinni doczekać trzydziestki, zanim wezmą się za robienie dzieci. Wylatać się, wyszumieć, posmakować życia.

– Babciu. My się kochamy.

– Tak – odparła babcia. – Kochacie się... – Pokiwała głową i dodała: – Czasem facet kocha cię tak długo, dopóki nie wciągniesz na dupsko majtek.

Poczerwieniałam.

– Babciu... Ale... – zaczęłam się jąkać.

– Jesteś już dużą dziewczynką. Mężczyźni to inny gatunek. A niedojrzali chłopcy to jeszcze inna kategoria, kochają tak długo, jak długo kobieta leży z nimi w łóżku. Tylko wtedy. – Babcia pierwszy raz wypowiedziała się na temat stosunków damsko-męskich.

– Ale...

Machnęła ręką.

– Pamiętaj, co ci powiedziałam. Swoje przeżyłam, co nieco widziałam. Czasami lepiej odpuścić.

Byłam już czerwona jak burak.

– Kocham Kubę.

– Możliwe, ale jest też prawdopodobne, że on nie kocha ciebie tak bardzo, jak ty jego. I najlepsze, co możesz zrobić, to zwinąć manatki.

– Chcemy wziąć ślub.

– A to nie jest tak, że ty chcesz? Poczekaj z tym ślubem, aż dziecko się urodzi. Potem...

– Oj, babciu – zdenerwowałam się i wyszłam z pokoju.

Ciuszki dla mojego synka zaczęłam kupować, kiedy byłam w trzynastym tygodniu ciąży. Wydałam na wyprawkę całe oszczędności. W wakacje pracowałam w sklepie. Te pieniądze miałam przeznaczyć na studenckie życie, jednak skoro byłam w ciąży, inaczej je spożytkowałam. Mama biadoliła, że nie powinno się kupować rzeczy dla dziecka w tak wczesnej ciąży, ale ja nie mogłam się oprzeć. Czułam, że to będzie syn. Chodziłam po sklepach i wybierałam śpioszki, body, koszulki. Wszystkie dla chłopczyka. Niebieskie, granatowe, czerwone, w samochodziki, słoniki, słodkie misiaczki. W szóstym miesiącu ciąży miałam już skompletowaną całą wyprawkę.

Patrzyłam z zachwytem na mój rosnący brzuch i czułam się szczęśliwa, a przy tym bardzo dorosła. Z mamą wybierałyśmy imiona dla dzieci.

– Krzyś.

– Piotruś.

– Pawełek.

– Michaś – powiedziałyśmy jednocześnie.

– Michaś. – Mój synek będzie miał na imię Michał.

W czwartym miesiącu ciąży Kuba zaczął się ode mnie odsuwać. Unikał mnie. Zapominał o spotkaniach, przestał do mnie dzwonić. A kiedy ja przychodziłam w odwiedziny do jego domu, jego mama zawsze twierdziła, że go nie ma. Nasze spotkania zazwyczaj kończyły się kłótnią. Coraz częściej dostrzegałam jego dziecinne zachowanie. Bardzo mnie rozczarowywał. Na przykład wtedy, kiedy nie przyszedł na USG, mimo że obiecał. Później tłumaczył się, że miał ważny mecz. Był zapalonym graczem koszykówki.

– Mecz? – Nie mogłam uwierzyć w to, co usłyszałam.

– Mecz – potwierdził.

– Ale to USG... – nie dokończyłam, bo zobaczyłam w jego oczach złość.

– Przykro mi – wzruszył ramionami.

– Mnie jeszcze bardziej.

Westchnął.

– Może wpadłbyś dzisiaj wieczorem do mnie? – zaproponowałam. Od początku ciąży miałam huśtawki nastrojów. Często płakałam i jedyne, o czym marzyłam, to by Kuba wziął mnie w ramiona i mocno tulił.

– Nie mogę. Obiecałem podwieźć Ewelinę na stację.

Ewelina była jego sąsiadką i największą zdzirą w okolicy. Zaliczyła niemal wszystkich facetów ze swojego rocznika.

– Czy to konieczne? – powiedziałam cicho, bo poczułam łzy zbierające się pod powiekami.

– Jezu. Znów zaczynasz? To tylko kumpela, znamy się od dziecka. Dlaczego jesteś tak o nią zazdrosna?

– Bo bzyka się z kim popadnie? Bo wolisz spędzić wieczór z nią, zamiast ze mną?

– To nieprawda. Obiecałem jej. Nie rzucam słów na wiatr.

– Czyżby?

– Daj spokój. Szczerze? Zaczynają mnie irytować te twoje humorki.

– Jestem w ciąży. – Łzy płynęły po policzkach.

– A ja nie.

– Chciałabym tylko z tobą spędzić czas, przytulić się.

Nienawidziłam się za to skomlenie. Niczym bezpański piesek, który zadowolony każdym okrucieństwem czułości. A Kuba spiorunował mnie wzrokiem. Już wcześniej określił zasady w naszym związku: nie narzekaj, nie becz, nie marudź, nie czepiaj się. Do tej pory byłam przy nim wesołą, wystrzałową dziewczyną, taką, która nie pozwalała sobie na chwile słabości. W ciąży dopadło mnie marudzenie i humorki.

– Może jutro – powiedział na odchodne. – Nie obiecuję, ale zobaczę, co da się zrobić.

– Pewnie. – Zrezygnowana odwróciłam się i odeszłam.

Przez całą drogę do domu chlipałam. Dopiero po latach uzmysłowiłam sobie, że nie było warto. Wielu rzeczy w życiu nie warto, choćby płakać za „złamasem”, który nas nie szanuje. Teraz to wiem, ale wtedy tego nie wiedziałam. Byłam samotna, w moim ciele tańczyły hormony, a pod moim sercem biło drugie serduszko.

Kuba przyszedł do mnie następnego dnia dopiero po dwudziestej i już na samym wejściu oznajmił, że wpadł tylko na pół godziny.

– Myślałam, że przyjdiesz wcześniej.

– Też tak myślałem, ale nie uwierzysz, spotkałem Maćka.

– Maćka?

– Chodził kiedyś z nami do klasy. Potem jego rodzice się rozwiedli, a on przeprowadził się ze starym do Wrocławia.

– Taaak – westchnęłam i pogładziłam się po brzuchu.

– Od kilku miesięcy znów jest na miejscu. Mama zostawiła mu mieszkanie, a sama

wyjechała do Anglii.

– I co?

– Poszliśmy do niego grać. Wypiliśmy kilka browarków, wypaliliśmy jointa... I oto jestem.

– Ujarany i po kilku browarkach.

– Jezu – jęknął i opadł ciężko na fotel. – Przestań zrzedzić.

– Będziemy mieli dziecko – przypomniałam mu.

– Wiem o tym, ale to wcale nie oznacza, że mam żyć jak mnich.

– Ja żyję jak mniszka.

Wzruszył ramionami.

– Wcale nie musisz. Możesz spotykać się z koleżankami, chodzić na imprezy.

Słuchałam go i ogarniała mnie złość. Powoli brakowało mi tchu. Kuba mógł spędzić to popołudnie ze mną, a zamiast tego wybrał towarzystwo kumpla. Docierała do mnie bolesna prawda, że już nie miał ochoty spędzać ze mną swojego wolnego czasu. Zaczęłam szybko mrugać powiekami, żeby się nie rozplakać. Ostatnio ten człowiek tylko mnie ranił i rozczarowywał.

– Nie jesteśmy małżeństwem – wypalił nagle.

– No, nie...

– Nic sobie nie obiecywaliśmy.

– Będziemy mieli dziecko – powtórzyłam.

– Tak, za kilka miesięcy.

– Trzeba postanowić, co dalej. Gdzie będziemy mieszkać? Wspominałeś, że twoi rodzice nam pomogą.

Spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakbym była cuchnącym śmieciem.

– No wiesz, nie będziemy teraz sępiłi kasy od moich rodziców.

– To co zrobimy? Pójdiesz do pracy? Może trzeba wynająć jakieś mieszkanie.

– Do pracy? Chcę studiować.

– A z czego będziemy żyli? Gdzie będziemy mieszkali?

– Ty u siebie, ja u siebie, dopóki dziecko nie podrośnie, ja nie skończę studiować...

– Nie taki był plan.

Ponownie wzruszył ramionami.

– Wszystko się jakoś ułoży – powiedział. Wiedziałam, że chce załagodzić sytuację. – Kocham cię.

Kocha, kocha, kocha. To mi wystarczyło, by się rozchmurzyć, by mu na nowo uwierzyć.

Wstał i objął mnie. A ja wtuliłam się w jego silne ramiona.

– Mama zaprasza cię na niedzielny obiad – powiedziałam. – Przyjdiesz?

– Tak.

– Na pewno?

– Oczywiście, że przyjdę.

Nie przyszedł.

– Gdzie jest Kuba? – zapytała mama o czternastej. Jedzenie było już na stole.

– Nie mógł przyjść – powiedziałam smutnym głosem.

Pół godziny temu przysłał mi esemesa, że coś mu wypadło. Ale kiedy próbowałam się do niego dodzwonić, miał wyłączony telefon.

– Nie wiem, dlaczego to znosisz – wtrąciła się babcia.

– Ja... Ja go kocham.

– A czy on kocha ciebie? – zapytała poważnie.

– Tak, kocha mnie – odpowiedziałam bez przekonania.

Wszystkie trzy wiedziałyśmy, że to kłamstwo. Babcia już więcej się nie odezwała, pozwoliła mi zachować twarz.

– Siadajmy do stołu – mama uśmiechnęła się do mnie.

– Jestem bardzo głodna – odpowiedziałam.

– Nie tylko ty... – babcia wskazała ręką na mój zaokrąglony brzuch.

Mijały kolejne tygodnie, a między mną a Kubą było coraz gorzej. Od czterech tygodni się nie widzieliśmy, pozostawały mi jedynie krótkie rozmowy telefoniczne. Byłam przygnębiona i zła.

Któregoś dnia poszłam na boisko, gdzie grał z innymi chłopakami w kosza. Poczekalam, aż mecz się skończy, i wyłoniłam się zza drzewa. Kiedy tylko Jakub mnie zobaczył, pobladł.

– Cześć – powiedziałam do niego drżącym głosem.

– Co ty tu robisz? – zapytał. Nawet się nie przywitał.

– Wydaje mi się, że mnie unikasz.

– Nie, czemu... – odwrócił ode mnie wzrok.

– Nie spotykamy się. Sama robię wyprawkę dla dziecka.

– Mamy jeszcze czas.

– Jestem w szóstym miesiącu ciąży.

Spojrzał na mnie i nagle zobaczyłam to „coś” w jego oczach. Irytację? Tak, to była irytacja.

– Chyba musimy porozmawiać – głos mi drżał.

– O czym?

– Kiedyś nie musiałam mieć konkretnego powodu, by z tobą rozmawiać.

Przestępował z nogi na nogę.

– Dobrze. Chodźmy do kawiarni. Tylko może najpierw pójdę do domu się odświeżyć?

– Wierzchem dłoni starł kropelki potu z czoła.

Pokręciłam głową.

– Jeśli pójdziesz, to już się ze mną nie spotkasz – stwierdziłam zrezygnowanym głosem.

Teraz to on wzruszył ramionami.

– Dobrze, chodźmy do tej kawiarni.

Usiedliśmy przy stoliku. Zamówiłam wodę, on colę. Sączyłam powoli napój, a Kuba mi się przyglądał.

– Zaokrągliłaś się – wypalił.

– To uroki ciąży.

– Taaak – potwierdził przeciągle.

Znów milczeliśmy. Kuba wpatrywał się na mnie i nagle usta zaczęły mu drżeć.

– Słuchaj – nerwowo przeczesał spocone włosy.

– Słucham.

– Ja... – spuścił wzrok. – Ja nie chcę tego dziecka.

– Słucham? – powtórzyłam, bo myślałam, że się przesłyszałam.

– Nie jestem na nie gotowy.

– Co ty opowiadasz?

– Przykro mi...

– Jest ci, kurwa, przykro? Mówisz mi o tym w szóstym miesiącu ciąży? – Zatkąło mnie z wrażenia. Autentycznie mnie zatkąło. Nikomu na świecie nigdy tak nie ufałam, jak Kubie. Był moim przyjacielem, a przecież przyjaciele nie robią sobie takich świństw.

– Wiem... To nie jest fair.

– Gdy je zobaczysz, to je pokochasz. Nie możesz mnie z tym wszystkim zostawić.

Ja... Ja chciałam tego dziecka dla ciebie.

– Przepraszam. Naprawdę cię przepraszam...

– Twoi rodzice cię do tego namówili?

– Zostaw moich rodziców w spokoju!

– Znam cię. Ty byś mi tego nie zrobił. – Odstawiłam szklankę na stół. Ręce mi drżały.

– To może wcale mnie nie znasz. Stchórzyłem. Ja... Jakby ci to powiedzieć... Zdałem sobie sprawę, że dziecko to wielka odpowiedzialność... Że...

– Jezu! – chwyciłam się rękami za głowę. – Jezu! To nie dzieje się naprawdę.

– Przepraszam. Kochałem cię...

– Nie chcesz tego dziecka, tak po prostu? – odparłam, piorunując go wzrokiem.

– Sam nie wiem. Nie jestem gotowy. Pomogę ci. Moi rodzice będą łożyli na nasze dziecko. Wystarczy wam na wszystko.

– Oni wiedzą?

Skinął głową.

– Kurwa! Kurwa mać! Sukinsynie! Ty pierdolony sukinsynie!

Wstałam gwałtownie, omal nie przewracając krzesła.

– Ada, ja cię kocham. Bardzo cię kocham. Po prostu...

Już nic więcej nie słyszałam. Wstałam i ruszyłam przed siebie. Jak najdalej od niego.

Nie wiedziałam, jak powiedzieć rodzicom o tym, że Kuba mnie opuścił, że nie chce mieć już ze mną ani z dzieckiem nic wspólnego. Bałam się ich reakcji, a przede wszystkim wstyd mi było, że po raz kolejny ich zawiodłam.

Były moje urodziny.

Mama upiekła tort makowy z bitą śmietaną, tato kupił butelkę bezalkoholowego szampana, a babcia udekorowała stół kwiatami i robionymi na szydełku aniołkami. Zdmuchnęłam świece, zjedliśmy tort, ja poprosiłam o dokładkę. Mama wspaniale piekła, a tort makowy był jej popisowym numerem.

Rozmawialiśmy na neutralne tematy, a ja wciąż usiłowałam zebrać się na odwagę i znaleźć odpowiedni moment, by przekazać im złe wieści.

– Posłuchajcie... – zaczęłam, bawiąc się serwetką.

Mama wciągnęła powietrze, tata westchnął, a babcia zakrztusiła się kawałkiem tortu.

– Muszę z wami porozmawiać. Zawiodłam was, po raz kolejny... – Poczułam w ustach gorzki smak, mimo słodkiego tortu. Zrobiło mi się wstyd za to, co im zgotowałam i jaką córką jestem.

Spojrzałam na domowników. Wszyscy wstrzymali oddech.

Mama wstała od stołu i złapała mnie za rękę.

– Kochanie – jej uścisk był mocny. – Wiemy, co on ci zrobił.

– Kuba odszedł, mammo.

– Tak, wiemy.

Odetchnęłam z ulgą.

– Skąd wiecie?

– Przysłał nam list, żebyśmy się tobą zaopiekowali.

– Sukinsyn! – odezwał się tato.

– Tak mi wstyd – spuściłam głowę.

– Nie masz się czego wstydić – do rozmowy wtrąciła się babcia. – Powstało nowe życie i to jest piękne. A on niech spada na bambus. Poradzimy sobie.

– Dziękuję wam.

Tato i babcia również wstali od stołu i przytulili mnie do siebie. Nagle poczułam mocne kopnięcie w brzuchu. Uśmiechnęłam się.

Damy radę. Damy radę – powtarzałam w myślach.

– Ale gdzie ja się podzieję? Już teraz ledwo się mieścimy. A dojdzie niemowlak...

W naszym rodzinnym domu – prócz rodziców i babci – mieszkali jeszcze moja siostra ze szwagrem, którzy czekali na odbiór kluczy od swojego lokum.

– Myślałam o tym – powiedziała babcia. – Moje mieszkanie jest do remontu, ale stoi puste.

Babcia miała niewielkie dwupokojowe mieszkanie niedaleko domu rodziców. Przeniosła się do nas, kiedy złamała nogę i ciężko jej było wchodzić po schodach w bloku, w którym nie było windy.

– Ale babciu, a gdzie ty będziesz mieszkać?

– Od ponad roku mieszkam z wami i tak już pewnie zostanie.

– Tak zostanie. – Mama z wdzięcznością ścisnęła dłoń babci.

Spojrzałam na moich bliskich. Oczy zaszły mi łzami.

– Dziękuję wam. Dziękuję – wyjąkałam wzruszona.

W ciągu następnych dni odczuwałam na przemian żal i gniew. Gniew był łatwiejszy do zniesienia. Całą frustrację, która się we mnie gromadziła, wylewałam we łzach. Planowałam w myślach zemstę. Obiecywałam sobie, że nigdy nie pozwolę Kubie zobaczyć dziecka, że zniszczę go w sądzie, że pożałuje tego, że nas zostawił. Gniew dawał mi siłę, ale tylko na chwilę. Później opadałam z sił i ogarniał mnie smutek.

Miałam żal do Kuby, że tak po prostu zwinął manatki i odszedł z naszego życia. Byłam rozczarowana, bo wiedziałam, że moje dziecko nie będzie miało ojca. Byłam rozżalona, bo straciłam kogoś, kogo kochałam bardzo mocno.

Ile wyzwisk rzuciłam w jego stronę... Ile łez wylałam...

Wypłakiwałam się w ramię mojej siostry Agaty.

– Każdy kiedyś odchodzi. Prędzej czy później. Z ważnych przyczyn, bez powodu. Zabiera się z tego świata albo na koniec świata ucieka – powiedziała Agata.

– Sister, to nie jest żadne pocieszenie – szlochałam.

– Tylko mnie nie obsmarkaj.

– Że co? – uniosłam wyżej głowę.

– Kupiłam sobie kaszmirowy sweter, a ty w niego chlipiesz.

Roześmiałam się przez łzy, a ona mocno mnie do siebie przytuliła. Obsmarkałam jej ten piękny sweter. Wylałam dalej.

– Może jakąś ścieżkę dźwiękową pod tę dramatyczną scenę byśmy zarzuciły? Toni Braxton i *Unbreak my heart*.

– Ja tu rozpaczam, a ty sobie jaja robisz?

– Chcę ci pomóc. – Na ustach Agaty pojawił się uśmiezek. – On nie był wart twojej miłości. To skończony...

– Nie klnij przy dziecku – uprzedziłam ją i pogładziłam się po brzuchu.

– Sama przed kilkoma chwilami go wyzywałaś.

– Ja to ja.

– Okej, więc powiem tak: to skończony pip pip pip pip pip pip i jeszcze pip pip pip.

Zaczęłam się nerwowo śmiać, a Agata mocno mnie tuliła.

W tych ciężkich dla mnie chwilach również mama mnie pocieszała. Nie ma to jak kobieca solidarność.

– Mogę się obok ciebie położyć? – zapytała pewnego razu.

Skinęłam głową.

Wsunęła się pod kołdrę. Leżałyśmy przykryte po szyje i tylko głowy było nam widać.

– Powiem ci coś. Zakochujesz się. Motyle wtedy fruwać, ptaki śpiewają i świat nabiera różowych odcieni. I kochasz, i śpiewasz, i serce tańczy. I śmiejesz się głupio do siebie. Czujesz błogość i szczęście. I jeszcze boisz się do tego przyznać, że z nim i tylko z nim chcesz robić wszystko to, co do tej pory robiłaś w pojedynkę. Wszystko przeżywasz bardziej intensywnie. A jego słowa sprawiają, że jest ci dobrze. Chlipiesz na reklamie pieluszek, bo już sobie wyobrażasz wasze wspólne dziecko z pulchnymi nóżkami i puckami. I pocałunki tego wymarzonego księcia takie namiętne. To nic, że cię obślinił albo że wiosłuje językiem w twojej buzi jak wprawny wiosłarz podczas spływu kajakowego. Jesteś w siódmym niebie. Nie myślisz, co potem, że będą denerwowały cię jego rozrzucone skarpetki, niezakrecona tubka pasty do zębów i pytania: „Co dziś na obiad?”. I będziesz chciała go niekiedy udusić. I wcale nie będzie jak w bajce, bo życie to niestety nie jest bajka. Może dobrze, że Kuba odszedł – powiedziała na koniec mama.

– Żartujesz sobie?

– Wcale nie.

– To taki typ, który by chciał mieć obiadek na czas zrobiony i koszulę upraną i wyprasowaną. Egoista, dla którego liczy się tylko on sam. Po co ci taki wrzód na tyłku?

– Myślałam, że go lubiłaś.

– Na początku tak. Cieszyłam się z twojego szczęścia, ale potem przejrzałam na oczy i serce mi z bólu pękało, kiedy widziałam, jak cię traktuje. Stało się, jak się stało, cieszę się, że za niedługo zobaczę mojego wnuka. Teraz dziecko jest najważniejsze.

Mama położyła dłoń na moim brzuchu.

– Tak... Tak... – powiedziałam z pełną świadomością.

Leżałyśmy w milczeniu. Mama usnęła i lekko pochrapywała. A ja zaczęłam rozmyślać, jak to było, kiedy poznałam Kubę. Pięknie było. Na początku zawsze jest pięknie, bo gdyby tak nie było, to nie brnęlibyśmy w jakieś głupie układy. Było bajkowo. Dwoje szczeniaków zakochanych w sobie, chodzących na długie spacerunki po lesie. On zrywał dla mnie bez i konwalie, a ja byłam upojona ich zapachem i szczęściem. Mówił do mnie „księżniczko”, a ja do niego „misiaczku-pysiaczku”. Ha! Tak było dopóki nie przyszła szara rzeczywistość. I zostałam sama z brzuchem jak balon i nienarodzonym małym człowieczkiem, którego już teraz pokochałam całym sercem.

Kiedy urodził się Michaś, głęboko wierzyłam w to, że Kuba wróci. Nie, nie wierzyłam, ja ze wszystkich sił wmawiałam sobie, że tak będzie. Chłopak przyszedł do szpitala, zobaczył dziecko i nawet je przytulił, po czym stwierdził, że jest do niego podobne i że będzie na nie łożył. Obiecał, że odwiedzi nas wkrótce. Kupił pieluchy, kilka kocyków i butelki.

Kochał nas, no przecież musiał nas kochać – tłumaczyłam sobie. Ułoży sobie wszystko w głowie i poprosi mnie, abym się do niego wprowadziła. Albo on do mnie. Chyba lepiej, żeby to on się do mnie przeprowadził. Mieszkanko babci jest takie przytulne.

Nie odzywał się przez następny miesiąc, a ja najchętniej czołgałabym się pod jego drzwi, by tylko ze mną porozmawiał. Zawsze uważałam, że jestem honorową dziewczyną, tylko kiedy rządzą nami uczucia, honor gdzieś się ulatnia. Zaczęłam atakować go telefonami. Przestał odbierać. Pisałam rozpaczliwe esemesy. Napisałam mu swój nowy adres, pod którym może mnie zastać. Nic.

Zostałam samotną mamą. Nie było tak jak na filmach, że tryskałam humorem i ze wszystkim świetnie sobie radziłam.

Oczywiście, miałam u boku rodziców, ale przecież nie mogłam dzwonić do nich w środku nocy, kiedy moje ząbkujące dziecko płakało. Nie żaliłam się, że kręgosłup mnie boli, a ręce odpadają od ciągłego noszenia bobasa. Gdyby był przy mnie Kuba, to pomógłby mi nosić, przytulać, kochać nasze dziecko. A tak, to musiało mi starczyć siły i miłości za dwoje. I byłam zła na dorosłego faceta, który wymiękł i uciekł, gdzie pieprz rośnie, a raczej pod skrzydełka mamusi.

Michaś miał osiem miesięcy, kiedy Kuba zapukał do moich drzwi.

– Cześć – powiedział z uśmiechem na twarzy, jak gdyby nigdy nic.

Otworzyłam oczy tak szeroko, że już chyba szerzej nie mogłam.

– Cześć – udało mi się odpowiedzieć.

– Wiesz, tak sobie pomyślałam, że odwiedzę syna – powiedział, po czym wszedł do mieszkania. Byłam tak oszołomiona, że nawet nie zaprotestowałam.

– Posłuchaj – powiedziałam, kiedy odzyskałam mowę, a on w tym czasie zdjął buty i płaszcz. – Nie możesz sobie przychodzić ot tak.

Uniósł wysoko brwi.

– To mój syn.

– Do tej pory w ogóle cię nie obchodził.

– Mylisz się, obchodził mnie. Ale nie byłem gotowy na spotkanie z nim – dokończył i opuścił bezradnie ramiona.

– Mogę go zobaczyć?

– Śpi.

– Śpi?

– Jezu, a co cię tak dziwi? Jest dwudziesta pierwsza.

– Syn moich znajomych zasypia koło północy.

– A mój syn koło dwudziestej.

– Mogę go zobaczyć?

– Śpi – powtórzyłam z naciskiem.

– Tylko go zobaczę.

– Jest w swoim pokoiku.

– Czyli?

– Tam – poddałam się i wskazałam ręką drzwi po prawej stronie.

Otworzył je. Skrzypnęły. Wszedł do pokoju Michasia, ja za nim niczym cień. W środku pokoju na stoliku paliła się lampka nocna. Kuba nachylił się nad łóżeczkiem.

– Cześć, synku – powiedział odrobinę za głośno. Michaś otworzył oczka. Spojrzał na nieznaną twarz, zmarszczył nosek i rozplakał się.

Kuba nachylił się nad nim i wyciągnął malca z łóżeczka.

– Kochanie, to ja, tatuś.

Ogarnęła mnie irytacja. Najchętniej wyrwałabym mu Michasia z rąk, ale wiedziałam, że wtedy dziecko jeszcze bardziej się przestraszy.

– Kuba, ja się nim zajmę – powiedziałam łagodnie.

– Pozwól, że ja spróbuję. Maluszkę, spokojnie – mówił do dziecka, które z każdą chwilą coraz bardziej zanosilo się od płaczu. Michaś zrobił się purpurowy na twarzy i zaczął się wyginać.

– Kuba, pomogę ci – wyciągnęłam w jego kierunku ręce. Oddał mi synka. Utuliłam malca, pogładziłam po pleckach, przeszłam trzy razy dookoła pokoju. Po chwili zasnął. Odłożyłam go do łóżeczka.

– Co zrobiłem nie tak? – zapytał Kuba, kiedy znaleźliśmy się w przedpokoju.

– Mogłeś zjawić się kilka miesięcy temu, wtedy byłoby „tak”.

– Nie bądź okrutna.

- Jestem szczerą.
 - Co robię nie tak? – powtórzył.
 - Takie małe dzieci boją się nieznajomych. Przestraszył się.
 - Będę go mógł jeszcze odwiedzić?
- Przełknęłam głośno ślinę.
- Jeśli chcesz.
 - Chcę – dotknął mojego ramienia. Wzdrygnęłam się.
 - Tylko zadzwoń wcześniej. Mam ten sam numer telefonu.
 - Cześć – nachylił się w moim kierunku, by mnie pocałować, ale odsunęłam się.
 - Cześć.

Kuba zadzwonił po dwóch tygodniach. Odwiedził nas jeszcze trzy razy.

Mały wciąż się go bał, choć już nie płakał na jego widok. Kiedy skończył rok i cztery miesiące, jego tata oznajmił mi, że chciałby spędzić z synkiem trochę czasu.

- Co masz na myśli?
- No wiesz – przestępował z nogi na nogę. – Ja i Michaś...
- Chcesz go zabrać do siebie? Dla niego wciąż jesteś obcym człowiekiem, twoje mieszkanie to obce miejsce.
- To może tutaj?
- Ja tu jestem.
- Mogłabyś wyjść.
- Wyjść?
- Do koleżanki, fryzjera, na spacer... Gdziekolwiek.
- Kuba, nie wiem, czy to dobry pomysł.
- Nie dajesz mi szansy. Proszę.

Zgodziłam się z niechęcią. Umówiłam się z siostrą do kina na sobotnie popołudnie.

Kuba przyszedł punktualnie o szesnastej.

- Cześć, Michaś – przykucnął przy synku, który kurczowo trzymał się mojej spódnicy. – To ja, twój tatuś – mówił łagodnie.

Wyciągnął rękę w stronę malca, by uścisnąć jego dłoń. Michaś owinął głowę w moją spódnicę.

Sytuacja była niezręczna. Ukucnęłam i ja.

- Kochanie – mówiłam do syna. – Zostaniesz dzisiaj z tatusiem, a mamusia wyjdzie z ciocią. Wrócę przed dobranocką.
- Mama, mama – powtarzał jak w transie mój synek.
- Lepiej nie przedłużać, idź już – powiedział Kuba.

Wstałam.

- Kolacja jest w lodówce. Dla Michasia placuszki z jabłkami. Podgrzej w mikrofalach... Serek...

- Poradzę sobie – zapewnił mnie.

Zamknęłam za sobą drzwi i usłyszałam płacz malca.

- Ma-ma... Ma-ma. – Poczułam ucisk w sercu. Po chwili jego małe rączki waliły w drzwi. Łzy napłynęły mi do oczu. Wiedziałam jednak, że nie mogę zawrócić. To

tylko dwie godziny, dwie godziny – powtarzałam w duchu.

Nie mogłam skupić się na filmie, cały czas spoglądałam na wyświetlacz telefonu.

Agata ścisnęła moją rękę.

– Będzie dobrze – szepnęła do ucha. – Nie został z terrorystą, tylko ze swoim tatą.

Wparowałam do domu przed dziewiętnastą. Usłyszałam telewizor. Poszłam w tamtym kierunku. Na sofie w pokoju chrapał Kuba, a na dywanie siedział Michał, cały wymazany moim balsamem. Na podłodze rozsypana była zawartość mojej kosmetyczki. Jasny dywan miał czerwone ślady po szmince. Michaś chichotał, wyraźnie zadowolony z przedniej zabawy.

– Kuuubaaa! – krzyknęłam.

– Co? Co? – poderwał się na równe nogi.

– To! – wskazałam na bałagan.

– Oooo!

– Oooo??? Dlaczego spałeś?

– Przysnąłem, zdarza się każdemu.

– Boże jedyny! Ty sobie śpisz? Masz pod opieką małe dziecko! Jesteś nieodpowiedzialny!

– Posprzątam. Posprzątam. – Oszołomiony spoglądał to na mnie, to na bałagan. Ukląkł na podłodze i zaczął zbierać rzeczy do kosmetyczki. Ja w tym czasie umyłam Michasia i położyłam do łóżeczka.

– Kuba, to nie ma sensu – powiedziałam, kiedy szykował się do wyjścia.

– Co masz na myśli?

– Sam dobrze wiesz, że...

– Nie nadaję się na ojca?

Nie chciałam tego mówić głośno.

– Żebyś nie mówiła, że nie próbowałam – potarł dłonią brodę.

– Może spędzimy trochę czasu we trójkę? Żebyś...

– Nabrał ogłady?

– Nie o to mi chodziło. Gdybyśmy we trójkę spędzili więcej czasu... Jak rodzina...

Tylko, że ja i ty... – zaczął i spuścił wzrok.

– Między nami już nic nie będzie.

Nie łudziłam się, że coś by mogło być, jednak po tych słowach poczułam ostre ukłucie w sercu.

– Nie liczę, że będziemy tworzyć związek, ale... Masz rację, to nie ma sensu. Nie nadaję się na ojca. Oczywiście, nadal będę płacił alimenty.

– Twoi rodzice będą płacili – uściśliłam, nie mogąc powstrzymać się od złośliwości.

– Przepraszam... – spuścił głowę i wyszedł.

Alimenty przysyłał zawsze na czas. Wysyłał także zabawki i ubranka dla syna, ale już nigdy nie przyszedł nas odwiedzić. Wyrzucałam sobie później, że może potraktowałam go zbyt ostro, że wszystko zepsułam. Od czasu do czasu wysyłałam mu zdjęcia Michasia, Kuba jednak nigdy nie odpisał. Po roku zdałam sobie sprawę, że

Kuba nigdy do nas nie wróci. Wzięłam się w garść, zaczęłam pracować jako tłumaczka. Na zdrowie mi to wyszło.

Michaś miał już trzy latka. Wstawał o piątej rano i przychodził do mojego łóżka.

– Mogłabyś się przesunąć? – pytał słodkim głosem.

– Oczywiście, kochanie – odpowiadałam z nadzieją, że gdy się przesunę, to jeszcze chwilę sobie pośpimy. Ja leżałam na skraju łóżka, mój prawy pośladek wisiał poza łóżkiem, a mój synek był rozłożony na pozostałej powierzchni. Kręcił się i przewracał z boku na bok. Ja próbowałam usnąć.

– Mamo, czy już ranek? – dopytywał.

– Nie, jeszcze jest noc. Śpij, kochanie.

– Tylko że ja już nie mogę spać.

– Zamknij na chwilę oczka.

Zamykał na kilka sekund, po czym oznajmiał, że nici ze spania. Zaczynały się gilgotki, śmiech i całowanie w małe, białe stópki. Ile oddałabym za to, by te chwile wróciły...

Kochałam być mamą, ale też miałam świadomość, że macierzyństwo to mnóstwo wyrzeczeń, szczególnie dla młodej dziewczyny, jaką wtedy byłam. Nie mogłam wyjść sobie z domu, ot tak, jak robiły to moje koleżanki. Na początku udawały, że rozumieją, potem przestały już udawać. Odsunęły się ode mnie, bo byłam nudna z tym ciągłym gadaniem o pieluchach, kaszkach i radości z każdego uśmiechu mojego dziecka. Zostały mi tylko dwie koleżanki, ale ich również nie interesowało to, że nie karmię już piersią. Ta nowa sytuacja była przytłaczająca, ale z drugiej strony każdy uśmiech mojego dziecka sprawiał, że szalałam z radości. Michaś był dla mnie początkiem i końcem. Moją największą miłością – pewnie jak dla każdej matki jej dziecko. Całowałam jego posiniaczone nóżki nawet wtedy, kiedy miał już sześć lat i nie chciał takich pieszczot.

Miałam to szczęście, że pracowałam w domu. Od czasu do czasu pisywałam artykuły do gazet. Staralam się poświęcać synowi jak najwięcej czasu. Oczywiście, zdarzało się również tak, że włączałam mu bajkę i chciałam, aby siedział spokojnie, bo miałam jakieś pilne tłumaczenie do oddania.

Odbierałam go z przedszkola o trzynastej i reszta dnia należała do nas. Po zdrowym obiedzie był czas rozpusty, czyli trochę słodkości. Czekoladowy mus, który robiliśmy razem, albo kruche ciasteczka, które też razem piekliśmy, a potem dekorowaliśmy. I każdego dnia mnie wzruszał, prawie wszystkim, co robił. Tym, jak pierwszy raz napisał swoje imię, choć literki były koślawe, a „M” odwrócone i na kartce widniało nie „Michał”, a „Wichał”. I tym, z jakim zaciekawieniem słuchał bajek, które mu czytałam na dobranoc. I tym, że kiedy byłam chora, przyniósł swój ulubiony kocyk, żeby było mi ciepło. To nic, że stwierdził potem, że muszę go uprać, a w ogóle wyglądam brzydko i mam gile do pasa.

Nie przejmowaliśmy się za bardzo porządkiem w domu. Było odkurzone, kurze były starte, ale zabawki niekiedy zostawialiśmy rozrzucone na środku pokoju. I okruszki po

ciasteczkach oblepiały wysłużoną sofę. I zawsze wtedy, kiedy nie było najczyściej, odwiedzali nas goście. I dobrze się z nami czuli w naszym raj. Czasem ten raj wyglądał jak po przejściu tornado, ale wciąż był rajem.

I stało się. Kiedy Michał miał pięć lat, zaczął dopytywać o ojca. Potrafił mówić o tym, że chce mieć tatusia, niemal codziennie. Wtedy postanowiłam odwiedzić Kubę i porozmawiać z nim o tym. Z Facebooka dowiedziałam się, gdzie obecnie pracuje. Dzięki Bogu za Facebook! Byłam zestresowana tym spotkaniem, ale jednocześnie pełna nadziei. Wzięłam ze sobą zdjęcia Michasia i zapukałam do drzwi jego biura.

– Przepraszam, ale nie chcę go widzieć – powiedział.

– Ale... Mam jego zdjęcia.

– Nie chcę.

– To twój syn. Jest w takim wieku, że cię potrzebuje. Może byśmy spróbowali?

– Próbowaliśmy.

– Był wtedy malutki, niczego nie rozumiał.

– Mam już rodzinę.

– Słucham?

– Przepraszam... Ale jestem teraz tatą i mężem. Nie chcę mącić w głowie moim dzieciom, żonie. Rozumiesz?

– Nie, nie rozumiem.

Wyszłam z jego biura na drżących nogach. Nie chodziło o zawiedzioną miłość, ale o to, że przyjaciel tak mnie skrzywdził. Człowiek, z którym wiązałam tak wielkie nadzieje. Dlaczego nie chce widzieć Michasia? To pytanie wciąż nie dawało mi spokoju.

ROZDZIAŁ 2

Pisałam artykuł, który był na „już”. Dobrze mi szło, ale kolejne minuty tak szybko uciekały. Kiedy spojrzałam na zegarek, była 12.45, a przecież o 13.00 odbierałam z przedszkola Michasia. Co prawda przedszkole było całkiem niedaleko, ale i tak tę drogę musiałam pokonać biegiem. A że kondycja matki-Polki nie była zbyt dobra, co chwila przystawałam, by złapać oddech.

Chciałam skrócić sobie drogę i poleciałam na przełaj, przez niewielką górkę. Bez namysłu rozpędziłam się, by zbiec na dół. Było dość ślisko po porannym deszczu, więc buty zaczęły się ślizgać po mokrej trawie i stało się. Nogi poleciały w górę, a ja na plecy, w sam środek błotnego bajora. Podniosłam się szybko. Głowa bolała. Na szczęście po szybkich oględzinach uznałam, że wszystko jest na miejscu i będę żyć. Jednak z moich włosów kapało błoto, a spodnie i kurtka były w oplakany stanie. Co tu zrobić? Wyjęłam z kieszeni telefon. Trzynasta. No nic, muszę iść po syna. Weszłam do przedszkola, a oczy innych mam momentalnie skierowały się w moją stronę. Czułam się głupio, ale postanowiłam zbyć mój wygląd uśmiechem. Rozdawałam więc uśmiechy na lewo i prawo, a błoto skapywało ze mnie. Kap, kap, kap.

– Mamusiu, co się stało? – Michaś wyszedł z sali zdumiony.

– Brałam błotną kąpiel.

– Jesteś krejzolką – wybuchnął śmiechem. Ja też zaczęłam się śmiać. Śmialiśmy się całą drogę do domu.

– Mamusiu, powiedz prawdę, czemu wytarzałaś się w błotku?

– A co? Tylko ty możesz? – puściłam do niego oko.

– Kiedy ja to robię, to nie jesteś zadowolona.

– Chodź – wzięłam go za rękę. – Przed naszym blokiem jest błotna kałuża. Zrobimy to we dwoje.

Jego oczy zrobiły się duże jak spodki.

– Wytarzamy się w błocie?

– Pewnie!

Zrobiliśmy to. Obydwoje byliśmy oblepieni błotem. Roześmiani i bardzo szczęśliwi.

Michaś był bardzo radosnym i bezpośrednim dzieckiem. Mówił to, co myślał. Chyba wszystkie dzieci tak mają i to jest u nich takie piękne. Bez żadnej ściemy, tylko trach, ciach, kawa na ławę.

Kiedy mój synek miał cztery latka, zaczęłam studiować. Wybrałam studia zaoczne. W weekendy rodzice opiekowali się Michasiem, a ja studiowałam. Może dlatego, że zajęcia odbywały się tylko dwa dni w tygodniu, nie miałam kontaktu z innymi studentami. Nie zawarłam żadnych bliższych znajomości.

Był niedzielny wieczór i jedliśmy właśnie lody z moim synem. Byłam już na trzecim roku. I wtedy ktoś zapukał do mych drzwi. Włożyłam sweter, żeby ukryć poplamiony t-shirt.

Na progu stała Karolina. Była moją znajomą z grupy. Praktycznie ze sobą nie rozmawialiśmy, bo uważałam, że ta dziewczyna jest z innej bajki. Ubrana zawsze nienagannie w firmowe ciuchy, z burzą tlenionych loków, mocnym makijażem. Nawet Agacie opowiadałam o Karolinie, nazywając ją „paniusią”.

– Karolina??? – Byłam tak zdziwiona, że otworzyłam buzię.

– Cześć – uśmiechnęła się do mnie, ukazując białe uzębienie.

Cholera, nawet zęby ma perfekcyjne – pomyślałam.

– Przyniosłam ci twoją torbę – wyciągnęła w moim kierunku torbę, którą nosiłam na zajęcia.

Faktycznie! Kiedy tato napisał mi esemesa, że przyjechali po mnie z Michasiem i czekają na parkingu, wybiegłam z sali, zapominając o bożym świecie.

– Dzięki. Skąd wiedziałaś, gdzie mieszkam? – zapytałam głupio.

– Przepraszam, ale sprawdziłam w twoich dokumentach.

– Tak, tak. Dzięki. Wiesz...

Zanim zdążyłam dokończyć to, co chciałam powiedzieć, z pokoju wyłonił się Michał i stanął koło mnie. Buzię miał upačkaną lodami.

– To do niego się spieszyłam – wskazałam ręką na syna.

– Nie dziwię się.

Karolina kucnęła i przywitała się z Michałem. Wyciągnął do niej rękę.

– Masz brudną łapkę – powiedziałam, spoglądając na lepiącą się czekoladową dłoń synka.

– Nic nie szkodzi. – Karolina wyciągnęła do malca swoją rękę i potrząsnęła nią delikatnie. – Jestem Karolina – przedstawiła się.

– Michał – mój synek uśmiechnął się do niej szeroko, aż na jego policzkach pojawiły się dołeczki.

– Mamo, to ta Karolina, z którą studiujesz? – zwrócił się do mnie.

– Tak.

– Nie wygląda jak zadzierająca nosa paniusia.

Spojrzałyśmy na siebie z Karoliną. Na chwilę odebrało mi mowę.

Moje kochane dziecko – pomyślałam. – Zawsze wkopie mamusię.

– Dziękuję ci jeszcze raz, że przyniosłaś mi do domu moją zgubę. – Czułam, jak rumieńce wpełzają na moje policzki. – I...

Karolina, o dziwo, uśmiechnęła się do mnie.

– Zapraszamy cię do środka – zaproponował Michaś. – Mamusiu, to nieładnie rozmawiać z kimś w progu. Zawsze mi to powtarzasz. Mamy dobre lody, czekoladowe.

– Michaś był rozpromieniony.

– Chętnie zjem z wami czekoladowe lody. To moje ulubione.

Patrzyłam na Karolinę z niedowierzaniem.

Nie wyglądała na taką osobę, która je czekoladowe lody, raczej na taką, co na śniadanie, obiad i kolację delectuje się liściem sałaty. A potem przebiega kilka kilometrów, żeby go spalić.

– Pozory mylą – szepnęła mi do ucha, kiedy zdejmowała płaszcz i buty.

Spędziliśmy ze sobą miły wieczór. Karolina świetnie bawiła się z moimi synem, a ja

nie mogłam uwierzyć w to, co widziałam. Zwłaszcza kiedy skakali razem z sofy, a potem turlali się na dywanie. W końcu Michaś zasnął w jej objęciach.

– Dziękuję za cudowny wieczór – powiedziała, kiedy wróciłam z pokoju Michasia.

– To ja dziękuję.

– Masz wielkie szczęście, cudowny dzieciak.

– Wiem.

– To ja już pójdę.

– Zaczekaj! – złapałam ją za rękę. – Wcale nie myślę o tobie jak o zadzierającej nosa paniusi.

Uśmiechnęła się.

– Myślisz.

– Okej – skapitulowałam. – Myślałam, ale dzisiaj... Zostań jeszcze chwilę.

Pogadamy. Napijemy się wina.

Usiadła z powrotem na kanapie. Otworzyłam butelkę wina. Wyciągnęłam też z lodówki winogrona i ser.

– Moja mama była właścicielką firmy, która dość dobrze prosperowała – zaczęła swoją opowieść. – Miała sporo pieniędzy, które lokowała na kontach, zakładała lokaty. Ciągłe sobie odmawiała tego czy tamtego. Firma zbankrutowała, mama wpadła w depresję. Zmarła dwa lata później. Nie użyła niczego z tego życia. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Chyba tak.

– Dlatego ja żyję inaczej. Chodzę w markowych ciuchach, bo lubię, bo mnie na to stać. Uwielbiam moje włosy. Kręcę je w loki, farbuję, eksperymentuję, bo tak wyrażam swoje uwielbienie do moich kudłów. I naprawdę mam w nosie, co myślą o mnie inni. Niech myślą – zaczęła się śmiać. I ja roześmiałam się razem z nią.

ROZDZIAŁ 3

Sebastiana poznałam na urodzinach kuzynki. Od pojawienia się dziecka byłam odludkiem i praktycznie nigdzie nie wychodziłam. Do Moniki też nie miałam ochoty iść, rodzice wypchnęli mnie niemal siłą. Założyłam czarną sukienkę, która pamiętała jeszcze czasy liceum, włosy spięłam w luźny kok. Nawet się nie umalowałam.

Na imprezie czułam się jak piąte koło u wozu. Nie kręciło mnie picie na umór czy branie dragów, a potem wyczynianie niestworzonych rzeczy. Ci ludzie byli studentami drogich, prywatnych uczelni. Lubili się bawić, bo nie mieli żadnych obowiązków. Ja miałam małe dziecko, które zostawiłam pod opieką dziadków i o którym nieustannie myślałam.

Siedziałam na kanapie, obracając w dłoniach szklanekę. Powoli sączyłam drinka. Kiedy w końcu podniosłam wzrok, zobaczyłam bruneta, który wpatrywał się we mnie niczym sroka w kość. Spuściłam głowę i wstałam.

Na mnie już czas – pomyślałam.

Zrobiłam kilka kroków w stronę drzwi, kiedy poczułam na ramieniu czyjaś rękę.

– Hej – usłyszałam męski głos. Odwróciłam się gwałtownie i omal nie wytrąciłam chłopakowi piwa z rąk. Za moimi plecami stał brunet, który przed chwilą mi się przyglądał.

– Hej – rzuciłam od niechcienia. Nawet nie siliłam się na to, by być miłą.

– Wychodzisz? – zapytał.

– Tak.

– Dlaczego?

– Bo wcale, ale to wcale, mi się tu nie podoba.

Roześmiał się.

– Wyjdę z tobą. Też mi się tu nie podoba.

Wzruszyłam ramionami.

Szliśmy w milczeniu. Od domu dzieliło mnie zaledwie kilka przecznic.

– Może porozmawiamy? – zaproponował brunet.

– Mam dziecko – wypaliłam bez ogródek. Wiedziałam, na co się zanoszą, więc wolałam ostudzić jego zapał.

– A męża?

– Nie mam.

– A, to super. – Kątem oka widziałam, jak się uśmiecha. – Nikt mi nie przyłoży za to, że odprowadzam cię do domu.

– Mieszkam niedaleko – powiedziałam, pragnąc się od niego jak najszybciej uwolnić.

– Odprowadzę cię.

Przystanąłam i odwróciłam się w jego stronę.

– Nie wiem, o co ci chodzi, ale nie szukam chłopaka, wrażeń, miłosnych uniesień, bzykania się po kątach.

Spojrzał mi w oczy.

– A czego szukasz?

– Niczego – skłamałam. To nie była prawda, bo wciąż usilnie próbowałam odnaleźć siebie, ale jakoś mi nie wychodziło.

– Jak masz na imię?

– Ada.

– Sebastian – przedstawił się. – Jesteś bardzo ładna – powiedział.

– Daj mi spokój, okej?

– Boisz się mężczyzn, komplementów, życia?

– Nie pomyślałeś, że może nie jesteś w moim typie?

– Wydaje mi się, że ci się podobam – odparł niezbyt skromnie.

Prychnęłam i przyspieszyłam kroku. Podobał mi się. Był wysoki, dobrze zbudowany, miał ciemne oczy i szeroki uśmiech. Ale co z tego?

Nie odzywaliśmy się przez resztę drogi. Pod domem rodziców machnęłam mu tylko ręką na pożegnanie i weszłam do środka.

Byłam jakoś dziwnie podekscytowana, jednak szybko wytłumaczyłam to sobie pojeniem alkoholowym. Choć przecież wypłam tylko jednego drinka.

Myślałam, że nie spotkam Sebastiana nigdy więcej. Jednak już następnego dnia mama wpadła do mojego mieszkania jak burza.

– Był u nas chłopak, ładny taki.

Od razu wiedziałam, o kim mówi.

– No i?

– Wypytywał o ciebie.

– Mam nadzieję, że nie podałaś mu mojego numeru telefonu.

Mama zamilkła.

– Mamo! – Byłam naprawdę zła.

– Powinnaś ułożyć sobie życie.

– Z byle kim?

– Wyglądał na przyzwoitego. Żyjesz jak pustelnica.

– Mam Michasia.

– To twój syn. Inna jest miłość macierzyńska, a inna miłość do mężczyzny.

– Mnie wystarczy ta, którą mam.

– Jak chcesz.

– Właśnie tak chcę. Nie powinnaś się wtrącać.

Tego wieczoru wypłam grzane piwo. Było koło północy, kiedy na palcach weszłam do pokoju Michasia. Spojrzałam na jego idealną buzię, rączki, które zaciskał w piąstki. Patrzyłam na niego przez kilka chwil, uśmiechnął się przez sen. Wyciągnęłam w jego kierunku rękę i pogładziłam go po ciepłym policzku.

Był dla mnie wszystkim. Szczęściem roześmianym. Czułością. Miłością największą. Uwielbiałam patrzeć na niego, kiedy bawił się zabawkami i wydawał przy tym najróżniejsze dźwięki, kiedy zachwycał się motylem, biedronką, rosą na trawie. Kiedy mnie malował – z dużą głową, rozczochranymi włosami, koślawymi nogami i koroną na głowie. Byłam dla niego księżniczką. Choć niekiedy się na mnie boczył, bo zamiast

kanapki z nutellą dawałam mu jabłko. Lubiłam się z nim bawić, kiedy siedział w wannie. Nalewaliśmy dużo wody i jeszcze więcej płynu do kąpieli, a potem bąbelki unosiły się dookoła jego nagiego ciała, a piana wypływała z wanny. I śmialiśmy się do rozpuku. I czasem byłam zmęczona ciągłym odpowiadaniem na pytania małego brzdąca, i miałam dość ścigania się z nim samochodzikami. I czasami też płakałam po kolejnej nieprzespanej nocy, ale on był dla mnie wszystkim, co najpiękniejsze. Był moim wschodem i zachodem słońca. Nie potrzebowałam innej miłości. Nie chciałam się zakochiwać i rozczarowywać.

Sebastian nie dawał za wygraną, pisał esemesy, dzwonił. W końcu dałam się zaprosić na kolację.

Dostrzegłam, że jest zdenerwowany. Na powitanie wręczył mi bukietik stokrotek. Poszliśmy do włoskiej knajpki. W środku panował półmrok, na stolikach poustawiane były zapachowe świece. Podeszliśmy do stolika w głębi sali i Sebastian odsunął moje krzesło. Spodobał mi się ten gest. Kiedy podeszła do nas kelnerka, zamówiliśmy lazanie i czerwone wino. Przez chwilę jedliśmy w milczeniu. Zauważyłam, że jest starszy, niż mi się wcześniej wydawało. Miał kilka zmarszczek na czole i drobną siateczkę wokół oczu. Mimo to był szalenie przystojny.

– Co robiłeś na studenckiej imprezie u Moniki? – zagałam pierwsza.

– Pilnowałem siostry. Wiesz, te studenckie imprezy...

Roześmiałam się.

– Coś to pilnowanie nie za dobrze ci wychodziło, skoro zostawiłeś ją na pastwę losu, wychodząc ze mną.

– Wiedziałem, że muszę cię poznać. Byłaś... – zamyślił się. – Byłaś taka inna.

– Inna?

– Smutna, zagubiona, a jednocześnie taka piękna.

Uśmiechnęłam. Dokończyliśmy posiłek w milczeniu.

– Co podać na deser? – zapytała kelnerka, kiedy zbierała talerze.

– Tiramisu – odpowiedział bez namysłu Sebastian.

– Skąd wiedziałaś, że lubię tiramisu? – zdziwiłam się.

– Przejrzałem cię. – Na jego twarzy pojawił się uśmiech. – Od razu po pierwszym spotkaniu pomyślałem: taka dziewczyna jak Ada musi kochać Włochy, czerwone wino...

– I tiramisu? – uśmiechnęłam się.

– I tiramisu.

Później spacerowaliśmy po parku przy świetle księżyca. Sceneria niczym z kiczowatych filmów romantycznych. Mimo to podobało mi się. Nasze ręce znajdowały się blisko siebie. Tak blisko, że niekiedy jedno dotykało drugiego. Byłam odprężona, szumiało mi w głowie. Oparłam głowę na jego ramieniu. Dookoła panowała przyjemna cisza.

A potem chłopak wręczył mi płytę Chopina.

– No nie, skąd wiedziałaś, że lubię też Chopina? – zapytałam. – To raczej niespotykane u młodych osób.

– Bo ja też lubię Chopina.

– Naprawdę? A który utwór najbardziej?

– Yyy...

– Myślałam, że jesteś ideałem. Myliłam się. Widać, nie ma ideałów. A ja nie lubię kłamaczów. Dowiedziałeś się od mojej mamy o Chopinie, o tym, że lubię Włochy, a ze słodczy najbardziej tiramisu. Mogłeś się przyznać, ale tego nie zrobiłeś.

– Wiedziałaś od początku?

Skinęłam głową. Mama sama się wygadała, że któregoś dnia ten miły chłopak, który poprosił ją już kiedyś o mój numer telefonu, przyszedł ponownie do ich domu. A kiedy zaczął o mnie wypytywać, sądząc, że tam mieszkam, mama powiedziała mu o mnie tyle, ile się dało.

– To dlaczego ciągnęłaś tę farsę?

– Dla zabawy. Gdybyś mi powiedział, że dowiedziałeś się wszystkiego na mój temat od mamy, tylko bym się roześmiała, a ty chciałeś uchodzić za kogoś, kim zapewne nie jesteś. Romantyk doskonały. Wiesz co? Nie kręć mnie tacy faceci.

– Ale...

– Cześć.

Odwróciłam się na pięcie i ruszyłam w stronę domu.

– Odprowadzę cię – usłyszałam za plecami.

Akurat zbliżałam się do postoju taksówek, podbiegłam do pierwszego z brzegu samochodu i wsiadłam.

Po chwili w mojej torebce zawibrował telefon:

Przepraszam. Bardzo mi na Tobie zależy. Zadzwoń, jeśli będziesz chciała.

Przez chwilę wpatrywałam się w wiadomość, po czym kciukiem nacisnęłam ikonkę „Kosz”.

Zmieniłam numer telefonu i uwolniłam się od Sebastiana. Przynajmniej tak myślałam. Wyroki boskie są jednak niezbadane. Pół roku później rodzice zaprosili mnie na niedzielny obiad. Lubiłam te wspólne obiady. Raz w miesiącu do rodziców zwałała się rodzina bliższa i dalsza, znajomi, a także znajomi znajomych. Było gwarnie i bardzo przyjemnie. Jak zwykle spóźniłam się kilka minut, bo Michaś upačkał się czekoladowym ciastkiem, a przy okazji umazał i mnie. Musieliśmy się umyć i zmienić część garderoby.

Kiedy przyszłam, było już tłoczno, a goście jedli rosół. U mojej mamy rosół był serwowany w każdą niedzielę. Swojski, gotowany na domowej kurze, koniecznie z domowym makaronem. Słysząc było zachwyty, siorbanie i brzęk łyżek.

– Dzień dobry – przywitałam się z obecnymi, po czym usiadłam na wolnym miejscu, a obok mnie usadowił się Michaś. Mama postawiła przede mną talerz z rosółem, dla Michasia przyniosła miskę z samymi kluskami. Kiedy sięgałam po łyżkę, miałam dziwne wrażenie, że ktoś mi się przygląda. Podniosłam wzrok i zamarłam. Naprzeciwko mnie siedział Sebastian.

Co za bezczelność? Czyżby mama wszystko uknuła?

– Cześć – powiedział jakby nigdy nic.

– Cześć – mruknęłam i zaczęłam jeść. Przez cały czas starałam się nie patrzeć w jego stronę.

Po posiłku, kiedy wszyscy wstali od stołu, podszedł do mnie tato.

– Córku, jak zwykle pięknie wyglądasz – odparł i pocałował mnie w czoło.

– Jakoś nie czuję, żebym wyglądała jak seksbomba.

– Pozwól, że ci kogoś przedstawię... – skinął ręką na Sebastiana. Mężczyzna podszedł w naszą stronę, a ja marzyłam, żeby stamtąd uciec. – To jest Sebastian, a to moja córka, Ada.

– Co za bezczelność – syknęłam.

– Słucham? – ojciec był szczerze zdziwiony.

– Pewnie myślisz, że wprosiłem się na obiad? – teraz to Sebastian dla odmiany był rozbawiony. – Twój tato mnie zaprosił.

– Tatooo – jęknęłam.

– Nie rozumiem? – tato patrzył to na mnie, to na Sebastiana.

– Pracuję z twoim ojcem – odparł chłopak.

– Słucham? – nie mogłam uwierzyć.

– Sebastian jest moim najlepszym pracownikiem.

– A więc nie przyszedłeś tutaj...

– Dla ciebie? Oj, pochlebiasz sobie. Dopiero na miejscu skojarzyłem, że to ten dom, pod który cię odprowadzałem. A później twoja mama przypomniała sobie, że ja to ja, ten zadurzony do szaleństwa w jej córce chłopak.

Czułam, że krew pulsuje mi skroniach, a policzki robią się czerwone.

– To wy się znacie? – tata był zszokowany.

– Tak jakby – odpowiedziałam zawstydzona.

– Jurek, chodź tutaj! – zawołała w pewnym momencie mama. Tata przeprosił nas i odszedł.

– A więc los nam sprzyja. – Sebastian patrzył mi prosto w oczy.

– Nie gadaj bzdur.

– Próbowałem się do ciebie dodzwonić.

– Po pamiętnej kolacji, na którą dałam się zwabić?

– Tak.

– Okłamałeś mnie. Brzydzę się kłamstwem.

– Nie okłamałem cię, po prostu nie przyznałem, że wiem tyle o tobie. Twoja mama sama mi opowiedziała to i owo.

– No cóż, mam popieprzoną rodzinę.

– Fajną rodzinę, a ty jesteś najfajniejszym jej członkiem.

– Podrywasz mnie?

– Mówię to, co myślę.

– Może zatańczycie? – zaproponowała Agata, która zjawiła się obok nas nie wiadomo kiedy. Kątem oka widziałam, że siostra od jakiegoś czasu nas obserwowała.

– Nie, dzięki.

– Chodź – powiedział Sebastian i wyciągnął w moim kierunku rękę.

– Daj spokój – syknęłam przez zaciśnięte zęby.

– To co chcecie, żebym wam puściła? Coś romantico?

– Romantico, a jakże... – Sebastian puścił do niej oko. – Potrzebuję okazji, by ją przytulić – zaczął się śmiać.

– Będzie romantico – Agata miała ubaw.

I nim się spostrzegłam, z głośników poleciała piosenka: *Time of my life* z *Dirty Dancing*.

Sebastian złapał mnie za rękę i okręcił. Moja zwiewna sukienka zawirowała. Przyciągnął mnie do siebie, przestrzeń między nami skurczyła się. Oplótł moje ciało ramionami. Po chwili przyciągnął do siebie jeszcze bliżej. Nasze biodra i uda się stykały. Zmysłowa muzyka, wymowne słowa:

*You're the one thing
I can't get enough of
So I'll tell you something
This could be love...*

„Jesteś jedyną rzeczą, której nie mam dosyć. Więc powiem ci coś: To może być miłość...”

Patrzył mi w oczy i ja patrzyłam w jego. I nagle oprzytomniałam.

Tańczyliśmy w pokoju gościnnym moich rodziców. Tata z mamą siedzieli na sofie, babcia w fotelu. Agata z Danielem stali objęci koło ściany, inni goście też patrzyli się w naszą stronę.

Fuck! Fuck! Fuck!

Czyżbym zapomniała, że nie jesteśmy tu sami? Widocznie tak. Odsunęłam się od Sebastiana. Agata zaczęła klaskać, rodzice byli uśmiechnięci, a babcia uniosła do góry kciuk.

Nie wiedziałam, co mam ze sobą począć. Wyszłam na korytarz. Zawołałam Michasia i zaczęłam go ubierać. Kiedy wkładałam buty, w przedpokoju pojawił się Sebastian.

– Znów chcesz mi uciec?

– Po prostu to nie jest dobry pomysł... Mam syna – spojrzałam mu w oczy.

– Wiem. Mówisz o tym za każdym razem.

– No właśnie i powtórzę jeszcze raz. Do ciebie nic nie dociera.

– To może odprowadzę was do domu?

Uniosłam do góry rękę.

– Stop!

– Ale...

Wyszłam z domu, chwytając synka za rękę. Nie oglądałam się za siebie. Szybkim krokiem zmierzałam w kierunku mojego mieszkania, Michaś tupał obok mnie. Zawsze jest tak samo, banalnie, słodko. Srutu-tu-tu. I ptaszki ćwierkają, motylki latają, i wszystko smakuje jak cukrowa wata, a potem bach i okazuje się, że człowiek spada z puszystych chmur na twardą glebę i już nie jest tak słodko.

Tydzień później Sebastian stał pod moimi drzwiami z wielkim koszem róż. Kosz był tak ogromny, że zasłaniał go niemal w całości, wystawały tylko nogi, a kwiatów była

może z setka.

- Cześć – wychylił się z za róż.
- Jezu... – jęknęłam. – To znowu ty.
- To ja – uśmiechał się.
- Skąd wiedziałeś, gdzie mieszkam? Szpiegujesz mnie?
- Twój tato dał mi adres.

Przełknęłam głośno ślinę. Ogarnęła mnie wściekłość. Mój tato, ten dyskretny człowiek, daje mój adres jakiemuś psycholowi.

- Jak go do tego przekonałeś?
 - Powiedziałem prawdę.
 - Czyli?
 - Ten kosz jest taki ciężki, może wpuściłabyś mnie do środka?
 - Nie znam cię, a z tego, co widzę, masz nierówno pod sufitem. Co powiedziałaś tacie? – powtórzyłam pytanie.
 - Powiedziałem, że oszalałem na twoim punkcie, co nie mija się z prawdą. Umówisz się ze mną? – zapytał, odstawiając kosz.
 - Sebastian...
 - Daj mi jedną szansę, jeśli będzie beznadziejnie, dam ci spokój. – Spojrzał na mnie tymi swoimi niebieskimi oczami, a pode mną ugięły się nogi.
 - Jeden raz i jeśli będzie...
 - Nie zakładaj najgorszego scenariusza.
 - Podam ci mój numer telefonu. Zdzwonimy się.
- Uśmiechnął się szeroko.

ROZDZIAŁ 4

Umówiłam się z Sebastianem na prawdziwą randkę. Od samego początku wszystko szło jak po grudzie.

Była lipcowa ciepła niedziela.

Włożyłam niebieską sukienkę kupioną po przecenie. Już wiem, dlaczego była przeceniona o 70 procent – na przodzie, w okolicach biustu, widniała wielka tłusta plama. Jak mogłam jej wcześniej nie zauważyć? Zdjęłam ją z siebie i ruszyłam w stronę szafy w poszukiwaniu czegoś innego. Ale niczego ładnego nie udało mi się znaleźć. Wszystkie ładne sukienki były na mnie za małe. Po ciąży zostało mi nadprogramowe osiem kilo, których w żaden sposób nie mogłam się pozbyć już od pięciu lat. W końcu włożyłam dzinsy i fioletową tunikę. Ułożona misternie fryzura rozwaliała się, kiedy nurkowałam w szafie. Wyjęłam z włosów wsuwki i przecesałam je szczotką. Każdy sterczał w innym kierunku.

No trudno, mój drogi, albo bierzesz mnie z całym ekwipunkiem, albo wypad z baru – pomyślałam.

Kiedy mieliśmy wychodzić, Michaś stwierdził, że musi iść do ubikacji. Usiadł na sedesie i zaczął podśpiewywać.

– Michaś, spieszmy się – ponagliłam syna.

– Mamo, muszę się skupić. To dłuższe posiedzenie.

Moje dziecko wcale ale to wcale nie miało ochoty się spieszyć.

– Kochanie, babcia na nas czeka.

– Jak kocha, to poczeka – odpowiedział, a ja zastanawiałam się, gdzie on to usłyszał.

– Robię kupkę, a kupka to nie siku, wszystko trwa dłużej.

Spojrzałam na zegarek, byłam już spóźniona. Podczas gdy moje dziecko „skupiało się”, ja pisałam esemesa do Sebastiana.

Po kilkunastu minutach udało nam się w końcu wyjść z domu. Odstawiłam Michasia do mamy, a sama – w butach na szpilkach – ruszyłam na przystanek autobusowy. Co prawda umówiliśmy się dwa przystanki od domu rodziców i miałam je przejść spacerkiem, jednak w tych okolicznościach wolałam podjechać autobusem. Zauważyłam nadjeżdżający pojazd, od którego dzielił mnie jeszcze spory kawałek. Biegłam jak na szczydłach. Dotarłam zdyszana na przystanek, kiedy kierowca zamknął mi drzwi przed nosem i odjechał.

– Buraku ty! – krzyknęłam z żalem za odjeżdżającym autobusem.

Niestety, następny autobus miałam dopiero za siedemnaście minut. Nie miałam wyjścia, ruszyłam na piechotę. Buty zaczęły mnie obcierać, na domiar złego zaczął padać deszcz. Miałam ochotę się rozplakać. Skąd ten deszcz? Przecież jeszcze rano nie było ani jednej chmurki.

Spóźniłam się na randkę całą godzinę. Mokra, z obtartymi stopami, klęłam pod nosem na cały świat. Na szczęście Sebastian również wyglądał jak zmokła kura.

– Przepraszam za spóźnienie – powiedziałam i rozłożyłam bezradnie ręce.

– Chciałbym powiedzieć, że wyglądasz pięknie, ale...

– Nic nie mów.

Oboje się roześmialiśmy.

– Chciałem cię zabrać na spacer, ale oboje jesteśmy mokrzy... Może lepiej gdybyśmy... Wiem, że to głupio brzmi, ale może wsiądziemy do mojego samochodu i pojedziemy do mnie do domu. Mam kilka t-shirtów, przebierzesz się.

– Ręczniki też masz?

– Jeden czysty się znajdzie.

Przystąpiłam na jego propozycję. Po kilku minutach znaleźliśmy się w mieszkaniu Sebastiana. Włożyłam jego koszulkę i spodnie od dresu. Wszystko było na mnie za duże, ale przynajmniej suche.

Sebastian zamówił pizzę i lody czekoladowe. Otworzył szampana, który pozostał mu z zeszłego roku z sylwestra. Jedliśmy i rozmawialiśmy. O dziwo, żadne z nas nie czuło skrępowania. Opowiadałam mu o synu, on o pracy architekta w firmie mojego ojca, ja mu o młodzieńczych, szalonych przygodach, on o swoim młodszym, krnąbrnym bracie. Nie mogliśmy się nagadać. A potem niespodziewanie Sebastian przytulił mnie, a ja się nie opierałam. Już wtedy uświadomiłam sobie, że jego bliskość sprawia mi ogromną przyjemność. Ostrożnie wziął moją rękę w swoją dłoń. Opuszkami palców gładził wnętrze mojej dłoni. Poczułam delikatne mrowienie w brzuchu. Spojrzałam na niego i uśmiechnęłam się promiennie. Nachylił głowę w moją stronę. Nasze usta znalazły się w niebezpiecznej odległości.

– Pójdę już – zerwałam się na równe nogi.

– Odwiozę cię.

– Zamówię taksówkę.

– Skoro tak chcesz...

– Tak chcę.

– Spotkamy się jeszcze?

– Czemu nie? – uśmiechnęłam się do niego i pocałowałam na do widzenia w policzek.

Przyszłam po Michasia po osiemnastej. Mama sprzątała strych, więc dzieckiem zajmowała się babcia Zosia. Babcia siedziała na fotelu, a prawnuk cesał jej włosy, a raczej targał nimi na wszystkie strony.

– Już daj babci spokój – zwróciłam się do syna.

– Mamusiu, ale ja jestem fryzjerem – zaprotestował.

– No właśnie, Michałek jest fryzjerem. To ty, mamusiu, daj spokój. – Babcia puściła do mnie oko. A ja poczułam w sercu ogromną radość. Kochana babcia.

Mam dwie żyjące babcie. Babcia Zosia, mama mamy, zawsze była taką babcią do kochania. Piekła nam ciasteczka, opowiadała bajki, tuliła, rozpieszczała. Druga, babcia Marysia, mieszkała w małej miejscowości nad morzem. Nigdy za nią nie przepadałam. Wydawało mi się, że wszystkich członków rodziny trzyma na dystans. Chciałabym pamiętać ją jako ciepłą kobietę o pomarszczonej twarzy i miękkich dłoniach, ale bliżej było jej do dowódcy sztabu kryzysowego, który dowodził całą brygadą. Wpatrzona była tylko w mojego wujka, starszego brata taty. Wydawało mi

się, że również tata ma żal do babci o to, że nie poświęcała mu tyle uwagi, co jego bratu. Pewnie przez to tata nie miał dobrego kontaktu z wujkiem. Może i dlatego, że różnica wieku między nimi była duża. Tato urodził się, kiedy wujek miał dziewiętnaście lat.

„Mama wiele przeżyła” – usprawiedliwiał babcię tato. „Wojna... Strata rodziców w młodym wieku”. Wiedziałam o tym i przypuszczałam, jakie piętno odcisnął ten okres na życiu babci.

Kiedy byłam nastolatką, sądziłam, że babcia Marysia obnosi się ze swoim smutkiem. Denerwowało mnie to. Miałam jej za złe, że psuła nam każdą uroczystość.

Pamiętam dokładnie jedne święta. Chodziłam do liceum, miałam siedemnaście, może osiemnaście lat. Zbliżały się święta. Upiekłyśmy z mamą pasztet. Z babcią Zosią i Agatą ulepiłyśmy chyba ze sto uszek, by nikomu nie zabrakło. Za oknem było szaroburo, ani krzty śniegu. Nie przepadałam za śniegiem, ale uważałam, że przed świętami powinno go sporo sypnąć.

Późnym grudniowym popołudniem wyszłam na spacer. Przemierzałam Nowy Świat, dookoła słychać było angielskie i amerykańskie hity: *Jingle bells* i *Last Christmas*. Od listopada atakowały moje uszy. Irytowała mnie ta amerykańska nuta. Skręciłam do kościoła św. Anny. Światło świec rozpraszało ciemność. Wdychając zapach roztopionej parafiny, usiadłam w ławce i siedziałam tak dobrych kilka minut. Wokół ołtarza zebrali się młodzi ludzie, którzy po kilku chwilach zaczęli śpiewać *Cichą noc*, a mnie jakoś tak ciepłej się zrobiło na sercu. Wyszłam z kościoła dopiero wówczas, kiedy chór skończył próbę.

Wracałam do domu spacerkiem, a ludzie wokół biegli w pośpiechu w poszukiwaniu tandetnych prezentów. W pobliżu przemaszerowało kilku Mikołajów z czerwonymi nosami i krzywo przyklejonymi brodami. Jeden z nich lekko się zataczał. Wystawy ozdobione były kiczowato, jakby przyświecała im idea, że im więcej, tym lepiej. Skrzące się złotem bombki, kolorowe lampki, lampioniki, gwiazdki, gwiazdeczki poprzyczepiane były do szyb.

Weszłam do jednego sklepu.

Może i ja kupiłabym jakiś prezent dla bliskich? – pomyślałam.

– Dzień dobry – wyrósł obok mnie wystylizowany chłoptaş.

– Dobry wieczór – odpowiedziałam, uśmiechając się do lalusia uprzejmie.

– Och, tak! – teatralnym gestem złapał się za klatkę piersiową. – Najmocniej przepraszam, jest już po siedemnastej, czyli wieczór. Czego pani poszukuje?

– Sama nie wiem... Weszłam tutaj...

– W tym roku modny jest styl vintage i retro, proszę za mną.

Jezu! – jęknęłam w duchu. Nawet święta muszą być w modzie.

Podeszliśmy do choinki udekorowanej w beże i biele.

– Ta-dam! – laluś wskazał na choinkę, dumny niczym paw.

– Jak na mój gust dodałabym tu trochę czerwieni.

– Czerwień jest *passé* – zachnął się.

– Ach tak – nie wiedziałam, co na to odpowiedzieć.

– Tutaj mamy anioły z kryształami Swarowskiego – powiedział i wskazał na oszkloną gablotę.

Snobistyczne gadzety, aby pozornie sprawić, by prezent był *posh* i miał bardziej uszczęśliwić niż rękawiczki zrobione na drutach. A ja bym oddała duszę za rękawiczki z grubym warkoczem, bo wiedziałabym, że ktoś poświęcił dla mnie czas, by je zrobić.

– Ja rezygnuję – powiedziałam do lalusia.

– No, tak – odpowiedział krótko, mierzając mnie wzrokiem od dołu do góry.

– Czegóż się można było po mnie spodziewać, prawda? – roześmiałam się w głos.

W drodze do domu zaszłam do babci Zosi.

– No, wejź, wejź – powiedziała ciepło.

– Mamy niemodną pstrokatą choinkę – oznajmiłam babci. – Bombki, które pamiętają lepsze czasy.

– Pierniczki, które upiekłam i zawiesiłam na gałązkach.

– I ozdoby, które zrobiliśmy z Agatą, kiedy byliśmy małymi dziewczynkami.

Opowiedziałam babci o designerskim sklepie i lalusiu, po czym obie zaczęłyśmy się śmiać.

– A gdzie w tym wszystkim ludzie? A gdzie w tym wszystkim Boże Narodzenie? – zapytała retorycznie babcia.

W tamte święta zebraliśmy się wszyscy w naszym domu, przyjechała też babcia Marysia.

Zaświeciła pierwsza gwiazdka, przełamaliśmy się opłatkiem i złożyliśmy sobie najserdeczniejsze życzenia. Światełka na choince migotały, z radia leciały kolędy i pastoralki. Pamiętam, pomyślałam wtedy, że nikt nie jest w stanie zakłócić tego spokoju, tego błogostanu. Spokój, nostalgia, trzaskający w kominku ogień...

I nagle babcia Marysia postawiła na stole figurkę Matki Boskiej. Starą, pożółkłą, sponiewieraną figurkę.

– Ta figurka należała do mojej mamy – powiedziała wówczas.

Skinęliśmy głowami.

Babcia wyjęła z torebki kopertę i położyła obok figurki. Oczy wszystkich skierowały się na tę kopertę. Babcia otworzyła ją i wyjęła z niej stare fotografie.

– To są fotografie moich rodziców. – Każde stare zdjęcie podnosiła do góry. – Oni zostali zamordowani w czasie wojny przez Niemców. W Palmirach – głos jej się łamał.

Przy stole zaległa grobowa cisza.

– My musimy pamiętać – powiedziała dobitnie. – O nich, o tym wszystkim, co się wydarzyło.

Nikt się nie odezwał. A ja poczułam, że ogarnia mnie złość na babcię. Znow znalazła się w centrum uwagi, po raz kolejny chciała zepsuć nam ten piękny dzień, wspominając o tragicznych wydarzeniach wojny. W ten jeden, jedyny dzień mogłaby przemilczeć tamte zdarzenia.

– Chciałam wam jeszcze o czymś powiedzieć...

– Mamusiu – przerwał jej wujek – to nie jest odpowiedni czas. – Jutro, jutro o tym porozmawiamy. – Złapał babcię za rękę.

Babcia rozejrzała się po zebranych przy stole gościach i umilkła. Do końca kolacji już

się nie odezwała.

Kiedy leżałam już w łóżku, myślałam o moich babciach. O dwóch tak różnych kobietach.

Podczas gdy babcia Zosia przyswajała sobie wszystkie nowinki techniczne, babcia Marysia wydawała mi się zawsze taka staroświecka, jakby oderwana od rzeczywistości. Odkąd pamiętam, nie używała wody z kranu, a ze studni, która znajdowała się na jej podwórku. Przynosiła ją do domu wiadrami.

– Jest zdrowsza – przekonywała nas.

Faktycznie, inspektorzy sanitarni stwierdzili, że woda z babcinej studni jest zdatna do picia i czysta jak łąza. Ale przecież ludzie też używali kranówki i nie umierali od niej.

– Śmierdzi chlorem – kwitowała starsza pani.

Gotowała na wodzie ze studni, a nawet się w niej myła, co uważałam za przesadę. Kiedy przyjeżdżaliśmy do niej, jeszcze jako dzieci, mówiła nam, że jeśli chcemy się wykapać, musimy iść do studni nabrać sobie wody. Ignorowaliśmy jej nakazy i myliśmy się w wodzie z kranu. Prała również ręcznie. Dopiero wujek Eric przekonał ją do pralki, w dniu jej siedemdziesiątych piątych urodzin.

– Mamo, to już nie te czasy, żebyś prała ręcznie.

Wraz z dostawcą zamontowali pralkę w łazience. Przez kolejnych pięć lat pralka stała nieużywana, a babcia nadal prała w rękach. Pościel krochmaliła na sztywno i wywieszała nawet zimą na podwórku. „By przeszła wiatrem i świeżym powietrzem” – powtarzała nam.

Jako dzieci, a później już dorosłe kobiety, miałyśmy z babcią kiepski kontakt, chociaż obowiązkowo raz do roku ją odwiedzałyśmy. Wydawało mi się, że babcia Marysia starała się być dla nas dobrą babcią. Piekła nam drożdżowe rogalce z marmoladą i amoniaczki. Zaganiała nas z Agatą do lepienia pierogów, które obie tak lubiłyśmy jeść. Nie była rozmowna ani czuła, inaczej okazywała miłość – właśnie przez tę wykrochmaloną pościel i rogalce.

Ubierała się wytwornie, niczym dama z innej epoki. Nosila kapelusze z wielkimi rondami i buty na obcasie. Zawsze miała „zrobione” włosy. Mimo upływających lat była piękna. Babcia Zosia natomiast już od sześćdziesiątki nosiła chustkę na głowie, siwiutkich włosów nie farbowała, zaczesywała je w kok. Nigdy się nie malowała i biegała po zakupy w męskich półbutach. Tuliła nas i rozpieszczała. Zawsze miała schowane w szafce galaretki, obsypane cukrem, których szczerze nie znosiłam, ale przy babci zawsze zachwyciałam się ich smakiem. Babcia Marysia wydawała mi się jakaś niepokodzona z losem. Smutna i melancholijna, podczas gdy babcia Zosia była zawsze uśmiechnięta. Nie narzekała na zły los, złych ludzi, chociaż przecież i ją dotknęła wojna. Fakt, że babcia Zosia miała wtedy osiem lat, ale na pewno wojna i na niej odcisnęła piętno.

– Babciu? – zapytałam kiedyś babcię Zosię. – Może zafarbuję ci włosy?

– Po co?

– Żebyś ładnie wyglądała. Kiedyś byłaś taką piękną kobietą.

– Byłam młoda, brylowałam. Teraz przyszła starość i jestem babcią.

Nigdy nie widziałam babci Zosi, by stała przed lustrem i ze smutkiem spoglądała na swoje odbicie, czy też doszukiwała się kolejnych zmarszczek lub narzekała na nadprogramowe kilogramy. Brała brała od życia to, co jej oferowało.

– Usiądź, dziecko – nakazała mi.

Spojrzałam jej w oczy. Była prostą kobietą, ale w jej oczach widziałam mądrość.

– Zygmunt – przeżegnała się – świeć Panie nad jego duszą, był cudownym mężczyzną, który kochał mnie taką, jaką byłam. I może dlatego nigdy nie przywiązywałam takiej wagi do wyglądu. Lubiłam dobrze wyglądać, jak każda kobieta, ale to nie było najważniejsze. Są rzeczy ważne i ważniejsze...

Uśmiechnęła się pod nosem.

– Miałam pięcioro dzieci. Zdajesz sobie sprawę, ile przy nich miałam roboty?

Skinęłam twierdząco głową.

– Nie było dla mnie taryfy ulgowej. Mieliśmy duże gospodarstwo, którym trzeba było się zająć. Zygmunt sam by nie podolał. Mieliśmy do pomocy dwóch chłopaków ze wsi, ale obrobić takie pole, tyle hektarów, nie było łatwo. Liczyła się każda para rąk. Pracowałam w polu równo z chłopakami i Zygmuś, nawet wtedy, kiedy byłam w dziewiątym miesiącu ciąży. A kiedy już wiedziałam, że będę rodzić, poszłam kury nakarmić i prosiaki. Krowy wyprowadziłam na pastwisko i dzieciakom obiad przygotowałam. A kilka godzin potem urodziłam. I znów do roboty z niemowlakiem przy piersi. I nie narzekałam. Byłam szczęśliwa, że powitałam na świecie kolejne dziecko, że dzieciaki najedzone, że Zygmunt w polu popija zimny kompot z mirabelek. Życie mnie doświadczyło, jak każdego, ale nie mam o to pretensji do nikogo. Przeżyłam przecież tyle pięknych chwil. Byliśmy szczęśliwą rodziną. Nawet wtedy, kiedy dotykały nas nieszczęścia, trzymaliśmy się razem. Właśnie to jest w życiu ważne – rodzina, jaka by ona nie była. Straciliśmy najstarszą córkę, Janinkę. Była dobrą dziewczyną, pomagała w opiece nad dziećmi, nabijała swojemu tacie, a twojemu dziadkowi, fajkę i często wieczorami rozmawiali. Ale pewnego ranka zaczęła kasłać krwią. Zygmunt pojechał z nią do lekarza. Ten stwierdził, że to zapalenie oskrzeli. Podał leki, ale one nic nie pomagały. Pojechaliśmy do innego lekarza, kazał stawiać bańki. Stawialiśmy, ale kaszel nie przechodził, był coraz bardziej uporczywy, a z każdym kasznięciem pojawiała się krew. Nie odstępowaliśmy Janeczki na krok. Siedzieliśmy przy jej łóżku na zmianę. Umarła pewnej ciepłej, wiosennej nocy. Bardzo przeżyliśmy jej śmierć. Pochować własne dziecko to największa strata, jaka może spotkać człowieka. Wiem, że są rzeczy ważniejsze od pindrzenia się przed lustrem i jest większy dramat niż rozpaczanie nad kolejną zmarszczką. Co swoim bliskim może zaoferować kobieta goniąca za tym, by być piękną? Życie dla urody, podziwu, pieniędzy jest marną egzystencją. Bo czymże są pieniądze? Cyferkami na koncie, wydrukowanymi śmiesznymi papierkami. A uroda? Ona przemija, i choćbyś nie wiem ile botoksu sobie wstrzyknęła, i ile farb na włosy położyła, młodość przemija. Życie przemija i to jest fakt. A czym jest czas poświęcony bliskim? Wszystkim. Jest wszystkim tym, co najlepsze.

– Babciu, a pamiętasz wojnę?

– Pamiętam.

– Jacy oni byli?

– Niemcy?

Skinęłam głową.

– Są dobrzy i źli ludzie. Byli dobrzy i źli Niemcy.

Popatrzyłam na babcię z podziwem. Moja silna, kochana babunia. Chwyciłam jej dłoń w swoją rękę. Jej szorstka i spracowana dotykała mojej – młodej i gładkiej. Kiedy byłam małą dziewczynką, babcia najpierw smarowała dłonie kremem cytrynowym, żebym nie czuła szorstkości jej skóry.

Zastanawiałam się nad tym, czy babcia Zosia czasem marzyła. Każda z nas przecież czasami marzy – o tym, żeby było jej lżej, żeby wyjechać na wakacje do innego kraju. Ale jeśli ona marzyła, to nikt nie wiedział o jej marzeniach i pragnieniach. I może nawet po cichutku w nocy płakała? Miała swoje tęsknoty, a jednak nie roztkliwiała się nad sobą. Pchała wózek z radościami i problemami przed sobą, pod górkę i ciągnęła go z górki. Twarda, silna kobieta. Uparta, kochana, wyrozumiała.

ROZDZIAŁ 5

Było grubo po północy. Czytałam właśnie świetną książkę, od której nie mogłam się oderwać, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi. Wstając z łóżka, wsunęłam na stopy kapcie. Trochę się wystraszyłam, więc cichutko podeszłam do drzwi i zerknęłam przez wizjer. Po drugiej stronie stał Sebastian. Otworzyłam.

– Cześć – powiedział.

– Cześć. Coś się stało?

– Mogę wejść?

– Pewnie. – Odsunęłam się i wpuściłam go do środka.

Staliśmy naprzeciwko siebie. Przez chwilę taksował mnie wzrokiem.

– Szukałem pretekstu, żeby do ciebie zadzwonić, usłyszeć twój głos – rzekł. – Wymyślałem, co mogło mi się przytrafić, o co mógłbym cię zapytać w środku nocy. Mogłem ci powiedzieć, że oszalałem na twoim punkcie, że nie mogę spać, bo myślę tylko o tobie, że tęsknię do ciebie. Nie tęsknię za tobą, a do ciebie – kontynuował. – Zrezygnowałem jednak z telefonu, zerwałem się z łóżka i postanowiłem się przejść. Nogi same zaniósły mnie w pobliże twojego mieszkania. Zauważyłem, że w twoim pokoju pali się lampka i już wiedziałem, że nie śpisz. Wiedziałem, że czytasz jakąś dobrą książkę i zarywasz noc. Miałem nacisnąć przycisk domofonu, ale spostrzegłem, że drzwi na klatkę są otwarte. Zapukałem do drzwi najciszej, jak potrafiłem, żeby nie obudzić Michałka.

– Przeszedłeś do mnie, w środku nocy, tak po prostu? – uśmiechnęłam się do niego.

– Tak po prostu.

– W takim razie zapraszam.

Weszliśmy do salonu, który był jednocześnie moją sypialnią. Spojrzał na stolik i zobaczył książkę.

– Miałem rację, czytałaś.

– Tak – ziewnęłam. – A tobie w środku nocy zachciało się odwiedzin. Jesteś niemożliwy – pokręciłam głową.

– Nie mam pretekstu, dla którego przyszedłem. Myślałem nad tym, by powiedzieć, że boli mnie ząb i potrzebuję, byś mnie przytuliła albo jestem głodny, a u mnie w lodówce pustki.

Wybuchłam niekontrolowanym śmiechem.

– Sama widzisz, kłamstwo nie jest moją mocną stroną. Po prostu musiałem cię zobaczyć.

– Dobrze, że przyszedłeś – przysunęłam się do niego bliżej. – Też za tobą tęskniłam.

Rozchyliłam poły szlafroka. Pod spodem miałam koszulkę. Zsunęłam szlafrok na podłogę.

– Dotknij mnie – powiedziałam, sama siebie nie poznając.

Dotknął mojego nagiego ramienia. Przymknęłam powieki, rozchyliłam usta. Byłam głodna jego pieścot, pocałunków, ciepła. Wsunął dłoń pod koszulkę. Otworzyłam

oczy. Błyskawicznie zdjęłam z niego ubrania. Gołe piersi, pośladki, rozłożone uda. Urywane szepty. Wilgoć, słodycz...

– Jestem już gotowa. Teraz! Kochaj się ze mną szybko, mocno, bez hamulców...

Nie musiałam nic więcej mówić.

Rzuciliśmy się na łóżko. A on kochał się ze mną szybko, mocno, pozbawiony jakichkolwiek zahamowań.

Nastąpiła jesień. Jesień ze smutkami bez powodu, z zziębniętymi dłońmi, czerwonym nosem, pierwszym przeziębieniem. Jesień z długimi wieczorami, książkami, które musiałam koniecznie przeczytać, z kasztanami i bukietem wrzosu. Padał deszcz, świeciło słońce, a pod stopami szeleściły rdzawe liście. Na wieszaku pojawiła się wełniana czapka i gruby szal zdjęty z pawlacza. W misce leżały kiście winogron, pachniała herbata z miodem i cytryną. Dla mnie ta jesień była kolorowa i radosna. Zaczęłam regularnie spotykać się z Sebastianem, który okazał się czułym i troskliwym mężczyzną. Rozumieliśmy się bardzo dobrze: obydwójce byliśmy wrażliwcami, mieliśmy podobne poglądy na życie; patrzyliśmy na świat i widzieliśmy to samo.

– Spójrz – powiedział podczas któregoś spaceru po lesie, wskazując na wiewiórkę, która trzymała w łapkach orzecha.

– Jest piękna z tą swoją rudą, puchatą kitą.

Uśmiechnął się.

– Cudownie tu – dodałam.

– Jesiennie. Czerwone liście spadają z drzew, między drzewami rozciąga się babie lato. A widziałas te kępy liliowego wrzosu między rdzawymi liśćmi paproci?

– Świat ma nam tyle do zaoferowania – westchnęłam.

Doszliśmy na polanę, by usiąść koło dużego dębu.

– Zamknij oczy – poprosił Sebastian.

Posłuchałam go. Przymknęłam powieki. Promienie słoneczne grzały moje policzki.

I nagle zaczął recytować wiersz Stachury:

*Zanurzać, zanurzać się
w ogrody rudej jesieni
i liście zrywać kolejno
jakby godziny istnienia*

*Chodzić od drzewa do drzewa
od bólu i znowu do bólu
cichutko krokiem cierpienia
by wiatru nie zbudzić ze snu*

*I liście zrywać bez żalu
z uśmiechem ciepłym i smutnym
a mały listek ostatni
zostawić komuś i umrzeć*

Słowa wybrzmiały i zaległa cisza. A ja w jednej chwili zdałam sobie sprawę, że ktoś mnie rozumie, akceptuje, że ktoś lubi to samo, co ja: jesień, spacer, wiersze Stachury i Poświatowskiej, czytanie książek. Zauważyłam, że oboje otwieramy się na miłość. Nie udajemy. Śmiałam się przy nim i płakałam. Niekiedy złościłam. I on się śmiał, był smutny, czasami się złościł. I wiedziałam już, że to jemu opowiem moją historię i z nim będziemy tulić się na Casablance.

– O czym myślisz? – zapytał mnie.

– O rudej wiewiórce.

– Szeleszczących liściach.

– Zapachu mchu.

– Smaku miłości.

– O tobie.

– O nas.

Sebastian wyjechał na dwa tygodnie do Wrocławia. Jego mama złamała nogę, a on chciał jej jakoś pomóc. To wtedy za nim zatęskniłam. I wtedy zrozumiałam, że chcę spróbować stworzyć związek z tym człowiekiem. Wcześniej nie chciałam żadnych deklaracji, chciałam z nim po prostu być. Dwa tygodnie ciągnęły się w nieskończoność. Kiedy w końcu nadszedł czas jego przyjazdu, nie mogłam się doczekać. Stałam na stacji oparta o barierkę i czekałam na Sebastiana. Podróżni wysypywali się z wagonów, omijali mnie, a jego nigdzie nie było widać.

Czyżby nie przyjechał? – zmartwiłam się.

Wyszedł z ostatniego wagonu, w jednej ręce trzymał walizkę, a w drugiej ogromny bukiet kwiatów. Zobaczył mnie, a ja pomachałam w jego stronę. Szedł prosto do mnie, przebijając się przez tłum ludzi, a ja poczułam skurcz w brzuchu. To był przyjemny skurcz, jakby coś od środka mnie łaskotało.

Postawił torbę na ziemię, wolną ręką objął mnie w talii. Odłożył delikatnie bukiet kwiatów i zaczął mnie całować. Całował, całował i całował. Delikatnie, zachłannie, z namiętnością. Mijali nas ludzie, rodziny, dzieci, samotne kobiety, które też marzyły o tym, by być całowane.

– Idziemy do mnie? – zaproponowałam z nadzieją w głosie.

– A Michaś?

– Jest u rodziców.

– Idziemy.

On wziął prysznic, a ja w tym czasie wstawiłam kwiaty do wazonu. Zrobiłam sałatkę i kilka kanapek, Sebastian wyjął z torby wino. Siedzieliśmy na podłodze, podjadając kanapki i popijając je winem. Absolutnie szczęśliwi, zrelaksowani, świat odpłynął gdzieś daleko. Co rusz wybuchiśmy śmiechem, aż bolały nas od tego policzki. A potem on znów mnie pocałował. On mnie, ja jego. Widziałam w jego oczach pożądanie. Byłam niemal odurzona siłą jego pragnienia. To była nasza mała rzeczywistość: uczucie, które między nami się rodziło, dotyk, czułość, namiętność. Całość tej chwili i my upojeni szczęściem. Zakochani, roześmiani, pragnący,

wyczekujący, poddający się emocjom. Kochaliśmy się delikatnie, czule szepcząc do siebie.

Za każdym razem było inaczej, każda bliskość była dopełnieniem tego, co się między nami działo. Wiedziałam, że zagościłam w jego głowie i sercu na dobre. A on krążył nieustannie w mojej głowie.

Przeprowadziłam z nim setki rozmów w myślach. Kiedy zaparzałam poranną kawę, mówiłam do niego: „Dzień dobry”, kiedy kończył się dzień, życzyłam mu dobrej nocy. Wypełniał moją pierwszą i ostatnią myśl każdego dnia.

Moje odziedziczone po babci mieszkanko było ciasne, ale przytulne. Większy pokój był zarówno moją sypialnią, jak i pokojem gościnnym. Kredens pamiętał jeszcze czasy głębokiego PRL-u. Dywan był lekko postrzępiony, stół stary, drewniany, bujał się na wszystkie strony. Dopiero gdy podłożyłam pod nogę zwiniętą karteczkę, był w miarę stabilny. W rogu stała rozkładana kanapa, na której spałam, a po prawej stronie duża komoda, którą przyciągnęłam pewnego dnia z pobliskiego sklepu z używanymi meblami, a potem pomalowałam na biało i ozdobiłam motylami. Ot, i cały mój dobytek.

Ściany odmalowałam z pomocą taty, a w pokoju Michasia położyliśmy tapetę w samochodziki. Czułam się tu dobrze. Sąsiedzi też byli mili, raczej emeryci. Nie wtrącali się w niczyje życie.

Piętro wyżej mieszkała młoda dziewczyna, Alina. Była w zaawansowanej ciąży. Przystanąłam z nią kiedyś na schodach. Widziałam, że chce pogadać. A może mi się tylko zdawało?

– Dzień dobry. Wszystko w porządku? – zapytałam.

– Tak – skinęła głową. Ale po chwili milczenia dodała: – Nie, nic nie jest w porządku. Poznałam mężczyznę, chłopaka, studenta. Zakochał się we mnie do szaleństwa. Tak mówił. Początkowo byłam nieufna. Broniałam się przed nim, przed tym uczuciem. On dwudziestotrzylatek, ja trzydziestolatka. Przekonywał mnie do siebie tygodniami. Mówił, że wiek nie ma znaczenia, że tylko miłość jest ważna, że jesteśmy jeszcze młodzi, że razem zdobędziemy każdy szczyt. No i zdobywaliśmy te szczyty. Zakochałam się bez pamięci. Scenariusz stary jak świat. Zaszłam w ciążę, a jego miłość jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki się wypaliła. Bo jak to? Nie będzie skoków ze spadochronem, imprez, biegania nago po plaży. No i pojawiło się pojęcie: „odpowiedzialność”, a niedojrzali, młodzi chłopcy boją się panicznie tego słowa. Jak ognia. I tak skończyła się wielka miłość. No cóż, nie da się zmusić nikogo do kochania, a tym bardziej do odpowiedzialności.

– Pani Alinko... – chciałam opowiedzieć jej swoją historię, przerwała mi jednak.

– Cicho... Już dobrze. Chciałam to z siebie wyrzucić. Raz i nigdy więcej. – Ruszyła po schodach na górę.

Przeczytałam kiedyś piękną sentencję Krzysztofa Kamila Baczyńskiego: „W życiu nigdy nie jest tak dobrze ani tak źle, jak myślimy”. Czyż tak nie jest? Czasami jesteśmy tak bardzo szczęśliwi, że niemal odrywamy się od ziemi i latamy wśród chmur. I nagle ktoś podcina nam skrzydła. Pojawia się ból, który ściąga nas

z impetem w dół. Niekiedy jesteśmy zatopieni w smutku, jest nam tak źle, że wydaje się, że utoniemy w bezbrzeżnej rozpacz. A tu nagle ukazuje się jakiś błysk, światełko w tunelu, które daje nadzieję.

Tego dnia zrobiłam Michasiowi spaghetti. To było jego ulubione danie. Jadł ze smakiem.

– Mamusiu, pycha – uśmiechnął się. Całą buzię miał umorusaną sosem pomidorowym.

– Kochanie, nie mówi się z pełną buzią.

Skinął głową, a ja uśmiechnęłam się do niego. Patrzyłam na tego małego człowieczka i nie mogłam się nadziwić, jaka ze mnie szczęściara.

Michaś odłożył widelec.

– Skończyłeś? – zapytałam.

– Nie. Nie zabieraj talerza. Będę jeszcze jadł.

– Nie masz już pełnego brzuszka?

– Oj, mamusiu – westchnął. – Kiedy człowiek ma pełny brzusek, musi przerwać jedzenie, porządnie się wybekać i znów może jeść dalej.

Przygryzłam wargi, żeby nie parsknąć śmiechem.

– A skąd ty znasz takie mądrości?

– Od ciebie mamusiu, od ciebie...

Nie wytrzymałam i ryknęłam śmiechem. Michaś też zaczął się śmiać.

– Michaś, ja nie bekam.

– Bekasz w łazience, jak myślisz, że nikt nie słyszy. Każdy beka, to naturalne.

– Tak – pocałowałam go w usmarowany policzek.

Dużo myślałam o mojej sąsiadce z drugiego piętra. Może chwilowo sytuacja, w której się znalazła, wydawała jej się beznadziejna, ale za jakiś czas otrząśnie się ze smutku. Wydaje mi się, że jest silną kobietą, chociaż może jeszcze o tym nie wie. Na przekór temu, co sądzimy, ból nas hartuje. Alina będzie samotną matką, ja też nią jestem i jakoś sobie radzę. Ona też sobie poradzi. A w zamian dostanie taką miłość, o jakiej nie śniła.

Kiedy długo jej nie widziałam, martwiłam się o nią do tego stopnia, że skradałam się pod jej drzwi i nasłuchiwałam odgłosów dobiegających z mieszkania. Szurała, chodziła po mieszkaniu, oglądała telewizję, słuchała muzyki. Wtedy uśmiechałam się do siebie, bo wiedziałam, że nic jej nie jest.

Rozpoczęły się ferie zimowe, a pogoda za oknem dopisywała. Michaś pojechał z dziadkami na kilka dni do Zakopanego. W górach sypnęło śniegiem, a mój synek już nie mógł się doczekać, kiedy dziadek nauczy go jeździć na nartach.

Oboje z Sebastianem wzięliśmy wolne. Przez te kilka dni nie wysunęliśmy nosa z mojego domu. Kochaliśmy się, oglądaliśmy filmy i smażyliśmy razem naleśniki. Dom przesiąkał powoli zapachem mężczyzny. Było mi naprawdę dobrze. Sebastian wstawał zwykle wcześniej niż ja.

– Nie lubię długo spać – oznajmił mi kiedyś.

– Ja jestem śpiochem i kiedy tylko mogę, śpię do woli – odpowiedziałam.

– Śpij, ile chcesz.

Pewnego dnia obudził mnie aromat kawy. Przeciągnęłam się leniwie. W tej samej chwili do pokoju wszedł Sebastian z tacą, na której stał wazonik z czerwoną różą, talerzyk ze świeżą bułeczką, obok dżem i filiżanka cappuccino.

– Jednak jesteś ideałem – powiedziałam miękko.

– Staram się – puścił do mnie oko.

Zjedliśmy śniadanie w łóżku.

– Kiedy poznasz mnie ze swoim synem? – zapytał nagle.

– Jeszcze nie teraz, jeszcze nie czas. Muszę być na sto procent pewna, że będziemy ze sobą.

– Ależ jesteśmy ze sobą!

– Nie chcę go rozczarować. On tak bardzo pragnie, by ktoś zastąpił mu ojca. Ale na to jeszcze za wcześnie. Zrozum.

– Rozumiem. Tylko nawet nie dałaś nam szansy na to, byśmy się poznali.

– Poczekajmy – przyłożyłam mu palec do ust. – Jeszcze trochę poczekajmy.

– Nie będę naciskał.

Gdy nieco później rozsiedliśmy się na kanapie z talerzem naleśników, które zrobiliśmy wczorajszego wieczoru, zapytał ni stąd, ni zowąd:

– Lubisz podróżować?

– Jakoś nie miałam okazji na wielkie podróże. Wiesz – dziecko, potem praca, studia... Ale chciałabym gdzieś pojechać.

– Dokąd?

– Najpierw Europa: Hiszpania, Portugalia, Francja, potem Południowa Afryka.

A potem to już mogę wszędzie.

Uśmiechnął się.

– Jeszcze gdzieś razem pojedziemy.

– To zacznij już odkładać kasę. – Odłożyłam talerz na stolik.

Sebastian pocałował mnie. Odchyliłam do tyłu głowę. Ciemne włosy rozlały się na oparciu kanapy.

– Kochaj mnie.

– Kocham cię.

ROZDZIAŁ 6

W tamten sobotni wieczór umówiłam się z Sebastianem. Ostatnio spotykaliśmy się bardzo często. Michaś miał zostać z dziadkami, ale rodzice wybierali się do cioci na imieniny, a babcię zmogła grypa. Poprosiłam o pomoc Kasię, dziewczynę, która czasami pomagała mi zajmować się synkiem. Studiowała pedagogikę i dorabiała sobie jako opiekunka do dziecka.

– Mamusiu! – Michaś złapał mnie rączkami za szyję. – Nie chcę, żebyś dzisiaj wychodziła.

– Kochanie, mamusia jest umówiona. W tym tygodniu spędziłeś z mamusią każdą wolną chwilę – pocałowałam synka w policzek.

– To prawda, ale tydzień temu wróciłem z ferii... Myślałem... – Spuścił głowę, a ja poczułam wyrzuty sumienia. – Chciałbym, żebyś ze mną została...

– Zaprowadzę cię do Kasi, babcia przyjdzie po ciebie niedługo, a ja wrócę jutro rano. Niedzielę spędzimy tylko we dwoje.

– Mamusiu... – Michaś był niespokojny.

– Dobrze, zadzwonię do Sebastiana i odwołam spotkanie – skapitulowałam.

Wybrałam numer Sebastiana.

– Co tam? – zapytał beztrosko.

– Nie wiem, czy dzisiaj przyjdę.

– Oj! Coś się stało?

– Michaś nie chce, żebym zostawiała go samego.

– Może spróbujesz go jakoś przekonać?

– Próbowałam. – Spojrzałam na synka, który patrzył na mnie swoimi dużymi piwnymi oczami.

– Spróbuj jeszcze raz – nalegał.

– Okej, zobaczę, co da się zrobić, ale jeśli nie przyjdę...

– Tak, tak zrozumieć – powiedział, chociaż w jego głosie usłyszałam nutkę żalu.

Rozłączyłam się i ukucnęłam naprzeciw synka. W tym samym czasie zabrzęczała komórka.

Esemes od Sebastiana:

Bardzo chciałbym, żebyś tu dzisiaj ze mną była... Kocham.

Uśmiechnęłam się pod nosem, po czym odezwałam się do Michasia:

– A co byś powiedział, gdybyśmy jutro zrobili sobie dzień śmieciowego jedzenia?

– Pizza, frytki, wata cukrowa? – zapytał z błyskiem w oczach.

– Wszystko, co niedozwolone.

– Dobrze.

– No to dobrze – uśmiechnęłam się do niego z wielką czułością.

– Ale chciałbym, żebyś jutro wróciła, zanim się obudzę.

– Obiecuję.

– Kocham cię, mamusiu – wyszeptał i przytulił się do mnie.

– Ja też cię bardzo kocham – powiedziałam. Byłam jednak dziwnie niespokojna.

Spakowałam rzeczy Michasia i po kilku minutach ruszyliśmy do mieszkania opiekunki.

– Masz zapasowe klucze? – zapytała Kasia. – Gdybym zasnęła...

– Tak.

Swego czasu dorobiłam sobie klucze od mieszkania Kasi. Dziewczyna była przemęczona nauką i pracą, więc niekiedy kładła się spać o tej samej porze co Michaś i czasami nie słyszała pukania do drzwi.

– Mama odbierze Michasia koło północy, może ciut później. Przekazałam jej wczoraj klucze od twojego mieszkania.

– Dobrze – odpowiedziała dziewczyna. – A ty wybierasz się na randkę?

– Tak.

– Wobec tego baw się dobrze.

– Wy też bawcie się dobrze.

Przytuliłam synka i jak na skrzydłach ruszyłam w kierunku postoju taksówek. O niczym tak bardzo nie marzyłam, jak o tym, by kochać się z Sebastianem...

Sebastian łapczywie chwycił moje usta swoimi wargami. Całowaliśmy się krótko, a ja już byłam gotowa. Wszedł we mnie po kilku minutach pieścizot. Kilka ruchów, a ja wiłam się pod nim w ekstazie. Jęczałam, dygotałam i pragnęłam jak najszybciej osiągnąć spełnienie. Przygryzłam rękę zębami, by nie krzyczeć na całe gardło. Kolejnym razem kochaliśmy się już dużo spokojniej, ale jeszcze następnym znów szaleliśmy. Musiałam zasnąć, bo obudził mnie telefon.

– Halo? – powiedziałam zaspanym głosem.

– Tu mama, przyjeżdżaj!

– Ale dokąd mam jechać?

– Do mieszkania Kasi! Do Kasi! – rozplakała się.

– Mamo, co się dzieje?

– Przyjedź tu! Natychmiast!

Rozłączyła się. Czułam narastającą panikę. W pośpiechu wkładałam dzinsy. Cała dygotałam.

Sebastian przewrócił się na drugi bok.

– Wstawaj! – krzyknęłam tak głośno, że sama przestraszyłam się siły mojego głosu.

– Co się stało? – usiadł na łóżku zdezorientowany.

– Muszę jechać do opiekunki.

– Dlaczego?

– Nie wiem. Coś się stało. Mama... Moja mama dzwoniła.

Po kilku chwilach dotarliśmy pod blok, w którym Kasia wynajmowała mieszkanie.

Wyskoczyłam z auta i wbiegłam na górę. Na klatce zebrali się ludzie, ratownicy, strażacy.

Co do cholery? – pomyślałam.

Mama i tata siedzieli na schodach. Oboje wyli. To nie był płacz, a nieludzki skowyt.

Podbiegłam do nich.

– Co się stało?

– Michaś... – Mama próbowała mnie objąć, ale odepchnęłam ją. – Gaz... Jego ciało...

O czym oni mówią? – próbowałam poskładać fakty.

– Idę tam!

Mama pokręciła głową.

Ruszyłam w stronę otwartych drzwi. Moje nogi były jak z waty, plątały się.

– Ada! – Gdzieś z tyłu dobiegał mnie głos Sebastiana. – Ada!

To tylko kilka kroków, a mnie wydawało się, że nigdy nie dotrę do celu. Synek, mój synek – w mojej głowie kołatały się setki myśli.

Ktoś odciągnął mnie na bok.

– Tutaj nie można wchodzić.

– Tam jest mój syn! Tam jest mój syn! – próbowałam się wyrwać, lecz ręce nieznajomego ratownika trzymały mnie mocno. Wyłam jak zranione zwierzę. Z nosa mi kapało. Strąki włosów przykleiły się do policzków. Było mi na przemian to gorąco, to zimno.

– Widział pan moje dziecko? Czy widział pan moje dziecko?

– Wszystkim się zajmujemy – pocieszał mnie mężczyzna.

Kiedy zobaczyłam mojego synka, poczułam taki ból, jakiego jeszcze nigdy nie czułam, i taką grozę, jakiej nigdy w życiu nie zaznałam. Wtedy jednak łudziłam się, że on jeszcze żyje, że będzie żył.

Wokół mnie zebrali się ludzie. Zaczęłam wymachiwać rękami, chciałam, aby oni wszyscy odeszli. Zaczęłam krzyczeć, wzywać Boga.

A potem chciałam przytulić mojego synka, tylko tego pragnęłam. Wyglądał, jakby spał. Jakby zaraz miał się obudzić i przytulić się do mnie.

Boże... Gdyby tylko otworzył oczy, to ja pozwoliłabym mu na wszystko. Na wszystko! Zrobiłabym dla niego wszystko. Zrobiłabym wszystko, gdybyś dał nam jeden dzień. Jeden, jedyny dzień, Boże! Czy Ty w ogóle istniejesz?

Pochyliłam się nad ciałem mojego dziecka. Dziecka, które przez dziewięć miesięcy rosnęło w moim brzuchu. Jego serce biło razem z moim sercem, a teraz...

Podniosłam jego rączkę, była zimna, choć pulchna. Tak lubiłam całować jego pulchne rączki i nóżki. Chociaż miał już sześć lat, był wciąż pulchnym dzieckiem. Pięknym dzieckiem. Zaczęłam całować każdy milimetr jego pulchnej rączki, a łzy lały się po moich policzkach.

Był w pizamce. Podniosłam jedną nogawkę do góry, a potem drugą, by wycalować jego nóżkę. Nie docierało do mnie, że całuję moje dziecko po raz ostatni, że widzę je po raz ostatni.

– Do zobaczenia w niebie – szepnęłam mu do ucha. Chciałabym być tam z nim. Chciałabym wziąć go za rączkę i pomóc mu się odnaleźć w nowej rzeczywistości. A co, jeśli będzie się bał? On tak bardzo nie lubił nieznanego...

– Kochanie – padłam na kolana i płakałam, płakałam, płakałam... – Ja! Ja... – chciałam zaczerpnąć tchu, ale nie mogłam. Nie mogłam oddychać.

Nagle cały świat poszarzał, a moje ciało stało się bezwładne. Zemdlałam.

ROZDZIAŁ 7

Dopiero później dowiedziałam się, co się wydarzyło...

Kiedy mama zapukała do mieszkania opiekunki, nikt jej nie otworzył. Pomyślała, że Kasia z Michasiem usnęli. Otworzyła drzwi. Michaś leżał na kanapie, a Kasia drzemała na fotelu. Podeszła, by okryć wnuka kocem. Od razu zauważyła, że jest bardzo blady. Zaczęła nim potrząsać. Rączki miał zimne, a ona nie wyczuwała pulsu. Nachyliła się, ale nie oddychał. Podeszła do Kasi. Ona również nie dawała znaków życia.

Jak się później okazało, przyczyną śmierci było zatrucie tlenkiem węgla z piecyka gazowego.

Biegli orzekli nieprawidłowości w działaniu piecyka, który był podłączony do jednego przewodu kominowego razem z wentylacją mieszkania piętro wyżej. A – zgodnie z przepisami – każde urządzenie powinno być podłączone do odrębnego przewodu. Naprawiono to dopiero po wypadku. Dodatkowo w mieszkaniu były szczelne okna bez nawiewników. Nieszczelne było za to połączenie rury spalinowej pieca z ogrzewaczem wody. Przez szczelinę mógł się ulatniać czad. Mimo to nadzorujący sprawę prokurator umorzył śledztwo. W uzasadnieniu przeczytaliśmy, że nieprawidłowości „przez okres prawie dziesięciu lat nie spowodowały zagrożenia dla życia lub zdrowia ludzkiego”. Podkreślił, że śmierć Kasi i Michasia to wynik wielu nieszczęśliwych zbiegów okoliczności.

Dałam spokój tej sprawie. Nikt nie zwróci życia mojego dziecka ani tej młodej dziewczyny.

Po kilku tygodniach tato powiedział mi, że babcia Marysia zajęła się tą sprawą. Pisała do gazet i telewizji. Wynajęła adwokata, który w ich imieniu złożył w sądzie zażalenie dotyczące postanowienia o umorzeniu śledztwa.

– Babciu – zapytałam ją po latach – dlaczego to zrobiłaś?

– Gdyby winni zostali ukarani, byłby to sygnał dla wszystkich, że jeżeli w mieszkaniu jest instalacja gazowa, to trzeba dbać o jej stan. Bo stawką może być ludzkie życie. Poza tym zrobiłam to dla ciebie i twojego synka. Dla was walczyłam o sprawiedliwość...

Ocknęłam się w szpitalu. W pokoju leżałam sama. Na taborecie przy moim łóżku drzemała mama. Chciałam obrócić się na bok, ale opadłam z sił. Łóżko zaskrzypiało i mama momentalnie otworzyła oczy.

– Kochanie, jak się czujesz? – pytała z przejęciem w głosie.

– Michaś? Gdzie jest Michaś? – zapytałam ochrypłym głosem.

– Kochanie... – Jej głos się łamał. – Spokojnie. Odpocznij.

– Gdzie... Jest... Mój syn – próbowałam wykrztusić.

– On... – mama odwróciła wzrok. – On... Nie pamiętasz?

Pamiętałam, ale chciałam, by to nie była prawda. Rozpłakałam się. Zaczęłam płakać

spazmatycznie, boleśnie.

Wyłam.

Waliłam pięściami w łóżko, by po chwili wyrywać sobie włosy z głowy. Mama wybiegła z sali. Po chwili wróciła z pielęgniarką, która podała mi zastrzyk. Znow odpłynęłam w niebyt.

Kiedy się obudziłam, koło mojego łóżka siedział młody mężczyzna.

– Kim pan jest? – Zdenerwował mnie jego widok.

– Psychologiem.

– Nie chcę z panem rozmawiać.

Skinął głową.

– A czego pani chce?

– Dowiedzieć się, gdzie jest mój synek.

– Pani synek...

– Czy on jest tutaj, w szpitalu? – przerwałam mu, bo nie chciałam słyszeć o tym, co ma mi do powiedzenia. – Na jakim oddziale leży?

– Nie ma go tu – odparł dyplomatycznie.

– A gdzie jest?

– Nie ma go ani tutaj, ani w domu.

– Jest ze swoją babcią – stwierdziłam. Sama siebie oszukiwałam.

– Przykro mi, ale on nie żyje.

– Nie, to nieprawda!

– Przykro mi – mężczyzna chwycił mnie za rękę.

– Czy tak zachowuje się psycholog? – Sama byłam zaskoczona swoim pytaniem.

– Słucham?

– Czy takie spoufalanie się z pacjentem... Trzymanie go za rękę...

– Tak zachowuje się człowiek – odpowiedział spokojnie.

Łzy lały się strumieniami po moich policzkach. Psycholog nie puszczał mojej dłoni, a ja płakałam...

Po otrzymaniu wypisu ze szpitala mama zabrała mnie do rodzinnego domu.

Przez kolejnych kilka dni nie wiedziałam, co się dzieje ze mną, co się dzieje wokół mnie. Nie chciałam wiedzieć. Byłam na prochach, które trochę łagodziły piekący ból. Tylko trochę, bo takiego bólu nic nie mogło przemóc. Mama, babcia i siostra przysiadły na przemian na skraju mojego łóżka i trzymały mnie za rękę. O nic nie pytały, a ja nic nie mówiłam.

Czasami wydawało mi się, że ból mija. Ale wtedy on – jak fale na morzu – atakował znienacka ze zdwojoną siłą. Zaciskałam powieki i myślałam o moim synku. W moich myślach on żył, biegał, psocił, śmiał się do mnie i wyciągał w moim kierunku rączki. Tylko że ja nie mogłam tych małych rączek złapać.

Niedzielnego poranka przyszedł Sebastian. Ponoć był już kilka razy, ale za każdym razem spałam.

– Po co przyszedłeś? – warknęłam. Byłam na niego zła. Całą winę za to, co się stało,

zrzucałam podświadomie na niego.

– Przykro mi – odparł i spuścił wzrok.

– Mnie jeszcze bardziej. Nie przychodź więcej. Zniknij z mojego życia.

– Ale...

– Proszę...

Sądziłam, że odejdzie, ale on pochylił się w moją stronę i wyciągnął rękę. Delikatnie dotknął mojego policzka. Potem próbował mnie objąć, ale ja zaczęłam kręcić się nerwowo na łóżku. Nie chciałam czuć jego dotyku na mojej skórze. Niczego od niego nie chciałam.

– Odejdź – powiedziałam.

Nawet się nie poruszył.

– Jesteś wszystkim tym, co najgorsze. Gdybym się z tobą nie spotkała, mój syn by żył. Gdy ciebie widzę, widzę tylko mojego małego synka i jego smutne oczy. Synka, którego zostawiłam, bo zachciało mi się z tobą pieprzyć!

Pokręcił głową. W jego oczach dostrzegłam łzy.

– Nie możesz obwiniać się za to, co się stało. To był wypadek.

– Wyjdź stąd!

Nie poruszył się.

Zaczęłam krzyczeć, by dał mi spokój, by się wynosił. Przeklinałam go.

W końcu mnie posłuchał. Wszedł, za to do pokoju wbiegła mama.

– Nie chcę go więcej widzieć – powiedziałam ochrypłym głosem.

Mama skinęła głową. Chciała mnie objąć, ale ją odtrąciłam.

– Chcę zostać sama.

– Dobrze, ale jeśli będziesz czegoś potrzebowała...

– Do cholery! – uniosłam się znowu. – Zostawcie mnie wszyscy w spokoju!

Kiedy zostałam sama, rozplakałam się na dobre. Przez łzy wyszeptałam:

– Mój syn miał matkę kurwę...

Po pogrzebie Michałka wróciłam do swojego mieszkania. Nie wchodziłam do pokoju synka przez tydzień. Omijałam to miejsce szerokim łukiem. Któregoś poranka nie wytrzymałam i wbiegłam tam. Zaczęłam dotykać jego zabawek, wachać i przytulać jego ubranka. A potem z nabożną czcią odkładałam wszystko na swoje miejsce. Chciałam zatrzymać jego zapach, zapach mojego dziecka. Wiedziałam, że kiedyś ten zapach się ulotni, ale teraz go czułam. Ten pokój był wypełniony zapachem mojego synka.

Miałam zwyczaj, że raz w miesiącu kupowałam prezent dla Michasia. Zazwyczaj chciał coś do swojego pokoju, bo byliśmy na etapie przemieniania pokoju dziecięcego w pokój dla chłopca. Kupiliśmy łóżko w kształcie samochodu wyścigowego, pościel ze Spidermanem i dywan, który wyglądał jak trasa szybkiego ruchu dla małych samochodzików. W przyszłym miesiącu mieliśmy kupić lampkę nocną, ale nie kupimy, bo mojego synka już nie ma. Rozplakałam się. Płacz przerodził się w zawrodoenie.

Do tej pory nie rozstawałam się z moim dzieckiem na dłużej niż na dwa dni. Wyjątek stanowiły ferie zimowe, kiedy rodzice zabrali Michasia do Zakopanego na blisko

tydzień. Zawoziłam go czasami do dziadków w sobotę, ale już w niedzielę koło południa pukałam do ich drzwi. Tęsknota za nim była silniejsza od wszystkiego. Moje życie kręciło się wokół mojego syna. Ale może nie kochałam go tak mocno, jak mi się wydawało? Prosił mnie, żebym tamtej nocy z nim została. Miał łzy w oczkach, a ja...

– Boże... – jęknęłam.

Łzy płynęły mi po twarzy. Chciałam zaspokoić swoje żądze, o niczym innym wtedy nie myślałam, tylko o tym, by spędzić upojną noc z Sebastianem. I to był niezaprzeczalny fakt. Zamiast spędzić ten czas ze swoim dzieckiem, ja oddałam je opiekunce. Jaką matką jestem? Byłam... Nie mogłam znieść moich myśli. Wyłam. Skomlałam. Jęczałam. A potem, zwinięta w kłębek, usnęłam.

Bywały dni, że wierzyłam, że moje dziecko wróci. Otworzy drzwi i wbiegnie do domu. A ja będę go tuliła i nigdy nie wypuszczę z ramion. Mój piękny synek będzie przy mnie, a ja nawet przez chwilę nie spuszczę go z oczu.

Proszę cię, Boże – modliłam się w duchu. Zrobię wszystko, wszystko, by być z moim synem. Nie chcę niczego niesamowitego, nigdy nie chciałam. Nie kręciły mnie pieniądze, sława, kariera – tylko szczęście. Byłam najszczęśliwszą osobą na świecie, to chciałam być jeszcze szczęśliwsza. Zakochałam się i przedłożyłam swoje dobro nad dobro swojego dziecka.

W takich chwilach siadałam na łóżku i patrzyłam godzinami na ścianę, na której odbite były ślady małych rączek...

Pamiętam ten dzień, kiedy skrzyczałam Michasia za to, że brudzi ściany.

– Znowu mi to robisz! – krzyknęłam.

– Ale co? – zdziwiony obrócił się w moim kierunku.

– Ile razy prosiłam cię, byś nie dotykał brudnymi rękami ścian!

– Przepraszam – wzruszył ramionkami.

– Zawsze mnie przepraszasz, a potem robisz to samo! – byłam naprawdę zła.

Jezu, krzyczałam na niego tylko dlatego, że dotknął tej cholernej ściany! Był dzieckiem, a ja byłam dla niego czasami taka surowa. Co ja bym dała za to, żeby teraz był tu ze mną i brudził te przeklęte ściany. Dotykał ich swoimi małymi rączkami.

Tak bardzo chciałam powrotu do normalności. Chciałam, by mój synek był tu ze mną, by żył.

Rozpacz ma dźwięk, smak, fakturę.

Dźwięczy w uszach jak syrena. Rozdziera twoje bębunki. Ten dźwięk jest przerażający jak wycie zarzynanego zwierzęcia. Smakuje zgnilizną wymieszaną z goryczą. Próbujesz jej i chce ci się wymiotować. Chcesz ją wypluć, zwrócić jak najszybciej, ale ona spływa do twoich wnętrzości. Chcesz czuć się już normalnie, a ona ciągle tkwi w twoich trzewiach.

Rozpacz jest chropowata. Jej powierzchnia pokryta jest kolcami i odłamkami szkła. Kaleczy, drapie, wbija się w twoje ciało i duszę. Duszę przede wszystkim.

Czułam się osaczona. Bliscy, znajomi, rodzina... Wyręczali mnie ze wszystkiego. Z prania, gotowania, robienia zakupów. Nie pozwalali mi niczego robić, a mnie

bezczytność dobijała. Co ciekawe, po kilku tygodniach ją polubiłam. Rozkoszowałam się „nicnierobieniem” i patrzeniem w sufit.

Czasami wychodziłam na spacer. Osiedle, na którym mieszkałam, było małe, wszyscy się znali, dlatego kiedy pojawiałam się na ulicy, ludzie zazwyczaj się na mnie gapili. Nie miałam im tego za złe, sama bym się pewnie nie powstrzymała. Zwłaszcza że któregoś razu wyszłam na ulicę w piżamie. Chciałam kupić mleczną czekoladę. Taką lubił mój syn, taką ja najbardziej lubiłam. Spotkałam po drodze sąsiadkę z bloku obok. Jej mina była pełna współczucia. Może pomyślała, że zwariowałam?

– Tak mi przykro – podeszła do mnie i złapała za rękę.

Wyrwałam swoją dłoń z jej ręki. Ludzie nie zdają sobie sprawy, jak puste są czasami ich słowa. Jak potrafią być żalotne, bezużyteczne. Odeszłam, nic nie mówiąc.

Kiedy szukałam na półce czekolady, usłyszałam za plecami głosy ekspedientek.

– Ta babka przyszła w piżamie. Czy dobrze widzę?

– Cii... – odparła ta druga. – To ta biedna kobieta, której dziecko się zaccadziło.

– To naprawdę ona?

Wyszłam zza półek z kilkoma tabliczkami czekolady. Położyłam je na ladzie.

– To naprawdę ja – powiedziałam trzęsącym się z emocji głosem. – To ja – powtórzyłam, a łyzy zaczęły cieknać ciurkiem po moich policzkach. – Ta, której synek umarł.

Ekspedientki nie wiedziały, jak się zachować. Ewidentnie zrobiło im się głupio.

– Dwadzieścia sześć pięćdziesiąt – powiedziała ta starsza, nie podnosząc głowy.

Dopiero wtedy zorientowałam się, że nie wzięłam portfela.

– Nie mam pieniędzy – poinformowałam je.

– Proszę wziąć czekolady – powiedziała ta druga. – Proszę wziąć.

Zgarnęłam czekolady i wyszłam. Świeciło takie piękne słońce. Usiadłam na chodniku. Odwinęłam jedną czekoladę z papierka i zaczęłam jeść.

Mój synek zawsze marzył o tym, by wyjść ze sklepu w słoneczny dzień, usiąść na chodniku i zjeść całą czekoladę. Nigdy mu na to nie pozwoliłam. Jedliśmy czekoladę w domu, po obiedzie. Teraz byłoby inaczej. Tylko że teraz nie ma przy mnie mojego syna.

Przechodzili koło mnie ludzie, wpatrywali się we mnie, a ja jadłam czekoladę zachłannie, przetykając także łyzy. Słodycz wymieszana z gorzkim smakiem rozpacz.

Odkąd umarł Michaś, w moim domu było bardzo cicho. Tak cicho, że słychać było tykanie zegara, skrzypiące deski podłogowe, szmer lodówki. Mama bardzo często chciała zagłuszyć tę ciszę. Włączała telewizor lub radio. A tam wiadomości i same tragedie. Ile tragedii jest w stanie udźwignąć świat?

– Nie ma mojego synka – powiedziałam do mamy. Ona podeszła do mnie i mocno mnie przytuliła.

– Nie ma mojego synka, a ja będę musiała nauczyć się z tym żyć.

– Możemy porozmawiać? – zapytała mama.

– O czym?

– O wszystkim. O tym, co czujesz.

- A co mogę czuć? – zaatakowałam ją.
- Nawet nie chcę sobie wyobrażać... – W jej oczach dostrzegłam ogromny smutek. Przykro mi, że ją zraniłam. Ona przecież też cierpiała.
- Nie jestem w stanie o tym rozmawiać – powiedziałam po chwili.
- Rozumiem.
- Nie wiem, czy w ogóle kiedyś z kimkolwiek o tym porozmawiam.
- Może byłoby ci łatwiej porozmawiać o tym z kimś nieznanym?
- Masz na myśli psychiatrę?
- Kogokolwiek.

ROZDZIAŁ 8

Nie widziałam Sebastiana cztery miesiące. Nie chciałam go widzieć. Któregoś dnia zapukał do moich drzwi. A kiedy otworzyłam, oniemiałam. Wysoki, piękny, postawny, silny. Mógł wziąć na swoje barki trochę mojego bólu. Razem byśmy to udźwignęli, ale ja nie chciałam. Już nie.

– Hej – powiedział na powitanie. Wyciągnął w moim kierunku dłoń i pogłaskał delikatnie po policzku. Był to tak delikatny dotyk, że prawie go nie poczułam.

Po co tu przychodził? Po co burzył mój spokój? Po co? Do jasnej cholery! Kochałam go i zarazem nienawidziłam. Chciałam, by mnie przytulił, a zarazem by odszedł z mojego życia raz na zawsze. To przez niego, przeze mnie, przez nasze pragnienia mój syn nie żył.

Spojrzał na moje nadgarstki. Podążyłam za jego wzrokiem. Ach tak, zrobiłam to. W końcu to zrobiłam. Nie chciałam tu żyć bez mojego dziecka. Już nie. Miesiąc wcześniej próbowałam podciąć sobie żyły. Próbowałam odebrać sobie życie, ale mi nie wyszło.

– Jak się czujesz? – zapytał z troską w głosie.

Głupie pytanie. Jak mogłam się czuć? Wszystko mnie bolało. Życie mnie bolało.

Czułam w ustach suchość, gardło paliło mnie żywym ogniem. Bez słowa przeszliśmy do pokoju.

Nalałam wody do kubka, włożyłam do niego słomkę. Upiłam łyk wody. Poczułam ból, mimo to pociągnęłam jeszcze jeden. Byłam spragniona.

– Napijesz się? – zapytałam.

Pokręcił głową.

– Mogłaś do mnie zadzwonić – powiedział. – Kiedy było ci źle, mogłaś do mnie zadzwonić.

Nie pomyślał, że nie chciałam? W tamtej chwili pragnęłam, by on też umarł. Chciałam go zabić. Marzyłam, o tym, by go zabić.

– Mogę ci jakoś pomóc?

Odwróciłam od niego wzrok.

– Potrzebujesz pomocy? Psychiatry, terapeutę? Sama sobie nie poradzisz.

Chciał mnie pogładzić po ręce. Odsunęłam ją.

– Nie dotykaj mnie – mój głos był słaby. – Nigdy... Mnie... Nie dotykaj!

– Dobrze. Tak, masz rację... Przepraszam. Chcę ci pomóc.

Stał tak, bezradny, z opuszczonymi ramionami, i patrzył na mnie. W jego oczach widziałam ból. Jego ból nie był wcale mniejszy od mojego.

– Mnie też boli – powiedział.

– Ciebie? – zakpiłam. – Wiesz, czego najbardziej bym chciała? Cofnąć czas.

– To zrozumiałe.

– I chciałabym być z moim synem, i żebyś ty zginął zamiast niego.

Sebastian przełknął głośno ślinę. Cały się trząsał. Wiedziałam, jak bardzo zabolaty go

moje słowa.

– Chciałbym ci pomóc – mówił jak w transie.

– Powtarzasz się. Chcesz mi pomóc?

Skinął głową.

– To nie nękać mnie. Zapomnij o mnie... – To koniec. Koniec. Nie ma jego, nie ma nas, nic nie ma... – Zniknij z mojego życia.

– Ale ja...

– Wynoś się!

– Skoro tego właśnie chcesz...

– Tego właśnie chcę.

Odwrociłam głowę w stronę okna.

Słyszałam, jak głośno westchnął, po czym ruszył w stronę drzwi. Słyszałam jego kroki na korytarzu, trzaśnięcie drzwiami na dole, a potem tylko bicie mojego serca. Moje serce skakało, wariowało i bolało. Jeszcze bardziej niż przed jego przyjściem.

Statystycznie co trzecia para rozstaje się z powodu straty dziecka. Kiedy umiera dziecko, czasami podświadomie kogoś obwiniamy za tę śmierć. Nerwy mamy napięte jak postronki. Krzyczymy na siebie, oddalamy się. Przychodzi niezrozumienie i ta cholerna niemoc. Niemoc jest najgorsza, bo nie można już niczego zrobić. Niczego, co przywróciłoby życie dziecku.

Oboje wiedzieliśmy, że nic nas nie uratuje. Nic. Choćbyśmy bardzo chcieli, nie było już dla nas drugiej szansy.

Widziałam mojego syna wszędzie. Z inną kobietą, w parku, na placu zabaw... Raz nawet podeszłam do chłopca, który miał taką samą blond czuprynę jak Michaś.

– Kochany... – kucnęłam przed nim i przytuliłam go do siebie. – Kochany – powtórzyłam. Dziecko zaczęło wyrywać się z moich objęć. Podbiegła do mnie jakaś kobieta i odepchnęła mnie z całej siły od chłopca.

– Co pani?

– Wariatka – usłyszałam za sobą głosy innych matek, które jak na komendę podbiegły do swoich pociech.

– Proszę stąd odejść, bo wezwiemy policję.

– Ale ja... – stanęłam pośrodku zebranych wokół mnie osób. – Przepraszam, myślałam, że to moje dziecko...

Tamtego dnia wróciłam do domu cała roztrzęsiona. Położyłam się na łóżku, a w dłoniach trzymałam misia, ulubioną maskotkę Michasia.

Jak szybko człowiek zapomina zapach drugiego człowieka? – zastanawiałam się. – Jak szybko czyjaś twarz zaciera się w pamięci? Jak szybko zacierają się wspomnienia? Chcę go czuć, pamiętać i zawsze nosić w sercu.

– Kurwaaaa!!! – krzyczałam na cały głos. – Chcę, by mój synek żył!!! Chcę, by żył!!!

Usiadłam na kanapie, położyłam się, a potem znów usiadłam. Noc zmieniała się w dzień. Dzień przechodził w noc. Mijały godziny, dni, tygodnie. I z każdym dniem było trudniej.

Zawsze myślałam, że świat się nie może skończyć, teraz już wiem, że koniec świata następuje szybko i boleśnie.

W którąś sobotę poszłam na zakupy. Przyniosłam całe siaty jedzenia. Nawet nie wiem, po co to wszystko kupiłam, skoro i tak nie chciało mi się jeść. Rzuciłam reklamówki na podłogę i pobiegłam do łóżka. Opadłam na nie bez sił. Znów wyłam, krzyczałam i przeklinałam świat, ludzi i Boga.

Nagle poczułam czyjś dotyk na swoich plecach. Odwróciłam głowę i zobaczyłam zatroskaną twarz Aliny, sąsiadki z góry.

– Nie zamknęła pani drzwi... Przechodziłam i weszłam...

Nie odpowiedziałam. Alina usiadła na łóżku. Położyłam głowę na jej kolanach, a ona gładziła mnie po włosach.

– Cichutko, cichutko... Już dobrze... – Jej głos niósł ukojenie. Nie przestawała mnie gładzić, dopóki nie zasnęłam.

Od tamtej pory przychodziła do mnie codziennie. Opowiadała mi o swoim życiu, o tym, że mama się do niej wprowadziła i pomaga jej we wszystkim. O tym, że mi dziękuje za tamtą rozmowę, za wszystko... Niekiedy wchodziła bezszelestnie, nic nie mówiła, wtedy i ja się nie odzywałam. Gładziła mnie po włosach, a ja przytulałam się do niej.

Moja codzienność była nasączona smutnymi wspomnieniami. Wspomnieniami, które mnie dławily, którymi łkałam. Kiedy odchodzi ktoś, kogo tak bardzo kochasz, to tysiące ostrzy w każdej chwili atakuje twoje serce. Ból jest nie do zniesienia i błagasz o ulgę, ale ona nie nadchodzi. Ból trwa. Ostrza wchodzi głębiej i głębiej, a ty cierpisz bardziej i bardziej. Prosisz o śmierć, bezskutecznie. I mogłabyś sama coś sobie zrobić, bo myślisz, że oszalejesz, jeśli dalej ten ból będzie cię trawił, ale nie robisz nic. Poddajesz się tępemu bólowi.

Oglądałam zdjęcia mojego synka przez całe dni i noce, i kolejne dni, i kolejne noce. Opuszką palca dotykałam roześmianej buzi. Rozmawiałam ze zdjęciem Michasia godzinami, a potem tuliłam je do swojej piersi i płakałam, płakałam, płakałam...

A czas mijał...

ROZDZIAŁ 9

Minęło sześć lat od pogrzebu Michasia. Ból jakby się stępił, już nie rozdzierał mojej duszy. Nie było jednak dnia, żebym nie myślała o swoim synku. W głębi duszy czułam, że najlepiej by było, gdybym wyjechała, ale nie miałam pojęcia, dokąd mogłabym pojechać. Moje rodzinne miasto mnie przygnębiało. Nie miałam zbyt dużo pieniędzy. Pracowałam dorywczo, coś tam napisałam do gazety, coś przetłumaczyłam. Na rachunki i jedzenie wystarczało.

Kuba wciąż przysyłał mi pieniądze. Widziałam go też na pogrzebie Michasia. Przez te wszystkie lata kilka razy nawet do mnie zadzwonił. Jakby powiedziała moja siostra: „Zachował się w porządku”.

– Dlaczego przesyłasz mi alimenty? – zadzwoniłam do niego pół roku po pogrzebie.

– To nie są alimenty?

– A co?

– Pieniądze... Dla ciebie.

– Ale po co?

– Pracujesz?

– Nie... Tak... Czasami.

– Przydadzą ci się. To nie są duże sumy.

– Nasze dziecko umarło, nie masz wobec mnie zobowiązań. Jestem dla ciebie nikim.

– Kiedyś byłaś dla mnie kimś ważnym. Popełniłem błąd. Mogłem...

– Kuba, nie rozmawiajmy o tym.

– Tak, masz rację. Przepraszam, nie chciałem cię urazić.

– Nie przesyłaj mi pieniędzy.

Nie posłuchał. Pieniądze nadal regularnie wpływały na konto. Może w ten sposób chciał zagłuszyć wyrzuty sumienia?

Bardzo często wpadała do mnie siostra. Piłyśmy wino i podjadałyśmy bezę, którą maczałyśmy w bitej śmietanie. Agata wiedziała, że uwielbiam połączenie bezy, bitej śmietany i wina.

– I jak? – zapytała siostra.

– Mam ci powiedzieć prawdę czy skłamać?

– Prawdę.

– Boję się życia, przyszłości.

Pociągnęła łyk alkoholu, po czym złapała mnie za rękę.

– Wierzę ci. Żyj więc dniem dzisiejszym, ale żyj. Żyj! Rozumiesz, kochana? Co byś chciała zrobić?

– Nie wiem... Może pójść do kina?

– Pójdziemy. Komedia?

– Dramat.

– Nie za dużo w twoim życiu łez?

– Chcę płakać.

– Dobrze. Wypłaczmy tyle łez, ile się da. Zabiorę cię na film, na którym będziemy mogły płakać. Czego jeszcze potrzebujesz?

– Kawałka sznurka.

– Sznurka?

– By złapać za niego i wierzyć, że po drugiej stronie ktoś będzie trzymał ten sznurek i ciągnął go.

– Będę trzymała z drugiej strony – objęła dłońmi moją twarz. – I będę ciągnęła, ile sił. Kocham cię. – Przechyliła głowę w moim kierunku. Nasze czoła się zetknęły. – Kocham cię.

Opróżniłyśmy dwie butelki wina. I wspominałyśmy.

Śmiałam się. Pierwszy raz od pogrzebu Michasia śmiałam się. Może nie tak, jak kiedyś, ale byłam wesoła. Wspominałyśmy czas, kiedy byłyśmy nastolatkami.

– Było chyba z minus osiemnaście, a my w spódniczkach mini świeciłyśmy gołymi tyłkami.

– W króciutkich kurteczkach, koniecznie rozpiętych.

– Bez czapek i rękawiczek.

– Oczywiście, człowiek musiał się dobrze prezentować.

– Co się z nami stało, że stawiamy na wygodę, zamiast na prezencję?

– Z wiekiem tak się dzieje.

– I autobus się spóźniał, a my stałyśmy w tych cienkich rajstopach, kozaczkach na cieniutkiej podeszwie i pięknej wysokiej szpileczce, i szczękałyśmy zębami.

– A pamiętasz moich chłopaków?

Agata swojego czasu była bardzo kochliwa.

– Trochę było tych „freaków” – puściłam oko do siostry.

– Normalni też byli.

– No chyba normalny to tylko mąż ci się trafił.

– Był taki jeden... Do tej pory nie wiem, co o tym myśleć... Ten, który chodził w rajtuzach.

– No, ten to był...

– I szpilki też wkładał.

– Może miał w sobie pierwiastek kobiecy?

– Tak, szczególnie kiedy na rodzinnym obiedzie wstał od stołu, poszedł do toalety, po czym wrócił z wymalowanymi ustami, rzęsami i różem na policzkach.

– Ha, ha, ha! To był wyczes. A pamiętasz minę taty? Bezcenna.

– Byłam młoda i piękna, to i faceci do mnie lgnęli.

– Teraz zostało tylko „i”.

– Weź, bo cię palnę.

– Stwierdzam fakty.

Obie się śmiałyśmy.

– W twoim życiu pojawiali się też emocjonalni popaprańcy.

– No, nie aż tak drastycznie – odparła Agata i teatralnym gestem złapała się za pierś.

– A ten pseudoartysta, co był ponoć minimalistą i żywił się energią słoneczną, a jak wpadł do nas na kolację, to całego kuraka wrębał?

– Ten, co to malował bohomazy?

– Ba, on potrafił przez godzinę zachwycać się kilkoma kleksami na płótnie.

– Rzucił mnie... – Agata udawała, że chlipie w rękaw.

– Byłaś dla niego zbyt pospolita. A pamiętasz, jak przyprowadziłaś do domu wesołego Romka? On miał wąsy.

– Wcale nie, lekki meszek nad górną wargą. Siorbał...

– I okruszki jedzenia zbierały mu się na wąsie... – celowo zrobiłam pauzę. – O, przepraszam, na meszku.

Ryknęłyśmy niepohamowanym śmiechem.

– Jak to jest być z wąsaczem? – nie mogłam opanować śmiechu.

Agata płakała ze śmiechu.

– Niezapomniane doznanie.

– Ale z nie wszystkimi mężczyznami jest coś nie tak – zebrało mi się na wspomnienia. – Zostałam kiedyś przedstawiona jednemu facetowi. Kiedy go ujrzałam, stwierdziłam: to ten typ, który kocha swój biceps, swój kaloryfer i żywi się odżywkami dla sportowców. Przegląda się w lustrze kilka razy dziennie, szpanuje, szokuje, kocha siebie, spędza na siłowni większość wolnego czasu. Wsmarowuje w swoje ciało samoopalacz, błyszczy doskonałym uzębieniem. I wkleja na fejsa setki swoich zdjęć typu: on na siłowni, on prężący się, wyciskający siódme poty, on w obcisłej koszulce, on wystylizowany na plaży, on leżący w satynowej pościeli, oczywiście dumnie prezentujący gołą klatę. Ceni bardziej mięśnie od mózgu. Uśmiechnęłam się do niego, potrząsnęłam jego dłonią i już miałam odchodzić, bo stwierdziłam, że jednak my sobie nie jesteśmy pisani. Z innej bajki, innego świata i nie będziemy mieli o czym ze sobą rozmawiać. A tu kolega zaczyna mi opowiadać o książce, którą ostatnią przeczytał, o sztuce, którą ostatnio oglądał, o wydarzeniach na świecie, o tym, co go boli, a co cieszy. Otwierałam oczy ze zdziwienia, bo niby „taki” facet, a czyta i nawet czymś się interesuje. „A fejsa masz?” – zapytałam go wtedy. „Fejsa? Nie, szkoda mi czasu na głupoty. Wolę poczytać książkę”. Szczękę niemal zbierałam z podłogi, wytrzeszcz oczu pozostał mi do dzisiaj.

Sebastian jeszcze parokrotnie próbował nawiązać ze mną kontakt. Czasami milczał kilka miesięcy, a potem nagle dzwonił, pisał maile i wysyłał esemesy. Zachowywał się jak desperat. Potrafił w ciągu dnia zadzwonić do mnie ze dwadzieścia razy. Nie odbierałam. Potem dzwonił z innego numeru telefonu. Zaczął nagabywać mnie mailami, w których ofiarowywał mi pomoc i przyjaźń. Oboje wiedzieliśmy, że przyjaźń w naszym przypadku nie miała racji bytu.

Nadszedł sylwester. Nigdy nie lubiłam celebrować zakończenia roku. Rodzice i siostra zapraszali mnie do siebie, ale ja wolałam zostać w domu. Przykryłam się kocem i bezmyślnie gapiłam się w telewizor. Nie chciałam ani patrzeć w przeszłość, ani robić planów na przyszłość. Trwałam w zawieszeniu. Kiedy w telewizji wystrzeliły korki szampana, a na ekranie pojawiły się sztuczne ognie, rozplakałam się. Nad

ranem wstałam z kanapy i ruszyłam w stronę pokoiku Michasia. Usiadłam na jego łóżku i wzięłam do ręki jego misia. Mocno wtuliłam głowę w przytulankę. Zamknęłam oczy i zaczęłam wspominać sylwestra, którego spędziłam razem z synkiem, kiedy skończył pięć lat. Był już dużym chłopcem, jak sam o sobie mówił, dlatego pozwoliłam mu zostać ze mną do północy. Ubraliśmy się odświętnie, przy małym stoliku usadziliśmy wszystkie jego maskotki. Do plastikowych filiżanek nalaliśmy bezalkoholowego szampana, a na talerzykach położyliśmy babeczki. O północy oczywiście to my zjedliśmy te słodkości, popijając szampanem. Upici szczęściem, tańczyliśmy przy muzyce Michaela Jacksona, zaśmiewając się do łez z naszych wygibasów.

Musiałam zasnąć, bo obudziłam się cała obolała. Otworzyłam oczy i poczułam gdzieś w środku ogromną pustkę. Świadomość, że Michasia przy mnie nie ma, sprawiła, że bolało mnie całe ciało. Przez chwilę wydawało mi się, że nie jestem w stanie poruszyć ręką ani nogą.

Zmusiłam się, by wstać z łóżka i wziąć prysznic. Kiedy namydlałam skórę, w okolicach mostka poczułam przeszywający ból. Wiedziałam, że nie wyleczę się nigdy z tego bólu i nic ani nikt nie zapełni tej pustki, tej wyrwy w sercu.

Minęło sześć lat, a ja wciąż tkwiłam w marazmie. Czułam się tak, jakbym umarła za życia, jakby moja dusza stanęła obok mojego ciała i obserwowała jego poczynania. Pracowałam, jadłam, piłam, chodziłam na spacer do parku, czasami coś obejrzałam w telewizji. I tak mijał dzień za dniem.

W weekendy wypijałam kilka drinków, żeby zagłuszyć ból. Jednak bólu nie dało się, ot tak, zagłuszyć, on wył, jęczał, kłuł. Przypominał o sobie na każdym kroku. Czułam się samotna, a mimo to unikałam rodziny i znajomych. Dzwonili do mnie, a ja ignorowałam ich telefony. Mama z Agatą często mnie odwiedzały. Czasami rozmawiałyśmy o czymkolwiek, innym razem milczałyśmy.

Któregoś dnia w drodze z parku do domu wpadłam na Sebastiana. Wyglądał okropnie. Pod oczami malowały się cienie, jego twarz była jakby zmięta. On również spojrzał na mnie tak, jakby zauważył różnicę w moim wyglądzie. Nic dziwnego. W ogóle się nie malowałam, włosy miałam byle jak związane w węzeł nad karkiem. Schudłam ponad dziesięć kilo.

– Cześć – powiedział cicho.

– Cześć.

– Dzwoniłem. Pisałem...

– Tak, wiem.

– Nie odpowiadałaś.

– Nie miałam siły.

– Rozumiem.

Staliśmy naprzeciwko siebie i nie wiedzieliśmy, co powiedzieć.

– Wiesz... Spieszę się – powiedziałam w końcu.

– Może napijemy się kawy?

– Spieszę się – powtórzyłam.

– Poświęć mi chwilę, proszę.

Spojrzałam w jego smutne, niebieskie oczy.

– Dobrze – zgodziłam się bez przekonania.

Weszliśmy do pierwszej lepszej kawiarni i znaleźliśmy ustronny stolik w głębi sali. Zamówiłam wodę, na którą wcale nie miałam ochoty. On poprosił o kawę. Przez chwilę milczeliśmy. Był zmęczony, przybity, ale wciąż przystojny. W jego oczach, ruchach kryło się to dziwne rozmarzenie, które ujęło mnie podczas naszych pierwszych spotkań.

Sebastian upił łyk gorącej kawy. Skrzywił się lekko. Pewnie sparzył sobie usta.

– Kocham cię – powiedział po prostu, a mnie serce podskoczyło do gardła. – I przykro mi z powodu tego, co się stało.

Skinęłam głową. Nie wiedziałam, co miałabym odpowiedzieć. Też go kochałam, ale to wszystko nie miało teraz znaczenia wobec tragedii, która nas dotknęła.

– Gdybyś tylko dała nam szansę... Przecież to nie była ani twoja, ani moja wina.

– Gdybym z tobą wtedy nie była, mój syn by żył – powiedziałam ostro. – Gdyby jego matka nie pieprzyła się, on wciąż by żył.

– Takie rzeczy się zdarzają.

Pokręciłam głową i upiłam łyk wody.

– Nie powinny się zdarzać. Nie powinno umierać dziecko.

Przygryzłam dolną wargę, zaczęłam oddychać coraz szybciej. Chciałam być z tym człowiekiem, ale wiedziałam, że nie mogę.

– Sebastian... Nam by nie wyszło... Nie chcę się powtarzać, bo już ci o tym mówiłam, ale nam by nie wyszło... Chciałabym ci powiedzieć, że kiedyś będziemy razem, ale wtedy bym cię okłamała...

– Kocham cię – powtórzył.

– Ułóż sobie życie.

Sięgnęłam po torebkę, wyciągnęłam z niej portfel, po czym położyłam na stole dwudziestozłotowy banknot.

– Muszę już iść.

– Zaczekaj.

– Pójdę już. Żegnaj – rzuciłam w jego stronę, po czym szybkim krokiem ruszyłam w stronę drzwi. Byle jak najdalej od tego miejsca, od niego. Byle uciec od miłości, która mnie zgubiła.

Skrzywdziliśmy się. Kochałam go nadal, tak jak i on mnie, a równocześnie obwiniałam go za śmierć mojego dziecka. Siebie zresztą też.

ROZDZIAŁ 10

Stałam przed sklepem spożywczym, oparta o balustradę, i patrzyłam, jak kobieta krzyczy na swoje dziecko.

– Mam cię dość! Ile razy ci mówiłam, żebyś patrzył pod nogi? Zobacz... – jej ton przeszedł w nieco łagodniejszy. – Podarte spodnie. Nowe spodnie... – Rozłożyła bezradnie ręce. Chłopiec spuścił głowę. Widziałam, że było mu przykro.

Niczym w transie ruszyłam w ich stronę.

– Przepraszam, że się wtrącam – powiedziałam. – Ale to tylko spodnie.

Kobieta uniosła głowę i popatrzyła na mnie jak na wariatkę.

– Czasami nie mam już sił. Wie pani, co mam na myśli? Ile razy można powtarzać? – mówiła, szukając u mnie zrozumienia.

– Chętnie bym się z panią zamieniła. Wybaczyłabym mojemu dziecku i tę dziurę w spodniach, i pozwoliłabym mu malować na ścianach i grymasić przy jedzeniu.

Kobieta wzruszyła ramionami. Pomyślała pewnie, że coś jest ze mną nie tak.

– Wie pani, ile razy mój synek prosił mnie, bym ułożyła z nim puzzle, przeczytała mu bajkę, a ja się spieszyłam, bo musiałam pranie złożyć, obiad ugotować, zmyć naczynia? A mogłam przecież to wszystko odłożyć na chwilę i spędzić z nim czas.

– Nie rozumiem...

– Moje dziecko nie żyje.

– Ojej... – przyłożyła dłoń do ust. – Przykro mi, naprawdę mi przykro. – Wzięła synka za rączkę. – Przepraszam... – Sama nie wiem, czy powiedziała to do syna, czy do mnie.

Odeszła z dzieckiem z stronę parkingu, nie odwracając się ani raz. Jakby śmierć była zaraźliwa. Faktycznie, mogłam się nie wtrącać, ale czułam, że muszę to zrobić.

W domu włączyłam komputer i sprawdziłam maile. Agata przysłała mi wiadomość, załączając do niej link. Ogłoszenie pracy w charakterze wolontariuszki w hospicjum dla dzieci...

Chwyciłam za telefon i wybrałam numer siostry.

– Po co mi to? Dlaczego mi to robisz? – zapytałam Agatę wprost. W pierwszym odruchu byłam na nią zła.

– Myślę, że ten wolontariat mógłby ci pomóc.

– Zgłupiałaś?

– Możliwe.

Uśmiechnęłam się na te słowa.

– Nie chcę pracować z chorymi dziećmi, z umierającymi dziećmi.

– Dlaczego?

– One są skazane na pewną śmierć.

– Może powinnaś się oswoić ze śmiercią. Nie namawiam cię, ale przemyśl to – powiedziała i rozłączyła się.

Przez dłuższą chwilę wpatrywałam się w monitor.

– Okej – powiedziałam do siebie. – Pójdę tam tylko raz.

Poszłam raz, drugi i dziesiąty. Zostałam wolontariuszką. Przekonałam się, że nie tylko ja cierpię na tym świecie. Widziałam rodziców, którzy musieli całymi tygodniami patrzeć na cierpienie swojego dziecka. To musi dopiero boleć! Uświadomiłam sobie, że oni mnie potrzebują. Cieszyłam się, że mogę choć trochę pomóc. Zastąpić na chwilę rodzica przy łóżku chorego synka lub córeczki.

– Idź, prześpij się – mówiłam do ojca czy matki, kiedy widziałam, że kolejną noc ma zarwaną, a głowa bezwiednie opada na klatkę piersiową.

– Ale...

– Posiedzę tutaj, a kiedy będzie trzeba, zawołam cię.

I widziałam przez chwilę błysk w ich oczach i bezgłośnie: „Dziękuję, tego mi było trzeba”.

– Ile jest w stanie znieść jeden człowiek? – zapytała mnie pewnego dnia Asia, mama chorej Janki. Śliczna, młoda kobieta.

– Myślę, że więcej, niż nam się wszystkim wydaje.

– Ja jestem u kresu sił...

Przytuliłam ją mocno. A potem zaproponowałam jej kawę w szpitalnej kawiarence. Usiadłyśmy przy narożnym stoliku i przez chwilę w milczeniu popijałyśmy czarny napój.

– Wiesz, kiedyś byłam modelką – zaczęła Asia.

– Wcale mnie to nie dziwi – spojrzałam na nią z uśmiechem. Była piękna, wysoka i bardzo szczupła.

Zaczęła się śmiać.

– Uroda była moim największym zmartwieniem. Cóż to było za życie...

– Bajeczne?

Pokręciła głową.

– Bez sensu.

– Zaszłam w ciążę, kiedy miałam dwadzieścia cztery lata. Urodziłam Janeczkę. Ona nadała sens mojemu życiu. Byliśmy z mężem w siódmym niebie. Kiedy miała dwa latka, dostała pierwszego ataku padaczki. Później nastąpił regres rozwoju, teraz traci wzrok. Choruje na zespół Battena, chorobę genetyczną.

– Wyjdzie z tego?

– Z tego się nie wychodzi... – jej głos się łamał. – Jeśli pożyje rok, dwa, to będzie cud. Pozostało mi czekać. Czekać na śmierć mojego dziecka. Czasami targuję się z Bogiem o każdy kolejny dzień jej życia. Ale kiedy przychodzą ataki, kiedy nie może złapać oddechu, to wołałabym, żeby tak nie cierpiała i odeszła. Potem karczę się za swoje myśli i znów chcę, by żyła jak najdłużej.

– Też straciłam dziecko – powiedziałam.

– Było chore?

– Nie, nie... – Pokręciłam głową tak mocno, że wydawało mi się, że mi odpadnie. – To był nieszczęśliwy wypadek.

Teraz ona złapała moją dłoń w swoją i mocno ścisnęła.

– Przykro mi.

– Są dni, kiedy wydaje mi się, że pogodziłam się ze stratą. Jednak wiem, że nigdy człowiek nie pogodzi się ze śmiercią własnego dziecka. Bardzo często zadaję sobie pytanie, dlaczego mnie to spotkało?

– Też zadajemy sobie to pytanie.

Znów zamilkłyśmy. Potem ona podniosła na mnie wzrok. Patrzyłyśmy sobie prosto w oczy.

– Powiedz mi, czy... Czy po śmierci dziecka jest jakieś „potem”, jakieś „dalej”?

– Jak widzisz, jest...

– To dlatego tutaj pracujesz?

– Chyba tak. Chociaż już niedługo.

– Dlaczego?

– Bo nie daję rady. Ta praca wyniszcza mnie psychicznie. Choć z drugiej strony, kiedy widzę uśmiech chorego dziecka, to wiem, że te moje wizyty mają sens. Rodzice też potrzebują odpoczynku, a wtedy zjawiamy się my, wolontariusze.

– Takie anioły bez skrzydeł?

– Do anioła mi daleko.

– Wierzysz w to, co robisz?

– Wiem, że warto to robić.

– Zawsze warto wyciągnąć dłoń do drugiego człowieka.

Tego dnia zostałam w hospicjum do późnych godzin nocnych. Koło północy stanęłam przy oknie z kubkiem kawy i patrzyłam, jak miasto tonie w mroku. Dopóki nie umarło moje dziecko, nie myślałam o śmierci. Śmierć jest dla młodych ludzi tematem tabu. Kiedy mówimy o śmierci, rodzi się w nas bunt. Nie godzimy się z tym, że śmierć jest częścią życia. Nieraz krzyczałam, że nie godzę się ze śmiercią dzieci. Czułam bunt, kiedy umierało dziecko. Czułam złość, kiedy dziecko tygodniami leżało przykute do łóżka, zamiast rozrabiać, biegać, bawić się z rówieśnikami.

Rodzice chorych dzieci wiele razy pytali mnie, dlaczego tu jestem. Ba, nawet lekarze zadawali mi to pytanie, kiedy przychodziłam dzień w dzień i zostawałam do późnych godzin nocnych. Każdy ma swoje powołanie, swoją drogę do przejścia, na końcu której szuka odkupienia win. A ja czułam się winna śmierci Michasia, szukałam swojego odkupienia.

Słyszałam, że to, co robię, jest takie szlachetne...

I ja też kiedyś pędziłam przez życie. Teraz... Teraz więcej jest we mnie spokoju i pokory. Pojednałam się z Bogiem, chociaż nie wszystko Mu wybaczyłam.

Czasami jeszcze, kiedy nikt nie widział, płakałam. Czasami gryzłam poduszkę, waliłam w nią pięściami. Czasami wypijałam butelkę wina, kiedy jakiś dzieciak umarł. Nie powinnam się przywiązywać do pacjentów, a jednak z każdym coś mnie łączyło. Jednych lubiłam bardziej, innych mniej, ale zawsze czułam ogromny smutek, kiedy mali pacjenci odchodzili, kiedy widziałam ból w oczach ich najbliższych. Te dzieci były już po drugiej stronie i było im lepiej, już nie cierpiały, ale po tej stronie zostawała cierpiąca rodzina. Wierzyłam w to, że jest jakaś druga strona... Gdyby nie ta wiara,

nie byłoby mnie w hospicjum.

Jako wolontariusz pracowałam pół roku. To był dobry, choć smutny czas. Dał mi okazję do przemyślenia wielu spraw.

ROZDZIAŁ 11

Bardzo lubiłam swój rodzinny dom. Zawsze czułam się w nim bezpiecznie. Mimo iż czasami skakaliśmy sobie do gardeł, byliśmy kochającą się rodziną.

Otwierając furtkę, usłyszałam skrzypiące zawiasy. Ruszyłam w stronę wejściowych drzwi. Na chwilę przystanąłam i rozejrzałam się po ogrodzie. Trawa jak zwykle była równo przycięta. Tato dbał o ogród. W donicach rosły bladuróżowe pelargonie, pod oknem dwa świerki. Róg ogrodu zajmowały jabłonie i leciwe drzewo czereśni. Dom był stary. Bladozielona farba gdzieniegdzie odpryskiwała, ale był to dom z „duszą”, jak mówiła o nim babcia Zosia.

Mama siedziała na schodku przed wejściem. Pomachała do mnie na powitanie.

– Cześć – pocałowałam ją w policzek.

– Siadaj.

Podawała mi kubek ciepłego mleka, jakbym znowu była małą dziewczynką. Słońce chowało się za korony drzew. Chwilę milczałyśmy, wpatrzone w fioletowo-różowe niebo.

– Mamusiu, ty zawsze byłaś taka szczęśliwa i uśmiechnięta. Miałaś wszystko, co do szczęścia potrzebne jest kobiecie. Mnie cały świat zwałił się na głowę – powiedziałam na jednym wydechu.

– Myślisz, że nigdy nie miałam chwil słabości?

– Nie wiem.

Mama przytuliła mnie do siebie tak mocno, że o mały włos wylałabym mleko.

– Niby przydałoby się mieć powód do płaczu, bo płakać bez powodu to jakoś głupio. A ja czasami płakałam bez powodu. Czasami, kiedy wracałam z pracy obciążona siatami, zatrzymywałam się przed domem, opuszczałam bezradnie ramiona, stawiałam torby na chodniku i zaczynałam płakać.

Odsunęłam się od mamy i spojrzałam na nią badawczym wzrokiem.

– Dwie dorastające pannice, dobry mąż, dom, pies biegający po podwórku, żadnych chorób, sielanka. I ja pośród tego wszystkiego. Mama, żona, córka. W wiecznym pędzie: do pracy, po zakupy, do domu, by obiad przyrządzić, czasami po drodze do banku lub na pocztę, żeby opłacić rachunki. Czasami wstępowałam do apteki, po leki dla babci. Potem nadchodził wieczór i kładłam się spać, i tak dzień za dniem. Ogarniało mnie poczucie pustki i samotności.

– Miałaś przecież nas.

– Kochanie... – mama z czułością pogładziła mnie po policzku. – Wy miałyście swój świat, ojciec wypady z kolegami na ryby, a ja czułam się sama. Samotność, rozjuszona niczym tornado, wkradała się w głąbię mojej duszy, a ja nie mogłam sobie z tym wszystkim poradzić. I musiałam czasem się wypłakać. Stałam na tym chodniku i szlochałam jak dziecko. Pięć, czasami dziesięć minut. Ocierałam łzy, odczekiwałam jeszcze chwilę, a potem wchodziłam do domu, by obrać warzywa na obiad, pokroić mięso, odpowiedzieć na wasze pytania, jak było w pracy, czy kupiłam to czy tamto...

Odpowiadałam: „Fantastycznie”, „Tak, kupiłam”. Uśmiechałam się, a w głębi duszy znów płakałam.

– Nie wiedziałam.

– Wiesz, każdy ma chwile słabości, tylko czasami nie pokazuje swego smutku nawet najbliższemu.

– A teraz?

– Teraz jest dobrze. Zdałam sobie sprawę, że są większe tragedie, a ja jestem szczęściarą. Twój tato bardzo mnie kocha, ale ja kiedyś chciałam, by kochał mnie jeszcze bardziej. Przynosił kwiaty, zabierał co tydzień do teatru, mówił mi, jaka jestem piękna. Wydawało mi się, że tak jest w idealnym związku, ale nie ma idealnych związków. My, kobiety, idealizujemy miłość. Chciałybyśmy, aby było tak, jak w książkach i filmach. On i ona wstają rano uśmiechnięci, witają się słodko, on robi śniadanie, ona jest taka piękna, jakby wyszła wprost od kosmetyczki. Ma na sobie seksowną bieliznę i kręci mu przed nosem tyłkiem, kiedy on robi dla niej jajecznicę. Dlaczego zawsze w filmach jest ta cholerna jajecznica?

Wybuchliśmy śmiechem.

– A życie jest życiem – dodała zaraz. – On spieszy się do pracy, dzieci jęczą, że nie chcą iść do szkoły, ona, we flanelowej piżamie, z jednym okiem maźniętym biega po kuchni i robi śniadanie. I fakt jest taki, że ludzie mają problem z miłością. Oczywiście, każdy chciałby kochać i być kochanym, ale my mamy w stosunku do miłości zbyt wielkie oczekiwania. Chcemy deklaracji i nieustannej adoracji i tych motyli fruujących w brzuchu. Kochać uczymy się przez całe życie. Miłość – mimo tego, co o niej piszą i mówią – jest zwyczajna.

Tej nocy nie mogłam długo zasnąć. Myślałam o tym, co powiedziała mi mama. Faktycznie, kiedy byłyśmy z Agatą nastolatkami, odcięłyśmy się od mamy. Wstyd mi było się do tego przyznać, ale często traktowałyśmy ją jak służącą.

Pamiętam, jak kiedyś źle się czułam i zamiast zejść po tabletkę do kuchni, zaczęłam wołać mamę.

Mama weszła do pokoju, jakaś blada i przygaszona. Pamiętam dokładnie, że pomyślałam wtedy, że wygląda staro.

– Coś się stało?

– Tak, stało się – burknęłam.

– Co?

– Źle się czuję. Dostałam dziś okres, mogłabyś mi przynieść tabletkę przeciwbólową?

– Tak – odparła z roztargnieniem. Nie zapytałam, o co chodzi, tylko wzruszyłam ramionami i zakopałam się pod kołdrę.

Po chwili przyniosła mi lekarstwo i szklanekę wody.

– Mam nadzieję, że szybko ci przejdzie – powiedziała, po czym przygryzła wargę. – Jak byłam młoda, nie informowało się na prawo i lewo o miesiączce.

Wywróciłam oczami, a ona kontynuowała:

– To był wstydlivy temat, zbyt intymny.

– Nie rozklejam ulotek na słupach z tą informacją, tylko mówię o tym tobie.

– Tak, mówisz o tym mnie – znów przygryzła wargę.

– Chcę się przespać – burknęłam.

Tego dnia odwieźliśmy mamę do szpitala. Miała zapalenie wyrostka robaczkowego i konieczny był zabieg. Nic nikomu nie wspominała, że ją boli, nie skarżyła się, a ja uważałam, że to ja jestem najbardziej cierpiąca.

W niedzielę obudziłam się koło południa. Z dołu dolatywał zapach gotujących się potraw. Na obiad miała przyjechać Agata z mężem Danielem i dwiema córkami. Agata była starsza ode mnie o dwa lata. Byłyśmy jak ogień i woda. Ona wariatka, z aspiracjami zawodowymi, ja romantyczka, spokojna i opanowana. Kochaliśmy się, ale kłóciłyśmy się dość często. Wiedziałyśmy jednak, że jedna za drugą poszłaby w ogień.

– Mój mąż będzie przystojny, bogaty i będzie prezesem dużej firmy – oznajmiła któregoś dnia, kiedy byłyśmy nastolatkami i spędzałyśmy wakacje u babci Marysi.

Wybrałyśmy się wówczas na plażę i wypiliśmy dwie butelki wina. Wtedy pierwszy raz zamroczyłyśmy się alkoholem.

– A twój?

– Mój... Chciałabym, żeby mnie kochał.

– Jesteś taka...

– Nie kończ! – rzuciłam się na siostrę i podciąłam jej nogi. Obie runęłyśmy na piach. Zaczęłyśmy się łaskotać, śmiejąc się przy tym w niebogłosy.

Mój szwagier był cudownym człowiekiem. Łysawy, z brzuszkiem i uśmiechem od ucha do ucha. Podziwiałam go, że wytrzymuje z Agatą. Moja siostra była osobą despotyczną, która uważała, że zawsze ma rację, choć oczywiście niekiedy jej nie miała. Jej „racje” musiały być zawsze na wierzchu. Kochała swoją rodzinę, ale to Daniel łagodził wszystkie spory i ustępował swojej żonie.

Dwa lata temu zamienili mieszkanie w Warszawie na domek na wsi – był w okropnym stanie, kiedy go kupili. Agata klęła, na czym świat stoi, że kupili rudere, a Daniel po pracy jechał na wieś, podwijał rękawy koszuli i pomagał robotnikom w pracach remontowych. I tak przez dwa lata. Miesiąc temu zakończyli remont. Ich dom wyglądał pięknie.

Po posiłku usiedliśmy z Danielem na kanapie.

– Jak jest? – zapytał mnie.

– Powolutku do przodu.

– Dobrze, że nie do tyłu.

Roześmiałam się.

– Uśmiechasz się, to dobrze – odparł i ścisnął moją rękę.

– Tak łatwiej żyć.

– Łatwiej – potwierdził.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Pytaj.

– Dlaczego odtrąciłaś Sebastiana?

Zmarszczyłam brwi.

– Co za pytanie?

– Po prostu mnie to dziwi.

– Był ze mną, kiedy to się stało.

– Niczym nie zawinił, to był wypadek...

– Wybrałam jego zamiast Michasia.

– To był wypadek – powtórzył wolno. – Jesteś szczęśliwa?

– Jak mogłabym być szczęśliwa, skoro nie żyje mój syn. Mój mały synek umarł, bo jego matka się puszczała...

Daniel chwycił mnie za rękę.

– Miałaś prawo być szczęśliwa. Miałaś prawo spotykać się z mężczyzną. Chodziło mi o to, czy jesteś szczęśliwa teraz, bez Sebastiana?

– Sebastian to już przeszłość. Nie chcę o nim rozmawiać.

– Okej – pokiwał głową. – Chciałbym po prostu, żebyś jeszcze kiedyś się uśmiechała, żebyś była szczęśliwa.

– Może kiedyś... – odparłam bez przekonania. Minęło sześć długich lat, a strata wciąż była dotkliwa.

– Może powinnaś gdzieś wyjechać, zmienić otoczenie? – zapytał.

– Też o tym myślałam, ale nie mam kasy.

– A wasza druga babcia? Mieszka nad morzem.

– Babcia Marysia... – westchnęłam. – Sama nie wiem, czy chciałabym do niej jechać.

– Dlaczego?

– Jest dziwna.

– Dziwna? – Daniel zmarszczył brwi. – Spotkałem ją kilka razy i nie wydawała mi się dziwna.

– Inaczej, dość specyficzna. Ale okej. Pomyślę o wyjeździe nad morze. A co u ciebie? – zmieniłam temat.

– W końcu mamy dom bez remontów, pyłu, kurzu. Nie powiem, wykończyły nas te dwa lata. Finansowo i nerwowo, ale warto było – powiedział z uśmiechem. Lubiłam w Danielu to, że we wszystkim widział jasne strony. – Trochę też w naszym związku się popsulo.

– Agata dała ci popalić?

– A wiesz, że nawet nie to. Ja się w tym wszystkim pogubiłem. Stres, harówka od świtu do nocy. Brak czasu na rozmowy.

– I co?

– Musiałem sobie przypominać, co mnie urzekło w tej kobiecie. Musiałem raz jeszcze uwierzyć, że to, co robimy, ma sens. I zdałem sobie sprawę, że póki mamy siebie, rodzinę, to możemy góry przenosić. Bo czym jest remont domu wobec wspólnego szczęścia...

Agatę i Daniela umówili wspólni znajomi. Pamiętam, jak Agata stroiła się na tę randkę w ciemno. Pokręciłam jej włosy, które ona i tak później spięła w kok.

– Zmarnowałaś całą moją pracę – fuknęłam na nią wtedy.

– Miałaś mi zakręcić delikatne fale, a nie zrobić ze mnie pudła postrzelonego przez piorun.

– Nie jestem fryzjerką.

– Ewidentnie.

Malowała się chyba z godzinę, a sukienkę wybierała z pół dnia. W końcu zdecydowała się na klasyczną małą czarną do kolan.

– I jak? – zapytała przed wyjściem.

– Jak nie dostrzeże twojego uroku, to jest ślepy.

– Jesteś kochana – Agata posłała mi całusa i wyszła z domu cała w skowronkach.

Wróciła już po dwóch godzinach. Klapnęła ciężko na łóżku, po czym westchnęła.

– Tak dobrze czy tak źle? – zapytałam przejęta.

– Kłapa.

– Niech zgadnę: brzydki, bezczelny, nie potrafił się wysłowić, a z butów wychodzi mu słoma. Co było z nim nie tak?

– Wszystko – Agata ukryła twarz w dłoniach.

– Niemożliwe, nikt nie może być totalnie „beee”.

– To Daniel! – niemal krzyknęła.

– Jaki Daniel?

– Ten, z którym pracuję.

– Ten, który non stop się z ciebie nabija?

– Właśnie ten.

Słyszałam opowieści o wesołku Danielu, który od dwóch miesięcy pracuje, a właściwie leseruje w dziale handlowym jednej z warszawskich korporacji. Moja siostra już wtedy była bardzo ambitna i chciała się wykazać. Daniel przyszedł do firmy z polecenia wujka i usilnie chciał wszystkim zademonstrować, że ma w nosie ciepłą posadkę. Nazywał moją siostrę „dziobakiem”, który – zamiast korzystać z życia – dziobie w papierkach i zostaje wiecznie po godzinach, by wykonywać niezbędne analizy i wykresiki.

– Ja w przeciwieństwie do ciebie coś w życiu osiągnę. – Agata nie pozostawała mu dłużna.

– Dziobaki zostają dziobakami. W końcu przyjdzie jakiś pociotek, który dostanie awans zamiast ciebie. Tak działa ta machina – prychał.

Zgadzałam się w stu procentach z Danielem, ale oczywiście nie mogłam tego powiedzieć Agacie, która niemal każdego dnia wracała z pracy wkurzona.

– A może on ma trochę racji? – zapytałam ją któregoś dnia.

– Daj spokój! – uniosła się. – Ten leser niczego w życiu nie osiągnie.

I tak oto znajomi zrobili jej psikusa.

– Skąd mogłam wiedzieć, że Kasia z Michałem znają Daniela? – zastanawiała się na głos.

Kasia z Michałem byli naszymi znajomymi z czasów liceum.

– Ale jak wyglądała ta randka? – przygryzałam dolną wargę, żeby przypadkiem się nie roześmiać.

Zrzuciła szpilki.

– Przez pierwszych kilka minut gapiłam się na niego, nie mogąc uwierzyć w swojego pecha, a on rechotał tak głośno, że wszyscy dookoła najpierw się na niego dziwnie patrzyli, a kiedy cały poczerwieniał i łzy zaczęły mu płynąć po policzkach, to inni też zaczęli się śmiać.

– A ty się oczywiście nie śmiałaś?

– Nie powiem, chciało mi się śmiać, ale z niego. Idiota! Skończony idiota! Tak rechotać.

– Wiesz, fajnie jest się czasami pośmiać. Ale co potem? Musiało być jakieś potem, skoro nie było cię dwie godziny.

– Kiedy już Daniel się opanował, zaproponował, że będziemy udawać, że się nie znamy i zobaczyliśmy siebie po raz pierwszy. „Wiesz, taka czysta karta, niezapisana bohomasami” – powiedział. „Czyli mam zapomnieć o tych wszystkich laleczkach voodoo, które robiłam?” – zripostowałam. „Robiłaś kukielki na moje podobieństwo?” – zapytał zaskoczony. „I wbijałam w nie szpileczki”. „Lubisz na ostro?” – nachylił się w moją stronę. Przewróciłam oczami: „Mieliśmy udawać, że się nie znamy”. „Czyli wchodzisz w to?” „Tylko na ten dzisiejszy wieczór”. Zjedliśmy kolację i w zasadzie było dość miło. Rozmawialiśmy na neutralne tematy.

– Jest przystojny?

– Ujdzie.

– Zobaczysz, coś z tego będzie.

– Nic nie będzie.

Tydzień później znów się spotkali, a potem spotykali się już regularnie.

Agata z Danielem pobrali się po roku znajomości. Znajomi dopytywali ich, co tak szybko, może zaczekajcie, jesteście tacy młodzi. „Na co czekać?” – odpowiadali zgodnie. „To jest to, czego naprawdę chcemy. Kochamy się”.

– Idziesz ze mną do ogrodu? – Agata trzymała w jednej ręce dwa kieliszki, a w drugiej butelkę wina.

– No pewnie, że idę – spojrzałam wymownie na butelkę.

Usiadłyśmy na starej ławce obok rozłożystej wierzby. Agata rozlała wino do kieliszków.

– Co słychać? – zapytała.

– Stara bida.

– Czyli jakoś do przodu?

– Jakoś.

– Martwię się o ciebie – powiedziała i upiła spory łyk trunku.

– Niepotrzebnie. Rozmawiałam z Danielem, podsunął mi pomysł, żebym gdzieś wyjechała.

– Dobrze by ci zrobił taki wyjazd.

– Zastanowię się nad tym.

– Jedź. Daniel ma dobre pomysły.

– Szkoda, że jest twoim mężem, bo gdyby był wolny, to chyba bym się za niego brała

- uśmiechnęłam się do niej.
- Wiesz, Sebastian...
- Proszę, nie rozmawiajmy dzisiaj o nim.
- Jak chcesz.

Piliśmy wino w milczeniu. Urwałam źdźbło trawy i zaczęłam się nim bawić.

- A jak u ciebie? – zapytałam siostrę.
- Dobrze. Teraz już dobrze.
- A było źle?
- Nie tak, jak powinno. Dużo w tym było mojej winy. Znasz mnie.
- Znam.
- Ten remont nas przerósł. Zresztą chyba w każdym związku z długim stażem są wzloty i upadki. Są dni, kiedy kocham Daniela tak mocno, że mam ochotę go ciągle całować. A są też takie, kiedy mam ochotę go udusić. Wkurza mnie już samą swoją obecnością. Ale, *summa summarum*, kocham go i wiem, że dobrze wybrałam. Lubię sobotnie wieczory, które mamy tylko dla siebie. Pijemy razem wino, tulimy się i rozmawiamy. Wiesz, że niektórzy ludzie po dziesięciu latach małżeństwa nie mają sobie nic do powiedzenia? A my w te „nasze” wieczory nie możemy się ze sobą nagadać.

ROZDZIAŁ 12

W końcu nadszedł ten dzień. Spakowałam plecak i wyjechałam do Gdańska. Lubiłam to miasto, a morze mnie uspokajało.

Wynajęłam pokój w jakimś tanim hotelu. Na folderze reklamowym pokój prezentował się pięknie, a w rzeczywistości okazał się zapyziałą dziurą. Farba odpryskiwała od ścian, łóżko skrzypiało, kiedy tylko próbowałam zmienić pozycję, a w pokoju unosił się zapach stęchlizny. Ale i tak całe dni spędzałam na spacerach. Kluczyłam bez celu uliczkami Starówki. Piłam mocną kawę i chodziłam na plażę.

W środę – tak, pamiętam, że to była środa – zachmurzyło się, ale i tym razem postanowiłam nie rezygnować ze spaceru. Było zimno, wiał wiatr, a ja czułam, jak oblewają mnie fale gorąca.

Nagle w mojej kieszeni zawibrował telefon.

– Halo?

– Tu babcia Marysia – usłyszałam po drugiej stronie.

– Cześć, babciu... – Byłam zdziwiona, że do mnie dzwoni. Raczej nie utrzymywałyśmy kontaktu. Nawet nie wiedziałam, że ma numer mojej komórki.

– Cześć. Słyszałam od twojego taty, że jesteś w Gdańsku.

– Tak.

– Może wpadłabyś do mnie na kilka dni? – zaproponowała.

Zaniemówiłam. Nie zamierzałam jechać do babci. Myślałam o pobycie u niej jeszcze przed wyjazdem do Gdańska, ale w końcu zrezygnowałam z tego pomysłu. Jedyne, czego chciałam, to spokoju. Chciałam być w samotności, z dala od wszystkich.

– Na pewno pragniesz spokoju – powiedziała, jakby czytała w moich myślach. – Daję ci słowo, że nie będę się narzucać. – Przyjedź.

– Dobrze – zgodziłam się wbrew sobie.

W domu babci zawsze czułam się jak intruz. Kiedy byłam małą dziewczynką, karciała mnie, gdy dotykałam jej bibelotów i zdjęć. Pamiętam, kiedyś znalazłam zdjęcie jakiegoś mężczyzny w szufladzie babcinego biurka. Wydawało mi się, że to zdjęcie dziadka. Kiedy zapytałam ją o to, zrobiła się purpurowa na twarzy i wyrwała mi fotografię z rąk. Nigdy potem już jej nie widziałam.

Marysia odłożyła słuchawkę i wpatrywała się w widok za oknem. Niczego tak bardzo nie chciała, jak tego, by wnuczka ją odwiedziła. Myślała o tym, że jej dni były takie zwyczajne. Coraz więcej ludzi nie lubi zwyczajności i przewidywalności. A ona? Ona kochała spokój, który panował w jej życiu, choć niekiedy tęskniła za szaleństwem. Miała już ponad dziewięćdziesiąt lat. Nie sądziła, że tylu dożyje. Coraz więcej wspominała, coraz mniej żyła przyszłością. Bo jaka może być przyszłość dla tak starej kobiety?

Zaczynała dzień od wypicia dużego kubka kawy. Kiedyś piła kawę w filiżance, ale teraz taka ilość kawy już by jej nie rozbudziła. Robiła też kilka rozciągających ćwiczeń, czytała poranną prasę, niekiedy jakąś powieść. Potem jadła śniadanie i wychodziła na spacer. Starła się spacerować codziennie. Ruch to przecież zdrowie.

Kiedy przychodziła z powrotem do domu, była tak wykończona, że musiała uciąć sobie drzemkę. Spała około półtorej godziny. Potem robiła obiad, bawiła się z kotem. Wieczorem oglądała wiadomości lub jakiś film, a potem kładła się do łóżka. A kiedy leżała w łóżku, wspominała. I często śmiała się z tych swoich wspomnień. Bo w nich nieustannie pojawiał się... on. Piękny i młody. W tych wspomnieniach ona też była młodą dziewczyną, z burzą jasnych, długich włosów. Szli razem, trzymając się za ręce, i siadali przy stoliku w jakiejś kawiarence, by napić się kawy. Tylko że to już nie były wspomnienia, a wytwór jej wyobraźni. Nigdy nie byli razem w kawiarni...

„Jestem samotna” – bardzo często stwierdzała ten fakt. Miała dwójkę dzieci, siostrę, z którą często się widywała, a mimo to czuła się samotna.

Bo tak naprawdę człowiek całe życie jest samotny, tylko boi się do tego przyznać.

Ludzie, z którymi żyjemy, są przy nas tylko na chwilę. W życiu nikt nie jest nam dany na zawsze i na wyłączność.

Zapukałam do drzwi. Po drugiej stronie usłyszałam szuranie.

– Dzień dobry – w progu stanęła babcia ubrana w podomkę. Jej siwe włosy spływały miękko na ramiona.

– Dzień dobry, babciu – nachyliłam się w jej stronę i pocałowałam ją w policzek.

– Wejdz – odpowiedziała i przesunęła się, by wpuścić mnie do środka.

Dom babci Marysi był przytulny, klimatyczny. Stanowił mieszaninę różnych stylów, ale dominował styl retro. Na ścianach wisiały stare obrazy, niektóre pięknie odrestaurowane, na innych farba była popękana. Na półkach stały zdjęcia z czasów młodości babci. Całe mnóstwo fotografii. Kanapy i fotele obite były tapicerką w duże kwiaty, zaś podłogę zdobił wzorzysty dywan. Na stoliku babcia poustawiała fajansowe zastawy porcelany. Dom tonął w kwiatach. Doniczki z kwiatami wisiały na ścianach, stały na stojakach i na parapetach. W powietrzu unosił się zapach kadzidełka o zapachu wanilii i paczuli. Nigdy nie lubiłam zapachu paczuli, ale zapach tych akurat kadzidełek mnie nie drażnił, a wręcz przeciwnie, bardzo mi się podobał.

– Zjesz coś? – zapytała troskliwie babcia.

– Najchętniej bym się położyła.

– Pewnie. Przygotowałam ci pokój na poddaszu. Tam będziesz miała spokój i ciszę.

– Dziękuję.

Ruszyłam na górę. Zdjęłam plecak i położyłam go pod oknem. Usiadłam na dużym łóżku z mosiężną ramą. Uniosłam błękitną kapę i położyłam się na pierzynie. Czułam się senna i zmęczona. Momentalnie zasnęłam.

Obudziłam się w nocy. Zapaliłam lampkę i natychmiast ciepłe światło rozlało się w pokoju. Wyświetlacz w telefonie informował, że jest już północ. Wstałam z łóżka,

żeby wziąć kąpiel. Łazienka na szczęście znajdowała się tuż obok mojego pokoju, a pokój babci był na dole. Wiedziałam, że jej nie zbudzę, choć zapewne nie miałyby nic przeciwko temu, że o tej porze biorę kąpiel.

Weszłam do łazienki. Na półkach znajdowały się balsamy i mydełka. Wszystkie pochodziły z Francji, zapewne były prezentem od młodszej siostry babci, Emilii, która od lat mieszkała za granicą. Odkręcałam po kolei nakrętki płynów do kąpieli i wachałam. W końcu zdecydowałam się na olejek lawendowy. Wlałam do wanny kilka kropli i przekręciłam kurek z ciepłą wodą. Upajający zapach lawendy wypełnił pomieszczenie. Kiedy wanna wypełniła się po brzegi pianą, zdjęłam ubranie i zanurzyłam się w aromatycznej kąpieli. Oparłam głowę o krawędź wanny i rozkoszowałam się tą chwilą. Czułam, jak moje spięte ciało się odpręża. Nie chciałam o niczym myśleć, a mimo to myślałam o moim synku. Łzy spływały po moich policzkach. Tak chciałam, by uczucie winy opuściło mnie choć na chwilę, choć na tę jedną noc.

Następnego dnia obudziłam się o dziesiątej. W sumie przespałam piętnaście godzin! Czułam się jak nowo narodzona.

Babcia Marysia zaproponowała, byśmy zjadły śniadanie na tarasie, a ja chętnie na to przystałam. Owinęłyśmy się w wełniane pledy w szkocką kratę. W ciągu dnia było dość przyjemnie, temperatura wahała się między dziewiętnastą a dwudziestą piątą kreską, ale poranki były już zimne. Taras, obrośnięty dzikim winem, o tej porze roku mienił się purpurą i czerwienią.

Rozejrzałam się po ogrodzie, który tonął we wczesnojesiennych barwach: opanowały go zgniłe zielenie, rozmaite odcienie brązu, śliwka, wrzos. Dookoła unosił się zapach lasu, grzybów i astrów. Z drzew spadały dojrzałe jabłka, ostatnie śliwki i gruszki. Jarzębina zaczynała już gubić swoje koraliki.

Na okrągłym stoliku, na tacy, leżały pachnące rogaliki, obok miseczka wypełniona po brzegi powidłami śliwkowymi, na talerzyku świeży twaróg i masło kupione u pobliskiego gospodarza.

– Babciu, dziękuję. Śniadanie jak dla królowej.

Babcia skinęła głową i uśmiechnęła się do mnie.

– Myślisz, że królowa zadowoliliby się twarogiem i marmoladą? – przekornie uniosła do góry swoje wyskubane brwi.

– Myślę, że twoimi konfiturami oczarowałabyś samego arabskiego szejka.

– No, no, nie pochlebiaj mi tak, tylko jedz.

Jadłyśmy w milczeniu. Zauważyłam, że babcia nie ma apetytu. Siedziała z dłońmi na kolanach, miała półprzymknięte powieki.

– O czym myślisz? – zagadnęłam.

– O tym, że jak człowiek jest stary, to praktycznie niewiele mu do szczęścia potrzeba. Herbata zaparzona w imbryczku, coś tam do jedzenia, spokój, czasami odwiedziny kogoś bliskiego, piękna muzyka, wizyta w teatrze raz na jakiś czas, dobra książka do poduszki, chociaż nie za długo tego czytania, bo oczy już bołą.

– Wydaje mi się, że to nie chodzi o wiek. Mnie też do szczęścia niewiele potrzeba.

Babcia otworzyła oczy.

– Co ty powiesz? Jesteś młoda, piękna. Całe życie przed tobą. Teraz jest pora, by z tego życia czerpać garściami, szaleć, wariować, śmiać się, kochać, tańczyć.

– Babciu... – westchnęłam. Nie chciałam przywoływać bolesnych wspomnień. – Moje życie już nie jest takie, jak kiedyś.

– To zrozumiałe – położyła swoją dłoń na mojej ręce. – Straciłaś dziecko. I nikt nie umniejsza twojej straty. Tylko ty musisz żyć nadal.

– Żyję, ale jestem już inną osobą. Zrobiłam się sentymentalna, melancholijna. Nigdy się tak nie wzruszałam jak teraz. Wszystko mnie wzrusza.

– Może dlatego, że więcej dostrzegasz?

– Może.

– Wzrusza mnie piękna muzyka, śpiew ptaków o poranku, wspomnienia o moim dzieciństwie, a nawet widok szumiącej na wietrze łąki. I czasami chciałabym tak dużo nie płakać, a płacę.

– Łzy są potrzebne. I zadziwiające jest to, ile człowiek jest ich w stanie wyprodukować. Płacz, jeśli masz na to ochotę. Tylko dla równowagi musisz się też śmiać.

– A ty, babciu, ile łez w życiu wylałaś?

– Wiesz co... – popatrzyła na mnie. – Życie mnie nie rozpieszczało... Powiem tylko, że wylałam tyle samo łez, ile rozdałam uśmiechów.

– Czyli byłaś szczęśliwa?

– Ba, chwilami tak bardzo, że nie mogę wyobrazić sobie większego szczęścia. Byłam szczęściarą....

– Czyli życie nie jest „beee”... – zadumałam się i sięgnęłam po kolejnego rogalika, którego przełamałam na pół i zamoczyłam w marmoladzie.

– Potrafi być cudowne.

Obie zaczęłyśmy się śmiać.

– Nie czujesz się tu samotna? – zapytałam, kiedy skończyłam jeść.

– Lubię swoją samotnię, cichą, pachnącą herbatą z sokiem malinowym. Śpiewa mi Cesária Évora i Édith Piaf, kot miauknie, świece zamigoczą. Chociaż fakt, czasami tęsknię za ludźmi. Mógłby ktoś ze mną mieszkać, ale żeby nie pałętał się pod nogami i za dużo nie mówił. Wkurza mnie gadanie o głupotach. Ten ktoś mógłby mi czytać wiersze Poświatowskiej lub Leśmiana. Tak, Leśmiana chciałabym słuchać jak najczęściej...

Późnym popołudniem wybrałam się na spacer wydeptanymi drózkami sosnowego lasu. Musiałam nałożyć kaptur, bo zaczął dąć dość silny wiatr. Po kilkunastu minutach szybkiego marszu doszłam do polany. Oparłam się o pień drzewa i spojrzałam w górę. Gałęzie tańczyły na wietrze. Poruszyła mnie ta scena. Poczułam tęsknotę za tym, co już za mną, co nie wróci, co bezpowrotnie straciłam. Za moim synkiem, za jego uśmiechem i małymi rączkami, które z czułością mnie obejmowały. Wiedziałam, że na niektóre słowa jest w życiu czasami za późno. Na niektóre gesty i na to, by powiedzieć komuś: „kocham”. Wiedziałam, że codziennie zapewniałam Michasia o swojej miłości, ale mogłam przecież więcej. Zawsze można więcej...

Rozpłakałam się. Ból się skroplił i popłynął po policzkach. Kap... Kap... Kap...

Płakałam długo, a potem moja twarz rozjaśniła się w uśmiechu. Znowu spojrzałam w górę. Chmury przypominały skrzydła. To on, Michaś! Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki poczułam w sercu słońce. W jednej chwili cała zanurzona byłam w miłości i cała w tęsknocie. Ruszyłam dalej, na plażę. Morze było spienione, wiał mocny wiatr, a ja szłam przed siebie. I nagle coś sobie przypomniałam. Jedno wspomnienie związane z babcią Marysią utkwilo mi głęboko w sercu...

Pamiętam, spędzałam u niej wakacje. Agata była wtedy studentką i nie chciała już jeździć na lato do babci. Ja zdałam do maturalnej klasy. Nie miałam chłopaka ani zbyt wielu znajomych, z którymi mogłabym się wybrać na wakacje, dlatego z radością pojechałam nad morze. Zaplanowałam, że przeczytam zaległe książki, pospaceruję po plaży. Jak postanowiłam, tak zrobiłam.

Któregoś dnia babcia wybrała się ze mną na spacer. Na plaży nie było prawie nikogo, gdyż niebo zakrywały kłębiaste chmury. Było gorąco, dość parno i czuć było nadchodzący deszcz.

– Chodź, popluskamy się – zaproponowała babcia.

Zdziwiłam się na tę propozycję:

– Nadciąga deszcz.

– I co z tego?

– A więc wskakujmy do wody – przystałam na propozycję.

Rozebrałyśmy się do kostiumów i wskoczyłyśmy do morza. Woda marszczyła się od spienionych fal. Lunęło prawie natychmiast. Krople deszczu spływały z nieba niemal ciurkiem, a niebo było gęste od granatowych chmur. Zerwał się wiatr... Smagał nasze włosy. Babcia rozłożyła ręce, wzniosła je ku górze i zaczęła się śmiać. Dołączyłam do niej. Dwie wariatki. Wyskoczyłyśmy z wody, chwyciłyśmy w ręce sukienki i przez wydmy biegłyśmy w stronę domu. Ulewa szalała, hulał wiatr, a my biegłyśmy, co chwila potykając się i śmiejąc do rozpuku. Kiedy dotarłyśmy do domu, przebrałyśmy się w suche ciuchy. Babcia nalala dla mnie ciepłego mleka do kubka.

– Dziękuję ci – powiedziała wtedy.

Skinęłam głową. Byłam dziwnie zakłopotana tą wylewnością uczuć ze strony babci.

– Ja też kiedyś byłam młoda – powiedziała ni to do mnie, ni to do siebie.

Ze spaceru wróciłam po dwóch godzinach. Usiadłam w saloniku. Babcia już na mnie czekała. W milczeniu popijałyśmy popołudniową herbatę, każda zatopiona we własnych myślach.

– Widzę, że nadal cierpisz. Wiem to – babcia odezwała się pierwsza.

– Ale skąd?

– Nie wiem skąd. Może mam to po mamie? Moja mama zawsze wiedziała, kto ma chorą duszę. Ja też wyczuwam nieszczęśliwych ludzi. Co się stało z Sebastianem? – zapytała znienacka.

Spojrzałam na babcię badawczym wzrokiem. Nie sądziłam, iż wie o tym, że spotykałam się z Sebastianem.

– Twoja mama mi powiedziała – wyjaśniła babcia, zanim zdążyłam otworzyć usta. – Dlaczego go odrzuciłaś?

– Po części obwiniałam go o to, co się stało. Tamtego wieczoru byłam z Sebastianem.

– Wiesz, że to nie jego wina.

– Moja ponoć też nie...

– Bo to prawda. Człowiek bardzo często myśli, że jego problemy są największymi i najboleśniejnymi, ale inni ludzie też mają swoje mniejsze lub większe bolączki, też cierpią. I z pewnością on również bardzo przeżył tę tragedię i też się wini za to, co się stało. Twój tato w rozmowie ze mną wspomniał, że Sebastian bardzo cię kochał.

– Co to, jakaś zmowa czy co? – oburzyłam się. – Zaprosiłaś mnie tu po to, by przekonać mnie, bym wróciła do Sebastiana?

Babcia zaprzeczyła ruchem głowy.

– Współczuję ci straty dziecka. To straszne, ale powinnaś żyć dalej. Zaprosiłam cię tu po to, aby przekonać cię, że powinnaś iść do przodu.

Pokręciłam głową.

– Przyczyniłam się do śmierci swojego dziecka i muszę z tym żyć. W kółko słyszałam od ludzi, że to był wypadek. A ja ciągle odtwarzam w pamięci tamtą noc. I to, co robiłam, kiedy mój syn umierał. I widzę jego martwe ciało. I chciałabym cofnąć czas, ale to, co ja chcę, nie ma już znaczenia.

– Nie wiem, co czujesz. Ba, nawet nie wyobrażam sobie tego bólu. I nie powiem ci, że powinnaś zapomnieć, albo że nie powinnaś rozpamiętywać... – zamyśliła się na chwilę.

– To, co powiem, może wydać ci się okrutne, ale życie toczy się dalej, czy tego chcemy, czy nie. – Marysia poczuła, jak jej serce krwawi z żalości. Jedyne, czego teraz pragnęła, to objąć wnuczkę i powiedzieć jej o wszystkim, co ona sama przeżyła. O tym, że ona też cierpiała kilka razy w życiu, i że każde cierpienie człowieka jest wielkie, i żadnego nie powinno się bagatelizować. I to nieprawda, że cierpienie jest po coś. Bo jest po nic. Marysia wiedziała, że jedna chwila może na zawsze zmienić czyjeś życie. Lekko dotknęła ramienia wnuczki. Ta dziewczyna – pomyślała – umarła za życia. Widziała jak bardzo cierpi, a ból wyrysowuje ślady na jej twarzy.

– Wiem – odpowiedziałam krótko.

– To już sześć lat.

– Wciąż za mało. Śmierć bliskich nas zmienia. Zmienia sposób postrzegania świata i wszystkiego, co się dzieje wokół nas. Wszystko wokół mnie ma czarny odcień. Tak to widzę.

– Podobnie było ze mną. Przez bardzo długi czas...

– Straciłaś rodziców.

– Owszem. Byłam wtedy młodą dziewczyną, a musiałam zająć się młodszym rodzeństwem. Po wojnie umarł mój brat. Dwie ciążę poroniłam. I... Straciłam miłość mojego życia... Tak bardzo go kochałam. – Marysia odchrząknęła, aby ukryć zakłopotanie. – Każda śmierć boli, każda strata przynosi spustoszenie. I człowiek myśli, że zwariuje z tego bólu, który rozrywa mu serce. I biegasz na cmentarz, i leżysz na zimnym nagrobku, zapalasz znicze, oglądasz stare fotografie, wspominasz. Na okrągło wspominasz. Po jakimś czasie łapiasz się na tym, że bliska twarz rozmywa się

w tych wspomnieniach i obwiniasz siebie o to. Mija rok, dwa, a żałoba nie odchodzi. Otula cię jeszcze ciaśniej niczym szal zarzucony na plecy. Tylko że on nie grzeje, a wyziębiam twoje serce. I każdy pyta się ciebie: Ile jeszcze łez, smutku? Bo przecież minęło tyle czasu. Dla ciebie wciąż niewystarczająco...

ROZDZIAŁ 13

Następnego dnia wstałam koło jedenastej. Morskie powietrze najwyraźniej mi służyło, bo sypiałam twardo i długo. Czułam się przy tym wypoczęta i rześka. Zeszłam na dół. Na stole stał talerz z cynamonowymi bułeczkami, a obok kartka, na której babcia starannym pismem poinformowała mnie, że wybrała się na zakupy. Dlaczego mnie nie obudziła? Poszłabym z nią!

Zaparzyłam w czajniczku herbatę, dodałam łyżkę miodu i plasterek cytryny. Postawiłam na tacy filiżankę, czajniczek, talerzyk z bułeczkami i przeszłam do pokoju. Usiadłam wygodnie na fotelu. Wzięłam bułeczkę i przełamiałam ją na pół. W pokoju zapachniało cynamonem i wanilią. Mięciutkie bułeczki rozplływały się w ustach.

Po śniadaniu i wyszłam na spacer. Szłam wolno, wiatr rozwiewał moje włosy. Wdychałam rześkie powietrze, przeglądałam się w wystawach sklepowych. Mijali mnie ludzie, którzy pędzili przed siebie. Biegli za swoim szczęściem? Biegli do swojego szczęścia? Ilu jest wśród nich samotników? Albo nieszczęśników? A ilu tych szczęśliwców? I czy ci szczęśliwi dostrzegają swoje szczęście? Ludzie bardzo często zauważają to, czego nie mają, a nie myślą o tym, co cennego posiadają. Chciałabym, aby wszyscy ci, co uważają się za szczęśliwców, podzielili się swoim szczęściem z tymi wszystkimi nieszczęśnikami. Każdy ma przecież tyle do zaoferowania drugiej osobie – byłoby przyjemnie, gdyby się tym podzielili: uśmiechem, czasem czy choćby przepisem na dobre ciasto.

Moje rozmyślenia przerwała piękna melodia. Przystanąłam i zaczęłam rozglądać się wokoło. Starszy mężczyzna grał na skrzypcach. Pięknie grał. Rozejrzałam się, szukając kapelusza bądź otwartego futerału, by wrzucić kilka monet. Nie było koło niego ani futerału, ani kapelusza.

– Przepraszam – zwróciłam się do mężczyzny, kiedy skończył grać.

– Tak? – uniósł głowę. Miał długie, siwe włosy związane w kucyk i dość długą brodę, na której zaplecionych było kilka warkoczyków. Jego szyję zdobiły koraliki, a rękę plecionka z kolorowych nitek. Uśmiechnął się do mnie promiennie, a w jego oczach dostrzegłam radosne iskierki.

– Chciałabym panu dać... Jakiś datek.

– Ależ ja gram dla przyjemności. Nie dla pieniędzy.

– Ach, przepraszam.

– Nie musi mnie pani przeproszać. Mam siedemdziesiąt dwa lata, niepotrzebne mi już pieniądze... Mam emeryturę, skromniutką, bo skromniutką, ale to mi wystarcza. Lubię grać dla przechodniów, to daje mi siłę. To daje mi radość. Cieszę się, że swoją muzyką uprzyjemnię komuś czas.

Wróciłam do domu późnym popołudniem. Babcia Marysia siedziała w fotelu, zatopiona we własnych myślach. Popijała czarną kawę i słuchała Édith Piaf. W rytm muzyki stuknęła palcami o blat stołu. Patrząc na jej nieruchomą twarz i smutne oczy, miałam wrażenie, że muzyka przenosi ją daleko stąd. Kiedy płyta się skończyła, w jej

oczach migotały łzy. Siedziała tak chwilę w odrętwieniu, a potem nagle odwróciła wzrok w moją stronę.

– Nie powinnam słuchać tych rzewnych piosenek – powiedziała.

– Ja też czasami słucham melancholijnej muzyki.

– Słuchasz Édith Piaf?

– Nie, ale muzyki, która przywołuje wspomnienia.

– Wspomnienia – westchnęła babcia. – Najlepiej mi się wspomina przy Édith Piaf.

– Była nieszczęśliwa.

– Szczęśliwa też bywała. W życiu każdego człowieka jest radość i są łzy. Tak to już jest. Édith jako bardzo młoda dziewczyna spotkała swoją wielką miłość. Tak jej się wtedy wydawało, że Louis Dupont to ten jeden jedyny. Mieszkali w kawalerce: ona, Louis i jej przyrodnia siostra. We trójkę spali razem w jednym łóżku. Nie mieli za dużo pieniędzy, a mimo to imprezowali, bawili się i pili szampana, choć na jedzenie im nie starczało. Już w wieku osiemnastu lat się z nim rozwiodła. Potem miała jeszcze kilku kochanków. Wylała wiele łez, ale dużo się też śmiała. Przeżyła wiele uniesień i chwil, kiedy fruwała w chmurach. A do tego miała piękny głos...

Człowiek bardzo często się potyka, upada, myli się, wybiera złą drogę, zawraca, skręca. Robi wiele fajnych i mniej fajnych rzeczy – ważne, by szedł naprzód, biegł, skakał, pełzał, ale do przodu, zostawiając bolesną przeszłość za sobą. I dobrze, by na tej swojej drodze spotkał przyjaznych mu ludzi. Oczywiście, że spotka na niej też sporo baranów i krętaczy.

Tak to już jest. Takie jest życie. A miłość ma swoje przypiływy i odpływy. Cudownie jest móc przeżyć życie tak, by potem mieć co wspominać. Kolekcjonować cudne chwile, spoglądać na nie z dystansu, odkurzać je, wycierać, polerować i dziwić się, że to czy tamto właśnie nam się przydarzyło. A najważniejsze to, by niczego nie żałować, nawet tego, co wywoływało kiedyś łzy.

Patrzyłam na babcieję oniemiała.

– A puścisz mi tę swoją melancholijną muzykę? – uśmiechnęła się do mnie.

– Dobrze.

Poszłam na górę i wyjęłam z plecaka płytę Briana Adamsa. Po chwili byłam już z powrotem. Włożyłam płytę do odtwarzacza i nacisnęłam „Play”.

Słuchałyśmy w milczeniu. Kiedy piosenka wybrzmiała, babcia zapytała:

– O czym jest ta piosenka?

– O miłości.

– Ładna. Najpiękniejsze piosenki są o miłości. Przetłumaczysz mi kilka wersów?

Please forgive me, I know not what I do...

Please forgive me, I can't stop lovin'you

Don't deny me this pain I'm going through...

Please forgive me, if I need ya like I do

Please believe me every word I say is true...

Please forgive me, I can't stop lovin' you

Proszę, wybacz mi – nie wiem, co mam robić.

Proszę, wybacz mi – nie mogę przestać cię kochać.

Nie zaprzeczaj mi – ten ból wciąż trwa.

Proszę, wybacz mi – jeśli potrzebujesz mnie tak, jak ja ciebie.

Proszę, uwierz mi – każde słowo, które wypowiedziałem było prawdą.

Proszę, wybacz mi – nie mogę przestać cię kochać.

– Myślisz, że za miłość trzeba przeproszać? – zapytała babcia.

– Nie wiem. A ty co myślisz?

– Wydaje mi się, że nie. Z całą pewnością nie!

– A oszukiwać, że się kocha?

– Można z kimś się kochać, można go całować, może nam się nawet wydawać, że kocha się tego kogoś, z kim tworzymy związek, ale w tym samym czasie myśleć o kimś innym. Tak, łatwo można oszukać miłość.

– I zdradzić można swoją miłość...

– Kiedy ludzie popełnią błąd, lubią się usprawiedliwiać. Kiedy zdradzają swoich bliskich, bardzo często nie znajdują w sobie winy. Popełniasz ten sam błąd raz, drugi, dziesiąty i potem przyjmujesz to, co się wokół ciebie dzieje, za coś oczywistego. Jesteśmy zdolni do najgorszych świństw, mimo że tak ciężko jest nam się do tego przyznać.

Przez chwilę milczałyśmy, słuchając kolejnych utworów Briana Adamsa. Pierwsza odezwała się babcia.

– Na co czekasz? – zapytała.

Zmarszczyłam nos, bo nie wiedziałam, o co jej chodzi.

– Nie rozumiem – odparłam.

– Wydaje mi się, że na coś czekasz, zamiast działać.

– Babciu, myślisz, że to wszystko jest takie proste? – oburzyłam się.

– Nie, wcale tak nie myślę. Nawet nie wyobrażam sobie, jakie to wszystko musi być dla ciebie trudne.

– Czekam, aż przestanie boleć.

– A jak nie przestanie?

Wzruszyłam ramionami.

– Opowiem ci coś.

Babcia podeszła do sekretarzyka. Wyciągnęła stare pudełko i położyła je sobie na kolanach. Wyciągnęła stamtąd listy obwiązane atłasową wstążką. Przez chwilę dotykała ich czule. Widać było, że wiele dla niej znaczą.

– To nie są listy od twojego dziadka – powiedziała. – Ani też listy od mojego drugiego męża.

– A od kogo? – zapytałam z ciekawością.

– Od kogoś, kogo kochałam naprawdę. Opowiem ci o nim.

Pochyliła się nad pudełkiem i zaczęła w nim szperać. Po chwili wyjęła ramkę z fotografią i podała mi, bym mogła się jej przyjrzeć. To było to samo zdjęcie, które widziałam, kiedy byłam małą dziewczynką. Patrzyłam się na nie z ciekawieniem.

Coś się tu nie zgadzało. Mężczyzna był przystojny, uśmiechnięty, młody, w mundurze. Zaraz, mundur. Serce biło mi jak szalone, tysiące myśli przebiegało przez głowę. Mężczyzna ze zdjęcia miał niemiecki mundur, tego byłam pewna!

– Kto to jest? – zapytałam.

Spojrzałam na babcię, która wyglądała tak, jakby uszło z niej powietrze. Zrobiła się blada. Wstała i podeszła do okna, jakby chciała uciec przed przeszłością.

– Franz.

– Franz?

– To jego kochałam.

Czy babcia kochała nazistę? Człowieka, który mógł uczestniczyć w zabójstwie jej rodziców? To nie miało sensu!

– Czy on był Niemcem?

– A jakie to ma znaczenie, jakiej był narodowości? – westchnęła ciężko.

– W tamtych czasach to chyba miało znaczenie.

– Był dobrym człowiekiem.

– Babciu? – Ja również podniosłam się z krzesła i podeszłam do okna. – Co ty przed nami ukrywasz? – Położyłam dłoń na jej plecach.

– Ile razy chciałam wam o nim opowiedzieć, ale nigdy nie było właściwego momentu, zawsze mnie uciszano. Może mieliście rację, może ta historia nie potrzebuje słów...

– Zdawaliśmy sobie sprawę, że to bolesny temat, nie chcieliśmy rozdrapywać ran. Opowiesz mi teraz?

– Hmm... – westchnęła. Odwróciła się w moją stronę tak gwałtownie, że myślałam, że stracę równowagę. – Dobrze, ale obiecaj mi, że nikomu z rodziny o tym nie powiesz.

– Dlaczego?

– Obiecaj.

– Ale...

– Obiecaj.

– Dobrze, obiecuję.

– Chcę ci opowiedzieć tę historię, bo sama wiele przeżyłaś.

Babcia podeszła do barku i wyjęła z niego butelkę koniaku.

– Napijesz się ze mną? – zaproponowała.

Nie lubię koniaku, ale z babcią się napiję – pomyślałam i skinęłam głową.

Babcia nalala bursztynowego płynu do pękatek kieliszków.

– Moje życie składa się z kilku etapów... – zaczęła, pociągając łyk trunku. – Dzielę je na trzy: ten sprzed wojny, ten w czasie wojny i ten powojenny. Po wojnie chciałam o wszystkim zapomnieć, wszystko wymazać z pamięci. Kiedy Eric był mały, udało mi się wyjechać na dwa lata do Stanów. Wiesz, tam wszyscy mówili: „My nie wiedzieliśmy, że aż tak, że taka tragedia...”. „Nie wiedzieliście, że jest wojna?” – pytałam. „Wiedzieliśmy, ale...”. Nikt nie chciał o tym mówić, rozdrapywać ran i zadawać pytań, dlaczego nie udzielono nam wtedy pomocy. I schowałam moje wspomnienia gdzieś bardzo głęboko, na samo dno duszy. Zamknęłam tę szufladkę na kluczyk i rzadko do niej zaglądałam. Czasami z Emilią wspominałyśmy stare czasy, ale i z nią nie chciałam rozmawiać o wojnie. Chciałam oszczędzić swojemu dziecku

bólu, pragnęłam, żeby żyło normalnym życiem, nie było obciążone. Wstydziałam się swojej miłości do Franza.

– Teraz już się nie wstydzisz?

Pokręciła głową.

– Nie – powiedziała dobitnie. – Nigdy nie powinnam była się wstydzić. W Stanach nie czułam się dobrze. Wróciłam do Polski, kiedy Eric miał cztery lata. Zrozumiałam, że mój dom był w Polsce. Emilia została, a potem przeprowadziła się do Francji. Ale ja... Kiedy zamieszkałam w ojczyźnie, wspomnienia powróciły... – babcia ziewnęła. – Idę do swojego pokoju.

– Jesteś zmęczona?

– Nie, po prostu chcę pobyć sama.

– Dobrze. Potrzebujesz czegoś?

– Dziękuję. Dam sobie radę.

Babcia podniosła się z fotela i ruszyła w głąb korytarza.

Tej nocy długo nie mogłam zasnąć. Było dość chłodno, dlatego żeby się rozgrzać, nałożyłam na piżamę gruby wełniany sweter, który zrobiła mi na drutach babcia Zosia. I nagle coś zaświtało w mojej głowie. Wujek Eric. Dlaczego wujek nie ma polskiego imienia? Tato zawsze mi tłumaczył, że Eric można wymawiać również po polsku Eryk i tak wszyscy zwracaliśmy się do wujka. Zaraz, zaraz... Wujek Eric i ten mężczyzna ze zdjęcia byli do siebie bardzo podobni. Czy tamten Niemiec był jego ojcem? Wujek chyba nigdy się nie dowiedział, kto jest jego ojcem. W akcie urodzenia ma ponoć wpisane: „Ojciec nieznany”, ale wygląda na to, że babcia kłamała. Że bała się powiedzieć wujkowi prawdę. Niekiedy słowa sprawiają ogromny ból. Czy czasami lepiej milczeć?

Poczułam pragnienie. Zeszłam na dół i zobaczyłam babcię siedzącą w fotelu. Jej oczy lśniły od łez.

– Babciu – podeszłam do niej i pogładziłam ją po dłoni.

– To nic... Tylko wspomnienia...

– Czy ten mężczyzna był ojcem wujka Erica? – Może nie powinnam zadawać jej teraz tego pytania, ale czułam, że muszę o to zapytać.

– Tak.

– Dlaczego nigdy mu nie powiedziałaś?

– Bo życie jest bardziej skomplikowane, niż nam się wydaje. Próbowалам wiele razy. Chciałam opowiedzieć mu o tym, jak bardzo kochałam jego ojca. O tym, że był dobrym człowiekiem. Początkowo może zagubionym, ale wciąż dobrym. I kiedy nadarzała się sposobność, i otwierałam usta, jakieś niewidoczne pazury wbijały się w moje gardło i nie mogłam wypowiedzieć słowa. Ta cała historia z Franzem wciąż żyje w moim sercu. Ze wszystkich mężczyzn, których spotkałam na mojej drodze, jego kochałam najbardziej.

– Cierpiałaś, kiedy odszedł? – Zakładałam, że musiał odejść, skoro po wojnie nie byli razem.

– Kiedy się kocha, zawsze się cierpi. Przeczytałam gdzieś, że Grecy powiadali, że to

grzech kochać kogoś bezgranicznie. Jeśli się kogoś tak mocno kocha, to bogowie zrobią wszystko, by zniszczyć tę miłość.

– Dlaczego?

Babcia zaśmiała się.

– Nawet bogowie są zazdrośnikami. Kiedy zabrakło go w moim życiu, czułam się tak, jakbym była zamknięta w klatce ze szkła. Byłam niczym lunatyczka, która wykonuje wszystkie czynności po omacku.

– Znam ten ból.

Babcia mocno mnie przytuliła. Nie przypominam sobie, by zrobiła to kiedykolwiek wcześniej. I nagle przypomniał mi się pogrzeb Michasia. Babcia również na nim była. Pamiętam, jak bardzo płakała. Zdziwiło mnie to, bo swojego prawnuczka widziała zaledwie kilka razy w życiu. Nie była do niego tak przywiązana jak babcia Zosia. A jednak była w niej rozpacz nie do opisanego. Z pogrzebu sama nie pamiętam zbyt wiele, ale szloch i zawodzenie babci Marysi utkwił mi w pamięci. Może ona wcale nie płakała za prawnukiem, a opłakiwała swoją miłość?

– Cierpiałam tak bardzo – dodała babcia – że ból podchodził mi do gardła niczym wielka kłująca kula, a ja musiałam go przetykać. I kiedy go przełknęłam, czułam, jak ta kula się rozrasta i kłuje moje wnętrzności. Igiełki wbijały się powoli i boleśnie. I bolało. Coraz bardziej bolało, a ja nic nie mogłam zrobić – musiałam to znieść.

ROZDZIAŁ 14

Kolejny poranek był zimny. Na trawie i złotych liściach osiadły kropelki rosy. Włożyłam gruby szlafrok i wełniane skarpety, zanim zesłam do kuchni, by zaparzyć herbatę. Usiadłam na krześle i dłońmi objęłam kubek. Trzymałam je tak przez chwilę, dopóki się nie ogrzały. Za oknem po niebie sunęły postrzępione chmury, przez które próbowały przebić się promienie słońca. Ze smakiem zjadłam świeżo upieczony chleb, omaszczony suto śliwkowymi konfiturami.

Babcia dołączyła do mnie, kiedy kończyłam pić herbatę.

– Dzień dobry – pocałowała mnie w czoło.

– Dobrze spałaś? – zapytałam, bo choć pora była już późna, babcia wyglądała na zmęczoną.

– Śnił mi się Franz. – Usiadła naprzeciwko mnie, nalewając sobie do filiżanki herbatę. – To dziwne i może trochę zabawne, ale ja wciąż o nim śnię. Stara kobieta, która oddaje się fantazjom sennym, jest śmieszna. Ale dość często o nim śnię. W tym śnie oboje jesteśmy młodzi i szczęśliwi. On dotyka mnie czule, a ja całuję jego rozchylone usta. Jestem szczęśliwa i on jest szczęśliwy. Ale potem przychodzi poranek i się budzę. Znow jestem starą kobietą, ale na moich ustach gości uśmiech. Pamiętam doskonale, jak się czułam w jego obecności, jakbym unosiła się nad ziemią. Nie mogłam jeść ani spać, bo myślałam tylko o nim. O jego oczach, które patrzyły na mnie z uwielbieniem, o jego ramionach, które zagarniały moje ciało w objęcia. O jego ustach, które smakowały jak dojrzałe poziomki. I każda chwila, którą z nim spędzałam, była intensywniejsza od poprzedniej. Każdy pocałunek czulszy, każde wyznanie bardziej emocjonalne. I to nic, że oboje wiedzieliśmy, że w każdej chwili to się może skończyć. I to nic, że to, co stworzyliśmy, było mrzonką. Fakt był taki, że połączyła nas miłość.

– Opowiesz mi teraz o wszystkim? O wojnie? O tym, jak to wszystko się zaczęło?

– A ile masz czasu?

– Choćby cały dzień...

Przeniosłyśmy się na kanapę. Babcia wyciągnęła nogi przed siebie, a ja podkuliłam kolana, otulając się kocem. I wtedy babcia zaczęła opowiadać...

Lata trzydzieste to był dobry czas dla naszej rodziny. W Warszawie mieszkaliśmy w pięknej willi, w rodzinnym domu babci Haliny. To był świat guwernantek, dobrych manier, języków obcych. To wtedy nauczyliśmy się płynnie mówić po francusku, rosyjsku i niemiecku. Jadaliśmy warzywa, chude mięso i rosół ugotowany z gołębiego mięsa. W saloniku stał saski porcelanowy zegar z figurkami, duży zyrandol wiszący u sufitu był ozdobiony setkami kryształowych wisiorków, na ścianach wisiało wiele cennych obrazów, staroświeckie okrągłe lustro w rzeźbionej złoczonej ramie, a na stole

stały połączone świeczniki. Dom wypełniały piękne stylowe mahoniowe meble.

Na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych Polska w końcu czuła, że jest wolna. Ludzie nie lubili zostawać w domu, lubili „bywać”. I my chodziliśmy z rodzicami do teatru, kina czy – zimą – na łyżwy. Bardzo często zaglądaliśmy też do kawiarni „Pod Picadorem”, gdzie podawali najlepszą gorącą czekoladę w Warszawie. To była kawiarnia literacka, gdzie swoją poezję recytowali znani poeci. Nas, dzieci, nie interesowała poezja, ale lubiliśmy tam chodzić, bo czekolada była pyszna. Za to mama siedziała zawsze taka zasłuchana. Co chwilę nas uciszała, by wsłuchać się w słowa recytowanych wierszy. Opowiadała nam, że kawiarnia powstała w listopadzie 1918 roku, kiedy Polska odzyskała niepodległość. Ludzie potrzebowali takiego miejsca...

Rodzice chodzili też do opery i na rewie bądź oglądać kabarety. Gdy tylko mieliśmy wolne od szkoły, jeździliśmy całą rodziną na wieś oddaloną kilka kilometrów od Warszawy. Mama od dawna wiedziała, że odziedziczy wiejski dwór, chociaż wtedy zapewne o tym nie myślała. Jak każde dziecko chciała, by jej jedyny rodzic cieszył się jak najdłużej zdrowiem. Babcia Milena lubiła, kiedy ją odwiedzaliśmy. Z każdym rokiem podupadała jednak na zdrowiu.

Kiedy babcia Milena była młodsza i zdrowa, lubiła urządzać bale. My z Elizą byliśmy wtedy małymi dziewczynkami, ale babcia i tak pozwalała nam uczestniczyć w takim balu. Rodzice nie byli z tego powodu zachwyceni, lecz babcia za każdym razem przekonywała ich do tego, byśmy mogły zostać.

Gdy tylko zaczynało się ściemniać, pod dwór zjeżdżały się dorożki, co bogatsi przyjeżdżali samochodami. Orkiestra stroiła instrumenty. Panie przywdziewały na tę okazję najlepsze i najbardziej lśniące suknie, panowie fraki. I kiedy tylko rozlegały się pierwsze takty muzyki, ludzie ruszali do tańca. Wirowały kolorowe suknie, w blasku lamp lśniła biżuteria dostojnych dam. Tato tańczył z mamą walca, a my z Elizą patrzyłyśmy na nich zachwycone. Wyglądali tak pięknie, jakby dopiero się poznali i zakochali w sobie. Taki bal trwał do białego rana. Czasem udawało nam się dotrzeć do świtu, innym razem zasypiałyśmy skulone przy schodach.

Zazwyczaj całe lato spędzaliśmy u babci Mileny na wsi. Niedzielne obiady jedliśmy na zewnątrz, przy drewnianej ławie, gdzie kwitnące lipy rozsiewały swój słodki zapach. Tatko wynosił fotel, na którym siadała babcia. Bzyczały pszczoły, kwitły piękne kwiaty, po ścianie dworu pięło się dzikie wino. Gdybym mogła wyobrazić sobie raj, wyglądałby właśnie tak. Tamte chwile były dla mnie rajem.

Popołudniami biegaliśmy do strugi, gdzie tatko łowił ryby, a my łapałyśmy raki. A potem pluskaliśmy się wszyscy w wodzie, dopóki nie mieliśmy sinych warg i nie szczękaliśmy zębami, a i wtedy marudziliśmy, że musimy wychodzić z wody. Na podwieczorek pani Hela serwowała zwykle ciasta i konfitury, niekiedy pieczone jabłka udekorowane kleksem wiejskiej śmietany. A kiedy nadchodził wieczór, wychodziliśmy popatrzeć na gwiazdy i wdychaliśmy niezwykle intensywny zapach maciejki.

Pamiętam jedną Wielkanoc we dworze.

Przyjechaliśmy do babci w Wielki Piątek. Babcia Halinka, nasza „warszawska” babcia, również z nami przybyła. Dwór był murowany, w stylu neoklasycznym. Obok stały zabudowania gospodarcze, obora i stajnia. A po prawej stronie kurnik (bo,

oczywiście, babcia Milena zatrudniała ludzi do pomocy przy gospodarstwie). Do dworu prowadziła żwirowa, wyjątkowo kręta ścieżka. Na tyłach domu był ogród, w którym potem mama zasadziła kilka odmian swoich ukochanych róż. Za ogrodem zaczynał się sad, jeszcze dalej rozciągały się łąki, pola i pastwiska, i las – aż po horyzont. Pamiętam, że w pomieszczeniach dworskich wisiały piękne gobeliny, stare obrazy w pozłacanych, ozdobnych ramach. Na podłogach zaś leżały ręczne tkane chodniki i dywany. Stylowe kanapy i fotele obite były bordowym aksamitem.

Babcia witała nas zawsze z czułością, ubrana tak, jakby pochodziła z innej epoki. Siwe włosy spinała góry w duży kok. Suknię miała czarną, koronkową, z żabotem, jak dama z dziewiętnastego stulecia. Niekiedy wkładała też rękawiczki. Gospoia Hela podawała ciasto i kawę dla starszych, dla dzieci kompot.

Wracając do tej pamiętnej Wielkanocy...

Już w Wielki Piątek zabraliśmy się za malowanie pisanek. Ciocia gotowała jajka w wodzie z cebulą, a potem my szpileczkami wyrysowywaliśmy wzorki. W sobotę oczywiście była kłótnia, które z dzieci poniesie koszyk ze święconką. Wówczas babcia nakazała, by dzieciaki ciągnęły słomki. Najdłuższa wygrywała. I tak oto koszyk poniósł Franek.

W niedzielę Zmartwychwstania Pańskiego całą rodziną pojechaliśmy na rezurekcję do kościoła, a potem wygłodniali wróciliśmy do domu. A tam gospoia Hela ze swoją córką uwijały się jak w ukropie. Do kuchni ruszyła też mama z ciocią Felicją, by im pomóc. Na stole, przykrytym białym obrusem i ozdobionym żonkilami oraz baziami, pojawiły się talerze z jedzeniem. A na środku stołu... prawdziwy świński ryj faszerowany jajkami. Obok stanęła wielka patera z upieczonym prosięciem. Czegóż tam nie było! Plastry pasztetów i wędlin, starty chrzan o tak intensywnym zapachu, że dzieci zaczęły kichać... Tato kroił bochny żytniego chleba, które kilka dni wcześniej upiekła ciocia Felicja. Oj, jak pachniało w naszym dworze! Ta Wielkanoc nie była inna od poprzednich, a jednak ją właśnie zapamiętałam najlepiej. Może dlatego, że była to ostatnia Wielkanoc spędzona z babcią Mileną...

Przed obiadem ruszyliśmy na spacer wzdłuż łąk i pól. Rodzice trzymali się za ręce, dzieci biegały, popiskując z radości, psy czekały jakoś tak odświętniej, kot maszerował za nami. I kiedy znów nabraliśmy apetytu, wróciliśmy na obiad. A tam czernina, żur, pieczona kaczka... Po obiedzie – a jakże – serwowane były ciasta. A my śmialiśmy się i rozmawialiśmy. Byliśmy szczęśliwi w swoim towarzystwie... Szacunek, uściski, pocałunki, przytulanie, szczęście – czułam się wtedy jak w niebie.

Półtora roku przed wybuchem wojny umarła babcia Milena, zostawiając nam w spadku dwór i należące do niej gospodarstwo.

– I co teraz? – zapytała mama tatę.

– Przeprowadzimy się na wieś. To przecież tylko kilka kilometrów od Warszawy. Tam będzie zresztą bezpieczniej. Sytuacja w Europie jest nieciekawa. Wszyscy mówią o wojnie – powiedział wtedy tato.

– Ale dzieci tutaj chodzą do szkoły, mają znajomych.

– Tam też będzie nam dobrze. A do szkoły mogą dojeżdżać.

Mama skinęła głową na znak zgody. Bo musisz wiedzieć, że moja mama była uosobieniem miłości. Kochała zarówno swoje dzieci, jak i męża, tak wielką miłością, że nie sposób opisać jej słowami. Urodziła pięcioro dzieci. Mnie, Elizę, Franka, Emilię i jako ostatniego – Antka. Antek urodził się przedwcześnie. Mama wyliczyła, że stanowczo za wcześnie... O jakieś sześć tygodni.

– Przykro mi – powiedziała jej znajoma położna, kładąc dziecko na jej piersi. – On nie przeżyje. Nie ma nawet odruchu ssania. Jest wcześniakiem. Odejdzie niebawem.

Mama pokręciła głową.

– Zostanie tutaj z nami – powiedziała stanowczym głosem.

Chłopczyk był malutki, nawet nie kwilił. Jego różowa skóra była cieniutka i pomarszczona, naznaczona drobnymi żyłkami.

Mama pocałowała delikatnie główkę Antosia, mówiąc:

– Będiesz żyć kochanie, mamusia jest przy tobie. Będiesz żyć.

Obolała po trudach porodu mama próbowała przystawić dziecko do piersi, ale faktycznie nie potrafiło ssać. Zawołała tatę. Napalił w kafłowym piecu. Razem z babcią owinęli malutkiego Antosia w prześcieradło i kocyk, a potem położyli na puchowej, ogrzanej wcześniej pierzynie.

Maluch wciąż nie chciał ssać piersi, mama wyciskała więc swoje mleko na palec i wsadzała delikatnie do buzi dziecka. I tak kropelka po kropelce... Bo czymże jest śmierć wobec tak wielkiej miłości...

Antoś nie tylko przeżył, ale wyrósł na zdrowe i dość pulchne dziecko. Był synkiem mamusi. Zawsze kręcił się koło jej spódnicy. Spokojny i skryty. Ułożony. Z jasnymi włoskami i niebieskimi oczkami wyglądał jak aniołek. Nigdy nie było z nim problemu. Robił to, co mu kazano, uczył się pilnie. Lubił siadać na ławce i trwać w bezruchu. Myślał? Marzył? Nikogo nie wpuszczał do swojego świata oprócz mamy. To z mamą coś sobie szeptali i śmiali się niekiedy do łez.

Mama niemal zawsze była uśmiechnięta, ciężko pracowała i dbała o rodzinę. Kiedy byłam małą dziewczynką, codziennie rano budził mnie zapach drożdżowego ciasta. Według mamy drożdżowiec najlepiej smakował na śniadanie. Piekła ciasto drożdżowe z antonówkami, a jak był sezon na wiśnie – to z wiśniami albo drożdżowy warkocz obsypany obficie kruszonką. Witaa rodzinę z uśmiechem na twarzy. Cały dzień coś robiła, podśpiewując przy tym ludowe pieśni, a wieczorem zaganiała nas do modlitwy.

– Kolana mnie bolą – narzekaliśmy po kilkunastu minutach klęczenia.

– Trzeba Panu Bogu podziękować.

– Za co?

– Choćby za ten drożdżowiec, co dziś jadłaś na śniadanie.

– Ale to ty go upiekłaś.

– Ale miałam z czego go upiec.

Wzruszałam ramionami i klęczałam cierpliwie do końca modlitwy. Niekiedy nie skupiałam się na modlitwie, a myślałam o tym, czy jutro spotkam się z przyjaciółką albo czy mama pozwoli mi, abym nie związywała włosów do szkoły.

Mama mogła mieć służbę, ale nie chciała. Przychodziła do nas tylko guwernantka,

która uczyła nas dobrych manier i języków obcych. Poza tym mama wszystko robiła sama.

– Mam dwie ręce, jestem zdrowa, ze wszystkim dam sobie radę – powtarzała tacie, kiedy ten sugerował, by przyjęli kogoś do pomocy. Chciał odciążyć mamę, chociaż naprawdę radziła sobie świetnie.

Tatuś był lekarzem. Prowadził swoją prywatną praktykę, pracował też w szpitalu jako chirurg. Leczenie było jego powołaniem. Kochał ludzi. Leczył też najuboższych mieszkańców stolicy. Kiedy przenieśliśmy się na wieś, tato dojeżdżał do lecznicy w stolicy. Sobotę i niedzielę spędzał na wsi z rodziną, jednak to praca w szpitalu i Emilia dawały mu największą radość. Jestem pewna, że tato kochał wszystkie dzieci tak samo, ale to Emilia zajmowała w jego sercu najwięcej miejsca. Moja siostra była trzpiotką. Śliczną dziewczynką z burzą blond loczków. Każdego umiała sobie okręcić wokół palca. Kiedy sprowadziliśmy się na wieś, miała już jedenaście lat, a mimo to zachowywała się jak mała dziewczynka i chętnie wdrapywała na ojcowskie kolana. To z tatą spędzała najwięcej wolnego czasu. To tato tłumaczył jej zawiłe rzeczy, a ona otwierała szeroko oczy i chłonęła każde jego słowo.

Odkąd sprowadziliśmy się na wieś, mama nauczyła się wielu rzeczy. Choćby robienia butów dla dzieciaków. Była taka delikatna, miała drobne dłonie i aż dziw brał, kiedy rozkładała narzędzia, wykrajała podeszwę, a potem grubymi nićmi szyła buty. Śpiewała przy tym pieśni maryjne i nie przestawała się do nas uśmiechać.

Kiedy tatko był w domu, czytał gazety, a Emilka go zaczepiała lub zadawała pytania.

– No już, już – mówiłam. – Daj ojcu spokój.

– Czytamy razem. – Tata uśmiechał się do mnie, puszczając oko.

W zimowe popołudnia zbieraliśmy się całą rodziną przy kominku. Tata co rusz dokładał drwa. Polana trzaskały. Jedliśmy rogaliki z konfiturami i piliśmy ciepłe mleko. Tato czytał na głos jakąś książkę. A potem rozmawialiśmy o tym, co w życiu ważne. Mama, jak już zaczynała mówić, to nie mogła skończyć. A myśmy jej słuchali z rozdziawionymi buziami. Młodsze dzieci niekiedy niczego nie rozumiały z mamy pogadanek, ale też siedziały i słuchały jej łagodnego głosu.

– Miłość jest życiem. Całe ludzkie istnienie jest stworzone z miłości. W każdym człowieku jest tak wielka miłość, że nie można opisać jej słowami. Cały świat został stworzony przez miłość. To człowiek wszystko zepsuł swą arogancją – mawiała.

– A wierzysz w drugiego człowieka? – zapytał mamę tatuś.

– Tak.

– Ja też. Nawet jeśli pobłądzi.

Mama kochała ludzi, zwierzęta i piękno. Piękne kwiaty, szczególnie róże, zachody i wschody słońca. Potrafiła zachwycać się zwykłą gruszką – jej kształtem, smakiem i zapachem. Biła z niej jakaś ogromna siła, choć sama była drobną, filigranową kobietą. Z tymi swoimi blond włosami, delikatnymi dłońmi i zielonymi oczami przypominała rusałkę. A mimo wszystko była w niej energia i jakaś taka nieziemska moc.

Tato też był dobrym człowiekiem, pomagał bezinteresownie ludziom. Kiedy ktoś we wsi zachorował, spieszył z pomocą. Nawet w nocy.

– Panie doktorze, bo Janek zachorzał.

Wkładał płaszcz i buty i już biegł do chorego.

Kilka domów dalej w tej samej wsi mieszkała siostra mamy, Felicja. Była uosobieniem dobra, podobnie jak mama. Wiecznie roześmiana. Miała trzy córki. Jej mąż – wujek Broniek – rozpieszczał swoje kobiety do granic możliwości.

Pamiętam ślub cici Felicji. Byłam wtedy małą dziewczynką, ale wspomnienia są wyraźne. Ciocia Felicja miała na sobie suknię ślubną swojej mamy, a mojej babci (zresztą, kilka lat wcześniej tę samą suknię włożyła do ślubu moja mama). Suknia była zrobiona z koronki i tiulu delikatnego niczym mgiełka. Wyszywana kryształkami, które lśniły w blasku słońca. We włosy ciocia wpięła welon z przypiętą blad różową różą. W rękach trzymała bukiet z różowo-białych stokrotek. Wujek włożył na tę okazję stalowy garnitur, w którym prezentował się dostojnie. Oboje zresztą wyglądali jak postaci z bajki – tak wtedy myślałam. Wyobrażałam sobie, że wujek jest księciem, a ciocia piękną księżniczką. Kiedy składali przysięgę małżeńską, poczułam ogromne wzruszenie, bo wiedziałam, że tych dwoje ludzi jest dla siebie stworzonych. Już wtedy zaczęłam marzyć, by kiedyś też tak móc kochać.

Życie na wsi wcale nie było sielanką. Na początku nie mogłam sobie poradzić z nową rzeczywistością. Było lato, skończyliśmy szkołę, musieliśmy pomagać w gospodarstwie. Nie raz przyjeżdżałam do babci na wieś, kiedy ta jeszcze żyła, ale co innego bez troskie wakacje, a co innego codzienne życie. W prowadzeniu gospodarstwa pomagało nam trzech miejscowych chłopów i gospoia, ale mama z tatkiem chcieli, by dzieci również pomagały, szczególnie w czasie wolnym od szkoły. W trakcie roku szkolnego mieliśmy zajmować się nauką, a podczas wakacji pomagać w obejściu.

W lipcu żar lał się z nieba. Młodsze dzieciaki nie chodziły do szkoły, ale też nie miały zamiaru iść na żadne zajęcia. Czasami byłam zła na Emilkę i Antka za ich bez troskę. Zła też byłam na rodziców, bo za bardzo ich rozpieszczali. Emilka biegała z chłopakami nad rzekę, łowiła raki i wspinała się po drzewach, zamiast pomóc choćby w najprostszych pracach. Wymykała się z domu już o piątej rano, żeby tylko uniknąć obowiązków. Któregoś dnia nie wytrzymałam i pobiegłam za nią. Złapałam ją za rękę i wlepiłam klapsa.

– Zostaw mnie! Nie jesteś moją matką.

– Nie jestem mamą, ale jestem twoją siostrą.

– Zachowujesz się jak despotka! – wrzasnęła, po czym pokazała mi język. – O co ci chodzi?

Emilka poszła do sadu i nazbierała jabłek na placek i kompot. Wróciła do domu na obiad.

– Ale jestem zmęczona – westchnęła.

– Żartujesz sobie? Czym się tak zmęczyłaś?

– Jak to czym? Jabłka zbierałam.

– Faktycznie mi robota. No to się narobiłaś.

– Dziewczynki – westchnęła mama. – Poczytałabyś coś – zwróciła się do siostry. –

We wrześnie szkoła...

– Masz rację, mamu...

– Książki o księżniczkach to ona pochłania – znów przygadywałam siostrze.

– Bo wierzę, że zjawi się tu jakiś książę i mnie porwie. Po ciebie to żaden nie przyjedzie.

– Mnie księcia nie potrzeba...

– Mówią tak tylko te, które wiedzą, że nie miałyby u księcia żadnych szans.

Mama parsknęła śmiechem. I ja zaczęłam się śmiać, a po chwili łaskotać siostrę. Spadła ze stołka i też zanosila się śmiechem.

– Już dość! Już dość! – śmiała się i broniła rękami. – Mamulku, a zrobisz na kolację ziemniaczki z koperkiem i zsiadłym mlekiem? – zapytała Emilia, kiedy już się uspokoiła i usiadła z powrotem do stołu.

– Dopiero obiad skończyłaś jeść.

– Ale te ziemniaczki i zsiadłe mleczko marzy mi się już od dawna.

– Zrobię, córuś, zrobię – powiedziała mama i czule pogładziła siostrę po policzku.

Mama wstawała już o piątej rano, by naszykować nam śniadanie. Helenka, nasza gosposia, doiła w tym czasie krowy. Przecedzała mleko i część nalewała do dzbanka i niosła do spiżarni, a pozostałe mleko zlewała do glinianych garnków i zostawiała na ganku, by się skwasiło. Potem zbierała z wierzchu śmietanę. Boże, jaki smak miała taka śmietana. I z tej śmietany wyrabialiśmy masło z dodatkiem ziół.

Wieczorem w piecu kafłowym Helenka z mamusią piekły chleb. Jedliśmy go na kolację i następnego dnia na śniadanie. Siadaliśmy na ławce, którą zrobił świętej pamięci dziadek, i zajadaliśmy się pajdami chrupiącego chleba z masłem. Z pola wracali żniwiarze, mieli ogorzałe od słońca twarze.

– Szczęść Boże – pozdrawiała ich mama.

– A daj Boże.

I nikt się nie wstydził swojej wiary, ciężkiej pracy, pochodzenia. A teraz... Teraz ludzie wszystkiego się wstydzą.

ROZDZIAŁ 15

- A miłość, babciu? – zapytałam nieśmiało.
- Miłość to najpiękniejsza rzecz, jaka może się człowiekowi przytrafić...

Jako mała dziewczynka, potem dorastająca panna, marzyłam o wielkiej miłości, pewnie jak każda kobieta. Zaczytywałam się w książkach Rodziewiczówny. *Między ustami a brzegiem pucharu* czytałam kilka razy z wypiekami na twarzy. Marzyłam o romantycznych chwilach, o motylach fruujących w brzuchu, o przyspieszonym biciu serca.

Zaraz po przeprowadzce na wieś poznałam Jerzego. Był wysoki, jak na mój gust trochę za chudy, ale był dobrym człowiekiem. I ta jego dobroć mnie ujęła. Tylko nie czułam na jego widok tego wszystkiego, co wydawało mi się, że powinnam czuć. Lubiłam spędzać z nim czas i to wszystko. Spotykaliśmy się dość często. Rodzice bardzo go polubili i dopingowali naszemu związkowi, ale ja jakoś nie byłam przekonana, że to on jest mi pisany.

Chodziliśmy razem na spacerunki i czytaliśmy książki. Pół roku później tato wezwał mnie do siebie na rozmowę.

- Co zamierzacie? – zapytał wprost.

Wybałuszyłam oczy.

- To znaczy?

- Planujecie wspólną przyszłość?

Westchnęłam. To nie były czasy, kiedy młodzi ludzie chodzili ze sobą bez końca, o wspólnym zamieszkaniu bez ślubu nie było mowy.

- Nie wiem – odparłam ojcu. – Żyjemy dniem dzisiejszym.

– Posłuchaj – tato zakręcił węża. Wstał zza biurka i podszedł do mnie. Usiadł na krześle obok mnie. – Jeśli nie jesteś pewna, że chcesz z nim być, to nie rób nic na siłę.

- On jest taki dla mnie dobry. Nieba by mi uchylił.

Tato patrzył na mnie przez chwilę.

– Ty go nie kochasz, a jedynie lubisz. Nie zbudujesz z nikim szczęścia bez miłości. Unieszczęśliwisz siebie i tego drugiego człowieka. On będzie się o ciebie starał, zabiegał, ale wszystko, co będzie robił, i tak nie wywoła u ciebie głębszych uczuć. Przemyśl to, a potem idź do Jerzego i powiedz mu, co czujesz. Wiesz przecież, że nie możesz tak bez końca. Pozwól mu odejść.

- A jeśli już nikogo nie pokocham? Jeśli mam wypaczone wyobrażenie o miłości?

– Pokochasz, pokochasz... – tato dotknął mojego policzka. – Jesteś jeszcze bardzo młoda – powiedział, a potem wstał i wyszedł z gabinetu.

Przez chwilę siedziałam bez ruchu. Ale po kilku minutach wiedziałam już, co mam robić. Przebrałam się w niebieską sukienkę i ruszyłam w stronę domu Jerzego. Był

zaskoczony moim widokiem.

– Marysiu, a co ty tutaj robisz?

– Chciałam z tobą porozmawiać.

– Ale tak tutaj? Teraz? Jestem brudny... – dopiero wtedy zobaczyłam, że trzyma w ręku łopatę. Przekopywał ogród.

– Tak, teraz. To nie może czekać.

Wytarł dłonie w ścierkę, która wisiała na płocie.

– Mamo, zaraz będę – rzucił w kierunku domu.

Starsza kobieta wyszła na próg i uśmiechnęła się dobrotliwie.

Ruszyliśmy w stronę pobliskiego zagajnika.

– Usiądź. – Jerzy wskazał na zwalony pień drzewa.

– Postoję.

– Zanim cokolwiek powiesz... Chcę, żebyś wiedziała... – Był bardzo zdenerwowany, a ja jeszcze bardziej. Serce mało nie wyskoczyło mi z piersi. – Wiem, że wszystko to trwa za długo. Zbierałem na pierścionek. Damy na zapowiedzi...

– Jerzy... Ja...

Boże! – jęknęłam w duchu. Wiedziałam, że go zranię.

– Przepraszam, ale nie możemy się więcej spotykać.

– Słucham? – W jego oczach widziałam zaskoczenie. – Czy coś źle zrobiłem?

– Nie, skądże.

– Poznałaś kogoś?

Pokręciłam głową.

– To chodzi o mnie. O moje uczucia.

– Nie kochasz mnie, tak?

– Nie tak mocno, jakbym chciała.

– Ale... Wszystkiego można się nauczyć, nawet miłości.

– Nie. Miłość jest albo jej nie ma. Nie można się jej nauczyć.

– Naczytałaś się tych romansów – powiedział z wyrzutem w głosie. – I myślisz, że takie jest życie.

– Jerzy... Ja tego nie czuję.

– Kocham cię – chwycił moje dłonie w swoje ręce. – Będę cię kochał za nas oboje.

– Nie, Jerzy, Nie... To nie wyjdzie.

Spuścił głowę.

– Zmarnowałaś mi pół roku życia. Mamiłaś mnie – powiedział z wyrzutem.

– Nic ci nie obiecywałam. – Poczulałam, jak ogarnia mnie irytacja.

– Ale chyba zdawałaś sobie sprawę, że cię kocham?

– Tak, chyba tak – odparłam, przestępując z nogi na nogę. – I przepraszam cię za to wszystko. Przepraszam cię.

Odwróciłam się i zaczęłam biec. Sukienka plątała mi się między nogami, a ja biegłam co tchu.

– Marysia! Marysia! – słyszałam za sobą głos Jerzego. – Kocham cię! Marysia!

Złamałam mu serce, ale wiedziałam, że to najlepsza decyzja, jaką mogłam podjąć.

Babcia skończyła opowieść.

– Żałowałaś kiedykolwiek, że go zostawiłaś? – zapytałam.

– Nie.

– Miałabyś spokojne życie.

– Czymże jest spokój wobec miłości! Kiedy pojawił się w moim życiu Franz, od razu wiedziałam, że to jest to, że to jest miłość.

– Opowiedz mi o nim – poprosiłam podekscytowana.

– Nie teraz. Muszę się zdrzemnąć. Jestem naprawdę zmęczona.

Byłam zawiedziona, ale wiedziałam, że babcia potrzebuje odpoczynku.

Wstała koło szesnastej. Przygotowałam dla nas obiad i zjadłam go w pośpiechu. Nie mogłam się doczekać, kiedy babcia opowie mi w końcu o Franzu. Posprzątałam ze stołu talerze, po czym przeniosłyśmy się do salonu...

Kiedy Franz pojawił się w moim życiu, było jak w książkach, które czytałam z zapartym tchem, tak, jak sobie wymarzyłam. Ba, nawet jeszcze lepiej. Czas zaczął płynąć naszym rytmem, świat nabrał odcieni pasteli i czułam, że mogę góry przenosić, chociaż to wcale nie były czasy do przenoszenia gór. Kochałam, a moje serce biło jak szalone. Nie mogłam skupić myśli, czasami nawet wydawało mi się, że tracę rozsądek. Kiedy z nim byłam, nic się nie liczyło – tylko on i nasza miłość.

Wierzę, że każdy choć raz w życiu kogoś kochał. Miłością szaleńczą, prawdziwą, czasem platoniczną, niewłaściwą, nieodwzajemnioną. Każdy z nas niesie w sercu coś pozostawionego przez miłość: radość, blizny, cierpienie, zapach lawendy, ciepło, odgłosy, szmery, wspomnienie czułego dotyku. Człowiek, który nie kochał, jest emocjonalną sierotą. Każdy z nas wierzy, że miłość, której dostąpiliśmy, będzie na zawsze, że od nas nie odejdzie. A jednak i miłość mierzy się z problemami dnia codziennego, cierpi, szlocha i ma tę świadomość, że całe jej szczęście zamyka się w drugim człowieku. Stanisław Jerzy Lec pięknie napisał: „Można oczy zamknąć na rzeczywistość, ale nie na wspomnienia”, bo wspomnienia są nieśmiertelne... Podobnie jest z prawdziwą miłością, ona nigdy nie umiera.

Jestem twarda. Mam wrażenie, że kobiety, które przeżyły wojnę, są jak skały. Nigdy się nie skarżyłam, nie mówiłam, że coś jest nie tak. Nie okazywałam specjalnie uczuć, bo wydawało mi się, że przez te wszystkie lata wojny wyczerpałam w sobie całą miłość. Głupio brzmi, ale tak mi się właśnie wydawało. Oczywiście, kochałam swoje dzieci, kocham was, moje wnuki, ale jakoś niespecjalnie wam to okazywałam, prawda? I uważaliście, że ze mnie jest zimna stara baba...

– Babciu, to nie tak – przerwałam jej.

- Tak, tak... I było mi przykro, ale wiem, że sama sobie na to zasłużyłam.
- Nigdy bym nie przypuszczała, że skrywasz taką tajemnicę.
- Każdy ma jakieś sekrety.
- No tak...

Babcia zmrużyła oczy i zatopiła się na nowo we wspomnieniach.

Mój brat, Franek, urodził się dwa lata po mnie. Był dobrym chłopakiem, ale miał w sobie coś nieokiełznanego. Był silny i wysoki. W wypadku stracił palce u lewej dłoni. Ogromnie to przeżywał. Nie czuł się stuprocentowym mężczyzną. W szkole bardzo często wszczywał bójkę. Wystarczyło, że ktoś popatrzył na jego kikuta, a już obrywał. Sądzę, że narastała w nim frustracja i poczucie niespełnienia. Mawiał, że to wszystko przez brak tych przeklętych paluchów. „I bez palców radzisz sobie świetnie” – pocieszała go mama, ale on w ogóle nie chciał jej słuchać.

Pod koniec sierpnia, kiedy ogłoszono mobilizację mężczyzn do wojska, Franek powiedział do ojca:

– Tato, chcę iść do wojska.

Ten spojrział na niego pośpiesznie.

– Jesteś za młody, by iść do wojska. Masz dopiero siedemnaście lat.

– Syn Kołodziejów idzie.

– Ale ty nie jesteś synem Kołodziejów. Nie zaciągniesz się do wojska. Jesteś za młody – powtórzył tato. Tak naprawdę wiedział, że nie przyjmą go do wojska ze względu na inwalidztwo. Oczywiście, znalazłoby się dla niego jakieś zajęcie na wypadek wojny, ale Franek chciał chwycić za karabin i walczyć.

– Synku, wojna jest straszna – dodał tato, wstając od stołu.

– Straszne jest siedzenie na dupie i poddanie się bez walki.

– Zważaj na słowa – ojciec uderzył ręką w stół. – Zresztą na razie nie ma wojny.

– Ale będzie. Wszyscy o tym mówią.

– Ludzie mówią różne rzeczy.

Ostatecznie Franek nie poszedł do wojska. Został w domu. Bardzo to przeżywał i od tej pory był jeszcze bardziej drażliwy. Czuł się niepotrzebny, zwłaszcza że widział, jak wujek Bronek wkłada mundur, czapkę i buty.

Z naszej rodziny kartę mobilizacyjną dostał tylko wujek Bronek. Franek był inwalidą i nie osiągnął jeszcze odpowiedniego wieku, a tato dostał odroczenie z racji posiadania gospodarstwa rolnego.

Pamiętam ten dzień, kiedy wszyscy poszliśmy do domu cioci Felicji, pożegnać się z wujkiem. „To mój obowiązek” – tłumaczył wujek cioci, która zalewała się łzami. Mama pocieszała ją na wszystkie możliwe sposoby. Ciocia najbardziej bała się rozłąki. Dopiero po latach uświadomiła sobie, że jest coś gorszego od tęsknoty. Bo są takie powroty... O tych powrotach opowiem ci potem...

Tak więc ciocia i dziewczynki tonęły we łzach.

– Dzisiaj doręczyli ci kartę i już zaraz musisz jechać? – łkała ciocia. Mama tuliła

siostrę.

– Tak, już. Najbliższym pociągiem.

– Ja tego nie przeżyję – zawodziła ciocia.

– Przeżyjesz – wujek podszedł do cioci. Mama wypuściła siostrę z objęć i lekko pchnęła w stronę męża. – Przeżyjesz – powtórzył wujek. – Musisz być dzielna. Dla dziewczynek i dla mnie.

– Wrócisz?

– Obiecuję, że wrócę.

– A wojna?

– Nie ma jeszcze wojny.

– Ale będzie.

– Tego na razie nie wiemy.

Nie mówiliśmy o tym głośno, ale wszyscy wiedzieliśmy, że wojna wisi na włosku.

Ciocia włożyła wujkowi do plecaka jedzenie, wsunęła też zdjęcie swoje i dziewczynek.

Dała mu też różaniec.

– Gdyby było ci bardzo źle... – powiedziała, wskazując na różaniec.

Wujek skinął głową.

– Muszę już iść – powiedział, po czym przytulił każdego z nas z osobna. Ciocia rozkleiła się jeszcze bardziej, a dziewczynki złapały ojca za nogawki.

Szczerze mówiąc, przed wojną ciocia była mało zaradną kobietą, we wszystkim wyręczał ją wujek, nawet w opiece nad dziećmi starał się jej jak najwięcej pomagać. Byli szczęśliwi, bardzo się kochali, ale ciocia – jak żadna inna kobieta w naszej rodzinie – potrzebowała wesprzeć się na męskim ramieniu. W tamtej chwili najbardziej przerażała ją samotność. Zdała sobie sprawę, że sama będzie musiała zmagać się z codziennością, i to z wojenną codziennością. Nie chciała żyć w pojedynkę.

Początkowo była jak w letargu. Żyła wspomnieniami o wujku. Tęsknota wypełniała każdy jej dzień. Nocami rozmyślała i płakała. Błagała Boga, by wszystko wróciło na swoje miejsce, by wujek mógł wieczorami kłaść się z nią do łóżka.

Z każdym rokiem ciocia stawała się coraz silniejszą kobietą. Robiła to dla siebie, dla wujka, dla swoich dzieci. Już na początku wojny jakiś odłamek pocisku uszkodził dach jej domu, wyleciało kilka szyb. Franek starał się zreperować dach, ale nadal przeciekał. Ciocia machnęła w końcu ręką i przeniosła dziewczynki do swojego pokoju. Odtąd mieszkaly we trzy w jednej izbie. A musisz wiedzieć, że w momencie wybuchu wojny najmłodsza córka cioci Felicji miała niecałe półtora roczku i piła jeszcze mleko. Tego mleka często brakowało, więc ciocia stawała na głowie, by je zdobyć. Musiała też zmagać się z ciągłymi chorobami, bo gdy jedna dziewczynka zachorowała, to dwie pozostałe zaraz też były chore. Wojna zmieniła ciocię, zahartowała ją. Zresztą, wszystkich nas zmieniła. Ale wróćmy do tamtego pamiętnego sierpnia...

Kończyły się wakacje. Pojechaliśmy do Warszawy kupić rzeczy do szkoły. Dzieciaki cieszyły się, że wkrótce spotkają się ze swoimi kolegami. Wciąż wierzyliśmy, że jakimś cudem da się uniknąć tej wojny. Dwa dni wcześniej w radiu słuchaliśmy przemówienia prezydenta Stefana Starzyńskiego, który apelował o zachowanie spokoju, ale

jednocześnie mówił o obowiązku przygotowania się na wypadek zagrożenia państwa.

Trzeba było kupić zeszyty, przybory do pisania, tornister dla Antka. Emilka miała odziedziczyć tornister po Elizie.

– A ja chciałabym nowy – buntowała się.

– Mój jest prawie niezniszczony – przekonywała ją siostra.

– Ale nie jest nowy.

– Emilia, przestań się zachowywać jak rozpieszczony bachor. – Eliza zdenerwowała się na siostrę.

– Dziewczęta – mama westchnęła. – Emilka, tornister odziedziczysz po Elizie, a żeby było sprawiedliwie, kupię ci atlasowe wstążki do włosów.

Twarz Emilii rozjaśniła się w uśmiechu.

Wstąpiliśmy także do okulisty, gdzie wybraliśmy nowe oprawki dla Emilki. Upierała się, że chce okrągłe binokle, które były wówczas modne.

– Nie wyglądasz w nich ładnie – powiedziała mama.

Emilka przewróciła oczami.

– Ale są modne.

– Nie wszystko, co modne, jest ładne – wtrąciłam się do rozmowy.

– Ale ja bym bardzo chciała je mieć.

– Twoja sprawa – Eliza nie kryła rozbawienia. – Wyglądasz w nich jak matrioszka. Twoja okrągła twarz źle wygląda w takich oprawkach, ale skoro chcesz...

– A w których mi dobrze? – zapytała nieco łagodniej Emilia.

– Może w tych? – Eliza poprosiła sprzedawcę o prostokątne oprawki. Dziewczynka przymierzyła. Wyglądała w nich naprawdę korzystnie.

– Podobają mi się.

– Kupujemy – zawyrokowała mama.

Zaszliśmy też kupić mydło, szampon, pastę do zębów, a dla siebie mama poprosiła o krem Śnieg Tatrzański, ponoć najlepszy dla każdej kobiety. Puściłam oko do Elizy – obie wiedziałyśmy, że będziemy go mamie podbierać.

Rodzeństwo szykowało się do szkoły, a ja z niecierpliwością odliczałam dni do pierwszego października. Miałam zacząć studia. Czułam się taka dorosła...

Tamtego wrześniowego poranka pomogłam mamie prasować koszule i mundurki dla rodzeństwa. Potem poszliśmy z Elizą do sadu, by zebrać jabłka na placki i kompot. Był piękny, słoneczny dzień. I nagle do sadu wpadł jak burza Franek.

– Wojna! Wojna!

I wtedy się wszystko zaczęło. Od tamtej chwili wszystko się zmieniło. W nas i wokół nas.

Tatko zdecydował, że pojedzie do Warszawy. Akurat wtedy, w piątek, nie poszedł do pracy. Usłyszał jednak od ludzi, że na Uniwersytecie zorganizowano szpital polowy, a pacjentów przyjmują już od pierwszego dnia wojny.

– Jestem im potrzebny – powiedział, po czym objął mamę i czule pocałował. – Słyszałem, że rektor zamiast kroczyć w todze i birecie, biega po salach w poplamionym fartuchu. Pomagają wszyscy – mówił. – Warszawa krwawi – dodał ze

smutkiem w oczach. – Nasza Warszawa.

– A ja tu siedzę – burknął Franek.

Ojciec nie odpowiedział.

– Teraz ty pełnisz rolę gospodarza.

Franek parsknął pod nosem i wyszedł z kuchni.

Mama miała łzy w oczach, ale skinęła głową. Od tamtej pory tato był w Warszawie niemal przez cały czas.

Niemcy bombardowali stolicę od samego początku. Dwudziestego piątego września podczas nalotu zginęło dziesięć tysięcy osób. Dziesięć tysięcy istnień. Niemcy celowo zrzucali bomby na kościoły, szpitale, teatry, kamienice. Te bombardowania nie miały żadnego militarnego celu. Dla wroga nie miało znaczenia ludzkie życie...

Tamtego dnia niemieckie samoloty bombardowały stolicę od bladego świtu do późnego wieczora. Na Warszawę spadło ponad 600 ton bomb. Szpitale wywieszały flagi z czerwonym krzyżem, by poinformować wroga, że w tym miejscu jest szpital. Ale Niemcy – jak już mówiłam – nie tylko nie oszczędzali szpitali, ale wręcz specjalnie je bombardowali. Wybuchła panika, zaczęto zdejmować flagi. Ginęli ludzie, wybuchały pożary. Warszawa umierała.

W kolejnych dniach rozpoczęło się wysiedlanie ludności. Ludzie z niewielkim bagażem podręcznym opuszczali swoje domy, majątki, pozostawiając cały swój dobytek – dzieła sztuki, biżuterię, książki, cenne pamiątki. Wszystko to było konfiskowane. Krwawiąca ojczyzna jednak jeszcze się broniła, jeszcze wierzyła, że ten koszmar wkrótce się skończy.

My też przeżyliśmy kilka nalotów. Pamiętam ósmy września 1939 roku. Święto Narodzenia Najświętszej Marii Panny. Wojna trwała w najlepsze. Dookoła panował chaos. Nie byłam pewna, czy iść do kościoła, czy zostać w domu. Właśnie wyciągałam z szafy sukienkę, kiedy usłyszałam Franka:

– Skurwysyny! Skurwysyny! – brat był bardzo wzburzony.

– Co się stało?

– Luftwaffe bombarduje miasta. W Janowie Lubelskim zrzucili bomby na wypełniony po brzegi kościół.

– Na cywilów?

– Tak, na cywilów.

– Boże jedyny! – zakryłam dłonią usta.

– Wieluń, Sulejów, Janów. Niewinni ludzie giną.

– Oni są bezbronni...

Mimo tych niepokojących wieści ubrałam odświętną sukienkę i pojechałam z Elizą i Frankiem do pobliskiego miasteczka na mszę. Czułam, że muszę się pomodlić. Nie mogłam się jednak skupić na słowach księdza. Bałam się. Bardzo się bałam śmierci. Pierwszy raz w moim młodym życiu uświadomiłam sobie, jak bardzo chcę żyć.

Przez kolejne dni także chodziłam na msze święte. Którejś niedzieli wybraliśmy się z Jolą, moją kuzynką, na odpust, który odbywał się na ryneczku. Wojna trwała, ale tamtego dnia było nam radośnie na duszy. Taka namiastka zwyczajności. I nagle usłyszeliśmy ryk silników, a na niebie zaroilo się od niemieckich samolotów.

– Uciekaj! Uciekaj! – krzyczał Franek.

Ludzie biegali po placu, nie wiedząc, gdzie się skryć. Zaczęły spadać bomby. Stałam jak wryta, nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Upadłam. Kiedy się ocknęłam, pomyślałam, że to już koniec. W ustach czułam pył i smak krwi, moje ciało drżało niczym w febrze, a serce biło tak mocno, że słyszałam w uszach jego stukot.

Pobliskie kamienice stały w ogniu. Otaczały mnie chmury dymu. Zaczęłam czołgać się w stronę otwartej bramy. Natknęłam się na Jolę. Leżała nieruchomo. Potrząsnęłam nią delikatnie. Nie poruszyła się. Wtedy przewróciłam ją na plecy. Jej usta wygięte były w nienaturalnym grymasie. Spojrzałam niżej i zobaczyłam, że ma wielką ranę na brzuchu.

Zamarłam. Nie byłam w stanie się ruszyć. W pewnym momencie poczułam, że czyjeś ręce odciągają mnie na bok. Odwróciłam głowę i zobaczyłam brata. Udało nam się dotrzeć do bramy pobliskiej kamienicy. Usiedliśmy na schodku i wtedy coś we mnie pękło. Franek tulił mnie i pocieszał, a ja nie mogłam opanować łez.

Na naszą wioskę też spadały bomby. Na wypadek nalotów pod lasem mieszkańcy wsi zbudowali solidny schron. Czasem ukrywaliśmy się w nim, czasem w piwnicy.

Nie cierpiałam schodzić do schronu, bo było tam klaustrofobicznie ciasno. Bałam się, że zostanę pogrzebana żywcem, uduszę się pod nawałem ziemi, kiedy schron nie wytrzyma.

Pewnego środowego wieczoru było takie piękne, bezchmurne, gwieździste niebo. Nie lubiłam takiego nieba, bo wiedziałam, że to dobry czas na naloty. Zaczęły się godzinę później. Chwyciłam dzieci za ręce i pobiegliśmy do schronu. Bałam się jak za każdym razem, ale starałam się nie okazywać strachu przed młodszym rodzeństwem. Musiałam być silna, przecież obiecałam to ojcu.

Schron zadrżał. A potem usłyszeliśmy eksplozję. Przytuliłam do siebie brata. W oczach moich sąsiadów zobaczyłam strach. Ostatnio widywałam go coraz częściej. Po chwili rozległ się ogłuszający łomot. Najmłodsze dzieci zaczęły płakać. Skuliłam się. Na zewnątrz panował taki jazgot, że wiedziałam, że jest źle i czekałam już tylko na zawalenie się sufitu. A jednak nic się nie stało. Po kilku chwilach wszystko ucichło.

– Można wychodzić? – zapytał ktoś siedzący koło mnie.

Ludzie zamilkli. Nasłuchiwali.

– Jeszcze chwila. Może wróćą? – zastanawiał się na głos jakiś mężczyzna.

Ktoś włączył latarkę.

– Wyjdę na zewnątrz zobaczyć, co się dzieje – powiedział młody chłopiec. Wrócił po kilku chwilach: – Odlecieli. Jesteśmy bezpieczni.

Na jak długo? – myślałam z goryczą...

Piwnica też była koszmarna. Było tam ciasno, wilgotno, biegały szczury, wielkie niczym koty, i czuć było zapach pleśni. Pociliśmy się, by po chwili trząść się z zimna. Ale najgorsze było to nasłuchiwanie, czy bomba nie spadła gdzieś w pobliżu. I to czekanie, ta rozpacz, ta niewiedza i ta nadzieja, że może to już niedługo się skończy. Luftwaffe atakowała nie tylko obiekty o znaczeniu strategicznym, ale i cele pojedyncze: zgrupowania wojskowe, kolumny uciekinierów, a nawet przypadkowych

ludzi pracujących w polu. Wyobrażasz sobie ten chaos? To poczucie zagrożenia?

Warszawa padła 28 września 1939 roku. A my gorąco modliliśmy się, by tato przeżył i do nas wrócił. Mama praktycznie nie spała. Każdego dnia już od świtu spoglądała w okno w nadziei, że ujrzy męża.

Tato wrócił do domu na początku października. Był bardzo zmęczony, zrezygnowany, pod jego oczami rysowały się sińce, a na koszuli widać było zaschnięte plamy krwi.

– Władze okupacyjne pozwoliły mi prowadzić własną praktykę – oznajmił nam – Będę też pracował w szpitalu.

– To znaczy że zostajesz w Warszawie? – zapytała mama z trwogą w głosie.

– Tak, muszę pomóc tym ludziom. Oni mnie potrzebują.

– Rozumiem – mama skinęła głową. Nie miała do taty pretensji, chociaż my też go potrzebowaliśmy.

– Kochanie... – ojczulek tulił mamę. – Będę przyjeżdżał, kiedy tylko będę mógł.

– Może powinnam ci pomóc? Dzieci są już duże, Fela by się nimi zajęła.

– To zbyt niebezpieczne. Zostańcie na wsi.

ROZDZIAŁ 16

Musieliśmy nauczyć się żyć pod okupacją. Niemcy wprowadzili swoją administrację, swoje zarządzenia, godzinę policyjną, przydziały na żywność. Trzeba było im oddawać jajka, zboże, zwierzęta, ziemniaki, mleko, a oni w zamian dawali 25 deko mięsa na osobę miesięcznie. Oczywiście, że się kombinowało, a kto nie kombinował... Bez kombinowania wielu by nie przeżyło. Groziło za to więzienie albo wywózka do obozu, ale próbowało się wszystkiego. Wierzyliśmy, że ta wojna szybko się skończy.

Jeszcze na początku mieliśmy radio. Słuchaliśmy wieści z Europy i czekaliśmy na pomoc.

Tato przyjechał do nas w następną sobotę.

– Musimy zabrać ze stolicy babcię Halinę – oznajmił.

Babcia Halinka mieszkała na obrzeżach Warszawy, w domu, w którym mieszkaliśmy całą rodziną przed przeprowadzką na wieś. Początkowo nie chciała opuścić miasta i przeprowadzić się z nami na wieś. „Tu jest mój dom. Mieszkam tu od urodzenia” – mówiła. „Mamo, jest wojna” – tłumaczył tato. „Mam siedemdziesiąt lat”. „I co z tego?” „Wszystko”.

W końcu udało się namówić babcię do przeprowadzki. Było późne jesienne popołudnie, szary zmierzch osiadał na ruinach miasta. Mojego miasta, miasta, w którym kiedyś mieszkaliśmy całą rodziną.

Ulice pomału pustoszały. Dookoła panowała dziwna cisza. Okna kamienic były pozasłaniane dyktami, szmatami, pozastawiane szafami. W krajobrazie dominowała czerń. Wyglądało to tak, jakby Warszawa przywdziała żałobę. Gruzy, pogorzelnisko, ruiny, przysypane ulice... Dawniej stały tu rzędy kamienic. A teraz... Szłam ulicami Warszawy, a wydawało mi się, że idę alejkami cmentarza. Moje miasto umarło. W ruinach przemykały cienie pojedynczych wystraszonych ludzi. Zaschło mi w ustach.

Co oni nam zrobili? – pomyślałam.

Szliśmy z ojcem dość szybkim krokiem w milczeniu. W pewnej chwili tato zatrzymał się.

– Muszę z tobą porozmawiać – powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Ale jak to? Teraz? Tutaj?

– Chodźmy nad Wisłę, jeszcze zdążymy przed godziną policyjną.

Złapał mnie za rękę i skęciliśmy na plażę przy Wiśle. Bardzo często przychodziliśmy tutaj latem z rodzicami, kiedy jeszcze byliśmy dziećmi. Usiedliśmy na zimnym piasku. Tato zza pazuchy wydobyl piersiówkę.

– Pij – wyciągnął w moją stronę butelkę.

Spojrzałam na niego z niedowierzaniem. Nigdy wcześniej nie piłam alkoholu.

– Pij, córuś. Już po łyku, dwóch, robi ci się lepiej.

Pociągnęłam spory łyk wódki. Zakrztusiłam się. Tato poklepał mnie po plecach.

Przełknęłam piekący płyn. Poczułam, jak pali mnie gardło.

– Obrzydliwa – skrzywiłam się.

– Na początku tak się wydaje. Potem człowiek się przyzwyczaja. – Tato również napił się alkoholu.

– Myślisz, tatku, że do wszystkiego można się przyzwyczaić?

– Prawie do wszystkiego. Tylko do zła nie wolno się przyzwyczaić.

Spojrzałam w stronę miasta i poczułam w sercu pustkę. Pustkę pomieszaną z żalem.

– Jutro wracam do szpitala. Jestem tam potrzebny.

Skinęłam głową.

– Opiekuj się mamą, dziećmi.

– Tak, tato – mówiłam z trudem.

– Gdybym nie wrócił... – zaczął i ponownie pociągnął łyk wódki.

– Ale wrócisz, tato...

– Gdybym nie wrócił, nie pozwól, by nasza rodzina się rozpadła. A teraz napij się jeszcze.

Piłam. Wódka była obrzydliwa, ale po kilku chwilach faktycznie poczułam coś w rodzaju znieczulenia.

– Nie pozwolę – powiedziałam niemal szeptem.

Kiedy zobaczyłam nasz rodzinny dom, myślałam, że serce mi pęknie. Połowa domu była zawalona, druga część, gdzie był pokój babci, stała nietknięta, ale w każdej chwili mogła runąć. W ścianach były dziury, podłoga porozrywana, sterczące deski wyglądały niczym kikuty. Przeszłam do salonu, na podłodze natknęłam się na odłamki szkła. Przez okno wpadał zimny wiatr. Sofy były porozpruwane, a od schodów poodrywane poręcze.

– Pewnie byli już tu złodzieje. – Tato rozglądał się na boki. W pewnym momencie jego wzrok zatrzymał się na ścianie. Spojrzałam w tamtą stronę.

– Tego nie udało im się zniszczyć – wskazał na rodzinny portret. Byliśmy na nim wszyscy, uśmiechnięci i szczęśliwi.

– Nie da się wszystkiego zniszczyć, zrównać z ziemią – przytaknęłam buńczucznie.

Tato poszedł do pokoju babci, a ja weszłam na pięterko, gdzie był mój pokój. Szyby były powybijane. Zaczęłam odruchowo sprzątać odłamki szkła z podłogi. Jak szalona zmiatałam je gołą ręką. Dłoń mi krwawiła, ale ja nie zważałam na to. Sprzątałam dalej. Kiedy w miarę ogarnęłam szkło, oparłam się o parapet. Spojrzałam za okno, gdzie przed wojną był park. W tym miejscu bawiłam się jako mała dziewczynka. Tam, pod tą wierzbą jadłam cukierki karmelkowe albo drożdżowe rogaliki babci...

Nie było czasu na wspomnienia. Zeszłam na dół. Spakowaliśmy babciną walizkę i ruszyliśmy do wyjścia.

– Zabierzemy cię w bezpieczne miejsce – powiedziałam do babci. Miała łzy w oczach.

– A czy jest jeszcze w Polsce bezpieczne miejsce? – zapytała zrezygnowanym głosem.

– Jest – skłamałam. – U nas na wsi jest w miarę bezpiecznie.

Kiedy już wychodziliśmy, babcia się odwróciła. Ogarnęła wzrokiem swój mały pokoik. Bibeloty, które zbierała całe życie, fortepian, na którym grał kiedyś mój

dziadek, a jej ukochany mąż.

Westchnęła.

– Starych drzew się nie przesadza.

Umarła we śnie tydzień po przeprowadzce. Umarła z tęsknoty.

ROZDZIAŁ 17

Jesień była wyjątkowo ciepła. Pamiętam, jak pewnego dnia wraz z Elizą i cicią Felicją poszłyśmy do lasu, nazbierać trochę grzybów. Przemierzałyśmy zarośla, kiedy usłyszałyśmy dziwne hałasy. Jak na komendę wszystkie trzy kucnęłyśmy i schowałyśmy się za krzakami.

Drogą szli ludzie, otoczeni przez niemieckich żołnierzy. Szli z torbami, potykając się o własne nogi. Dzieci płakały. Zapewne chciały pić i były głodne. Było wyjątkowo duszno. Patrzyłyśmy, jak Niemcy poganiali ludzi, bojąc się nawet westchnąć. Po kilkunastu minutach pochód zniknął, a mimo to nadal tkwiłyśmy w tym samym miejscu. Nagle usłyszałyśmy strzały, jeden za drugim. Odruchowo zatkałam sobie uszy. Wyszłyśmy z kryjówki po dobrej godzinie i pędem puściłyśmy się do domu, wysypując po drodze zebrane grzyby.

Następnego dnia przy śniadaniu Franek powiedział nam, że ci ludzie to byli Żydzi z okolicznych wiosek. Na polanie Niemcy kazali się im rozebrać, po czym zabierali ze sobą po dziesięć osób i...

Ciała wpadały do wykopanego wcześniej dołu. Ponoć na polanie zostało jedno małe, może dwuletnie dziecko. Dwóch żołnierzy wzięło je za ręce i rzuciło z całej siły o konar drzewa. Nieprzytomne dziecko jeden z żołnierzy wrzucił do rowu. Zostało pogrzebane żywcem... A może już wtedy nie żyło?

Tak opowiadał Franek.

– Skąd o tym wiesz? – zapytałam go.

– Dwóch naszych to widziało – powiedział ze smutkiem w głosie. – Nie mogli nic zrobić.

Zrobiło mi się niedobrze. Na chwiejnych nogach wstałam i ruszyłam na dwór. Chciałam zaczerpnąć świeżego powietrza, ale zamiast tego zaczęłam wymiotować.

Z Niemcami kojarzyło mi się wyłącznie słowo „wróg”. Nie chciałam w nich widzieć ludzi, bo przecież ludzie nie mogli być aż tacy źli. Niemcy ograbiali nas z tego, co najcenniejsze, z człowieczeństwa, z miłości, ze szczęścia. Zabrali nam godność. Jedli z naszych talerzy, spalili w naszych łóżkach, przykrywali się naszymi kocami. Zabrali nam naszą wiarę. W czasie okupacji nasz kościół został zamieniony na magazyn sprzętu wojskowego, a wyposażenie kościoła i szaty liturgiczne zostały zniszczone.

Tato nie wracał do domu od przeszło dwóch tygodni, więc mama postanowiła wybrać się do Warszawy, by zobaczyć, co się z nim dzieje.

– Felicja, będziesz zaglądała do dzieci? – zwróciła się do siostry.

– Nie jedź tam! – ciotka Fela próbowała ją zatrzymać.

– Muszę. Tam jest mój mąż. Nie wraca do domu od tylu dni.

– W Warszawie jest niebezpiecznie.

– Fela, muszę. Muszę się dowiedzieć, co z Janem.

– Skoro musiszz... Weź to – powiedziała cicho ciocia i wcisnęła w matczyną dłoń figurkę Matki Boskiej, która należała do ich mamy. Miała chronić od zła.
– Opiekuj się dziećmi – powiedziała mi mama na pożegnanie.
– Mamusiu! – Antek uczepił się matczynej spódnicy. – Nie chcę, żebyś jechała.
Mama ukucnęła przy synu i mocno go do siebie przytuliła.
– Kocham cię. Pamiętaj, że bardzo cię kocham.
Wstała. Oczy miała zamglone od łez.
– Ja też was kocham – rzekła jeszcze. – Bardzo was kocham, nigdy o tym nie zapominajcie. Bądźcie dzielni...

Wtedy ostatni raz widziałam mamę. Napisała jeszcze do nas później dwa krótkie listy, w których zapewniała, że u nich wszystko dobrze i żebyśmy się nie martwili. Później kontakt się urwał.

Po latach dowiedziałam się, że Niemcy wywieźli rodziców na Pawiak, a w czerwcu 1940 roku przeprowadzili egzekucję. Moich rodziców przewieziono tak jak i innych więźniów, wśród których byli lekarze, profesorowie, sędziowie, adwokaci, publicyści, artyści, do lasu w Palmirach i tam ich rozstrzelano. Prawie czterystu ludzi. Polską inteligencję. Okupant chciał w pierwszej kolejności zniszczyć właśnie inteligencję. Zabić naszego ducha, naszą kulturę.

Oglądałam kiedyś reportaż o tym, co działo się w Palmirach. Wypowiadał się w nim mieszkaniec pobliskiej wsi, który obserwował całe wydarzenie z ukrycia. Niektóre kobiety krzyczały, jednak większość tych ludzi szła w ciszy. Stanęli w rzędzie nad wykopanymi dołami. Jeden z oficerów odliczał, a potem rozległy się strzały. Ludzie wpadali do dołu. Niemcy przysypywali ich piachem i udeptywali ziemię. Nie sprawdzali, czy nie żyją. Wielu zapewne zostało pogrzebanych żywcem, ale dla nich to nie miało większego znaczenia. Świadek miał wrażenie, że niektórym żołnierzom sprawiało satysfakcję strzelanie do bezbronnych ludzi. Później wypowiadała się pani, która przeprowadzała ekshumację zwłok. Mówiła, że jedna z ofiar trzymała w ręce małą figurkę Matki Boskiej. Jestem przekonana, że to była mama.

Przynajmniej dowiedziałam się prawdy. *Ci ludzie chcieli, byśmy ich odnaleźli, zidentyfikowali, powiedzieli całemu światu, co się stało. Jesteśmy im to winni* – wybrzmiało w tym dokumencie. Dokładnie zapamiętałam te słowa...

Ktoś kiedyś zapytał mnie, czy wojna mnie zahartowała... Ponoć nie ma głupich pytań, ale to było wyjątkowo nietaktowne. Wojna zniszczyła moje życie, moje rodzeństwo utraciło beztroskie dzieciństwo. Nieraz widzieliśmy śmierć. W nasze życie wpisane było cierpienie. Codziennie pękało z bólu czyjeś serce.

Wiele razy zastanawiałam się, dlaczego mama pojechała wtedy do Warszawy. Zostawiła nas, a sama pojechała, odnaleźć ojca. Odpowiedziałam sobie na to pytanie dość szybko: to była miłość. Kiedyś opowiedziała mi historię ich związku...

Chcę, żebyś wiedziała – mówiła mama – że każda miłość ma prawo się narodzić. Miłość to wszystko, co najlepsze, dlatego skoro jest, to znaczy, że musi trwać.

Twój tato był przyjacielem rodziny. Młodym lekarzem. Kiedy się w nim zakochałam, miał dwadzieścia osiem lat, ja siedemnaście.

Oboje broniliśmy się przed tym uczuciem. On nawet bardziej ode mnie. To ja wykonałam pierwszy krok. Wiedziałam, że on czuje do mnie to samo, co ja do niego, ale że nie chce sprawiać mi kłopotów. Wiedziałam od pierwszego spojrzenia, że to jest ten jeden, jedyny, że chcę być jego żoną i matką jego dzieci.

Przystojny, wysoki, smukły, zawsze uśmiechnięty, a do tego inteligentny. Co druga pannica się w nim kochała, ale on odwzajemniał moje uczucia. Był częstym gościem w naszym domu.

Pamiętam jeden sierpniowy wieczór, kiedy wraz ze swoimi rodzicami gościł u nas. Kiedy kolacja się skończyła, Jan wyszedł na zewnątrz, a ja wyslizgnęłam się za nim.

– Co ty wyprawiasz? – zapytał przestraszony.

– Porozmawiajmy.

– To nie jest dobry pomysł.

– Proszę – nalegałam.

Wziął mnie za rękę i pociągnął w stronę zagajnika. Usiedliśmy na kłodzie drzewa. Ze wszystkich stron zasłaniały nas krzewy.

Jan spojrzał na mnie, ujął mój podbródek i odgarnął niesforny kosmyk z mojego policzka.

– Jesteś piękną dziewczyną – powiedział, a moje serce zaczęło bić z taką częstotliwością, że myślałam, że wyskoczy mi z piersi. – Jestem jednak od ciebie jedenaście lat starszy. I jestem przyjacielem rodziny. Szanuję ciebie – spuścił wzrok – i twoich rodziców. To nie mogłoby się udać.

– Nieprawda – pokręciłam gwałtownie głową.

– Posłuchaj, poznasz kiedyś chłopca w swoim wieku. Wyjdiesz za niego za mąż, będziecie szczęśliwi z gromadką rozbrykanych dzieci.

Moje oczy zaszyły łzami.

– Ale ja nie chcę innego. Ja chcę ciebie.

Westchnął.

– Zachowujesz się jak nadąsana księżniczka. Jak dziewczynka, a chcesz, bym traktował cię jak kobietę. Nie nabijaj sobie głowy jakimiś mrzonkami.

– Kocham cię – powiedziałam, a po moich policzkach zaczęły płynąć łzy.

Jan opuszką palca ścierał te łzy. Zamknęłam powieki.

– Czy gdyby nie dzieliła nas tak duża różnica wieku... Gdybyś nie był przyjacielem rodziny... – otworzyłam oczy.

– Nie wiem, co by było wtedy. Nie wiem...

Nie namyślając się wiele, zarzuciłam mu rękę na szyję i pocałowałam go w usta. Zobaczyłam w jego oczach błysk. Myślałam, że się odsunie, ale po chwili to on pochylił się nade mną i mnie pocałował. Językiem delikatnie rozchylił moje wargi. Chciałam tego. Niczego tak bardzo nie chciałam, jak całować się z Janem. Całowaliśmy się, a on gładził dłonią moje włosy. Chciałam, żebyśmy zniknęli i pojawili się w innym miejscu,

w innym czasie. Ale nagle Jan odsunął się ode mnie i wstał.

– Przepraszam – skłonił się. – Bardzo cię przepraszam. – Odwrócił się i odszedł. A ja siedziałam i płakałam. Oczy zapuchły mi od wylanych łez.

Następnego dnia dowiedziałam się, że Jan wyjechał do Krakowa. Myślałam, że serce pęknie mi z żalu.

Jak on mógł mi to zrobić? – zastanawiałam się.

Płakałam, spałam, płakałam, spałam. I tak w kółko. Kochałam go, tego byłam pewna. Nie wiedziałam, skąd to wiem, ale byłam o tym przekonana. W książkach, które podkradałam mamie, tak właśnie opisywano miłość.

Nieustannie oddawałam się marzeniom o Janie. Wyobrażałam nas sobie jako męża i żonę. Wykreowałam w myślach obraz szczęśliwej rodziny. Myślałam o naszym pocałunku, o jego bliskości, o naszym wspólnym życiu. Tęskniłam za nim. Bywałam też rozdrażniona i smutna. Bolało mnie najbardziej to, że wyjechał bez pożegnania, tak nagle, jakbym nic dla niego nie znaczyła.

Któregoś dnia postanowiłam wybrać się na spacer. Tato dołączył do mnie. Chwycił mnie pod ramię. Szliśmy w stronę lasu.

– Tatko, czy Jan nie wybiera się do nas przypadkiem w odwiedziny? – zapytałam.

Ojciec puścił moje ramię, stanął naprzeciwko mnie i spojrzał na mnie badawczym wzrokiem.

– Córuś, wiedzieliśmy z mamą od początku...

Poczułam, jak moje policzki robią się czerwone.

– Wiedzieliście, co do niego czuję?

Tato nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Nie możesz o nim marzyć – powiedział z naciskiem. – Jan lubi cię, a ty to źle odczytałaś.

– Nieprawda.

– Prawda! – w oczach taty zobaczyłam zgorszenie. – Zajmij się nauką, a nie marzeniami o nieodpowiednim mężczyźnie.

Myślałam o Janie przez dwa lata. Wspomnienia nie bolały mnie już tak bardzo, a jego obraz był wyidealizowany, mimo to wiedziałam, że muszę go jeszcze spotkać i zrobić wszystko, by do tego spotkania doprowadzić. Nie musiałam czekać długo. Mój ojciec zmarł, a Jan pojawił się na pogrzebie.

Po stypie wyszłam na spacer. Wiedziałam, po prostu to czułam, że Jan podąży za mną. Tak też się stało.

– Witaj – usłyszałam za sobą jego głos.

Odwróciłam się. Odśloniłam woalkę i spojrzałam mu prosto w oczy.

– Przyjechałeś.

– Tak.

– Dla taty... – nie dokończyłam, bo mi przerwał.

– Dla ciebie przyjechałem. Chciałem zobaczyć, jak się czujesz, jak sobie radzisz – podszedł bliżej i wziął w swoje ręce moje dłonie. A potem na każdej z nich złożył delikatny pocałunek.

Patrzyliśmy sobie przez chwilę w oczy.

Objął mnie i trwaliśmy w tym uścisku kilka minut. Kiedy ponownie na siebie spojrzeliśmy, jego usta odnalazły moje usta.

Całowaliśmy się żarliwie i zachłannie. Tonęłam w pożądaniu, w miłości, w tej chwili pełnej uniesień.

Mama skończyła opowieść.

A mnie do dziś wciąż pobrzmiewają w uszach jej słowa: „Miłość nie może być niewłaściwa. Pamiętaj, Marysiu, zawsze walcz o swoją miłość. Zawsze!”.

ROZDZIAŁ 18

Tuż po wojnie odwiedził nas sanitariusz Kazimierz, który od początku pracował z tatą. Wtedy nie wiedziałam jeszcze, że tata został rozstrzelany w Palmirach.

– Czy wie pan, co stało się z naszym ojcem?

Pokręcił głową.

– To był wspaniały człowiek, oddany swojej pracy – powiedział. – Myślałem, że go zastanę tutaj, na wsi. Dużo mi opowiadał o swojej rodzinie.

– Niestety. Słuch o naszych rodzicach zaginął... – powiedziałam ze smutkiem w głosie.

– Taki dobry człowiek, taki dobry człowiek... Kiedy na Warszawę spadały bomby, wasz tato zajmował się rannymi. Ich liczba rosła lawinowo z godziny na godzinę, więc pracował dzień i noc. Zmęczenie było ekstremalne. Czasami nie spał czterdzieści osiem godzin. Zasypiał dosłownie z bandażem w rękę. Ale po chwili uderzał się w twarz i dalej opatrywał rany. Kiedy udało mu się na chwilę położyć, zapadał w głęboki, twardy sen. Pracował na najwyższych obrotach. Byle pomóc jak największej liczbie osób. Nie wiedział, kogo operuje i komu pomaga. To przeważnie byli młodzi chłopcy. Chciał, by te dzieciaki wróciły do zdrowia. Kłął, kiedy pacjent umierał. Niekiedy płakał, choć nie było czasu na łzy. No i często opowiadał nam o rodzinie, o was.

Nie mieliśmy instrumentów do operowania. Pamiętam jedną sytuację, kiedy musieliśmy obciąć żołnierzowi nogę, bo wdała się gangrena. „Co z tą piłą?” – krzyczał wasz tata. „Kto mi przyniesie tę cholerną piłę? Ruszać się! Nie mamy czasu!” „Doktorze...” – odezwałem się cicho. „Co znowu? Nie czas na pogawędki”. „Nie ma piły”. „Jak to nie ma piły?” „Nie ma”. Wasz tato wyleciał z sali, a po chwili wrócił z czymś, co przypominało tasak. Ciął, aż pot kapał mu po czole... Dokończył operację, ręcznie łamiąc kość. Uratował tego chłopaka. Musieliśmy jednak opuścić stolicę. Przenieśliśmy się na obrzeża Warszawy, gdzie w szopach sąsiadujących ze sobą domów zorganizowaliśmy szpital polowy. Rozłożyliśmy też kilka namiotów, w których przebywali lżej ranni. Na skraju lasu stał bunkier, tam operowaliśmy.

– I tato też tam z wami był?

– Był.

– Myślałam, że prowadził własną praktykę...

– Zrezygnował z niej. Postanowił, że będzie operował w szpitalu polowym, bo tam jest bardziej potrzebny.

– A mama?

– Też do nas dołączyła. Szukała waszego taty w stolicy, uzyskała informację, gdzie jest, i przyjechała. Wasza mama bardzo nam pomogła. Miała wóz z koniem. Jeździła do okolicznych gospodarzy z prośbą o pomoc. I ludzie pomagali. Wasza mama miała wdzięk, dużo wdzięku, dlatego chętnie się z nią dzielili pościelą, jedzeniem, odzieżą. Tym, kto co miał.

– Mama na wozie? – zdziwiła się Eliza.

I ja się uśmiechnęłam. Pamiętałam przecież mamę jako delikatną kobietę. Była taka drobna, krucha. Ale ja wiedziałam, że drzemie w niej siła. Świetnie przystosowała się do życia na wsi.

Pamiętam ją z czasów „warszawskich”, sprzed wojny. Latem nosiła sukienki w kwiaty i buty na niewysokim, ale zgrabnym obcasie. We włosy wpinała kwiaty lub wkładała na głowę kapelusz z dużym rondem. Rozpuszczone, lekko pofalowane włosy zakładała za ucho. A kiedy wybierała się z tatkiem na bal, wyglądała niczym królowa. Wkładała wówczas połyskującą suknię do ziemi, toczek z woalką, a na ramiona narzucała futrzany kołnierz. Była piękną, dystyngowaną kobietą, która ubierała się u Braci Jabłkowskich na Brackiej. I ta nasza elegancka mama powoziła konia, pomagała rannym żołnierzom... Doprawdy trudno było nam w to uwierzyć.

– Wasza mama miała klaustrofobię i bała się ciasnych, zamkniętych pomieszczeń. Musiała się zmuszać, żeby zejść do bunkra. Wewnątrz czuć było wilgoć, stęchliznę i metaliczny zapach krwi. W sali operacyjnej stała prycza i stolik z instrumentami medycznymi, a jedynym źródłem światła była zwisająca z sufitu lampa naftowa. W sali obok leżeli ciężko ranni, dla których nie było już ratunku. Pielęgniarki i lekarze nazywali to pomieszczenie „umieralnią”. Oczywiście, nazwa ta była używana tylko wśród personelu, chociaż byliśmy przekonani, że ci młodzi chłopcy wiedzieli, co ich czeka, że właśnie tutaj spędzą swoje ostatnie chwile – w bunkrze, pod ziemią, gdzie śmierdziało zgnilizną, a po podłogach biegały szczury. Wielkie i agresywne stworzenia, które niekiedy trzeba było odganiać od chorych kijem, a i tak nie odpuszczały ataków. Lgnące do cuchnących zapachów były szczególnym zagrożeniem dla umierających, którzy nie mogli się bronić. Codziennie jedna z sióstr miała dyżur polegający na odganianiu szczurów. Wśród chorych plagą były wszy i pluskwy. I w takich warunkach trzeba było udzielać pomocy.

Dużo rozmawiałem z waszą mamą. Opowiadała mi o młodym chłopaku, Józiu. „Jak on strasznie wyglądał” – lamentowała. „Nawet ja, która widziałam już tyle ran i postrzałów, poczułam mdłości. Musiałam na chwilę wyjść na zewnątrz, by zaczerpnąć świeżego powietrza i się opanować. Chłopak nie miał połowy twarzy. Skóra na szyi była tak rozdarta, że widać było przelyk”. Wasz tato zszył mu twarz, a w waszą mamę wstąpiła nadzieja, że chłopak będzie żył. „Niewiele mu czasu zostało” – powiedział do niej. „Zaopiekuj się nim, jak najlepiej potrafisz”. „Ale wszystko jest zszyte...” „Otocz go opieką”.

Chłopak nie mówił, porozumiewał się z nią za pomocą kartki i ołówka. Podawała mu środki przeciwbólowe, bo strasznie jęczał. Gładziła delikatnie jego złociste włosy i uśmiechała się do niego. „Chciałbyś czegoś?” – zapytała raz. Napisał na kartce, że kompotu z mirabelek. Zdobyła mirabelki i nagotowała mu tego kompotu. Pił przez gumową słomkę. Każdy łyk sprawiał mu ból, ale wypił do końca. „Smakowało” – napisał drżącą ręką. Tego samego dnia umarł. „Wiesz co, cieszę się, że zdążył jeszcze wypić ten kompot i że mu smakował” – powiedziała wtedy do mnie. Pochowaliśmy Józia obok bunkra. Dwóch sanitariuszy zabiło krzyż. A potem wszyscy wrócili do pracy, do innych rannych.

Pan Kazimierz przerwał na chwilę i otarł rękawem oczy.

– Wasi rodzice pomagali partyzantom – kontynuował po chwili swoją opowieść. – Któregoś dnia dostaliśmy cynk, że powinni uciekać, bo gestapo węszy. Poza tym Niemcy byli coraz bliżej wsi. Lekarze i sanitariuszki zwijali manatki i uciekali. „Uciekaj, Lusia! Uciekaj” – powiedział wasz tato do mamy. „Nigdy” – pocałowała go, odwróciła się i poszła opatrywać rannych. W oczach waszego ojca widziałem olbrzymi smutek. Następnego dnia przyniosłem im ubrania cywilne. Błagałem go, żeby uciekał, żeby ratował siebie i żonę. Mówiłem, że zajmę się rannymi.

Przebrali się. Ruszyli w stronę drzwi. Mocno trzymali się za ręce. W progu jak na zawołanie, oboje odwrócili się i spojrzeli na tych wszystkich rannych nieszczęśników. Nic nie powiedzieli, tylko poszli się z powrotem przebrać i wrócili do chorych. Któregoś dnia pojechałem wozem po zaopatrzenie, a kiedy wracałem, zobaczyłem młodego chłopaka, który wymachiwał do mnie rękami. Zatrzymałem konie i zapytałem go, co się dzieje. „Pali się!” – dyszał. „Niemcy podpalili szpital”. „Jezu!” – krzyknąłem, po czym pognałem konie.

Personel w popłochu wynosił na zewnątrz rannych. Pacjenci układani byli na furmankach. Szopa płonęła. Wasza mama bez zastanowienia ruszyła w tamtą stronę. Ktoś krzyczał za nią, a ona biegła co tchu. Weszła na drabinę...

Cały budynek zajęty był ogniem. Płomienie buchały przez okna. I wtedy przypomniało mi się, co wasz ojciec mówił o szopie, że jeśli wybuchłby kiedyś pożar, to wszystko się spali. Ściany szopy zbudowane były z gliny. Gdyby były z cegły, ogień nie rozprzestrzeniałby się tak szybko. „Lusia!” – usłyszałem rozpaczliwy krzyk doktora. Chciał biec w stronę płonącej szopy, ale dwóch sanitariuszy go powstrzymało. Spojrzałem na ludzi, którzy gasili pożar. Byli bezsilni. Brakowało wody. Pielęgniarka zapytała waszego ojca, czy mógłby pomóc przy rannych. „Tam jest moja żona” – odpowiedział, wskazując palcem na szopę. Po chwili pomagał już rannym, mokrymi prześcieradłami owijał zwęglone zwłoki i płakał. Jak on wtedy płakał! Bał się, że wśród trupów ujrzy ciało żony.

I kiedy nastał świt, był tak zmordowany, że zasypiał wręcz na stojąco. I wtedy ktoś dotknął jego ramienia. To była wasza mama. „Lusia! Jezu, Lusia!” – pan doktor spojrział na osmoloną twarz żony. „Ty żyjesz!” – śmiał się przez łzy. „Wyskoczyłam z okna. Straciłam przytomność...” „Boże! Usiądź, wszystko w porządku?” „Będę żyć”. Oboje płakali. A potem wasza mama wyciągnęła z kieszeni figurkę Matki Boskiej. „Ochroniła mnie” – powiedziała. Wtedy widziałem ich po raz ostatni. I pomyślałem sobie, że zazdroszczę im tej wielkiej miłości. Jeszcze tego samego dnia przyszli Niemcy i zabrali waszych rodziców.

– Wie pan, co się z nimi stało? – zapytałam.

Pokręcił głową.

– Nie. I nie chcę zakładać najgorszego. To byli tacy dobrzy ludzie, tacy dobrzy... A jak się kochali... Miałem nadzieję, że wrócą do swojego domu, że po wojnie ich odnajdę...

Babcia zamyśliła się.

– Wróćmy jednak do początków wojny – powiedziała. Sięgnęła po filiżankę i upiła łyk herbaty...

Franek otrzymał nakaz pracy w pobliskim lesie. Razem z innymi mężczyznami woził drewno z lasu na stację kolejową. Pracował trzy dni w tygodniu, w pozostałe miał pracować u nas w gospodarstwie. Lecz musisz wiedzieć, że nie pracowaliśmy dla siebie. Wszystkie plony ziemi miały być oddane Niemcom, okupanci zabierali także część jajek, mleko, mięso świń czy królików.

Franek był silnym i mądrym młodym mężczyzną. Wciąż narzekał, że zamiast się kształcić, tnie drzewa i wymachuje łopatą. Czasem miałam wrażenie, że ciężka praca trawi jego umysł. Kiedy przychodził do domu, był jakiś otępiały. Staralam się go zachęcić, by przynajmniej rozwiązywał ze mną łamigłówki albo czytał książki. Bałam się, jak sobie poradzi, gdy wojna się skończy. Czasami jednak brat był zbyt zmęczony, aby czytać. I wcale mu się nie dziwiłam, patrząc na jego dłonie pokryte bolesnymi, pękającymi bąblami.

Mijały dni, tygodnie... Pewnego dnia zauważyłam, że brat chowa za pazuchą pajdy chleba, czasami kawałek mięsa.

– Franek, dla kogo wynosisz jedzenie? – zaczepiłam go.

– Jestem głodny, ciężko pracuję – mówił, nie patrząc mi w oczy.

– Powiedz... – wiedziałam, że kłamie.

– No dobrze... – westchnął. – W lesie ukrywa się młode żydowskie małżeństwo. Mieszkają w ziemiance. Z dzieckiem. Kobieta jest w ciąży z drugim maleństwem. Jak mam im nie pomóc?

Przełknęłam głośno ślinę.

– Może zanieziesz im jakieś koce?

– Jak? Za dnia pracuję. Niemcy są wszędzie.

– Może nocą? Wymkniemy się. Pójdę z tobą.

– Nie. Im więcej ludzi wie o ich kryjówce, tym gorzej. Sam dowiedziałem się przez przypadek. Rąbaliśmy drewno, kiedy usłyszałem kwilenie dziecka. Z Tadzkiem przestaliśmy ciąć. Kiedy rozejrzałem się dookoła, pod stertą liści zobaczyłem niewielką górkę. Coś się poruszyło. Nie wykonałem żadnego ruchu, dookoła nas chodzili żołnierze, nie chciałem ściągnąć ich uwagi. Nagle dojrzałem czyjąś głowę wyłaniającą się jakby spod ziemi. Ten człowiek natychmiast się schował. Kwilenie dziecka jednak nie ustępowało. Chwyciliśmy z Tadzkiem za siekiery i rozpoczęliśmy ścinkę drzew, byle tylko zagłuszyć kwilenie. Którejś nocy poszedłem w tamto miejsce. Długo błądziłem, aż w końcu natrafiłem na ziemiankę.

– To ja, swój – powiedziałem cicho, żeby nikogo nie przestraszyć. Z ziemianki wyszedł mężczyzna. Opowiedział mi swoją historię. Od tej pory, gdy tylko mogę, noszę im jedzenie.

– Wiesz, co grozi za pomoc Żydom?

Prychnął.

– Żydzi, Słowacy, Niemcy, Polacy – wszyscy jesteście ludźmi.

– Wszyscy jesteście ludźmi... – powtórzyłam jak echo.

Przez chwilę milczeliśmy. Pierwszy odezwał się Franek:

– Myślisz, że ja się nie boję? Boję się. Kiedy po raz pierwszy poszedłem do lasu z jedzeniem, w mojej głowie kłębiło się tysiące myśli: „Już tu więcej nie przychodź. Chronź siebie i swoją rodzinę. Nie patrz. Nie pomagaj. Odwróć się i uciekaj”... I wierz mi, w pierwszym odruchu chciałem tak zrobić, ale nie mogłem.

Franek spuścił głowę.

– Tam są ludzie, tacy jak my. Tam jest kobieta w ciąży i małe dziecko... I mógłbym udawać, że ich tam nie ma, ale nie mogę. Nie mogę.

Objęłam brata ciasno ramionami. Był taki szczupły, taki młody, taki kochany.

Było dość chłodno. Włożyłam na siebie kilka warstw ubrania i poszłam rąbać drewno.

– Pomogę ci – za plecami usłyszałam głos Elizy.

Razem udało nam się narąbać sporo drewna. Ułożyliśmy je w szopie.

– Dzięki za pomoc – powiedziałam do siostry.

Skinęła głową. Wiedziała, że chce mi o czymś powiedzieć. Zamknęła drzwi szopy.

– Idę pracować do szpitala.

– Do szpitala? Jesteś chyba za młoda.

– Młodsze dziewczyny pracują w szpitalach. Chcę coś zrobić dla tego kraju. Rozumiesz?

– Tak, rozumiem. Tyle że tam jest harówa od świtu do nocy. To nie są takie szpitale jak przed wojną. Chorzy, ranni ludzie leżą na korytarzach, w schronach. Brakuje leków, bandaży. Tam się dzieją straszne rzeczy. Trzeba robić więcej, niż ci się wydaje.

– Dam radę – powiedziała stanowczym tonem. – Chcę pomóc. Mogę nawet myć podłogi.

– Nie chcę cię stracić. Rodziców już straciliśmy.

– Nie mów tak! – oburzyła się siostra.

– Słuch o nich zaginął.

– Będę na siebie uważała. Przysięgam.

Westchnęłam ciężko.

– Co za rodzina? Wszyscy chcą walczyć, pomagać, służyć ojczyźnie.

– Powinniśmy być wdzięczni naszym rodzicom za to, jak nas wychowali.

– Powinniśmy...

Eliza myślała, że przejdzie szkolenie, by zostać pielęgniarką. Taki był zamysł, ale nie było mowy o szkoleniu, kiedy wokół było tylu rannych, kiedy wojna trwała w najlepsze.

Dziewczyna była dzielna i chętna do pracy. Wiedziała, jak bardzo potrzebna jest każda para rąk. Przez pierwsze dni szorowała ubikacje, podłogi, prała bandaże

i brudną pościel.

Szpital, w którym pracowała Eliza, znajdował się w opuszczonej, starej szkole, jakieś osiem kilometrów od naszej wioski.

Moja młodsza siostra bardzo polubiła inne sanitariuszki, a także lekarzy. Cały personel był świetnie zgrany. Rozumieli się bez słów. Tylko oni wiedzieli, ile żydowskich dzieci ukryli pod stosami bandażu. Gdyby tylko ktoś ich wsypał, wszystkich by rozstrzelano lub wysłano do obozu.

Niekiedy zjawiał się ktoś, kto prosił o wizytę u chorego w domu. Najczęściej w tych domach ukrywali się postrzeleni partyzanci. Eliza nigdy nie odmówiła pomocy. Pracowała od świtu do nocy. Słyszałam od znajomej lekarki, jak ciężko pracuje, a nigdy się nie skarżyła. Czasami nie przychodziła do domu kilka dni, a kiedy już przyszła, padała na fotel i spała na siedząco, w poplamionym od krwi fartuchu, z opaską z czerwonym krzyżem na ramieniu.

Bywały dni, że Eliza była bardzo przygnębiona.

– Masz pojęcie, co tam się dzieje? – zapytała mnie któregoś dnia podczas śniadania.

– Nawet nie chcę sobie wyobrażać.

– Młodzi chłopcy mają pourywane kończyny, przestrzelone klatki piersiowe. Wyją, jęczą, płaczą, a niektórzy z nich leżą na korytarzach. Czasami marzną. Bandaże przesiakają krwią. Ranni wołają o pomoc, a ty nie możesz podejść, musisz zająć się innym chorym, który cierpi bardziej. Ci mężczyźni chcą żyć, a tak często umierają. Za szybko, za wcześnie... – westchnęła ciężko.

– Ta praca jest dla ciebie za ciężka... – powiedziałam. Martwiłam się o nią.

Popatrzyła na mnie z wyrzutem.

– A ci, co są ranni, co oddają życie na froncie, myślisz, że mają lekko?

Któregoś dnia odwiedziłam Elizę w szpitalu. Z podziwem patrzyłam, jak biega po korytarzu z kilkoma kocami przewieszonymi przez ramię, poprawia rannym poduszki, uśmiecha się do nich, chwytając za rękę. Powie ciepłe słowo, pocieszy, a nawet przytuli, kiedy trzeba. Spełniała swoje obowiązki bez cienia skargi, z anielską cierpliwością. Pomyślałam, że rodzice byliby z niej dumni.

Poczułam ogromne wzruszenie. Podeszłam do niej i do kieszeni jej fartucha wsunęłam czekoladę. Kiedy wychodziłam, zobaczyłam jak rozwija czekoladę z papierka i dzieli między chorych. Nie wiem, czy ona sama zjadła chociaż kostkę. Pewnie nie...

Już miałam wychodzić ze szpitala, kiedy drzwi się otworzyły i do środka wpadli sanitariusze, niosąc na noszach kolejnych rannych. Odsunęłam się na bok. Na korytarz wybiegli lekarze i sanitariuszki.

– Na salach nie ma już miejsc – zakomunikował jeden z lekarzy. – Trzeba się nimi zająć tutaj. A potem na stół. Siostró? – zwrócił się do Elizy doktor. – Nie słyszałam, o co ją prosił, bo na korytarzu zrobiło się zamieszanie. Widziałam tylko, jak Eliza rozcina mundur. Był brudny od błota. Kleił się od krwi i ropy.

Wraz z innymi sanitariuszkami moja siostra obmywała ciała rannych żołnierzy. Niektórych rannych kładły na pryczach na korytarzach, innych odsyłały na blok operacyjny.

Powietrze stało się ciężkie. Odór był nie do zniesienia. Mimo to nikt się nie skarżył, nikt nie narzekał.

Nie wiedziałam, że moja siostra ma w sobie tyle hartu ducha, tyle odporności psychicznej i że jest tak dobrym człowiekiem...

W październiku 1939 roku najmłodsze dzieci wróciły do szkoły. Antek i Emilka byli zaaferowani, że spotkają swoich dawnych nauczycieli.

– Teraz będą inni nauczyciele – wytłumaczyłam im łagodnie.

– Inni?

– Tak.

– A co z panią Michałowską?

Wzruszyłam ramionami, bo niby co miałam im powiedzieć. Odprowadziłam dzieciaki do ich macierzystej Szkoły Powszechnej. Na porannym apelu oznajmiono zgromadzonym rodzicom i dzieciom, że obowiązki dyrektora przejmuje Helga Hirsh, a uczyć będą głównie niemieccy nauczyciele. Zaprowadziłam Emilkę pod salę, gdzie miała rozpocząć naukę w piątej klasie, a Antka do tej sali, w której zbierali się trzecioklasiści.

– Czy teraz będę musiał rozmawiać po niemiecku? – zapytał drżącym głosem. Kucnęłam obok niego.

– Nie wiem, ale chyba tak.

– Ale ja nie chcę.

– Wiem, że nie chcesz – tuliłam go do siebie. Antoś był takim wrażliwym dzieckiem.

– Ale tak będzie lepiej dla ciebie. Niekiedy trzeba się przystosować.

„Przystosowanie” było najgorszym słowem, które wtedy musiałam wypowiadać. Ludzie musieli się przystosowywać do nowych warunków, nakazów, zakazów. Choć w sercu wrzało, to i tak trzeba było spuszczać głowę i się przystosowywać.

Pamiętam, że tamtego dnia Antek i Emilia wrócili ze szkoły koło czternastej.

– I jak było w szkole? – uśmiechnęłam się pytająco do Emilki.

– Jak to w szkole – dziewczynka wzruszyła ramionami.

– A u ciebie? – zapytałam delikatnie Antka, widząc jego ponurą minę.

– Przez całą lekcję powtarzaliśmy za niemieckim nauczycielem: „Ich werde euch die flöten Töne beibringen”. – Wiesz, co to znaczy? – spojrzał na mnie wymownie.

Oczywiście, że wiedziałam. Mój niemiecki był dość dobry.

– „Ja wam zagram tak, abyście tańczyli zgodnie z moją melodią”.

Ten niemiecki nauczyciel zapewne będzie im grał swoją melodię, a dzieciaki będą musiały to wszystko znosić.

Minęło kilka tygodni. Moje rodzeństwo uczyło się rachunków i przyrody. Na przerwach polecano im rozmawiać tylko po niemiecku. Modlitwy przed nauką czy po nauce nie odmawiano. Na drodze do lub ze szkoły często dzieci polskie były prześladowane przez dzieci niemieckie (bo musisz wiedzieć, że przed wojną w naszych stronach mieszkało wiele rodzin niemieckich). Nauczyciele również nie byli lepsi.

Chętnie stosowali kary cielesne za byle przewinienie.

Emilka jakoś specjalnie nie narzekała na szkołę, ale Antek zamknął się w sobie. Pamiętam jak pewnego niedzielnego popołudnia siedział na ławce przed domem i rzucał kamyki w stronę pobliskich drzew. Usiadłam obok niego.

– Antek, co jest?

– Nic.

– Przecież widzę, że coś cię trapi.

– Jutro trzeba iść do szkoły.

– Tak, trzeba.

– Nie cierpię tam chodzić.

– Masz problemy ze zrozumieniem niemieckiego?

Pokręcił głową.

– Nie lubię pana Krause.

– Jest wymagający? – wiedziałam, że muszę być delikatna w tym temacie.

– Raczej złośliwy i niesprawiedliwy. Mamusia zawsze nam powtarzała, że trzeba być sprawiedliwym. Mamusia zawsze dzieliła sprawiedliwie cukierki. Nawet ty dostawałaś słodczyce, choć byłaś starsza.

– Nawet ja... – westchnęłam. Miałam ochotę się rozplakać. Było mi ciężko... Bardzo tęskniłam za rodzicami.

– Czy oni wrócą?

– Nie wiem, Tośku, nie wiem.

– Chciałbym, żeby wrócili.

– Ja też bym chciała...

Chciałam go przytulić, ale kiedy go objęłam, syknął.

– Co się stało?

– Nic.

– Coś cię boli, prawda?

Skinął głową.

– Tyłek i plecy. Dostałem za to, że nie słuchałem nauczyciela.

– A nie słuchałeś?

– Byłem zamyślony.

– O czym myślałeś?

– O tym, jak było kiedyś. I o tym, że chciałbym porozmawiać z mamą.

Przełknęłam ślinę. Poczułam ucisk w żołądku.

– Bardzo cię zbił?

Wzruszył ramionami.

– Kilka razy dostałem różgą po tyłku i plecach.

– Może opatrzę ci rany? – powiedziałam. Czułam się taka bezradna. Nie sprawdzałam się jako opiekunka.

– Daj spokój, nie będziesz oglądała mojego tyłka. I tak mniej boli niż w piątek.

Skinęłam głową. Wiedziałam, że nie mogę naciskać na brata.

– Wiesz... – zaczął po chwili. – Ta nasza Emilka to jest twarda.

– Tak, dlaczego?

– Ona dostała różgi po palcach. To bardzo boli. A mimo to nie poskarżyła się nikomu.

– Skąd o tym wiesz?

– Siostra Wacka mi powiedziała.

Boże jedyny, co oni wyprawiają z naszymi dziećmi? – pomyślałam z bólem w sercu.

Tamtej nocy długo nie mogłam zasnąć. Zastanawiałam się, jak sobie z tym wszystkim poradzę. Miałam dopiero dziewiętnaście lat. Niby byłam dorosła, ale czułam się w głębi serca dzieckiem. Po policzkach zaczęły kapać łzy. Tęskniłam za mamą. Tyle chciałabym jej powiedzieć, o tyle rzeczy zapytać, poradzić się. Chciałam, by mnie objęła i mocno do siebie przytuliła. Myślałam też o ojcu, a smutek narastał we mnie z każdą minutą. Płakałam długo, a potem ogarnęła mnie złość. Dlaczego nas opuścili? Mogli z nami zostać, to my ich bardziej potrzebowaliśmy. Po chwili jednak zawstydziłam się swoich myśli.

Pamiętam dokładnie pierwszą wojenną Wigilię. Była dla nas trudna. Nie mieliśmy wieści od rodziców, jednak łudziliśmy się, że w ten wyjątkowy wieczór wrócą. Staraliśmy się być pogodni, ale każdy w sercu czuł ogromny smutek.

Ciocia Fela przyniosła trochę jedzenia, ja upiekłam makowca i jeszcze jedno ciasto. Łamiącymi się głosami śpiewaliśmy kolędy. Bóg się rodził, a wokół tyle ludzi umierało.

Wtedy Franek powiedział, żebyśmy nie tracili wiary.

– Rodzice wrócą – oznajmił. – Wojna się skończy może już wiosną, kiedy Anglia i Francja ruszą z ofensywą.

– Obyś miał rację – powiedziała ciocia Felicja i zapatrzyła się w migotliwy płomień świecy.

Mijały jednak tygodnie, miesiące, a wojna wciąż trwała.

Któregoś dnia Franek wszedł do mojego pokoju w środku nocy.

– Sara rodzi – powiedział.

– Sara? Jaka Sara?

– Ta z ziemianki. Musimy im pomóc.

– Trzeba biec po akuszerkę.

Franek pokręcił głową.

– A kto niby ma się tym zająć?

– Ty.

– Ja?

– Nie ma czasu.

Nie wiedziałam, co robić. Ręce mi się trzęsły. Podarliśmy z Frankiem prześcieradło, które miało służyć jako pieluchy. Ze strychu brat zdjął stare pudło, w którym mama przechowywała wyprawkę po Antku. Spakowaliśmy w pośpiechu ubranka dla dziecka, koce, trochę jedzenia.

Pomogłam odebrać ten poród. Nie pamiętam, co robiłam, i czy w ogóle w jakikolwiek sposób pomogłam rodzącej kobiecie. W zasadzie tylko ocierałam jej czoło i trzymałam za rękę, a potem odciąłam pępowinę. Mama nieraz opowiadała mi o porodach, więc miałam o nich jako takie pojęcie. Kiedy zobaczyłam to dzieciątko, ogarnęło mnie wzruszenie. Sara mocno tuliła je do siebie i przemawiała do niego pieszczotliwie.

A potem zaczęła dziękować mi za wszystko.

– Ale ja nic nie zrobiłam.

– Bardzo pomogłaś. Bardzo. – Wiedziałam, że to nieprawda.

Wróciliśmy do domu nad ranem.

Pewnie jesteś ciekawa, co się z nimi stało... Cóż, wiem to od mojego brata Franka... Pewnego dnia wyszli całą rodziną z ziemianki. Spacerowali. Była piękna wiosenna pogoda, a wokół panowała niezmacona cisza. Ptaki ćwierkały, drzewa się zieleniły. Przez chwilę zapewne wydawało im się, że nie ma żadnej wojny. Że to wszystko jest tylko złym snem. Nagle usłyszeli ujadanie psów. Zaczęli uciekać w stronę ziemianki. Mężczyzna przykrył miejsce ściółką i mchem, a sam ruszył dalej. Chciał zmylić trop. Chciał, by psy i niemieccy żołnierze pobiegli za nim. Niestety, stało się inaczej. Psy dopadły do ziemianki, łapami rozgrzebały liście. Niemcy rzucili granat.

Uciekający Żyd przystanął, odwrócił się, a potem zaczął przeraźliwie krzyczeć. Osunął się na kolana i zaczął się modlić, prosząc Boga, by ten huk nie oznaczał najgorszego. Kiedy chwilę później wrócił do ziemianki, w miejscu kryjówki widniała potężna dziura, a dookoła rozrzucone strzępy ciał jego bliskich.

Przez wiele dni wałęsał się bez celu. W końcu przyszedł do wsi. Stara Wieszczakowa ukryła go w piwnicy. Franek rozmawiał z nim raz. Próbował jakoś pomóc. Ale to nie był już ten sam człowiek. Tydzień później wrócił do lasu. Powiesił się na własnym pasku na jednym z drzew.

ROZDZIAŁ 19

Piątkowego wieczoru rodzeństwo już spało, a ja przygotowywałam kaszę z marchewką na kolejny dzień. Nagle drzwi do kuchni otworzyły się z impetem i stanął w nich mężczyzna. Nie wiem dlaczego, ale nie przestraszyłam się go. Miał na sobie szary mundur, oficerki. Był wysoki i barczysty. Zdjął czapkę i zagadnął po polsku z niemieckim akcentem (Dopiero dużo później dowiedziałam się, że jego babka ze strony matki była Polką. Niechętnie się do tego przyznawał.):

– A kogo my tu mamy?

– Ja – nie byłam w stanie wydusić z siebie słowa – Ja... – jękałam się. – Jestem Maria.

– Marysza – powiedział.

– Marysia – poprawiłam go. O dziwo, odzyskałam głos.

Oficer rozglądał się po kuchni, potem przeszedł do salonu.

– Pięknie tu – powiedział. – Zostajemy.

– Ale jak to? To nasz dom. Nie mieszkam tutaj sama...

Nic nie odpowiedział. Po chwili u jego boku pojawił się adiutant. Oficer nachylił się w jego stronę i coś do niego powiedział szeptem. Mój niemiecki był naprawdę dobry, mieliśmy kiedyś guwernantkę ze Śląska, która nauczyła nas mówić w tym języku. Jednak mężczyźni rozmawiali cicho i nie potrafiłam odróżnić słów.

Oficer ruszył w stronę schodów.

– Chwileczkę – poszłam za nim.

– Tak? – odwrócił się.

– Na górze śpi moje rodzeństwo.

– Obiecuję, że będę cicho – powiedział łamaną polszczyzną.

Słyszałam, jak delikatnie otwiera drzwi do kolejnych pokoi. Po chwili zszedł na dół.

– Jestem Franz – powiedział do mnie, kiedy ponownie pojawił się w kuchni.

Nic mnie to nie obchodzi – pomyślałam w duchu. W tamtej chwili pragnęłam jedynie, by moi rodzice wrócili. Dławienie w gardle narastało i tylko resztkami sił powstrzymywałam się, by nie wybuchnąć płaczem. Tymczasem adiutant wnosił walizki, a oficer rozsiadł się w fotelu.

Dłużej tego nie wytrzymam – myślałam.

– Zajmę salon, któryś z pokoi będzie należał do adiutanta.

– Tylko że my nie mamy wolnego pokoju.

– Rano trzeba będzie zrobić rozsadę. Dziś nie budźmy już dzieci – powiedział.

Skinęłam głową, chociaż serce pękało mi z bólu.

– Jest w tym domu jakiś gabinet? – zapytał.

– Tak, na górze po prawej stronie, ale to jest gabinet ojca.

– Drzwi są zamknięte.

Skinęłam głową.

– A gdzie jest twój ojciec, Maryszu?

– W Warszawie.

– Dobrze, w takim razie ja chwilowo zajmę jego gabinet.

– Tylko że tam są zbiory ojca... Gabinet jest zamknięty...

– A gdzie jest klucz? – spoglądał na mnie ze zniecierpliwieniem.

– Ja go mam, ale nawet my tam nie wchodzimy.

– Zajmę ten gabinet – powiedział z naciskiem.

– Mogę iść do siebie? – głos mi drżał, a ręce się trzęsły.

– Nie musisz mnie pytać o zgodę. To twój dom...

Ale ty tu jesteś – pomyślałam ze smutkiem.

Franz zorientował się najwyraźniej, że jestem w rozsypce. Wydawał się być tym poruszony.

Weszłam jeszcze na chwilę do kuchni, żeby zdjąć z ognia garnek. Odcedziłam kaszę, po czym nakryłam garnek pokrywką i poszłam na górę do swojego pokoju. Myślałam, że nie zasnę. O dziwo, sen nadszedł szybko.

Franz opowiadał mi później, że tego wieczoru jeszcze długo siedział w fotelu i rozglądał się po salonie. Podobało mu się u nas, jednak wiedział, że jest w naszym domu tylko gościem i musi się zachowywać jak gość. Kiedy zobaczył dworek na końcu wsi, pierwsze, co poczuł, to radość, że właśnie tutaj został zakwaterowany. Do domu prowadziła szeroka droga, ocieniona strzelistymi topolami. Białą budowlę z portykiem i dużym tarasem otaczały okazały ogród. Wnętrze urządzone było z wielką starannością. W kredensach stała porcelana i kryształy, na ścianach wisiały gustowne obrazy, meble obite były drogimi materiałami...

Obudziłam się wczesnym rankiem. Z salonu dobiegały rozmowy prowadzone po niemiecku. Słyszałam też kroki i śmiechy. Wystraszyłam się. Przemknęłam do pokoju, w którym spało rodzeństwo. Obudziłam młodsze dzieci, a także Franka i Elizę, po czym opowiedziałam im o tym, co się zdarzyło poprzedniego wieczora. Nie przerywali mi, patrzyli tylko na mnie szeroko otwartymi oczami, niewiele rozumiejąc. Nie wiedziałam, jak im wytłumaczyć, że jest wojna i zakwaterowywanie Niemców w polskich domach jest normalną rzeczą... Na szczęście ten niemiecki oficer i jego adiutant wydawali się być kulturalnymi ludźmi.

– Mamy duży dom, jakoś się wszyscy pomieścimy – powiedziałam w końcu.

Eliza głęboko westchnęła. Na jej twarzy pojawiło się rozdrażnienie.

– Będziemy mieszkać pod jednym dachem z Niemcami? – rzuciła.

– Na to wygląda.

– Jezu, Marysia...

– A co niby miała zrobić? – wtrącił się Franek.

– Nie wiem, powstrzymać ich.

– Nic nie mogła zrobić – powiedział, stając w mojej obronie.

Od tej chwili nasze życie zmieniło się diametralnie. W związku z przybyciem nowych lokatorów musieliśmy zwolnić jeden pokój. Młodsze dzieci ulokowałam więc w sypialni rodziców, Eliza przeniosła się do pokoju Franka, a on zrobił sobie lokum na sianie w przybudówce obok stajni. Ja natomiast postanowiłam urządzić się w starym

składziku w pobliżu strychu.

Oberleutnant Franz przywitał się z dziećmi łamaną polszczyzną, oznajmiając od razu, że on i jego adiutant nie będą wchodzić nikomu w drogę. Widziałam, że był zdenerwowany. Mówił łamaną polszczyzną, sporo gestykułował. Franek, i Eliza patrzyli na niego z jawną kpiną, tak mi się przynajmniej wydawało. Kiedy został sam, zaczął przechadzać się po domu. Chciał go jeszcze raz obejrzeć w świetle dnia.

Cały dzień zajęło nam przenoszenie rzeczy. W moim składziku było sporo rupieci, które przesunęłam na jedną stronę. Żelazne łóżko lekko skrzypiało, ale było w miarę wygodne. Do starej komody powkładałam pościel i ubrania. Otworzyłam na oścież okno. Było dość chłodno, rześko, pachniało lasem.

Zapadł zmrok. Tej nocy długo nie mogłam zasnąć. Nasłuchiwałam odgłosów śpiącego domu. Ktoś zachrapał, ktoś się przewrócił na bok, kot miauknął przez sen. Życzyłabym sobie takiego spokoju za dnia. Żeby w Polsce był spokój. I jeszcze żebym mogła zobaczyć mamę i tatę. Zacisnęłam mocno powieki. Zasnęłam...

Kiedy raniem weszłam do salonu, Oberluntant Franz siedział w fotelu z gazetą.

– Gutten Morgen – przywitałam się z nim.

Wstał i odwrócił się w moją stronę.

– Dzień dobry – odpowiedział po polsku i uśmiechnął się do mnie, ja jednak spiorunowałam go wzrokiem.

Niosłam tacę, na której ustawione były talerzyki z kromkami chleba z powidłem oraz dzbanek z kawą. Ominęłam go, nie zaszczycając ani jednym spojrzeniem. Kiedy znalazłam się przy schodach, Franz odezwał się:

– Mam nadzieję... – zaczął.

Odłożyłam tacę na schodek i odwróciłam się w jego stronę.

– Oberleutnant Franz, skoro już pan tutaj jest, chcę zaznaczyć, że nie mam ochoty się z panem zaprzyjaźniać ani nawet z panem rozmawiać. Powinniśmy się komunikować tylko w podstawowych sprawach. Milczenie chyba nie jest zbrodnią, prawda? – Wytrzymałam jego spojrzenie. To on spuścił wzrok pierwszy.

– Możesz milczeć, jeśli ci to odpowiada.

Skinęłam głową. Franz zapewne nie przypuszczał, jak bardzo się go boję. Moje serce biło tak mocno, że omal nie wyskoczyło z piersi.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby nie okazywać serdeczności – powiedział.

Zauważyłam uśmiech na jego twarzy, mogłam tylko przypuszczać, że cała ta sytuacja go śmieszyła. Skinęłam głową, podniosłam tacę, po czym weszłam po schodach na górę.

Następnego dnia Oberleutnant Franz Schall zaprosił na kolację kilku niemieckich oficerów. Sprowadził kucharza, który miał przyrządzić jedzenie. Polecił też nakryć stół najlepszą zastawą. To była srebrna ślubna zastawa naszych rodziców. Kiedy nakrywałam do stołu, coś ścisnęło mnie w mostku i nie pozwalało oddychać.

– Kryształowe kieliszki też – nakazał adiutant po niemiecku.

Wzruszyłam ramionami, udając, że nie rozumiem. Rozumiałam. Rozumiałam niemal

wszystko.

Adiutant wyjął jeden kieliszek z kredensu i podstawił mi pod nos.

– Kieliszek. Wszystkie kieliszki.

Posłusznie ustawiłam na stole kieliszki. A potem wyjęłam z szafki sztuczne kwiaty i wstawiłam do wazonu.

– Zgłupiałaś? – skarciła mnie siostra. – Po co te kwiaty?

– Nie ma jeszcze kwiatów w ogrodzie, a te...

– Chcesz uprzyjemnić Szwabom życie?

– Oni są dla nas mili.

– Jesteś stuknięta – złapała się za głowę. – To najeźdźcy, barbarzyńcy.

Nagle zza moich pleców usłyszałam głos Franza:

– Nie jesteśmy potworami.

Zamarłam. I co teraz? Przecież rozumiał. Spojrzał na Elizę, potem na mnie. To spojrzenie trwało odrobinę za długo. Minał nas i udał się do salonu.

– Zgłupiałaś? – zgałłam siostrę.

– Powiedziałam tylko to, co czuję.

– Zachowaj pewne myśli dla siebie.

Już od piątej popołudniu w salonie zbierali się oficerowie.

Kolacja była udana. Wypili sporo i humory im dopisywały. Jedyne Franz Schall zachowywał kamienną twarz. W ogóle wydawało mi się, że mało zjadł. I prawie w ogóle nie pił alkoholu. Czasami spoglądał na mnie i siostrę, kiedy roznosiłyśmy jedzenie.

– No, Franz – powiedział do niego jeden z oficerów. – Nieźle się tu urządziłeś. Dwie polskie dziewczyny do rżnięcia.

Wszyscy zgromadzeni przy stole ryknęli śmiechem, oprócz niego.

– Nie jestem zainteresowany – odpowiedział. Nikt chyba jednak nie zważał na jego słowa, bo dookoła stołu wybuchały salwy śmiechu.

– Słyszałem, że w Kielcach stoją kolejki pod domami publicznymi. Polskie kobiety obsługują na godzinę dziesięciu, a czasami nawet piętnastu naszych.

Znów śmiech. Poczulałam, że robi mi się niedobrze. Eliza spojrzała na mnie z trwogą.

– Te polskie kurwy to są dopiero obrotne.

Spojrzałam na Franza, jego wzrok był jakby nieobecny.

– To jeszcze nic – powiedział młody blondyn o niebieskich oczach. Wyglądał niewinnie, ale patrzył na mnie lodowatym wzrokiem. – Ostatnio z moimi żołnierzami zabawialiśmy się z taką kurwą, która nóg nie chciała rozłożyć. Niby była chętna, a nie chciała.

Śmiech oficerów odbijał się od ścian. A mnie kręciło się w głowie. Najchętniej odstawiłabym tacę z jedzeniem i zatkałabym sobie uszy.

– No cóż, musieliśmy jej trochę pomóc.

– Jak? – zaciekawienie wśród zgromadzonych rosło.

– Dostała łomot kijem po piersiach i udach. Sama nam te nogi rozłożyła. Zerznąłem ją, a potem moi żołnierze. Na koniec trzeba było sukę zadźgać bagnetem. Ale, panowie, to nie koniec, obrzuciliśmy ją granatami, które rozerwały na strzępy jej

kurewskie ciało.

Łzy popłynęły mi po policzkach.

Nagle Franz uderzył ręką w stół tak mocno, że cud, że tylko jeden kieliszek się przewrócił.

– Dość! Nie jesteśmy barbarzyńcami ani bydlakami, choć niektórzy z nas tak się zachowują! A jeśli kiedyś oni zrobią to samo naszym kobietom? – zapytał, wstając od stołu.

– Nie zrobią.

– Skąd ta pewność?

– Bo to my wygramy tę wojnę.

Franz wyszedł z salonu, ale towarzystwo bawiło się na całego. Pijąc i zaśmiewając się do łez.

Po wojnie przeczytałam w jednej z publikacji takie słowa: „Moralność, która kształtuje działania ludzi, nie jest zakorzeniona w nich samych, ale w strukturach, które nas otaczają. A jeśli się zmienia, wszystko jest możliwe, nawet absolutne zło”.

ROZDZIAŁ 20

Kiedy następnego dnia rano zeszłam na dół, Niemców już nie było. Odetchnęłam z ulgą. Zjedliśmy śniadanie. Wyprawiłam dzieci do szkoły, sama wzięłam się za porządki. W salonie walały się puste butelki, na talerzach pozostawione były resztki jedzenia. Sprzątanie zajęło mi kilka godzin. Kiedy spojrzałam na zegar, była już trzynasta. Nie miałam pomysłu, co mogłabym zrobić na obiad. Niewiele mieliśmy jedzenia, dlatego postanowiłam, że pójdę na pobliską łąkę nazbierać trochę pieczarek. Chciałam je udusić ze śmietaną i zrobić z nich sos do kilku ziemniaków, które nam pozostały. Wyjęłam ze spiżarki koszyk i wyruszyłam. Okazało się, że nie tylko ja wpadłam na ten pomysł, na łące spotkałam kilka osób ze wsi, które także poszukiwały pieczarek.

W drodze powrotnej złapał mnie rześisty deszcz. Padało coraz mocniej i kiedy doszłam do domu, byłam cała przemoczona. Postawiłam koszyk na podłodze w holu, zdjęłam trzewiki, rozpięłam kilka guzików sukienki. Nagle usłyszałam kroki i odwróciłam się gwałtownie. W tej samej chwili drzwi się otworzyły i do domu z impetem wszedł Oberleutnant Franz. Niemal wpadł na mnie.

– Przepraszam – wyjąkałam.

– To ja przepraszam. Stoisz tak blisko drzwi.

– Tak...

Omiótł mnie wzrokiem, nieco dłużej patrząc na mój dekolt. Przypomniałam sobie o rozpiętych guzikach, więc odruchowo położyłam dłoń do klatki piersiowej. Franz podniósł wzrok. Był zmieszany tak samo jak ja.

– Wciąż zapominam, że nie mieszkamy sami – powiedziałam z wyrzutem w głosie.

Myślałam, że odpowie na mój przytyk, zamiast tego mężczyzna wyciągnął w moim kierunku dłoń, w której trzymał chusteczkę, i otarł mi twarz. Momentalnie straciłam fason. Obląłam się rumieńcem, a serce zaczęło mi łomotać w piersi.

– Powinnaś się przebrać, Marysza, inaczej się przeziębisz.

– Tak, powinnam – spuściłam wzrok, po czym odwróciłam się na pięcie i pobiegłam na górę.

Wpadłam do pokoju i rzuciłam się na łóżko. Mimo że byłam przemoczona, nie było mi zimno, oblewały mnie fale gorąca. Zamknęłam oczy i złapałam się na tym, że chciałam, by Franz ponownie mnie dotknął. Niczego bardziej nie pragnęłam niż jego dotyku.

Okupacja to ograniczenie wolności, myśli, słów. Okupacja to strzelanie, bombardowanie, łapanie, trupy na ulicy. Okupacja to głód, strach i przerażenie. Okupacja to morze wylanych łez. To rzeczy, które nie mieszczą się w głowie dorosłego człowieka, a na to wszystko musiały patrzeć niewinne dzieci. Dzieci, które widziały

śmierć swoich najbliższych, które nie rozumiały całego tego zła. Które musiały się ukrywać podczas nalotów w lepiankach, piwnicach, prowizorycznych schronach. Dzieci, które chciały jeść, a czasami nie było co do garnka włożyć. Najstraszniejsze było to, że dzieci w czasie wojny przestały się śmiać...

Układałam właśnie uprane ręczniki na półce, kiedy do pokoju weszła Emilka. Przyglądała mi się w milczeniu.

– Coś się stało? – zapytałam. Spojrzałam na nią. Oczy miała zaczerwienione od płaczu. Przed wojną była taką wesołą dziewczynką, teraz rzadko się uśmiechała.

– Pieką mnie oczy.

– Płakałaś?

Dostrzegłam jej wahanie. Emilka nie lubiła przyznawać się do swoich słabości.

– Nie. Po prostu jestem zmęczona.

– Coś nie tak w szkole? – drażyłam temat.

– Nauczyciele są bardzo wymagający i mówią po niemiecku. Nie wszystko rozumiem i potem są problemy.

– Ja też na początku nie wszystko rozumiałam, ale nauczyłam się. Jeśli chcesz, możemy pouczyć się niemieckiego razem – zaproponowałam.

Ożywiła się.

– Ale ty masz tyle na głowie...

– Damy sobie radę. Może po obiedzie?

– Dobrze – ucałowała mnie w policzek, po czym usiadła na łóżku, a ja dalej układałam ręczniki. Kiedy skończyłam, przysiadłam obok siostry.

– Chciałabyś mi jeszcze o czymś powiedzieć? – zapytałam z troską w głosie.

– Tak, chciałabym wiedzieć, co się stało z rodzicami.

– Też chciałabym to wiedzieć. Franek podpytuje znajomych w Warszawie, ale nikt nic nie wie.

– Może się ukrywają? – zapytała Emilia z nadzieją w głosie.

– Może – odpowiedziałam, choć ani ja, ani ona w to nie wierzyłyśmy. Dopóki jednak nie padły żadne słowa, dopóty wierzyłyśmy, że rodzice żyją i mają się dobrze.

– Tak mi smutno, że nie ma ich z nami – powiedziała, a w jej głosie usłyszałam rozpacz. Przytuliłam ją do siebie.

– Mnie też.

– Zawsze zwierzałam się tacie.

– Teraz możesz zwierzyć się mnie.

– Tak, wiem... – Jej głos zrobił się piskliwy. Łamał się.

– Wiem, że nie zastąpię ci mamy ani tym bardziej taty... Dopóki nie wrócą, możesz ze mną o wszystkim rozmawiać, a kiedy mama wróci... Kiedy wróci tatko...

– Jeśli wróci – przerwała mi. Teraz w jej głosie wyczuwałam złość.

Znałam dobrze tę huśtawkę emocji. Nie wiedziałam, jak pomóc siostrze, przecież sama nie bardzo sobie radziłam z tą sytuacją. Nagle poczułam się kompletnie bezradna. Objęłam siostrę i obie cichutko zapłakałyśmy. Trwałyśmy w tym uścisku dość długo, nawet nie wiem, kiedy zasnęłyśmy.

Weszłam do gabinetu ojca, w którym urzędował teraz Franz. W dłoniach trzymałam tacę z kawą i ciastem. Dzień wcześniej nasz niemiecki lokator poprosił mnie, abym o ósmej rano przynosiła mu do gabinetu poranną kawę.

Zapukałam i nacisnęłam klamkę. Siedział przy biurku, wyraźnie zamyślony, i pisał.

– Dzień dobry – powiedziałam.

Odłożył pióro i poderwał się.

– Dzień dobry – uśmiechnął się. – Piszę list.

– Do żony?

– Nie mam żony... Do matki.

– Opisuje jej pan, co robicie z Polakami? Żydami? O prześladowaniach? O tym pisze pan swojej matce? – Nasze spojrzenia się skrzyżowały.

– Piszę o tym, że wojna nie jest sprawiedliwa i że nie jestem zadowolony z tego, że tu jestem.

– Tęskni pan za rodziną?

– Tak.

– To zrozumiałe. Ja za swoją też. Gdyby nie wojna, to pewnie jedlibyśmy teraz wspólne śniadanie.

– Ja też chciałbym być w rodzinnym domu, nawet nie wiesz, jak bardzo tęsknię...

Patrzyliśmy na siebie dłuższą chwilę. I wydawało mi się, że go rozumiem. Chciałam go rozumieć...

– Nienawidzisz mnie, prawda? – zapytał po chwili.

Wciąż taksowaliśmy się wzrokiem. Był przystojnym mężczyzną. Miał szafirowe oczy i blond włosy. Był szczupły, jednak jego ramiona były szerokie i muskularne. Zastanawiałam się, ile może mieć lat. Uznałam, że najwyżej koło trzydziestki, nie więcej. Patrzył na mnie jakoś dziwnie, przenikliwie. Moje serce zabiło szybciej. Chciałam go nienawidzić, ale był dla nas dobry. Słyszałam o tylu zbrodniach, których dokonali Niemcy, a on wydawał się być ulepiony z innej gliny. Może tylko mi się zdawało?

– Tak, ma pan rację. Nienawidzę pana – odpowiedziałam buńczucznie. – Ale dla pana nie powinno mieć to najmniejszego znaczenia.

– Ma.

Któregoś dnia, kiedy Oberleutnanta nie było w domu, weszłam do gabinetu. Szukałam jakiejś książki, którą mogłabym przeczytać wieczorem. Bałam się go zapytać, czy mogę jakąś wziąć, bo mógłby odmówić. W zbiorze taty były książki napisane wyłącznie w języku polskim. W ogóle byłam zdziwiona faktem, że Niemiec nie kazał jeszcze spalić tych książek. Omiatałam wzrokiem regały z książkami... Wspięłam się na palce, by sięgnąć po tomik poezji, i wtedy zachwiałam się. Ręką oparłam się o biurko. Mój wzrok spoczął na kartce. Odruchowo podniosłam ją do góry i zaczęłam czytać.

Kochana Siostrze, Drodzy Rodzice.

Jak wiecie, jestem w Polsce. Mieszkali tutaj kiedyś szczęśliwi ludzie. Wojna wszystko zniszczyła. Ojciec, miałeś rację co do wojny. Jestem nią rozczarowany. Czy przystoi tak pisać niemieckiemu oficerowi? Nie jestem zadowolony z tego, że tu jestem. Inaczej sobie to wszystko wyobrażałem. Nie wiem właściwie, co sobie wyobrażałem, ale na pewno nie takie bestialstwo. Po tysiącokroć zadaję sobie pytanie, dlaczego giną niewinne dzieci, którym odbiera się dzieciństwo, kobiety, które są żonami, matkami, nastoletnie, piękne dziewczyny... Dlaczego tym ludziom odebrano domy, życie, które wcześniej prowadzili? Marzenia, które mieli kiedyś spełnić?

Nienawiść rodzi nienawiść. Agresja – agresję...

Nagle na korytarzu usłyszałam kroki. Szybko odłożyłam kartkę na miejsce, sięgnęłam po pierwszą lepszą książkę i wyszłam z pokoju.

Jeszcze długo po wojnie zastanawiałam się, jak to możliwe, że tymi listami nie zainteresowała się wojskowa cenzura.

ROZDZIAŁ 21

W sobotni poranek jeszcze drzemałam, kiedy poczułam, jak ktoś szarpie mnie za ramię. Otworzyłam oczy i zobaczyłam Franka.

– Ciii... – przytknął mi palec do ust.

– Co się stało? – przetarłam oczy i podniosłam się do pozycji półsiedzącej.

– Aresztowali ciocię Felicję.

– Słucham?

– Ciocia Felicja została aresztowana.

– Ale dlaczego?

– Niemcy znaleźli u niej na podwórku zakopanego świniaka. Oskarżyli ciocię o dostarczanie mięsa partyzantom.

– Co za nedorzeczność. Cioteczka to mięso przechowywała dla dziewczynek! Ma w domu trójkę małych dzieci.

– Ja to wiem i ty to wiesz. Ale Niemcy byli wściekli, że ciocia zatrzymała mięso, zamiast oddać je im.

– A gdzie dziewczynki?

– U starej Waśniakowej, razem z teściową cioci.

Zacisnęłam dłonie na kołdrze. Szybko wstałam.

– Dokąd idziesz?

– Porozmawiać z Oberleutnantem Franzem.

– Czy on pomoże?

– Nie wiem, czy pomoże, ale warto spróbować. Niech Eliza idzie do młodszych dziewczynek i zajmie się nimi.

Przebrałam się w najlepszą sukienkę, upięłam wysoko włosy i poszłam do pokoju, który zajmował Oberleutnant. Zapukałam dość głośno.

– Wejść – odpowiedział mi.

Pchnęłam drzwi. Oberleutnant był wyraźnie zaskoczony, gdy mnie zobaczył.

– Dzień dobry, Marysza.

Wcale nie jest taki dobry – pomyślałam z ironią.

– Co cię do mnie sprowadza?

– Moja ciocia została aresztowana.

Oberleutnant przez chwilę milczał, wpatrując się we mnie.

– Musiał być powód, dla którego ją aresztowano.

Wbiłam w niego wzrok.

– Nie sądzę, by powodem było przechowywanie jedzenia dla dzieci.

– Są kartki żywnościowe...

– Pan sam nie wierzy w to, co mówi. Dzieci potrzebują dobrze się odżywiać. Ciocia jest siostrą mojej mamy i jedyną dorosłą krewną, jaka przy nas została. – Staralam się mówić wyniośle i pewnie, ale głos mi drżał. – Karzecie niewinnych ludzi. Zachowujecie się jak barbarzyńcy! – powiedziałam dobitnie.

– Barbarzyńcy? – powtórzył i podniósł na mnie wzrok. Wiedziałam, że te słowa go zabolaly.

– Zajęliście nasz dom – zatoczyłam ręką koło. – Wchodźcie jak po swoje.

Strzelałam do niego ostrymi słowami niczym z karabinu. Dostrzegłam, że starał się nad sobą zapanować, ale widziałam też, jak bardzo był zły.

Na kilka chwil zaległa cisza. Westchnęłam głęboko, po czym kontynuowałam, choć sama nie wiedziałam, czy atak jest faktycznie najlepszym rozwiązaniem.

– Ludzie uprawiają ziemię, hodują zwierzęta. Wszystko wam oddają. Ciocia zachowała trochę mięsa prosiaka dla swojej rodziny, ma do wyżywienia trzy córki. Czy z tego powodu ma siedzieć w areszcie? A co z dziewczynkami? – Mój głos stawał się coraz smutniejszy.

– Marysza, to nie moi ludzie ją aresztowali, tylko gestapo – Franz wzruszył ramionami.

Obróciłam się na pięcie, spuściłam głowę, czułam, jak cała krew odpłynęła mi z twarzy. Ruszyłam w stronę drzwi, ale kiedy dotknęłam klamki, usłyszałam za sobą głos Franza.

– Marysza... Ja... – Odwróciłam głowę i spojrzałam na niego z nadzieją. – Zobaczę, co się da zrobić.

– Dziękuję.

Po dwóch tygodniach ciocię wypuścili z aresztu. Nasza radość była ogromna.

Wróciła z więzienia piechotą. Ponad piętnaście kilometrów... Przyszła wystraszona, splekana, w rękę trzymając glinianą figurkę Maryi, która była jej drogowskazem.

– Wsadzili mnie do małej celi, przeznaczonej dla ośmiu osób. Nas było osiemnaście – opowiadała nam wieczorem. – Trudno było nawet się obrócić. W nocy było najgorzej, musiałyśmy spać bokiem wtulone w siebie ciasno, jedna obok drugiej. – Ciocia na chwilę przerwała opowieść. Przełknęła ślinę i kontynuowała: – Nie to jednak było najstraszniejsze, ale myśli, które mnie wtedy nachodziły. Czy kiedykolwiek jeszcze wrócę do domu? Czy zobaczę dziewczynki? Bronia? Czy raczej mnie gdzieś wywiozą i zamordują... Aresztowanych przywożono zazwyczaj w nocy. I każda z nas modliła się, aby nikogo już więcej nie przydzielano do naszej celi.

– Ciociu? Przesłuchiwali cię? – zapytałam z trwogą, bo słyszałam o tych przesłuchaniach, podczas których katowano więźniów.

– Tak.

– A bili?

– Nie, na szczęście nie. Ale strasznie się bałam. I pomyśleć, że to wszystko za kawałek mięsa. Nie jestem w stanie tego pojąć.

– Ja też nie.

Tego dnia, w którym ciocia wróciła, poszłam do gabinetu Franza.

– Dziękuję – powiedziałam, kładąc na stole kawałek placka. – Dziękuję – powtórzyłam.

Uśmiechnął się.

Odwzajemniłam uśmiech. Kiedy wyszłam z pokoju, serce biło mi szybko. Nie

chciałam jednak dopuścić do siebie myśli o tym, co było oczywiste. Ten mężczyzna mi się podobał...

Bardzo często jadałam śniadanie dopiero o dziewiątej, kiedy wyprawiłam dzieci do szkoły. Franek wychodził do pracy w gospodarstwie, Eliza również zniknęła na całe dni w szpitalu.

O tej samej porze jadał Franz. Siadał zazwyczaj po przeciwnej stronie stołu. Obserwowałam go kątem oka.

– Piękna pogoda – powiedział tamtego ranka.

– Tak.

– Przeszkadza ci to, że jemy razem śniadanie?

Podniosłam wzrok. O mało się nie zakrztusiłam.

– W końcu pan też tu mieszka.

– Chwilowo.

– Chwilowo.

– Jesteśmy zatem na siebie skazani – uśmiechnął się. To był szczery, ciepły uśmiech.

– Jeśli wolisz jeść śniadanie sama, zawsze mogę zjeść na górze – dodał łagodnie.

– Nie. Nie widzę problemu – odpowiedziałam. Czułam, że się czerwienię, a on nie przestawał mnie taksować wzrokiem. Poczułam błogość rozlewającą się po całym ciele.

Przez chwilę trwała niezręczna cisza.

Kiedy dopiłam kawę, wstałam od stołu i przeszłam do salonu.

Z komody wyjęłam ubrania, które miałam zacerować, a także pojemnik, w którym znajdowała się poduszczyk z igłami, nićmi i napastrkiem. Usiadłam w fotelu i zaczęłam szycie. Po chwili w salonie pojawił się on.

– Przepraszam, zapomniałam, że teraz pan tu urzęduje – podniosłam się z fotela.

– Maryszu, proszę sobie nie przeszkadzać. Przeczytam tylko gazetę i wychodzę.

Usiadł na krześle po przeciwnej stronie pokoju. Nie mogłam się skoncentrować na pracy. Ręce mi drżały. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że Franz patrzy na mnie.

– Kiedy byłem mały – zaczął – lubiłem się przypatrywać mamie, jak szyła. Lubiła to zajęcie, choć nie zawsze jej to wychodziło.

– Mnie też nie zawsze wychodzi – uśmiechnęłam się do niego.

– Wydaje mi się, że i tak sprawniej ci to idzie niż mojej mamie.

Wzruszyłam ramionami.

– Miał pan czytać – zwróciłam mu uwagę.

– Tak, miałem...

Antek polubił Franza. Któregoś dnia ze szczegółami opowiedział mi, jak zaczęła się jego bliższa znajomość z Niemcem. W pewien sobotni rano brat zapukał do gabinetu, w którym urzędował Franz...

– Ja... Ja przepraszam... Ale... – jąkał się stremowany chłopiec.

– Tak?

– Wiem, że nie powinienem czytać książek w języku polskim, ale... Tato ma w gabinecie tyle książek i jeśli by to panu nie przeszkadzało...

Franz odsunął się nieco i gestem zaprosił chłopca do gabinetu.

– Szukasz jakiejś konkretnej książki?

– Nie... Czegokolwiek do czytania.

– Wybierz sobie, co chcesz.

– Dziękuję. Jest pan inny – zaczął niezręcznie chłopiec.

Franz uniósł do góry jedną brew.

– Przyjazny – dodał.

Oberleutnant uśmiechnął się.

Chłopiec wodził wzrokiem między półkami, w końcu zdecydował się na Słowackiego.

– Słowacki – westchnął Franz ni to do siebie, ni to do chłopca. I zacytował:

*Dzisiaj, na wielkim morzu obłąkany,
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem,
Widziałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem.
Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,
Smutno mi, Boże!*

*Żem często dumiał nad mogiłą ludzi,
Żem prawie nie znał rodzinnego domu,
Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu,
Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położę,
Smutno mi, Boże!*

A kiedy skończył, Antek zobaczył w oczach Niemca smutek.

– Moja babka uczyła mnie polskiego – wyjaśnił Franz. – Czytała mi Mickiewicza, Słowackiego... Coś niecoś pamiętam.

Słuchając opowieści mojego brata, poczerwieniałam na twarzy. Zdenerwowało mnie to spoufalanie się z Niemcem.

– Nie podoba mi się to – powiedziałam, ze wszystkich sił starając się nad sobą zapanować. – Często z nim rozmawiasz?

Brat wzruszył ramionami.

– Często? – powtórzyłam.

– Czasami. Co w tym złego?

Chciałam powiedzieć, że wszystko i nic. Sama lubiłam Franza, ale on był Niemcem i nic nie mogło zmienić tego faktu.

– Nie spoufalaj się z nim, dobrze? – powiedziałam przez zaciśnięte zęby.

– Sama mówiłaś, że on i jego adiutant to dobrzy ludzie.

– Są okupantami! – czułam, że za chwilę stracę nad sobą panowanie.

– Ale też ludźmi, Marysiu, też ludźmi. – Antek wlepił we mnie wzrok, a ja

wiedziałam już, że nic ani nikt nie zmieni jego nastawienia do Niemca.

Po tej rozmowie z Antkiem wpadłam do gabinetu jak burza. Nawet nie zapukałam. Franz poderwał się na równe nogi.

– Oberleutnant Franz, nie życzę sobie, żeby spoufalał się pan z moim bratem. To jeszcze dziecko! – mówiłam podniesionym głosem.

Targały mną skrajne emocje.

– Jestem Niemcem, ale...

Podniosłam rękę do góry. Nie odczuwałam strachu, ale złość.

– Jest pan nazistą, który może wpajać temu dziecku swoje idee. Zakochany w Führerze... – Franz na pewno dostrzegł w moich oczach pogardę.

Patrzył na mnie przez chwilę, po czym potarł brodę.

– Nie przypuszczałem, że będziesz mnie, Maryszu, podejrzewać o to. Proszę rozejrzyj się po tym gabinecie – obrócił się dookoła. Dzieła Słowackiego, Mickiewicza, Żeromski, Reymont i inne polskie książki. To polska literatura, uznana za zakazaną. Antyniemieckie dzieła. Powinienem je spalić. – Franz przechadzał się po gabinecie ojca tam i z powrotem. Na pewno nie odpowiadają gustom Führera. A jednak tu są. I twój brat, Maryszu, czyta te książki, a ja go do tego namawiam. – Spojrzał mi w oczy. – Wiem, że trzeba kogoś za to wszystko obwinić. Obwiniasz mnie. Rozumiem. Ale proszę, zapamiętaj sobie, że nie demoralizuję twojego brata. To jeszcze dziecko. Mądre, polskie dziecko.

Odwróciłam od niego wzrok. Cała drżałam. Było mi wstyd za te oskarżenia, które wykrzyczałam mu w twarz.

– Zdaję sobie sprawę, że musi być ci ciężko. Zostałaś sama, bez wsparcia rodziców...

– To też powiedział panu Antek?

– Coś tam powiedział. – Franz patrzył na mnie łagodnym wzrokiem. A mnie chciało się płakać. Musiał dostrzec, jak bardzo jest mi źle. – Niektórych rzeczy sam się domyśliłem. Wiem, że jesteś mądrą osobą, bez uprzedzeń – podkreślił ostatnie słowa.

– Pójdę już – odwróciłam się i wyszłam z gabinetu, cicho zamykając za sobą drzwi. Czułam się rozbita.

ROZDZIAŁ 22

Piłam wodę i patrzyłam na ogród. Było mi wstyd, że nie dbałam o kwiaty. Ogród był oczkiem w głowie mamy. A teraz musiałam wykopać róże i na ich miejsce posadzić pomidory, ogórki, truskawki, a nawet ziemniaki, wszystko to, co nadawało się do jedzenia.

Róże... Jak mama o nie dbała, jak je kochała! Miała swój różanecznik na tyłach ogrodu. „Tego mi w Warszawie brakowało. Ogrodu” – mawiała. Przymknęłam powieki i zatopiłam się w marzeniach.

Gdyby nie ta wojna, mama weszłaby pewnie do domu z pękiem róż. Ich zapach rozniósłby się po pomieszczeniach. „Zasiedziałam się w ogrodzie” – powiedziałyby. „Trzeba zrobić obiad. Dzieci i Janek zaraz wrócą”. Wstawiłaby kwiaty do wazonów. „Jak zwykle za dużo ich narwałam” – uśmiechnęłyby się pod nosem, podziwiając kwiaty, po czym zabrałaby się do robienia obiadu. Stałybyśmy razem w kuchni, obierały warzywa i śmiałybyśmy się ze wszystkiego. A potem do domu wpadłyby roześmiane dzieci. Franek z tatą jak zwykle by się spóźnili. Zasiedlibyśmy do stołu około szesnastej. Mama ogarnęłaby wzrokiem całą rodzinę i uśmiechnęła się pod nosem. A wieczorem usiedlibyśmy przy kominku, ja czytałabym jakiś romans, dzieci by rysowały. Mama i Eliza pewnie coś by wyszywały, a tato paliłby fajkę. Mama jak zwykle zasnęłaby przy swoich robótkach. Tato wyjąłby z jej rąk robótki i okryłby mamę ciepłym pledem. Tak właśnie by było... Ale nie jest. Przez tę cholerną wojnę!

Odwróciłam się od okna i poszłam do kuchni. Ze spiżarni wzięłam kilka ziemniaków, miskę i wyszłam na zewnątrz. Chciałam obrać ziemniaki na werandzie, bo w kuchni panował wyjątkowy ukrop. Przed domem spotkałam Franza. Siedział na ławce i pastował buty.

– Proszę – powiedział i przesunął się nieco.

Nic nie odpowiedziałam, tylko usiadłam obok niego i w milczeniu obierałam ziemniaki. Nie mogłam się skupić. Czułam, że Franz mnie obserwuje.

– Czy czymś cię uraziłem, Maryszu?

Pokręciłam głową.

– Dlaczego się więc do mnie nie odzywasz?

– Bo jest pan Niemcem.

– Ach tak! Myślałem, że już kilka razy przerabialiśmy ten temat...

Spojrzałam na niego z ukosa. Na jego twarzy malował się krzywy uśmiech.

– Myślisz, że nie chciałbym być w domu? – zapytał i nie czekając na moją odpowiedź, odrzekł: – Chciałbym. Ale jest jak jest i cieszę się, że cię poznałem. To są ciężkie czasy dla nas wszystkich.

Nie odezwałam się, tylko dalej obierałam ziemniaki. Też się cieszyłam z tego, że go poznałam. Siedzieliśmy na ławce i nie odzywaliśmy się do siebie. Dookoła nas jakby wszystko na chwilę zamarło, cisza otoczyła nas ze wszystkich stron. I tylko po sercu kołatały się niewypowiedziane słowa. Po chwili otrząsnęłam się z letargu. Szumiał

wiatr, który przynosił zapach lasu, gdzieś słychać było miauczenie kota, gdakanie kury, chmury sunęły po niebie. Byłoby pięknie, gdyby nie trwała wojna. Gdyby jedni ludzie nie mordowali drugich.

Chciałam zapytać Franza o tyle rzeczy, nie byłam jednak w stanie wydusić słowa. Dziwiłam się sama sobie, że siedziałam obok niego tak spokojnie i w głębi duszy cieszyłam się z jego towarzystwa.

Pewnego piątkowego wieczoru Franz czekał na Bruna, z którym miał zjeść kolację. Bruno dość często odwiedzał Franza. Stacjonował kilka wiosek dalej. Ponoć znali się jeszcze z czasów szkolnych.

– To mój prawdziwy przyjaciel i jedyna osoba tutaj, której mogę zaufać – powiedział mi kiedyś ni z tego, ni z owego.

– Dobrze mieć przyjaciela.

– A ty, Maryszu, masz przyjaciółkę?

– Mama jest... Była moją przyjaciółką.

– Nie wierzysz, że ona żyje?

Spojrzałam na niego:

– Chciałabym wierzyć. Naprawdę chciałabym wierzyć...

Zamierzałam coś jeszcze dodać, ale w tej właśnie chwili do salonu wszedł Bruno. Skinęłam głową i poszłam do swojego pokoju. Położyłam się na łóżku. Noc była parna, dlatego otworzyłam okno. Oficerowie widocznie stali na tarasie, bo dokładnie słyszałam ich rozmowę. Usiadłam przy parapecie, wytężając słuch.

– Słyszałem, że wstawiłeś się za kobietą ze wsi – powiedział Bruno.

– Tak. To ciotka rodziny, u której stacjonuję.

– Franz... – Bruno przerwał, widocznie zaciągnął się papierosem. – Jesteś dobrym człowiekiem, czasami wydaje mi się, że zbyt dobrym. Z jednej strony należycie służysz ojczyźnie, a z drugiej pomagasz jakimś Polakom. Ogarniają cię sentymenty?

– To też ludzie. Mają swoje rodziny, chcą dla nich jak najlepiej.

– A ty masz swoją rodzinę i nie chcesz chyba, by podejrzewali cię o kumoterstwo z Polaczkami. Wiesz, czym grozi zdrada?

– Ja nikogo nie zdradzam.

– Paragraf pięćdziesiąty siódmy wojskowego kodeksu karnego, mówi ci to coś? – powiedział Bruno przez zaciśnięte zęby.

Nim Franz zdążył odpowiedzieć, kontynuował:

– Kara śmierci za zdradę wojenną. Każdy, kto sprzeciwia się tej machinie, dostaje kulkę w łeb. Pod ten paragraf można podciągnąć wszystko: kontakty z jeńcami, pomoc Żydom i Polakom, podważanie sensu wojny, spoufalanie się z wrogiem... Wiesz, ilu już Niemców rozstrzelano za zdradę III Rzeszy? Tysiące. O wielu nie wiemy. Pilnuj się, Franz. Po prostu się pilnuj. Choćbyś nie wiem jak bardzo buntował się przeciwko tej wojnie i tak niczego nie zmienisz. Ona trwa, nienawiść rodzi nienawiść. Skąd wiesz, czy jakiś partyzant nie poderżnie ci gardła?

– Tego nie wiem.

– No właśnie. Rób swoje, a na to, co się wokół ciebie dzieje, przymykaj oczy.

– Jestem człowiekiem, Bruno – powiedział Franz.

Następnego ranka poszłam do przybudówki obok stajni. Zniosłam Frankowi chleb i dzbanek lurowatej kawy. Franka, oczywiście, nie było w stajni i nigdzie nie mogłam go znaleźć. Postawiłam tacę z jedzeniem koło jego wymoszczonego w słomie posłania. Wiedziałam, że wcześniej czy później zje. Kiedy szłam w stronę domu, usłyszałam czyjeś szepty. Zatrzymałam się gwałtownie. Koło rozłożystego orzecha siedział adiutant Franza, nawet nie wiedziałam, jak ten chłopak miał na imię. Z kim rozmawiał? Rozejrzałam się, ale nikogo obok niego nie było. Może mówi do siebie? Dziwne. Już miałam iść dalej, kiedy chłopak zobaczył mnie i skinął głową. Podeszłam do niego.

– Nie przeszkadzam? – zapytałam.

– Modliłem się – powiedział, widząc moje zdziwienie.

– Modliłeś? – uniosłam brwi, jakby w tym, co powiedział, było coś niestosownego.

– Tak – skinął głową. – Ma pani taką dziwną minę. Niektórzy Niemcy też wierzą w Boga.

– Mimo tego wszystkiego? – Przyjrzałam mu się uważnie. Był młody, bardzo młody. Miał drobną twarz, jasnoniebieskie oczy i brązowe włosy.

– Dlaczego Niemcy posyłają na wojnę dzieci? – zapytałam.

Wzruszył ramionami.

– Miałem iść na front. Bałem się, bardzo się bałem. Oberleutnant Franz wziął mnie do siebie i powierzył rolę adiutanta. Chyba widział mój strach. Jestem mu za to wdzięczny. Wymodliłem go sobie.

– Jak masz na imię?

– Reiner.

– O co się modliłeś, Reinerze?

– O to, żebym nigdy nie musiał nikogo zabić. Nigdy. I żeby żadna rasa nie była już nigdy prześladowana... Ani żadna religia – westchnął. – Na pewno nie tylko ja się o to modlę.

– Na pewno.

Mijały dni, tygodnie. Mimo wojny życie toczyło się swoim własnym torem. Przyzwyczailiśmy się do sytuacji (o ile w ogóle można było się do tego wszystkiego przyzwyczaić). Słyszałam o tym, co się dzieje w innych rejonach Polski, w Warszawie. U nas na wsi było dość spokojnie. I żyliśmy z dnia na dzień.

Było czerwcowe południe, słońce dość mocno przygrzewało. Włożyłam cienką sukienkę i wyszłam do ogrodu, aby zebrać trochę truskawek na placek. Mąki było niewiele, ale pomyślałam, że na mały placek wystarczy, a dzieci będą miały uciechę.

Truskawki były duże i czerwone, nie mogłam się powstrzymać, by ich nie skosztować. Włożyłam jeden owoc do ust. Był soczysty i słodki. Po chwili zjadłam kolejną truskawkę i następną. Lekki wiaterek rozwiewał moje włosy. Jakiż piękny dzień – uśmiechnęłam się do siebie. Przez te kilka minut nie było żadnej wojny, tylko miły letni dzień. Włożyłam kolejny owoc do ust, podniosłam wzrok... I wtedy

zobaczyłam Oberleutnanta Franza, który stał oparty o pień drzewa i palił papierosa, gapiąc się na mnie bezceremonialnie. W mojej sukience zsunęło się ramiączko, szybko je poprawiłam. I stałam tak w bezruchu, wpatrując się w niego. I wtedy coś drgnęło. Moje serce zabiło. Zrobiło się mi gorąco, i to nie z powodu upału.

Franz zdeptał butem niedopałek i ruszył w moją stronę. Przykucnęłam. Zaczęłam szybko zrywać truskawki i wkładać owoce do łubianki. Słyszałam, jak podszedł i stanął tuż przy mnie. Podniosłam się. Wyglądał tak przystojnie w mundurze. W niemieckim mundurze. Miał takie wesołe, przyjazne spojrzenie. Przez chwilę patrzyłam mu w oczy, a potem spuściłam wzrok.

– Truskawki to moje ulubione owoce – powiedział.

Wysunęłam w jego stronę koszyczek z owocami.

– Proszę się poczęstować.

Wyciągnął dłoń i sięgnął po jedną.

– Naprawdę dobre.

– Mnie też smakują.

– Widziałem, jak się nimi zajadałaś – uśmiechnął się przyjaźnie.

Znów na siebie spojrzeliśmy. Ta chwila trwała stanowczo zbyt długo. Obojętni sobie ludzie nie patrzą tak na siebie.

Zaczęłam się zastanawiać, co mnie w nim pociągało. Mundur? Nie, na pewno nie to. Może to, że wyglądał jak młody bóg? Widywałam już wielu pięknych, młodych mężczyzn. Więc co? Może jego dobroć? Intrygował mnie. Z jednej strony niemiecki oficer, a z drugiej dobry człowiek.

– Muszę już iść – otrzeźwiałam w końcu.

– Tak, rozumiem.

Odwróciłam się i ruszyłam w stronę domu. Czułam na plecach jego palące spojrzenie.

Kiedy Marysia znajdowała się w pobliżu, Franz miał ochotę ją dotknąć. Siłą woli powstrzymywał się, by tego nie zrobić. Lubił ją obserwować, kiedy odgarnia z policzków zabłąkane kosmyki włosów albo kiedy się nad czymś zastanawia i przygryza dolną wargę. Kiedy musnęła go przypadkiem opuszkami palców, podając truskawki, poczuł, jak krew pulsuje mu w skroniach. Łapał się na tym, że niemal nieustannie o niej myśli. W nocy nie mógł spać. Nie mógł przestać myśleć o tym spotkaniu w ogrodzie. Analizował każde słowo wypowiedziane do niej. Przypomniawszy sobie jej uśmiech. Szczery, dziecinny. „Co ona sobie w ogóle myśli?” – zastanawiał się. Niczego tak bardzo nie pragnął, jak tego, by jego uczucie było odwzajemnione. „Czy ona w ogóle podejrzewa, co do niej czuję?” Nie mógł jednak zdobyć się na szczerość i powiedzieć jej o wszystkim.

Martwiłam się o Emilkę i Antka. Nie rozrabiali, nie psocili, nawet się nie śmiali.

Martwił mnie ich pozorny spokój, już wolałabym, żeby broili. A oni najczęściej zaszywali się u mnie w pokoju i czytali polskie książki. Myślę, że chcieli choć przez chwilę znaleźć się w lepszym świecie. Chcieli zapomnieć, że nie ma przy nich rodziców, o prześladowaniach w szkole, o tym, że jest wojna. Tylko zatracając się w książkach, można uciec od wszystkiego, co złe, choć na krótkie chwile. Stałam przy oknie i spoglądałam na otaczający mnie świat. Z tego okna nie widać było żadnych zniszczeń, tak jakby wojna ominęła nasz dom i ogród.

Usłyszałam chrząknięcie. Odwróciłam się. Za moimi plecami stał Franz.

– Nie chciałbym przeszkadzać...

– Już pan przeszkodził.

– Tak, przepraszam. O czym myślałaś, Maryszu?

– O nienawiści. O tym, co wy, Niemcy, wyprawiacie.

– Na rozkaz kazali mi znienawidzić cały świat i wszystkich ludzi, którzy nie są Niemcami – powiedział smutnym głosem.

Byłam zdziwiona jego wyznaniem.

– Kiedy wkroczyliśmy do Polski i patrzyłem na jej mieszkańców, starałem się niekiedy wyobrazić uczucia tych ludzi. Czy oni nas nienawidzą, czy bardziej się boją?

– Wszyscy się boimy. Boimy się o swoich bliskich i o to, co się stanie z naszym domem, z naszą ojczyzną. Zabił pan człowieka? – zapytałam wprost, wpatrując się w jego profil.

Zamyślił się. Ściągnął brwi i wyprostował się.

– Nie – powiedział, nie patrząc mi w oczy.

Wiedziałam, że kłamie.

Franz okłamał Marysię. Kiedy znalazł się sam w gabinecie, sięgnął po koniak ukryty głęboko w szufladzie. Nalał pełną szklaneczkę i wypił duszkiem. Skrzywił się, po czym wierzchem dłoni otarł usta.

Pamiętał dzień, kiedy jego dowódca wydał rozkaz zabicia stu ludzi z łapanki. Franz dowodził tą akcją. Zebrał swoich żołnierzy i rozkazał, by nakazali jeńcom wykopać doły, które potem miały stać się ich grobami.

– Sami sobie groby kopujemy – powiedział niespodziewanie mężczyzna koło pięćdziesiątki. Mówił łamanym niemieckim. Spojrzał w oczy Oberleutnantowi, kiedy ten przechodził koło niego, nadzorując prace.

– Stul pysk! – syknął Franz. – Odzywaj się tylko, kiedy cię pytają.

– Bo co? Zabijecie mnie? – zaśmiał się ironicznie. Miał rozbiegany wzrok.

Jeden z żołnierzy zamachnął się i przyłożył mu w głowę kolbę karabinu. Polak wpadł do rowu.

– Wstawaj! – krzyknął do niego żołnierz. Mężczyzna wstał, z głowy i nosa kapąła mu krew. Wytarł ją ręką i spojrzał z nienawiścią na Franza. Oberleutnant odwrócił wzrok.

– Dlaczego to my mamy brudzić sobie ręce, a nie SS? – zapytał Franz Bruna. I nie

czekając na odpowiedź, kontynuował: – SS i gestapo to specjaliści od rozwalania ludzi, my jesteśmy porządnymi żołnierzami.

Bruno zapalił papierosa.

– Właśnie o to im chodzi, by nikt nie wyszedł z tej wojny bez skazy. By każdy na swój sposób przyczynił się do ludobójstwa. Każdy, rozumiesz? – Bruno wydmuchał obłok dymu.

– Przed wojną wydawało mi się, że jestem dobrym człowiekiem.

– Franz... – Bruno ponownie się zaciągnął. – Nie byłeś dobry, ja też nie. Szkolono nas na ludzi wypranych z emocji, wpajano śmieszna doktrynę, która utwierdzała nas w przekonaniu, że jesteśmy panami tego świata. A to gówno prawda. Ani ty, ani ja nie jesteśmy żadnymi panami, a pachółkami, pionkami, marionetkami... Ktoś inny pociąga za sznurki. Słuchamy rozkazów innych głupców, którzy stworzyli tę ideologię.

Franz westchnął.

– Dlaczego więc tutaj jesteś?

– A ty? – przyjaciel odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Może dlatego, że się boję? Jeśli nie wykonam rozkazu, to mnie zabiją albo odeślą do karnej kompanii. A może głupio wierzę, że to wszystko, co robimy, to dla dobra ojczyzny?

– Jesteśmy tu kilka tygodni, a ty wątpisz?

– A ty?

– Ja zwątpiłem już w chwili, gdy wkładałem ten mundur.

Bładym świtem Franz jak gdyby nigdy nic zjadł śniadanie, popijając kawą. Koło dziewiątej żołnierze przyprowadzili jeńców. Ludzie, nie czekając na rozkaz, ustawili się nad rowem. Milczeli. Nadszedł Franz, nie mając odwagi spojrzeć tym ludziom w oczy. Kiedy uniósł głowę, zobaczył kilka kobiet.

– Tu są kobiety? – powiedział, nie wiedząc do kogo.

– Polki. – Jego dowódca poklepał go po ramieniu. – To tylko Polki – powiedział Müller i odwrócił się na pięcie.

Podobno ci ludzie byli skazani za działalność w ruchu oporu wymierzoną przeciwko Niemcom. Czy na pewno? Czy starsza kobieta koło siedemdziesiątki mogła komukolwiek zaszkodzić? Skazano ich na śmierć, nie dając żadnej możliwości obrony.

– Mam dwójkę dzieci – powiedziała po niemiecku jedna z kobiet stojąca w szeregu. – Dwójkę malutkich dzieci.

Franz poczuł, jak śniadanie pęcznieje mu w brzuchu, a żółć uderza do przełyku.

– Dość! – krzyknął. Nie chciał tego słuchać. Nie chciał niczego wiedzieć. Powtarzał sobie w myślach, że robi to wszystko dla ojczyzny. Dla Niemiec.

– Cel!

Żołnierze podnieśli karabiny.

– Pal! – padła komenda.

Ludzie popadali jak kaczki. Tylko ta kobieta, która mówiła o dzieciach, jeszcze żyła.

– Moje dzieci – charczała.

– Dobić ją – powiedział Franz i odszedł w stronę swojego baraku.

Jakim był człowiekiem? Wiele razy się nad tym potem zastanawiał. Czy ta egzekucja była w porządku? Czy czyjkolwiek śmierć jest w porządku? Czyż największych zbrodni nie usprawiedliwia się wzniosłymi ideami? Dobrem nazywając zło, a złem dobro? Czy natura ludzka nie jest zła?

– Nie jestem dobrym człowiekiem. Długo odsuwałem od siebie tę myśl, ale taka jest prawda – wyszeptał.

Pewnego dnia ciotka Felicja przyniosła mi trochę ziemniaków.

– Co się stało, ciociu? – powiedziałam, wchodząc do kuchni, przestraszona jej pobladłą twarzą.

– Czy wiesz, co Franek wyprawia? – mówiła ściszym głosem. – Niemców macie w domu, a on bawi się w takie rzeczy...

– W jakie rzeczy?

– Porozmawiaj z nim.

– Ale... – umilkłam, bo do kuchni wszedł Antek.

– Porozmawiaj – powtórzyła ciocia, zawiązała ciaśniej chustkę na głowie i wyszła z domu.

Cały dzień byłam niespokojna. Tego dnia Franek pracował do późna przy wyrębie lasu. Gdy nie zjawił się na kolacji, zaczęłam się niepokoić. Dopiero późnym wieczorem spotkałam go w stajni.

– Franek – szepnęłam. – Chyba musimy poważnie porozmawiać.

– Zaraz wychodzę.

– Jest godzina policyjna.

Wzruszył ramionami.

– Porozmawiaj ze mną.

Przytknął palec do ust, a potem złapał mnie za rękę i wyprowadził na zewnątrz. Schowaliśmy się za stodołę, usiedliśmy na trawie.

– Franek, co ty robisz? Dlaczego wychodzisz o tak późnej porze?

– Po co ci to wiedzieć?

– Jestem twoją siostrą.

– To nie argument.

– Proszę... Powiedz mi... Co ty wyprawiasz?

– Walczę o Polskę.

– Ale Niemcy... Franek, o co chodzi? Ja nie chcę, by coś ci się stało. Co właściwie robisz?

– Nie bój się o mnie.

– Powiedz.

– Oni chcą zmienić nawet nazwy ulic w naszym miasteczku. Przybijają na budynkach tabliczki z niemieckimi nazwami. Tabliczki upamiętniające wydarzenia z polskiej historii znikają jedna po drugiej. Pomniki...

– No, ale co ty masz z tym wspólnego?

– Zamalowujemy farbami te nowe tablice z niemieckim nazewnictwem. Rynek to Rynek, a nie Adolf Hitler Platz. Rozumiesz?

– Chyba tak.

– Działam w pewnej niewielkiej grupie sabotażu. Zrywam plakaty niemieckie, rozwieszam polskie, maluję na murach hasła propagandowe, roznoszę ulotki, zrywam ich flagi, a w ich miejsce zawieszam nasze, polskie.

Mówił z wielkim zacięciem, a ja wiedziałam, jakie to dla niego ważne. Nie mógł być w wojsku, to chociaż tak pomagał ojczyźnie. Inni walczą, więc on nie może siedzieć w domu i patrzeć na to, jak ojczyzna ginie.

– Nie pakuj się w to – próbowałam ostudzić jego zapał.

Parsknął.

– Już za późno. Jestem zaangażowany i nie mam ochoty rezygnować.

– Chcesz zostać bohaterem?

– Muszę działać.

– Wolę cię mieć przy sobie żywego.

– A ja chcę wolnej Polski. Wiesz, co wygłasza Hitler? Ten śmieszny facecik z wąsikami, którego słuchają miliony, mówi, że „Polska pod niemiecką okupacją zostanie oczyszczona z etnicznych Polaków”. Oni uważają nas za podludzi, którzy stoją w drabinie społecznej jedynie szczebel wyżej od Żydów. Chcą nas zniszczyć. Pogrzebać naszą kulturę i tradycję. Ale my się nie damy pokonać. Nie damy! – Podniósł się, otrzepał spodnie i spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakby oczekiwał aprobaty.

– Tato byłby z ciebie dumny... – Też wstałam. Poklepałam brata po ramieniu, a on uśmiechnął się od ucha do ucha. – Ale uważaj na siebie – ścisnęłam jego dłoń. – Niemcy mieszkają u nas.

– Wiesz, że najciemniej jest pod latarnią...

ROZDZIAŁ 23

W poniedziałek skoro świt stanęłam przed sklepem mięsnym w długiej kolejce. Wiedziałam, że czeka mnie kilka godzin stania po marne ochłapy, ale wiedziałam też, że te ochłapy wyżywią moją rodzinę. Byliśmy w lepszym położeniu od innych ludzi, gdyż Niemcy, którzy z nami mieszkali, dzielili się z nami swoimi racjami żywnościowymi. Mogliśmy zjadać też resztki z ich sytych kolacji, a zostawało tego dość sporo. Narzekać więc nie mogłam.

Tymczasem ludzie, którzy stali w kolejce, skarżyli się na małe racje żywnościowe, szeptem mówili o okupancie, o tym, że wojna na pewno jeszcze trochę potrwa. A ja stałam i słuchałam tego wszystkiego, zmieszana i oszołomiona.

Czasami wydawało mi się, że ta wojna rozgrywa się gdzieś obok mnie. Rozglądałam się dookoła. Na niebie falowały flagi ze swastykami. Na słupach wisiały propagandowe plakaty. Żołnierze wroga chodzili po ulicach, wtapiając się w tłum. I wszyscy starali się udawać, że jest normalnie. Ja też przecież udawałam. Te pozory normalności mnie przerażały. Bałam się o najbliższych, a chyba najbardziej o Franka. Nieustannie myślałam też o rodzicach, czy żyją, a jeśli tak, to czy są zdrowi, czy mają co jeść. Moje rozmyślenia przerwał znajomy głos.

– Marysia?

Odwróciłam się. Za mną stała Jadzia, moja koleżanka z dzieciństwa. Bawiłam się z nią, kiedy przyjeżdżałam na wakacje do babci na wieś. Jako małe dzieci byłyśmy niemal nierozłączne. Kiedyś była piękną dziewczynką. A teraz? Omal nie krzyknęłam na jej widok. Była tak wychudzona, że wyglądała niczym szkielet obleczony skórą. Jej oczy były zapadnięte i bardzo smutne.

– Jadźka – dotknęłam jej ramienia. – Przyjdź do nas, dam ci zupę – zaproponowałam.

– Z nerwów nie mogę nic jeść – powiedziała to tak słabym głosem, że musiałam się nachylić w jej stronę.

– Ale dlaczego?

– Chodźmy stąd – powiedziała.

– Ale Jadźka, kolejka, przydział...

– Chodźmy stąd – powiedziała błagalnym głosem. Spojrzałam na kolejkę, która przesuwała się do przodu, i na nią. Z żalem wyszłam z kolejki. Jadźka chwyciła mnie pod ramię i poszłyśmy w stronę niewielkiego ryneczku. Minęli nas dwaj niemieccy żołnierze. Jadźka na ich widok wyprostowała się i podniosła do góry głowę.

– Jadźka! – złapałam koleżankę mocniej za rękę. – Co się stało? – zapytałam i wciągnęłam ją do pobliskiej bramy, by nikt nas nie widział. – Co się stało? – powtórzyłam pytanie łagodniej. – Co oni ci zrobili?

– Na moich oczach zgwałcili moją siostrę. Była w piątym miesiącu ciąży. Tak się cieszyła, że będzie mamą...

Pokręciłam z niedowierzaniem głową.

– Ale to byli niemieccy żołnierze? Na pewno?

Spiorunowała mnie wzrokiem.

– Oficerowie.

Jęknęłam. Serce zaczęło mi łomotać. A co, jeśli jednym z tych oficerów był Franz?

Nie, to niemożliwe. On by czegoś takiego nie zrobił.

– Co z nią? Może trzeba jej jakoś pomóc?

– Wykrwawiła się na śmierć.

– Boże jedyny!!! – krzyknęłam i ukryłam twarz w dłoniach. Po chwili zaczerpnęłam tchu. – A ty? Jadźka, a co z tobą?

– Było ich pięciu... – słowa z trudem przechodziły jej przez gardło. – Wolałabym umrzeć. Uwierz mi, wolałabym umrzeć...

Przycisnęłam ją do siebie i długo tuliłam.

Nienawidziłam Niemców. Wszystkich, z wyjątkiem jednego. Jego nie potrafiłam nienawidzić. Był jednym z tych mężczyzn, o których kobieta nie zapomina nigdy.

Odwiedziłam Jadźkę po tygodniu. Za pazuchą miałam dla niej kawałek czekolady. Drzwi otworzyła jej mama i bez słowa wskazała na łóżko, na którym leżała jej córka. Oddychała z trudem.

– Nic nie je – powiedziała kobieta, po czym wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Usiadłam na skraju łóżka. Odgarnęłam z policzka Jadzi zlepione kosmyki włosów.

– Jadzia, Jadziuchna – gładziłam koleżankę po policzku. – Musisz coś zjeść. Jesteś młoda. Wojna się kiedyś skończy. Musisz zapomnieć o tym wszystkim. Przeszłość zatruwa ci życie, ale ty jesteś silna.

Pokręciła głową. Po jej policzku spłynęła samotna łza.

– Mam dla ciebie czekoladę. Położę ją na stoliku. Zjedz. Zjedz, Jadziuchna.

Jadźka umarła kilka dni po mojej wizycie. Kiedyś była pulchną, radosną dziewczyną. Chciała mieć męża, gromadkę dzieci i niewielki domek. Żadne z jej marzeń się nie spełniło...

Trwała wojna o każdy dzień, o każdy drobiazg, każde słowo. Straszne są skutki okupacji. A najbardziej cierpią niewinni. Ci, którzy nie powinni cierpieć. Często się zastanawiałam, na jakich ludzi wyrosną dzieci, którym wojna odebrała dzieciństwo. Gdzieś w głębi ich dziecięcych serc budził się sprzeciw. Zaczynały nienawidzić Niemców. Nienawiść rodziła nienawiść. Nienawiść do wroga stawała się cnotą. To, co kiedyś było niedopuszczalne, teraz stawało się normą. Nawet Franek zaczął przebąkiwać, że z przyjemnością zabiłby jakiegoś Niemca. Byłam przerażona. Czy zabicie drugiego człowieka może wywołać uczucie euforii? Co musiałby nam zrobić drugi człowiek, by chcieć go zabić?

Był początek września. Zmagałam się z chorobą. Miałam tak wysoką gorączkę, że

majaczyłam. W ustach czułam suchość, a w gardle drapało tak, jakby ktoś włożył tam papier ścierny. Z każdą godziną było coraz gorzej. Nie odróżniałam dnia od nocy. Domownicy opiekowali się mną troskliwie, ale ja byłam tak słaba, że nie miałam siły wstać do łazienki. Franek zanosił mnie tam na rękach, a Eliza ochlapywała zimną wodą moją twarz. Był u mnie nawet znachor z pobliskiej wsi. Nic mi jednak nie pomagało.

– Trzeba wezwać lekarza z Warszawy, a nie jakiegoś wiejskiego felczera! – rozkazał Franz.

Jeszcze tego samego dnia zbadał mnie lekarz z Warszawy, który przepisał odpowiednie leki i kazał dobrze się odżywiać. Dopiero później dowiedziałam się, że to Franz rozkazał swoim żołnierzom zapełnić po brzegi naszą spiżarnię.

– To od tego cholernego chleba z trocinami choruje! – powiedział (kiedy wyzdrowiałam, Emilka doniosła mi, jak bardzo Oberleutnant był rozsierzony, mówiąc te słowa).

W końcu poczułam się lepiej. Stopniowo odzyskiwałam siły i wracałam do zdrowia. Którejś nocy obudziłam się z poczuciem, że ktoś mnie głaszcze po twarzy. Nie, to musi być sen – pomyślałam, zanim otworzyłam oczy. Znów poczułam ciepły dotyk na policzku. Otworzyłam oczy i zobaczyłam twarz Franza. Wzdrygnęłam się przestraszona.

– Ciii – przyłożył mi palec do ust.

– Co pan tu robi?

– Musiałem cię zobaczyć.

Pachniał dymem papierosowym i alkoholem. Oczy mu błyszczały.

– Ale... – nie bardzo wiedziałam, co powiedzieć. Serce waliło mi jak młotem.

– Marysza – mówił, nie przestając głaszać mojego policzka. W tym geście było tyle czułości... Nie odsunęłam jego reki, ta pieszczota sprawiała mi przyjemność.

– Oberleutnant Franz, pana tu nie powinno być – zdołałam wydukać.

– Powinno, nie powinno – wzruszył ramionami.

– Pan pił... – wyczułam od niego alkohol.

– Piłem. Tak, jestem pijany – stwierdził. – Musiałem się napić.

– Dlaczego?

– Bo nie mogłem przestać myśleć.

– Ta wojna...

– To nie o wojnę chodzi. Marysza, ja ciągle myślę o tobie.

Czułam, że się czerwienię. Przez chwilę nie mogłam złapać tchu.

– Musiałem się napić – mówił dalej. – Żeby dodać sobie odwagi.

Nic nie odpowiedziałam, a Franz przechylił głowę. Jego twarz znalazła się niepokojąco blisko mojej twarzy. Jego oczy miały kolor szafirowego morza. Było w nich tyle smutku. I nagle zapragnęłam, by mnie pocałował. A on to zrobił. Jego usta dotknęły moich warg. Delikatnie. Nie odtrąciłam go, tylko odwzajemniłam pocałunek. Spodziewałam się, że w mojej głowie rozlegnie się alarm. Nic się takiego jednak nie stało. Poczulałam się wspaniale. Stado motyli trzepotało swoimi skrzydełkami w dole brzucha.

– Niech pan już idzie – powiedziałam po chwili drżącym z emocji głosem.

– Franz. Mów mi po imieniu.

Skinęłam głową.

– Dobrze, a teraz proszę już iść.

– Tak, tak... Powinienem już iść. Ale...

– Proszę nic nie mówić. – Bałam się, że gdy zaczniemy rozmawiać, czar pryśnie.

Wstał i ruszył w stronę drzwi.

– Dziękuję – powiedziałam, kiedy złapał za klamkę. – Za to, że wezwał pan lekarza.

Uśmiechnął się tylko.

– Dobrej nocy, Maryszu.

Wyszedł, a ja opuszkami palców zaczęłam wodzić po swoich wargach.

Co ja robiłam? – skarciłam się w duchu, by już po chwili marzyć o kolejnych pocałunkach. Wiedziałam, że muszę zapomnieć o tym, co się wydarzyło. Byłam gotowa to zrobić. Wiedziałam, że tak trzeba, ale wiedziałam też, jakie to będzie trudne, skoro mieszkaliśmy pod jednym dachem.

Nastał ranek, a ja nieustannie myślałam o Franzu. Przez cały dzień chodziłam jak w transie.

– Wciąż źle się czujesz? – zapytała mnie Eliza.

– Nie – pokręciłam głową.

– Masz takie rumieńce... – dotknęła dłonią mojego czoła. Odsunęłam się gwałtownie.

Wtedy spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Na pewno nic ci nie jest?

– Nie.

To nie była prawda. Odczuwałam głód drugiego człowieka, mężczyzny. Taki, jakiego nigdy do tej pory nie znałam. I świat stał się zamazany, a ja... Marzyłam o niemieckim oficerze. Ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Nie wiedziałam, co mam ze sobą począć. Czułam, że między mną a Franzem rodzi się miłość, ale ja nie chciałam tego uczucia dopuścić do głosu. Obiecałam sobie, że będę unikała Niemca, a wtedy wszystko jakoś się ułoży.

Po południu zmywałam podłogę w kuchni, kiedy usłyszałam za sobą kroki. Poderwałam się na równe nogi. Kiedy odwróciłam się, Franz stał tuż za mną. Cofnęłam się trochę, by zwiększyć między nami odległość.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak.

– Wydaje mi się, że mnie unikasz.

– Mam tyle zajęć...

– Boisz się – stwierdził. – Oczywiście, że się boisz. Mnie się boisz?

– Nie – spuściłam wzrok. – Oberleutnant Franz, to, co się wydarzyło...

– Myślałem, że zwracamy się do siebie po imieniu.

– To, co się między nami wydarzyło... – powtórzyłam.

– Czy nie było piękne? Czy cię skrzywdziłem?

– Nie. Wieszo tym, że nie – podniosłam głowę i spojrzeliśmy sobie w oczy.

– Żałujesz?

– Nie! – powiedziałam dobitnie.

– Więc o co chodzi?

– O co chodzi? – prychnęłam. – Jesteś niemieckim oficerem, ja Polką. To nie powinno się wydarzyć.

– Nie powinno? Kto tak powiedział?

– Nie gadaj bzdur.

– I co z tym zrobimy?

– Zapomnimy.

– Marysza... – Franz złapał mnie za nadgarstek i pociągnął do siebie. Poczułam na twarzy jego oddech. – Marysza – powtórzył i mocno mnie pocałował.

Chciałam, by Franz patrzył tylko na mnie, by mnie pożądał i pragnął. Sama siebie nie poznawałam. Nigdy wcześniej nie czułam czegoś takiego na widok mężczyzny. Nagle poczułam się kobietą. W garderobie mamy wyszukałam odpowiedniejsze dla mnie sukienki. Do tej pory nosiłam skromne stroje, bardziej stosowne dla dziewczyny. Teraz chciałam się podobać. Mimo iż nie jadłam kalorycznych posiłków, zauważyłam, że tu i ówdzie na moim ciele pojawiły się krągłości. Mój biust się zaokrąglił, biodra się poszerzyły.

Miałam figurę zbliżoną do figury mamy. Przymierzyłam niemal każdą sukienkę, która wisiała w jej szafie. Odkładałam na łóżko te, które wydawały mi się odpowiednie: chabrową, blad różową w drobne kwiatuszki i oliwkową, pięknie haftowaną na dekolcie i piersiach. Z kuferka wyjęłam biżuterię mamy. Dwa delikatne wisioriki będą dopełnieniem stroju – pomyślałam z uśmiechem na twarzy.

Kiedy byłam chora, dzieci bardzo się usamodzielniały. Któregoś dnia Emilka z Antkiem spóźnili się nawet do szkoły, bo postanowili, że zrobią dla mnie śniadanie. Żadne się nie przyznało, co się wówczas stało. O całym wydarzeniu poinformowała mnie córka sąsiadki...

Pan Krauze – cały czerwony ze złości – kazał dzieciom stanąć na baczność na korytarzu i przez chwilę spoglądał na nie surowym wzrokiem. Dzieciom wydawało się, że poczerwieniał dlatego, że ma zbyt ciasny kołnierzyk od koszuli. Zawsze miał zacisnięte w kreskę usta i zmarszczone brwi.

Zapytał po niemiecku, dlaczego się spóźnili. Antek przeprosił za spóźnienie, ale pan Krauze był nieprzejednany. Wtedy Emilka poniosła głowę i śmiało odpowiedziała: „Może nie lubimy tu przychodzić?”. Nauczyciel zatrząsł się ze złości. „Milczeć! Milczeć!” – krzychał. „Muszę was ukarać!” Dzieci wiedziały, co mają robić. Wyciągnęły przed siebie dłonie. Pan Krauze bił je różgą z całej siły. Jego ruchy były precyzyjne i trafiały w najczulsze miejsca. Dzieci zacisnęły mocno zęby. Nie płakały i nie krzyczały, co jeszcze bardziej zdenerwowało belfra.

Kiedy się o tym wszystkim dowiedziałam, rozpłakałam się.

– Maryszu, co się stało? – zapytał Franz, który wszedł do kuchni akurat w momencie, gdy koniuszką fartucha ocierałam oczy.

– Nic.

– Powiedz mi, proszę.

Rozpłakałam się jeszcze bardziej, a wtedy on mnie przytulił.

– Powiedz mi. Zrobię wszystko, byś nie płakała, Maryszu.

Opowiedziałam Franzowi o panu Krauze. Mężczyzna obiecał mi, że to się więcej nie powtórzy. I rzeczywiście, podobne zdarzenie nie miało miejsca. Franz po raz kolejny mi pomógł. Nie wiem, jak to zrobił... Może dał nauczycielom do zrozumienia, że te dzieci są jego protegowanymi? Faktem jest jednak, że moje rodzeństwo nie dostało nigdy więcej różg.

ROZDZIAŁ 24

Tamtej nocy usłyszałam dziwne hałasy dobiegające z dołu. Narzuciłam szlafrok i po cichu zeszałam na dół. Hałasy dochodziły ze spiżarni. Serce waliło mi tak mocno, jakby zaraz miało wyskoczyć z piersi. Złapałam za kij od szczotki i zakradłam się do pomieszczenia. Zobaczyłam Elizę, która niczym w amoku zrzucała jedzenie z półek.

Eliza miała już wtedy siedemnaście lat i wydawało jej się, że w tym wieku wie wszystko najlepiej i wszystko może. Była buntowniczką. Nie pozbyła się jeszcze dziecięcej pucułowatej twarzy, ale była bardzo ładna, podobna do mamy. Kochałam ją i ona pewnie mnie też, ale nie miałyśmy wtedy dobrego kontaktu.

– Co ty wyprawiasz? – krzyknęłam.

Nawet nie odwróciła się w moją stronę.

– Do jasnej cholery! Co robisz? – chwyciłam ją za rękę.

– Nie możemy tego jeść – powiedziała i spojrzałyśmy na pobojuwisko leżące na ziemi: mąka wymieszana z kaszą, pęta kiełbasy, piklowane mięso, puszki konserw...

– Dzieci powinny dobrze się odżywiać – powiedziałam twardym głosem.

Parsknęła.

– On to zrobił dla ciebie, nie dla dzieci. Zapełnił nam spiżarnię, żebyś była najedzona, a przy okazji my. Jaka szlachetność – ironizowała, biorąc się pod boki.

– O kogo ci chodzi?

– O tego twojego niemieckiego oficerka.

– Chce dla nas dobrze.

– Chyba dla ciebie.

– Posprzątajmy to.

– To jest jedzenie, które otrzymaliśmy od Niemców.

– I co z tego?

– Co z tego? – jej oczy ciskały gromy w moim kierunku. – Co z tego? Pomyślałaś, skąd pochodzi to jedzenie?

– Nie...

– Bo nie chcesz o tym myśleć! – Była naprawdę wściekła. – Może wymordowali całą wioskę, żeby nam zapełnić spiżarnię. Może tamci ludzie głodują przez nas? – Eliza podniosła w górę pęto kiełbasy i wymachiwała mi przed nosem.

– Może... Ale to tylko jedzenie. Mamy co jeść, Eliza.

– Mamy co jeść dzięki twojemu kochasiowi.

– On nie jest mój! – oburzyłam się.

– A od jakiegoś czasu zachowujesz się tak, jakbyście byli kochankami.

– Przesadzasz – powiedziałam, ale serce waliło mi w piersi tak mocno, że bałam się, że siostra usłyszy.

– Brzydzę się tym, co robisz, i tym, że nie widzisz, co się wokół ciebie dzieje.

– Eliza, to nieprawda – kręciłam nerwowo głową. – Mnie też przeraża ta wojna, to, że nie wiemy, co się stało z rodzicami. Ale jakoś trzeba żyć.

– Jakoś... – pokręciła głową.

Zaczęłam zbierać porozrzucane jedzenie. Zgarniałam do worków mąkę i kaszę, tak by nic się nie zmarnowało.

Siostra usiadła na taborecie. Nie pomagała mi. Kiedy skończyłam, spojrzałam na nią. Głowę podpierała rękoma. Wciąż była na mnie zła.

– Widzę, jak się cieszysz na jego widok. Jak na siebie patrzycie. Nie rozumiem cię... Nie rozumiem.

– Nie wiem, o co ci chodzi – zaprzeczyłam.

– A może on się tobą bawi?

Nie odpowiedziałam.

– Jesteś samotna, bardzo samotna, dlatego jest ci miło, że jakiś mężczyzna cię adoruje. Wykorzystuje cię, a ty nie chcesz być wykorzystywana, prawda?

– Nie wiem, o czym mówisz? – udawałam głupią.

– Wiesz, wiesz – Eliza z impetem wstała ze stołka, odwróciła się na pięcie, ruszyła szybkim krokiem do wyjścia, po czym trzasnęła mocno drzwiami. Tak mocno, że myślałam, że wylecą z futryny.

W pewien piątkowy wieczór adiutant Franza wyszedł na wódkę.

Eliza tego dnia nie wróciła na noc do domu. Oznajmiła, że zostanie w szpitalu. Dzieci już spały. Czytałam, kiedy usłyszałam pukanie do drzwi. Poderwałam się na równe nogi, upychając książkę pod siennikiem.

– Proszę – powiedziałam zdenerwowana.

W drzwiach stanął Franz. Wyglądał niczym młody bóg. Skrócił włosy. Ubrany był w białą koszulę.

– Może zechciałabyś zjeść ze mną kolację?

– Chyba nie jestem głodna – pokręciłam głową.

– Nie mogłabyś na chwilę zapomnieć... – powiedział łagodnym głosem.

– O czym? O tym, że jesteś niemieckim oficerem? O okropieństwach wojny?

Wiedziałam, że za te słowa mogłabym dostać kulkę w łeb.

– Tak. O wszystkim.

Zadziwił mnie ten człowiek.

– Wiesz, co ja czuję? – zapytałam.

– Domyślam się. Kiedy jechałem z Warszawy tutaj, na wieś, przez szybę widziałem zło, które wyrządziła wojna. Ulice z lejami po bombach i smutnych, zagubionych ludzi, którzy podążali przed siebie, nie wiedząc, dokąd mają iść. Niektórzy pchali wózki z pozostałościami swojego dawnego życia, inni nieśli w rękach małe walizeczki, jakaś kobieta dźwigała puchową kołdrę. Szła przed siebie, tuląc do siebie tę kołdrę. Uciekali z Warszawy, ze swojego miasta. Nie chciałem wtedy myśleć, co oni wszyscy przeżywają, jednak do tej pory nie daje mi to spokoju. To nie jest tak, że jestem wyzuty z uczuć i emocji. Ja wam współczuję. Rozumiesz, Maryszu?

Nie wiem dlaczego, ale uśmiechnęłam się do niego.

– Dobrze, zjem z tobą kolację.

Podał mi rękę i zaprowadził do salonu. Na stole paliły się świece. Stały półmiski

z jedzeniem i karafka z winem.

– Skąd to jedzenie? – zapytałam.

– Załatwiłem – odpowiedział krótko.

Uśmiechnęłam się do niego.

Jedliśmy kolację w milczeniu. Byłam onieśmielona jego towarzystwem.

– Jesteś piękna – powiedział nagle.

Zaczerwieniłam się po same koniuszki uszu.

– Naprawdę jesteś piękna – zapewnił mnie.

Wypiliśmy kilka kieliszków wina, a potem on nastawił adapter i zaprosił mnie do tańca. Tańczyliśmy do jakiejś francuskiej muzyki, ciało przy ciele, tak długo, aż nie skończyła się melodia. Wszystko to było takie odrealnione, a ja wiedziałam już, że się zakochałam. Trzymał mnie w objęciach jak prawdziwy dżentelmen. Czułam jego ciało, które ocierało się o moje. Jego lewa ręka obejmowała delikatnie moją dłoń. Prawą rękę trzymał na moich plecach w okolicach obojczyka. Zachowywał się bardzo przyzwoicie, ale ja czułam, jak moje serce przyspieszyło.

Mijały dni, a my wciąż udawaliśmy. Udawaliśmy, że to, co się dzieje między nami, to zwykła życzliwość, bo przecież mieszkaliśmy pod jednym dachem. Udawaliśmy, że to normalne, że ludzie patrzą sobie w oczy albo że przesywa ich dreszcz, kiedy dłoń przypadkiem muśnie drugą dłoń. Udawaliśmy, że nie mamy problemu z naszymi uczuciami, choć mieliśmy. Moja mama kiedyś powiedziała mi, że życie to jedna wielka farsa – coś w tym musiało być.

Wykopywałam stare krzewy pomidorów w ogródku, kiedy obok mnie pojawił się Franz.

– Wytrwały jesteś – powiedziałam.

– Po prostu lubię być w pobliżu. – Uśmiechnął się i zapatrzył w dal. – Cieszę się, że cię poznałem. Jesteś niezwykła.

– Ciii... – rozejrzałam się nerwowo po ogrodzie.

Przykucnęłam, by zakopać dziurę w ziemi. Franz pochylił się obok mnie. Razem zaczęliśmy upychać ziemię do dołka. Nasze ciała były tak blisko siebie, że budziło się we mnie pożądanie. Kiedy skończyliśmy, nie wiedzieliśmy, co powiedzieć. W końcu on odezwał się pierwszy.

– O dwudziestej trzeciej będę na ciebie czekał w sadzie. Przyjdź.

Skinęłam tylko głową. Zabrakło mi słów. Byłam rozpalona, a całe moje ciało dygotało.

Wiedziałam, że pójdę na spotkanie z Franzem. Wiedziałam, że włożę najlepszą suknię, rozpuszczę włosy i wepnę z boku głowy grzebień ze sztucznymi perełkami. Wiedziałam, że będziemy się całować, aż braknie nam tchu. Oboje o tym wiedzieliśmy.

Wstałam. On też się podniósł.

– Myślę o tobie nieustannie. Moje serce bije dla ciebie. Wdarłaś się do mojej duszy. Cały przesiąknięty jestem tobą. Żyję tobą, oddycham dla ciebie. To jakieś szaleństwo.

Objął mnie w pole. A ja nie protestowałam.

– Szaleństwo – powiedziałam.

– Marysia, Marysia! – nagle usłyszeliśmy wołanie. Oskoczyliśmy od siebie jak oparzeni.

W progu domu stał Franek. Spojrzał na nas i zmarszczył brwi. Nie mógł niczego zobaczyć, na pewno nie.

– Mogłabyś tu na chwilę przyjść? – zapytał.

– Tak, idę.

Ruszyłam w kierunku domu, nie odwracając się na Franza.

Franek wszedł do spiżarni, poszłam za nim.

– Co jest? – zapytałam przerażona.

– Trzeba posłać dzieci do szkoły.

– Przecież chodzą do szkoły.

– Jaka to szkoła? Żadna – prychnął z pogardą. – Profesor Kamińska naucza potajemnie dzieciaki ze wsi. Uczy po polsku. Kiedy dzieci mają nauczanie, zawsze któryś z domowników stoi na czatach i pilnuje, czy ktoś podejrzany się nie zbliża. Jeśli tak, daje znać, dzieciaki chowają książki i zeszyty w wyznaczone miejsca i udają, że się bawią.

– Ale to niebezpieczne.

– To jest dobre dla dzieci, rozumiesz? Niemcy chcą nas zniszczyć, a my na to nie pozwolimy! – Jego oczy błyszczały.

Skinęłam głową.

– Masz rację. Dzieciaki powinny uczyć się w języku polskim.

– Co robiłaś z tym Niemcem w ogrodzie?

– Pomógł mi wykopywać krzaki. Uschły i...

Brat patrzył na mnie podejrzliwie.

– Niech więcej ci nie pomaga, zawołaj mnie, jak czegoś będziesz potrzebowała.

– Ale...

– Po prostu mnie zwołaj.

Złapał mnie mocno za rękę i chwilę przytrzymał, patrząc na mnie z uwagą.

– Dobrze – odparłam.

ROZDZIAŁ 25

Antek usiadł obok mnie na łóżku. Był smutny.

– Chciałbym, żeby mama wróciła – powiedział.

– Też bym tego bardzo chciała.

– Powiedz mi prawdę, czy rodzice wrócą? – Przerabiałam już ten temat z Emilką, teraz musiałam porozmawiać z Antkiem. Ostatnio sporo urósł, wydoroślał, ale wciąż był dzieckiem.

– Nie wiem – wzruszyłam ramionami, a wtedy on spojrzał na mnie swoimi dużymi, niebieskimi oczami, takimi samymi, jakie miała mama.

– Powiedz.

– Wydaje mi się, że na razie nie.

Rozpłakał się. Płakał tak bardzo, że zachłystywał się łzami. Szlochał, łkał, a ja nie potrafiłam go uspokoić i przeżywałam ten ból razem z nim. To trudne dla dziecka, kiedy musi zdać sobie sprawę, że nie zobaczy więcej ukochanej osoby. Kołysałam Antka w ramionach, w nadziei, że się uspokoi. Jakbym mogła, przejęłabym na siebie trochę jego bólu, ale to było niemożliwe. Nie wypuszczałam brata z objęć, a on coraz mocniej się we mnie wtulał. Był taki wrażliwy... Kiedy się trochę uspokoił, powiedziałam:

– Kiedy byłeś malutki, wyglądałeś śmiesznie.

– Śmiesznie?

– Miałeś takie chude nóżki i rączki, a na buzi pucki, jakbyś chomikował w nich jedzenie. Do tego kędzierzawe włosy i zadarty nosek.

– I co w tym śmiesznego?

– Żebyś siebie wtedy widział... – uśmiechnęłam się.

Antek zmrużył oczy.

– Naprawdę byłem pucułowaty?

– Hm. Przyssany do cyca mamy do drugiego roku życia. Trudno cię było od niego oderwać. Ciągle byś jadł.

Twarz Antka rozjaśnił uśmiech. I o to mi chodziło. Nie lubiłam oglądać jego smutnej buzi.

– Przepraszam za ten płacz.

– Nie przepraszaj, czasami dobrze jest się wypłakać.

Spojrzał na mnie mokrymi jeszcze oczami.

– Tak, masz rację.

– Może prześpisz się teraz?

– Ale jest dopiero trzecia.

– To nic. Potrzebujesz tego.

Skinął głową.

Poszliśmy do mojego pokoju na poddaszu. Antek wdrapał się na łóżko, a ja przykryłam go kołdrą. Zamknął oczy. Gładziłam jego rozpalony policzek, dopóki jego

oddech się nie wyrównał.

Chodził do szkoły, pomagał Frankowi w prowadzeniu gospodarstwa, w ogrodzie. Czasami zachowywał się jak dorosły, ale wciąż był dzieckiem. Nie powinnam o tym zapominać.

Z każdym dniem było mi coraz trudniej ukrywać uczucia do Franza. Byłam młoda i niedoświadczona. Łapałam się na tym, że patrzyłam na niego odrobinę za długo, a kiedy odwracałam wzrok, napotykałam zdziwione spojrzenie Franka. I wtedy czerwieniłam się jak burak. Wzrok brata był pełen potępienia.

Tak bardzo chciałam z kimś porozmawiać o swoich uczuciach, choćby z ciocią Felicją czy Elizą, ale wiedziałam, że nie mogę. Chciałam im opowiedzieć o tym, jak bardzo jestem zakochana, a z drugiej strony powiedzieć, jak bardzo się wstydzę i boję. Kiedy siostra pytała mnie o Franza, odpowiadałam jej wymijająco. Było mi wstyd, że kłamię, ale wiedziałam, że prawda na zawsze rozdzieliłaby mnie z rodziną.

Wraz z nadejściem zimy zostaliśmy kochankami. Nie sądziłam, że można się tak szaleńczo zakochać. Czułam się kochana. Do dzisiaj się zastanawiam, czy Franz kochał mnie tak samo mocno, jak ja jego. Myślę, że tak. A może nawet on kochał mnie bardziej?

Spotykaliśmy się nocami, na strychu. Rozmawialiśmy o jego rodzinie i o mojej, o tym, jak to było przed wojną. Czytałam mu po polsku książki, a on opowiadał o swojej polskiej babce, która źle się czuła w Niemczech. Bezustannie chcieliśmy ze sobą rozmawiać o emocjach i swoich odczuciach. Poznawać siebie. Nigdy nikomu nie powiedziałam tyle o sobie, co jemu. Nikt o mnie nie wiedział tyle, co Franz.

– Mów o tym, czego pragniesz – zachęcał mnie. – I o tym, co cię boli, o swoich radościach i rozterkach. Mów, nie przestawaj do mnie mówić.

Zakochałam się w nim, ta prawda wstrząsnęła mną dogłębnie.

W tamtych chwilach, które spędzaliśmy razem w ukryciu, Franz był zwyczajnym młodym mężczyzną, jakich wielu.

W chwilach wszechobecnej śmierci instynkt życia ujawnia się szczególnie mocno. Przebywanie w sytuacjach ciągłego zagrożenia i strachu sprawiało, że szczególnie pragnęliśmy bliskości. Nie mogłam nikomu powiedzieć o swojej miłości, bo przez innych byłabym oceniona jako ta zła. Ta, która się zhańbiła. Nasza miłość nie miała wpisanego w słownik słowa: „jutro”. Była dniem dzisiejszym, mimo bombardowań, łapanek, mimo całego tego zła ona żyła pełnią życia. Wtedy kochało się jakoś mocniej, bo przyszłości nie było. I nie tylko dla nas, ale też dla innych młodych par. On i ja, Polka i Niemiec. To, że staliśmy po różnych stronach barykady, nie miało dla nas żadnego znaczenia. Chcieliśmy przeżyć naszą miłość w przeciągu kilku tygodni, bo nie było wiadomo, ile zostało nam czasu. Ta nasza miłość sprawiała, że na kilka chwil zapominaliśmy o złu tego świata, o wojnie, której końca nie było widać.

Kiedy byliśmy razem, oddawaliśmy się bez reszty tylko tej chwili, która trwała, każdej pieszczocie, każdemu pocałunkowi, każdemu dotykowi...

– Nigdy niczego sobie nie obiecujmy – powiedziałam mu którejs nocy.

– Ale dlaczego? – zdziwił się.

– W naszym przypadku obietnice nie wchodzą w rachubę. Pochodzimy z innych planet, z innych światów, moja część życia nie pasuje do twojej.

– Ty nawet nie wiesz, Marysza, jak ja się w tobie zakochałem.

Zamknął oczy, a ja pocałowałam go najpierw w prawą, a potem w lewą powiekę.

– Ja też, Franz, ja też cię kocham.

– Kiedy tylko cię zobaczyłem, wiedziałem, że chcę z tobą spędzić życie. Wiedziałem też, że muszę być ostrożny, by cię nie spłoszyć. I w końcu wiedziałem, że tak naprawdę wszystko zależy od ciebie. Kiedy na mnie spojrzałaś, zauważyłem błysk w twoich oczach. I byłem już pewien, że ci się spodobałem.

Uśmiechnęłam się do niego. Oczywiście, że mi się spodobał. Wysoki, dobrze zbudowany blondyn o chmurnym spojrzeniu.

– Nie byłaś tego świadoma – kontynuował – ale wykonałaś pierwszy ruch. Zerkałaś na mnie od czasu do czasu śmiało. A ja nieraz wpatrywałem się w ciebie tak długo, dopóki nie odwróciłaś wzroku.

– Potem uśmiechałaś się do mnie.

– A ty odwzajemniałaś mój uśmiech. Bawiłaś się zalotnie kosmykiem włosów.

– Czasami nie wiedziałam, co ze sobą począć. Wiedziałam, że na mnie patrzysz. Ręce mi drżały, stąd te zabawy włosami.

– Też się denerwowałem. Nie wiedziałem, na jak wiele mogę sobie pozwolić. Przy tobie czułem się zawstydzony. Kiedy staliśmy blisko siebie, wchłaniałem twój zapach. Pachniesz wiosną. Ten zapach i twoje spojrzenia sprawiały, że traciłem panowanie nad sobą, a wiedziałem, że muszę zachować spokój. A po pamiętnej kolacji przepadłem. Byłem twój.

Żyłam dla tych wieczornych chwil z Franzem. Wiedziałam, że nie mogę od niego niczego żądać i wiedziałam też, że on nie może żądać czegokolwiek ode mnie. A mimo wszystko oddawałam się tej miłości, tym chwilom, gdy serce omal nie wyskakiwało mi z piersi. Pragnęłam, by mnie dotykał i czule do mnie mówił. Franz denerwował się, kiedy zaczynałam mówić na temat wojny. Nie chciał wojny między nami. To był temat tabu. Jednak ja czasami potrzebowałam z nim o tym rozmawiać, bo wbrew wszystkiemu ta wojna trwała. A Franz z jakiegoś powodu dostał odznaczenia.

– To było, zanim zrozumiałem... – powiedział, kiedy opuszkami palców dotknęłam odznaczenia.

Skinęłam głową i już o nic więcej go nie pytałam.

Niestety, kłamstwo nieustannie mi towarzyszyło. Zaczynałam dzień od kłamstwa. Okłamywałam siostrę, kiedy pytała mnie, dlaczego nie było mnie w pokoju wieczorem. Brata, który twierdził, że słyszał głosy późną nocą... Siebie, że skoro kocham, to nie robię nic złego. Jednakże to, co czułam, było prawdziwe. I nie zważałam na to, co krzyczało sumienie. A ono przecież nie jeden raz wrzeszczało, i to tak głośno, że nie mogłam spać.

Franz, moja słodka miłości. Jesteś tylko na chwilę – powtarzałam w myślach. – A kiedy odejdziesz, znów będę żyła po swojemu.

ROZDZIAŁ 26

Chciałam ci opowiedzieć o tym pierwszym razie, to było dla mnie duże przeżycie. Podobnie jak dla każdej kobiety...

Od jakiegoś czasu chciałam się kochać z Franzem. Niczego tak bardzo nie pragnęłam, jak uprawiać z nim miłość. On też tego chciał. I wiedziałam, że wcześniej czy później do tego dojdzie. Oczywiście, że się bałam, byłam jeszcze dziewicą i o seksie nie wiedziałam niczego. W tamtych czasach nie rozmawiało się o tych sprawach. Pamiętam, moja mama przeprowadziła ze mną jedną rozmowę. To było wtedy, kiedy zaczęłam się spotykać z Jerzym. „Są rzeczy między mężczyzną i kobietą, o których powinnaś wiedzieć” – zaczęła. – „Te rzeczy to miłość cielesna. Jest ważna, ale nie najważniejsza. Powinno się poczekać z tymi rzeczami do ślubu”. Mama była zażenowana, nie patrzyła na mnie, a na swoją sukienkę, którą non stop wygładzała.

Wiedziałam, że to się zdarzy tamtej sobotniej nocy. Byłam na to gotowa. Do tej pory tylko rozmawialiśmy, tuliliśmy się i całowaliśmy, mimo że pożądanie w nas kipiało. Tego wieczoru Franz przyszedł na strych dość późno. Było kilka minut po północy.

– Przepraszam, ale nie mogłem się wcześniej wyrwać – powiedział ściszym głosem.

– Rozumiem.

Podeszłam do niego i mocno się w niego wtuliłam. Trwaliśmy w tym uścisku dobrych kilka minut, a kiedy się od niego oderwałam, zaczęłam go całować. Z każdą minutą wzbierało we mnie pożądanie. Jego wargi odnalazły zagłębienie na mojej szyi. Zawsze marzyłam o tym, by mężczyzna moich marzeń całował mnie po szyi. Ciepło jego warg wywoływało mrowienie rozprzestrzeniające się w dół. Schodziło w kierunku piersi, zatrzymało się w dole brzucha. Zamknęłam oczy, a on nie przestawał mnie dotykać, pieścić, całować... Pragnęłam go tak mocno, jak tylko człowiek może pragnąć drugiego człowieka.

Franz rozpiął moją sukienkę. Jego ręka powędrowała na moją prawą pierś.

– Franz... Ja... Ja jeszcze nigdy tego nie robiłam.

Znieruchomiał.

– Przepraszam, nie pomyślałem o tym – odsunął się ode mnie. – Czy ty... Czy ty tego chcesz?

Skinęłam głową, cała oblana rumieńcem.

– Bardzo chcę.

– Będę ostrożny – powiedział, a ja wiedziałam, że tak będzie. Ufałam mu.

Przytulił się do mnie. A potem znów zaczął obsypywać moją twarz pocałunkami. Jego ręka ponownie znalazła się na mojej piersi. Sukienka opadła na podłogę. Franz nie przestawał mnie całować. Pomału zdejmował ze mnie halkę, potem pończochy.

– Jesteś taka piękna... – jego oczy błyszczały, kiedy palcami gładził moją rozpaloną skórę. Drżącymi rękoma zaczęłam odpinać guziki jego koszuli. Potem sam zdjął spodnie. Byłam lekko przerażona tym, co zobaczyłam. Bałam się bólu.

– Obiecuję, że nie będzie bolało – powtórzył.

Ukląkł przede mną i obsypał pocałunkami moje uda. Jego język zataczał kółka na moim podbrzuszu, po czym zniżył się do zagłębienia między udami. Wszystko we mnie pulsowało. Pragnęłam więcej i więcej. Kiedy uznał, że jestem już gotowa, położył mnie na kocu rozłożonym na podłodze, po czym delikatnie we mnie wszedł. Syknęłam. Poczułam lekkie ukłucie, a potem przyjemność rozlewającą się po moich wnętrznościach. Mój kochanek starał się być delikatny. Poruszał się we mnie powoli. Może nie odczuwałam eksplozji fajerwerków, ale było przyjemnie. Bolało tylko trochę. Za to kolejne razy były tym, o czym marzyłam – eksplozją zmysłów.

– Z iloma kobietami wcześniej byłeś? – To pytanie nurtowało mnie od kilku dni.

– Z kilkoma.

– A ile kochałeś?

Franz wsparł się na łokciu. Przez chwilę przyglądał się mojej twarzy, a ja bałam się, że wyczyta z niej, że jestem o niego zazdrosna.

– A jakiej odpowiedzi oczekujesz?

– Szczerej.

– Czasami lepiej nie wiedzieć.

– Ty nie chcesz wiedzieć, czy kogoś kochałam?

– Nie.

– Dlaczego?

– Bo chciałbym być twoją pierwszą miłością.

– Czy pierwsza miłość jest ważniejsza od kolejnych?

– Pierwsza jest zawsze pierwsza – uśmiechnął się do mnie.

– A więc kochałeś jakąś kobietę przede mną?

– Tak.

Moje serce – jak na zawołanie – zaczęło dużo szybciej bić. Musiałam mieć smutną minę, bo przygarnął mnie do siebie.

– Ale teraz kocham ciebie i tylko to się liczy.

– Nie jestem pierwsza... – zachowywałam się jak naburmuszone dziecko.

– Ale najważniejsza.

Kiedy obudziłam się rano, Franza już przy mnie nie było. Byłam obolała, ale szczęśliwa. Na mojej twarzy gościł szeroki uśmiech. Czulałam na sobie zapach Franza. Delektowałam się tym zapachem. Przymknęłam oczy i przypomniałam sobie, jak jego ręce mnie dotykały, a usta całowały moje ciało kawałek po kawałku. I jak tu wracać do rzeczywistości, kiedy w sercu taka wiosna? Nabrzmiała od kolorów, barw, smaków, doznań.

Franz palił papierosa i odtwarzał w myślach wczorajszą noc i to, co się wydarzyło. Wiedział, że te doznania zostaną z nim do końca życia. Wczorajszej nocy tak bardzo pragnął Marysi, a z drugiej strony bał się, że ona zmieni zdanie. Nie winiłby jej o to,

ale byłby rozczarowany. Przymknął powieki. Marysia była jego ideałem kobiecego piękna. Kiedy ją rozebrał, nie mógł złapać oddechu. Niewielkie, jędrne piersi, płaski brzuch, zaokrąglona linia bioder i smukłe nogi. Jej skóra pachniała truskawkami i wiatrem. Była miękka i delikatna. Muśnięcia, pocałunki, szybkie ruchy i przez chwilę był w niebie. Jeszcze rankiem pachniał nią. Zgasił papierosa i uśmiechnął się do siebie.

Którejś nocy Franz przyszedł na strych z całą paczką jedzenia. Czego tam nie było: chleb, ciasto, konserwy, szparagi, a nawet kawior. Na dnie pudełka leżały dwie butelki wina.

– Część dla twojej rodziny, a część zjemy teraz.

– Teraz?

– Zrobimy sobie małą ucztę.

– Czy to jakieś święto? Masz urodziny?

– Będziemy świętować wszystko po kolei. Twoje i moje urodziny, narodziny naszej miłości, wszystkie nadchodzące święta. W tej jednej uczcie zamkniemy wszystkie najbliższe uroczystości. Bo nie wiemy, co przyniesie nam jutro.

Franz objął mnie mocno, a potem pocałował. W tym pocałunku przekazywał mi całą miłość. Ta miłość, która rodziła się między nami, była gorąca, prędką, niekiedy nachalna, prosząca o doznania, bez granic, bez przyszłości, niewłaściwie właściwa, osnuta cieniem jakiegoś żalu do otaczającego ją świata.

– Potrafilibyśmy wykorzystać nasze dalsze życie, gdyby nam tylko na to pozwolono – powiedziałam.

– Ta wojna musi się przecież kiedyś skończyć.

Staliśmy razem w objęciach.

– Otwórzmy wino – zaproponował. Rozlał je do szklanek, które od jakiegoś czasu stały na skrzyni. Odkąd zaczęłam spotykać się z Franzem, przyniosłam na strych trochę talerzy, dwie szklanki, sztucce, koce... Wszystko ustawiłam na skrzyni i owinęłam starymi szmatami, żeby nikt ich nie zauważył. Kocę trzymaliśmy zwinięte w rulon pod stertą starych gazet.

Jedliśmy, piliśmy wino i śmialiśmy się. Franz co chwila mnie uciszał.

Byłam już lekko wstawiona, kiedy zapytałam:

– Czy nie sądzisz, że to wszystko mogło ci się przydarzyć z kimś innym? Gdybyś tu nie zamieszkał...

– Nie mogę powiedzieć „nie” – odpowiedział szczerze. Zaboląła mnie ta odpowiedź. Każda kobieta chce być dla tego jednego, jedyne go mężczyzny najważniejsza i chce wierzyć, że to, co z nią przeżywa, jest dla niego wyjątkowe. – Ale wiem już, że z żadną inną kobietą po tobie nie będzie mi tak wspaniale.

– A myślisz, że będą inne?

– Nie wiem. Nie chcę o tym myśleć. Chciałbym być z tobą i tylko z tobą. Chciałbym, byś została moją żoną. Chciałbym mieć z tobą dzieci. Ale nie wiem, co przyniesie

przyszłość.

Pocałował mnie w czubek głowy. Zamknęłam powieki i marzyłam o tym, by ta chwila trwała tak długo, jak to tylko jest możliwe.

Rozpuścił moje włosy, które związałam atlasową kokardą. Spłynęły na moje plecy. Przytulił mnie mocno, a potem rozpiął sukienkę, która zsunęła się miękko w dół.

Oczy mu błyszczały, po niemiecku prawil mi komplementy. Kiedy wszystkie słowa zostały już wypowiedziane, chwycił moją nogę i położył na swoim biodrze. Od razu poczułam narastające pożądanie. Wszystkie mięśnie, krążąca w sercu krew zdawały się rozsadzać skórę. Franz zaczął kąsać moje wargi. Krew w moich żyłach płynęła jeszcze szybciej. Między nogami czułam gorące pulsowanie. Dłużej nie mogłam już czekać. Położyłam się na podłodze i pociągnęłam go za sobą. Kochaliśmy się gwałtownie, szaleńczo, dogłębnie, świadomi krótkiego czasu, jaki nam pozostał.

– Przepraszam – powiedział, kiedy skończył.

– Było całkiem przyjemnie, choć jestem trochę obolała.

– Zatraciłem się... Nawet w miłosnych uniesieniach można przekroczyć granicę.

– Zawsze można.

Przez chwilę leżeliśmy w milczeniu, a ja gładziłam jego nagi tors.

– Franz, opowiedz mi o sobie.

– Co chcesz wiedzieć?

– Wszystko.

– Urodziłem się w 1914 roku w Bielsku, bo tam mieszkali wówczas moi rodzice. Mama jest Polką, tata Niemcem. Po zakończeniu pierwszej wojny światowej rodzice z babcią wyjechali do Berlina. Mam też młodszą o cztery lata siostrę Irminę. Babcia uczyła mnie polskiego i dopóki nie poszedłem do szkoły, lubiłem ten język. Babcia codziennie siadała ze mną przy stole i kazała pisać po polsku. Na początku mi to nie przeszkadzało. Z wiekiem migąłem się od tego zajęcia, jak mogłem. A w szkole mówiłem już tylko po niemiecku. Nie przyznawałem się do swoich korzeni. Czułem się Niemcem.

– Czyli umiesz pisać po polsku?

– Tak, choć dawno tego nie robiłem...

– Tego się nie zapomina. Możesz do mnie pisać listy.

– Listy? Przecież mieszkamy pod jednym dachem.

– Mężczyźni... – pokiwałam głową i roześmiałam się.

– Kobiety... – roześmiał się również. Pogładził mnie po policzku. – To zbyt niebezpieczne, Marysza. Zbyt niebezpieczne.

– Zniszczę te listy – powiedziałam, choć wiedziałam, że tego nie zrobię. Napisz do mnie miłosny list. Chociaż jeden – pocałowałam go czule, a on objął mnie jeszcze mocniej. – O czym marzyłeś jako nastolatek? – zmieniłam temat.

– Odkąd pamiętam, marzyłem, by zostać żołnierzem.

– I dopiąłeś swego? – raczej stwierdziłam niż zapytałam.

– Jak widać.

– A w zasadzie to czego was uczono na szkoleniach?

– Szkolenia były takie jak w każdej armii. Różnica polegała na intensywnych

i częstych wykładach ideologicznych. Były też szkolenia ogniowe, gdzie uczono nas nie tylko obsługi broni, ale też walki wręcz. Starano się wpoić nam agresję. Uczono nas, że zawsze najlepszą obroną jest atak. Mieliśmy też zajęcia boksu.

– Stąd te muskuły? – zapytałam, gładząc go po ręce.

– Chyba tak. Dużo ćwiczyłem. Wykładowcy niekiedy byli brutalni i upajali się naszymi morderczymi treningami. I tylko słyszało się: „Schnell!”. Szkoleniowcy nas poniżali, a to wszystko po to, by złamać ducha tych, którzy nie nadawali się, by zostać oficerami. Poniżanie było gorsze od morderczych treningów. Nauczyl nas wielbić Führera, dowodzenia, szacunku do starszych rangą oficerów, bo do ludzi już nie. Tych, którzy nie byli Niemcami, kazali nam nienawidzić, bo przecież ponoć to my – według ich ideologii – jesteśmy rasą panów. Na szkoleniach wpajano nam różne głupie ideologie. A my, młodzi chłopcy, wierzyliśmy w to wszystko. Byliśmy silni, zdrowi. I mieliśmy rozbuchane ego. A oni się z nas śmiali i prowokowali do walki. Wpajali nam, że inny człowiek – ten, który stoi po drugiej stronie barykady, pochodzi z innego kraju, mówi innym językiem – nic nie znaczy. Jest armatnim mięsem, które trzeba rozstrzelać. I wielu z nas w to wszystko uwierzyło. Ja również – mówił to z taką złością, że się przestraszyłam. – Boję się, co będzie dalej... – Jego głos był pełen strachu i grozy.

Ukrył twarz w dłoniach, a ja go przytuliłam. Gładziłam Franza po plecach, kiedy odezwał się ponownie:

– Kazali nam milczeć, kiedy trzeba było milczeć. Chcieli z nas zrobić oficerów, mężczyzn, łamiąc naszego ducha. Nadeszła chwila, na którą większość z nas czekała z niecierpliwością – przysięga. Wmaszerowaliśmy na plac. Oficerowie założyli na tę okazję galowe mundury. Obok oficerów na placu znajdowali się też państwowi urzędnicy. Poczujęm rozpierającą dumę z tego, że i ja zostanę oficerem. Któryś z urzędników państwowych zaczął nudne przemówienie o tym, jakiego zaszczytu dostępujemy jako żołnierze Trzeciej Rzeszy. Dawno nie czułem w sercu takiej radości. Rozumiesz, ja wtedy byłem szczęśliwy, bo uważałem, że spełniłem swoje marzenie, że jestem prawdziwym silnym mężczyzną. Byłem taki dumny, kiedy założyłem oficerski mundur Wehrmachtu.

Przechadzałem się po domu rodziców, przeżąc pierś. Tato podszedł do mnie i poklepał po plecach. Spojrzałem na niego, sądząc, że zobaczę w jego oczach uznanie. Nic takiego jednak się nie stało. Tato był weteranem wojennym. Stracił rękę podczas pierwszej wojny światowej...

– Cieszę się, że tam jadę – zwróciłem się do ojca.
– Cieszysz się?
– Za ojczyznę należy poświęcać życie – powiedziałem.
– Nie ma takiej ojczyzny, dla której należy to robić. Życie ludzkie jest najważniejsze. Ojczyźnie potrzebni są żywi ludzie.

– Nie podoba mi się to, co mówisz, ojciec.

– Mnie też się nie podoba, że mój syn ślepo wierzy w durne ideologie. Zło jest złem, synu, i nie ma na to wytłumaczenia.

– Te żydowskie świnię to podludzie – powiedziałem wówczas z wyższością.

Spojrzałem na ojca, który poczerwieniał na twarzy. Na skroniach uwidoczniły mu się żyły.

– Milcz!

I za nim zdołałem zareagować, jego dłoń uderzyła mnie z impetem w policzek. Otworzyłem usta, ale nie wydobyłem głosu.

– Człowiek jest zawsze człowiekiem. Nieważne, czy Żyd, Polak, czy Niemiec. Nie tak cię wychowałem, nie tak.

– Wyjeżdżam – powiedziałem chłodno, kiedy odzyskałem głos.

– Kocham cię, synu. – Ojciec stał na wprost mnie. W jego oczach widziałem żal i smutek... – Kocham cię – powtórzył.

– Teraz wiem, co ojciec miał na myśli. Wojna jest złem. Nie można godzić się na okrucieństwo. Na zabijanie niewinnych osób, na śmierć tysięcy kobiet i dzieci.

Nie wiedziałam, co mam mu powiedzieć. W sercu czułam ogromny ucisk. Jaki był Franz na początku wojny? Franz, którego nie znałam? Franz, który wierzył w Führera?

– Myślisz, że moi rodzice jeszcze żyją? – zapytałam po chwili.

Przez długą chwilę milczał.

– Powiedz mi prawdę. Sam chciałbyś znać prawdę o swoich bliskich.

– Nie wiem, ale... Ale raczej nie. Wiesz, co nam powiedział Adolf Hitler przed najazdem na Polskę?

Pokręciłam głową.

– „Naszym podstawowym obowiązkiem jest zniszczenie Polski. Celem jest nie tylko zajęcie kraju, ale unicestwienie każdej żywej istoty. Bądźcie bezlitośni! Bądźcie brutalni. Postępujcie z najwyższą surowością. Ta wojna ma być wojną zagłady. Każdego przedstawiciela polskich elit należy zamordować” – mówił, a myśmy go słuchali. Miliony Niemców zachłysnęły się jego ideologią. Miliony moich rodaków biły brawo na wiecach. Wykonywaliśmy jego rozkazy. Twój rodzice należeli do elity... Marysza, przepraszam... Przepraszam cię, Marysza.

ROZDZIAŁ 27

Franz napisał do mnie nie jeden, a kilkadziesiąt listów. Niektóre po niemiecku, inne łamaną polszczyzną. Czytałam je w wolnych chwilach i chowałam w zamykanym na kluczyk kuferku. Kuferek trzymałam głęboko w skrzyni, pod prześcieradłami. Nikt do niej nie zaglądał, oprócz mnie.

Dziś wieczór opowiemy sobie o swoich uczuciach i pragnieniach. Przemówisz do mojego serca, a ja porozmawiam sobie z Twoim sercem. Dziś wieczór wszystko między nami będzie takie proste. To, że stoimy po przeciwnej stronie barykady, jeszcze niczego nie oznacza. Niczego, Maryszu. Niczego!

To, co nam się przydarzyło, to namiętna, gwałtowna miłość. Pełna melancholii, sentymentów, czułych słów. Wielokrotnie zastanawiałem się nad tym, co czuję. Chciałem to pojąć, ale stało się coś, co przekroczyło granice jakiegokolwiek pojmowania. Wahałem się między tym, co powinienem zrobić, a tym, co czuję. Między nami jest taka magiczna więź porozumienia, choć cały świat byłby skłonny ją zerwać, a nas rozszarpać na strzępy.

Między nami jest czułość, gęsta od najgorętszych słów. Namiętność trudna do opisanie. Coś między bliskością a oddaleniem.

Oboje wiemy, że ta miłość nie powinna się wydarzyć. Zdajemy sobie z tego doskonale sprawę, a mimo to rzuciliśmy się w to uczucie jak szaleńcy. Przez te kilka chwil, które kradniemy dla siebie nocą, chcę być szaleńcem.

W całym moim życiu nie przytrafiła mi się taka miłość.

Piekłam ciasto z mąki, którą poprzedniego dnia przyniosła mi ciocia Felicja, kiedy usłyszałam czyjeś kroki. Wyszłam na korytarz, ale nikogo tam nie było. Dopiero kiedy przeszłam do salonu, zobaczyłam, że na kanapie siedzi przyjaciel Franza, Bruno.

Zapamiętałam go jako pewnego siebie, przystojnego mężczyznę. W czasie wojny został postrzelony w nogę i od tamtej pory kulął. Franz wspominał, że Bruno wstydził się tego swojego kalectwa i czuł się na swój sposób mniej męski. Wiedziałałam też od Franza, że Bruno miał żonę w Niemczech. Pobrali się przed samą wojną i nie widzieli się właściwie od ślubu – półtora roku.

– Dzień dobry – odezwałam się pierwsza. Byłam zaskoczona jego obecnością.

– Dzień dobry – zmrużył oczy, nie spuszczając ze mnie wzroku. – Jest Franz?

– Nie ma.

– A kiedy będzie?

– Nie wiem. Nie mówi mi o takich rzeczach.

– A ja myślałem, że tak dużo o sobie wiecie... – świdrował mnie wzrokiem.

Drażnił mnie ten człowiek i jego nonszalancki ton. Wyciągnął nogi na stół. Tego było

już za wiele.

– Proszę zdjąć nogi ze stołu – powiedziałam ostro.

Posłuchał.

– Dlaczego wchodzi pan tutaj jak do siebie? – zapytałam. Byłam oburzona i zła.

– Jest wojna, droga pani, i teraz tutaj rządzą Niemcy.

– Nie w moim domu! – założyłam ręce na piersiach.

– Wy, Polacy, żyjecie swoimi ideami, wierzycie w te swoje cuda. Nie dociera do was, że jesteście pod okupacją.

– Jaką krzywdę zrobili panu Polacy, Węgrzy, Słowacy, Żydzi?

– Hitler mówi...

– Nie obchodzi mnie, co mówi Hitler, tylko, co pan o tym sądzi.

Nie odpowiedział.

– Niech pani przekaże Franzowi, że przyjdę po południu.

Wstał i wyszedł.

Zastanawiałam się przez chwilę, czy powiedzieć o aroganckim zachowaniu Bruna Franzowi, jednak zdecydowałam, że o niczym mu nie powiem. To w końcu był jego przyjaciel.

Kiedy ciasto było gotowe, wybrałam się do cioci Felicji, by zanieść jej trochę placka. Pomagałyśmy sobie, jak tylko mogłyśmy. Przed domem zastałam siedzącą na kamieniu teściową cioci. Miała takie smutne oczy.

– Dzień dobry – powiedziałam.

Nie odpowiedziała. Była zatopiona we własnych myślach.

– Dzień dobry – powtórzyłam.

– Czy ja wiem, czy taki dobry? – odparła.

– Czy coś się stało? – zapytałam z przejęciem w głosie. – Po głowie tłukło mi się kilka strasznych myśli.

– Jest wojna, to się stało. Jest wojna, a ja siedzę sobie tutaj na tym kamieniu, jak gdyby nigdy nic.

– My, kobiety, nie mamy zbyt dużego pola manewru – próbowałam podnieść ją na duchu.

– Nie, to nie to – potrząsnęła głową, a spod chustki wysunęło się kilka siwych pukli.

– Młodzi chcą tak bardzo żyć, a mnie jakoś to życie zubożniało.

– To znaczy?

– Powiedziałam, że mi zubożniało.

Nie rozumiałam jej wtedy, ale teraz, kiedy sama jestem stara, rozumiem to aż za dobrze.

Bruno wrócił po południu. Razem z Franzem zasiedli w salonie. Drzwi do pokoju zostały uchylone, dlatego słyszałam ich rozmowę.

– Marion urodziła dziecko – powiedział do Franza.

– Mam ci gratulować? – zapytał go przyjaciel.

– Chyba nie... – nastąpiła chwila ciszy. – Dziecko ma dopiero trzy tygodnie, a mnie nie ma w domu przeszło półtora roku.

– Zdarza się.

– Franz, co ty mi pieprzysz? Jak to zdarza się?

– Jest wojna. W czasie wojny takie rzeczy się zdarzają.

– Czyli co? Mam przejść nad tym do porządku dziennego? Nie zaczekała na mnie.

A ja ani przez moment nie pomyślałem, by ją zdradzić. Ani przez moment.

– Skąd wiesz, co będzie za kilka miesięcy?

– Mówisz tak, bo sam posuwasz tę Polkę.

– Co ty pleciesz?

– Widzę, jak na siebie patrzycie. Jak reagujesz, kiedy ktoś wspomina o niej.

Zgłupiałeś? – zapytał Bruno. – Uganiasz się za tą polską dziewczką jak jakiś sztubak.

– Ona jest cudowną kobietą.

– Nie wątpię – powiedział. – Boże! – krzyknął po chwili. – Ty się w niej zakochałeś.

Franz nic nie odpowiedział.

– Z Polkami można chodzić do łóżka, można je uwodzić, ale nie kochać.

– Dlaczego?

– Bo nie i koniec. Franz, za to grozi ci najwyższa kara – zniżył głos.

– Nikt o tym nie wie.

– Ludzie mają oczy. Bądź ostrożny, przyjacielu. A najlepiej odpuść.

– Ja już nie potrafię. Nie potrafię z niej zrezygnować.

– W którymś momencie będziesz musiał.

Franz musiał poderwać się z fotela, bo usłyszałam huk upadającego krzesła i szybkie kroki.

– Ja ją kocham Bruno. Ja ją kocham!

– A nie powinienes!

Obaj mówili teraz podniesionym głosem.

– Jesteś moim przyjacielem, ale nawet ty nie powinienes mi mówić, co mi wolno, a co nie. W normalnych warunkach... – Franz urwał.

– Sam powiedziałaś, że jest wojna.

– Popieprzona wojna, który czyni z nas ludzi, którymi nigdy wcześniej nie byliśmy. Rozumiesz? Każdy na tej wojnie czuje się samotny i dlatego to wszystko się dzieje!

Środowego popołudnia Franz otrzymał korespondencję. Widziałam, jak sortuje listy. Rozcinał koperty i przeglądał ich zawartość. Jeden list bez czytania odłożył na bok, po czym wyszedł z domu. Zapalił papierosa i oparł się o ścianę budynku. Widziałam, jak bardzo jest wzburzony. O co mogło chodzić? – zastanawiałam się. Nierozpieczętowany list leżał na stole. Wzięłam go do ręki i obróciłam. Adresatem była jakaś Eleonore. Kim do cholery jest Eleonore? Jego siostra miała na imię Irmina. Serce zaczęło mi bić dużo szybciej. Poczułam ukłucie gdzieś w okolicach mostka. Wyszłam przed dom.

– Kim jest Eleonore? – zapytałam bez ogródek.

Wzdrygnął się.

– Widziałaś list?

Skinęłam głową.

– Widziałam zaklejoną kopertę i dane adresata, a raczej adresatki.

– Spotykaliśmy się przed wojną.

– Nic mi o niej nie mówiłeś! – podniosłam głos, nie kryjąc oburzenia.

– Bo ona nie ma dla mnie znaczenia.

Przełknęłam ślinę.

– Jak to nie ma znaczenia? Chyba ty dla niej coś znaczysz, skoro pisze do ciebie listy? Zna twój adres.

– Wyciągnęła go zapewne od Irminy. Boże, dlaczego ja ci się tłumaczę? To jest list do mnie, nie do ciebie – on również był podirytowany.

– Tak chcesz ze mną rozmawiać?

Westchnął.

Byłam zazdrosna i to bardzo. Chciałam mu o tym wykrzyczeć, ale nie mogłam. Czułam się tak, jakbym stanęła nad krawędzią przepaści i chwiała się na lewo i prawo.

– Znam ją od dziecka. Mieszka w pobliżu domu moich rodziców. Spotykaliśmy się dość często, zazwyczaj w większej grupie. Nigdy jej niczego nie obiecywałam. Raz, no może dwa, poszliśmy razem na ciastko i tyle. Ona coś sobie uroiła. – Podniósł na mnie wzrok. Na jego twarzy malowały się zakłopotanie i smutek.

– Ciastko, powiadasz? – świdrowałam go wzrokiem.

Spuścił głowę. Kłamał. Wiedziałam o tym.

– Przespałem się z nią w chwili rozpaczy – wydusił z siebie. To stało się wtedy, po kłótni z ojcem. Tuż przed samym wyjazdem... Byłem pijany, zrozpaczony... Bardzo tego żałowałem.

Oblała mnie fala gorąca, w ustach poczułam suchość. Nie wiedziałam, co zrobić z rękoma, dlatego zaczęłam wyginać palce.

– Do jasnej cholery, Franz!

– Wiem, głupio postąpiłem. Nawet jej nie kochałem... Nawet mi się nie podobała.

Nie mogłam dłużej tego słuchać. Ruszyłam w stronę lasu. Odwróciłam jeszcze głowę.

Chciałam mu powiedzieć, że właściwie to nie wiem już, jakim jest człowiekiem. Nie miałam na to jednak siły. Przysiadłam nad rzeką. Po kilku chwilach pojawił się również Franz.

– Czego chcesz? – syknęłam.

– Nie traktuj mnie protekcyjnie.

Wzruszyłam ramionami.

– O co ci chodzi?

– O co? – stanęłam na wprost niego, wspięłam się na palce, by móc spojrzeć mu w oczy. – Wykorzystałeś jakąś biedną kobietę. Nie powiedziałaś mi o tym. Ona najwidoczniej się w tobie zakochała.

– Najwidoczniej tak. Tylko że ja jej nie kocham. Nic jej nie obiecywałem...

– Jezu, trzeba było o tym wcześniej pomyśleć, zanim poszedłeś z nią do łóżka.

– Marysza...

– Co Marysza? No, co?

– Przepraszam.

– Chyba nie mnie powinieneś przeproszać.

– Odpiszę jej, żeby sobie nie robiła nadziei. Przepraszę ją. Czy tego ode mnie oczekujesz?

– Rób, co chcesz.

– Kocham cię, Marysza...

ROZDZIAŁ 28

– Dlaczego ciągle z nim rozmawiasz? – zapytał Franek, kiedy tylko weszłam do domu. Boże, czy wszyscy w domu się domyślali, że coś nas łączy?

– Z kim? – czułam, jak policzki zaczynają mnie palić.

– Z Oberleutnantem.

– Rozmawiam tyle, ile muszę.

– Nieprawda.

– Prawda! – zaprzeczyłam stanowczo. – Czy nie mogę już z nim rozmawiać tylko dlatego, że jest Niemcem? Wydaje się być miły.

Franek prychnął i zmarszczył brwi.

– Ty wiesz, że Niemcy najprawdopodobniej zabili naszych rodziców – powiedział z żalem.

– Tego nie wiemy.

– Pytałem tu i ówdzie...

– Ale nikt nie potwierdził tego faktu.

– Nikt. Ale nikt też nie potwierdził, że żyją.

Zamilkliśmy na moment.

– Ty wiesz, że Niemcy likwidują życie społeczne, kulturalne, zamykają polskie instytucje. Chcą nas zniszczyć! – kontynuował Franek.

Skrzypnęła podłoga.

Oboje wzdrygnęliśmy się.

– Ciszej – upomniałam brata.

– To tylko kot – Franek wskazał na zwierzę, które czmychnęło pod stół. – Jesteś wpatrzona w niego jak w obrazek. Ale nie zapominaj, że jest jednym z nich.

– On nie chciał tej wojny.

– Ale walczy po ich stronie. Niemcy nas poniżają, zadają śmierć naszym bliskim, urządzają sobie łapanki, zbiorowe egzekucje, a ty... – pokręcił głową z dezaprobatą.

A ja byłam zakochana bez pamięci w Niemcu. Chciało mi się płakać, a z drugiej strony było mi niedobrze. Sama nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Na dodatek dowiedziałam się o tej kobiecie, Eleonore.

– Wczoraj rozstrzelali wszystkich mężczyzn z sąsiedniej wsi.

– Dlaczego?

– Ponoć pomagali partyzantom.

– Wszystkich?

– Tak.

– Boże jedyny! – westchnęłam.

Franek spojrzał na mnie z pogardą. Jakby o wszystkim wiedział. Mógł coś podejrzewać, ale nie mógł wiedzieć na pewno.

Wieczorem znalazłam liścik wsunięty pod drzwi mojego pokoju.

Marysza, proszę, spotkaj się ze mną. Tam, gdzie zawsze, o stałej porze.

Poszłam na strych.

Nie dlatego, że chciałam pojednania z Franzem, ale po to, by spytać go o to, czego dowiedziałam się od brata. Byłam na Franza podwójnie zła.

– Słyszałeś o rozstrzelaniu cywilów w Gałuszowie?

Skinął głową.

– Przykro mi – powiedział ostrożnie.

– Czy na pewno jest ci przykro?

– Jest wojna. Takie rzeczy się zdarzają.

– Franz! – nie kryłam swego oburzenia.

– Ciii – przytknął mi palec do ust. – Byłem tam – spuścił wzrok.

– Zrobiłeś to mimochodem? Zabiłeś tych ludzi, bo taki dostałeś rozkaz?

– Nie zabiłem tych ludzi.

– Może nie ty wycelowałeś, ale zrobili to twoi ludzie.

– Taki dostaliśmy rozkaz.

– Zabijasz ludzi, a ja z tobą sypiam.

– Wiedziałaś od początku, kim jestem.

Ukryłam twarz w dłoniach.

– Ja już nie wiem Franz, kim ty jesteś. Moje wyobrażenie o tobie jest całkiem inne od rzeczywistości. Krzywdzisz ludzi.

– Nie mów tak.

Spojrzeliśmy sobie w oczy. A co miałam mu mówić, skoro taka była prawda?

– Jeśli bym się sprzeciwił, wysłaliby mnie na front rosyjski, na pewną zagładę.

Zdradziłbym swój naród.

– Boże! Zabijać jednych, by ochronić innych. To jest bestialstwo!

– Wojna jest niesprawiedliwa i to, co się dzieje wtedy z ludźmi... Jakieś trzy tygodnie temu rozmawiałem o tym z pewnym księdzem.

– Jesteś wierzący?

– Nie. Myślę, że Boga nie ma. Bo skoro by był, to nie pozwoliłby na tę wojnę.

– To nie Bóg za tym stoi! – powiedziałam dobitnie. – A człowiek. Za każdym złem tego świata stoi człowiek.

Franz znowu spuścił głowę.

– I co z tym księdzem? Miałeś ochotę pogadać z polskim duchownym, ot tak?

– Atakujesz mnie bez przerwy.

– Bo... Bo ja cię w ogóle nie znam.

– A co chcesz wiedzieć?

– Po co byłeś u tego księdza?

– Zamykaliśmy kościół.

– Dlaczego?

– Taki miałem rozkaz.

– A co z księdzem?

– Został odesłany do obozu w Dachau.

– Uciąłeś sobie z nim pogawędkę, a potem odesłałeś do Dachau – stwierdziłam ze

smutkiem w głosie.

- Myślisz, że tego chciałem? Myślisz, że nie liczę się z ludzkim życiem?
- Nie wiem, Franz.
- Chcę ci opowiedzieć o tej rozmowie.
- To mów.
- Usiadłem naprzeciwko księdza w zakrystii...

- Proszę księdza, musi ksiądz...
- Tak, wiem – uśmiechnął się, jakby był na wszystko przygotowany.
- Jak bardzo jestem współwinny tego, co się dzieje? – wystrzeliłem w jego stronę słowa z taką szybkością, jakbym strzelał z karabinu.
- Pan wie, o co mnie pan pyta? To jakiś test?
- Nie, to nie test. Może rusza mnie sumienie? Mogę nie wykonywać rozkazów, ale wtedy mnie rozstrzelają. Mogę zdezerterować, ale wtedy doniosą na mnie, znajdą mnie i też rozstrzelają. Mam rodzinę w Niemczech. Mamę, siostrę i ojca. Oni by do nich dotarli. Muszę chronić swoją rodzinę tak jak inni. Rozumie ksiądz?
- Ksiądz potarł dłonią brodę.
- Czasami mi się wydaje, że nawet ja nic nie rozumiem.
- Jestem współwinny tego bestialstwa, obaj to wiemy. Ale ksiądz nie chce mnie osądzić.
- Jak mógłbym kogokolwiek osądzać? Tylko Bóg ma do tego prawo.
- Bóg...
- Pan w niego nie wierzy?
- Nie.
- Jest pan młody, pewnie był pan dzieckiem, kiedy zatruto pana kłamstwami, złudnymi obietnicami, fałszywymi ideologiami. Jest pan człowiekiem, tylko człowiekiem. Każdy z nas się boi śmierci, a jeszcze bardziej szerzącego się zła. Trzeba wierzyć.
- Ale ja mówiłem, że nie wierzę w Boga.
- W drugiego człowieka.
- Ale ludzie...
- W każdym z nas są pokłady dobra, nawet jeśli chwilowo przykryte są złem.
- A ksiądz? Czy ksiądz wierzy?
- Jakbym mógł przestać wierzyć? – zapytał retorycznie.

- Franz zamilkł. I ja milczałam. Staliśmy naprzeciwko siebie, smutni i zrezygnowani.
- Boję się – odezwałam się po chwili.
 - Też się boję – podszedł i objął mnie ramieniem. Zapewne wyczuł, jak bardzo napięte jest moje ciało. – Nie mówmy już o tym.

Skinęłam głową, ale wiedziałam, że o tych rzeczach trzeba mówić.

– Dziś chciałabym się wcześniej położyć – powiedziałam do niego.

– Dobrze. Mam już iść?

– Tak będzie lepiej.

Kiedy Franz zszedł na dół, wyszłam do ogrodu. Usiadłam na ziemi i patrzyłam na gwiazdy. Czułam na sercu ogromny ciężar. Polska znajdowała się pod hitlerowską okupacją, ginęli moi rodacy, a ja głupio pokochałam okupanta. Byłam zła na tę miłość, a mimo to nie potrafiłam przestać kochać. W tamtej chwili jak każda młoda dziewczyna potrzebowałam miłości, ciepła, komplementów, zachwyków. Teraz już wiem, że można żyć bez miłości do mężczyzny, wtedy myślałam, że bez tej miłości nie będę mogła oddychać. Wydawało mi się, że wszystko zaczęło się sypać, choć na dobre się jeszcze nie zaczęło. Eleonore, rozstrzelani mieszkańcy wsi, ksiądz wysłany do Dachau. I pośród wszystkich tych zdarzeń Franz i ja. Ogarnęło mnie przerażenie, miałam wrażenie, że wpadam w czarną dziurę. Bałam się samej siebie. Co byłam w stanie poświęcić w imię miłości? Kogo i co musiałam zdradzić dla tej miłości? Czy naszym największym grzechem było to, że się kochaliśmy, zamiast nienawidzić? Dlaczego przymykałam oczy na to, co robił Franz? Czy w imię miłości powinnam była to robić?

– Marysza, wszystko w porządku? – zapytał Franz następnego dnia.

Stałam w kuchni i kroiłam chleb.

– Nie wiem, Franz. Za dużo tego wszystkiego się nazbierało. – Nawet nie podniosłam na niego wzroku. Wpatrywałam się w pajdy chleba.

– Maryszu... – powiedział miękko, dotykając lekko mojego ramienia. – Nie odrzucaj mnie.

Odwróciłam się w jego stronę. Miał takie smutne oczy.

– Kocham cię. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

– Też cię kocham, ale...

– Nic nie mów. Jesteśmy sami? – zapytał.

– Tak.

Złapał moje ręce w swoje dłonie.

– Wytrę je w fartuch.

– Nie trzeba.

Najpierw pocałował prawą, a potem lewą dłoń.

Przysunęłam się do niego jeszcze bliżej. Pochylił głowę. Jego oddech był gorący.

Patrzyliśmy sobie prosto w oczy. Zbliżył swoje usta do moich. Delikatnie dotknął wargami moich warg, a ja znów znalazłam się w niebie. To nieprawda, że najlepiej pamięta się pierwszy pocałunek. Najlepiej pamięta się ten z człowiekiem, którego najbardziej się kochało. Zachłannie. Namiętnie. Żarliwie. Takie były kolejne pocałunki. Zamknęłam powieki. Marzyłam o tym, by trwać w tym stanie jak najdłużej. I znów pomyślałam, że jednak nie będę tego żałować. Ponoć na koniec życia człowiek bardziej żałuje tego, czego nie zrobił, niż tego, co zrobił. Z perspektywy czasu mogę ci powiedzieć, że tak właśnie jest.

Całowaliśmy się i całowaliśmy. Chleb spadał ze stołu. Nagle do kuchni wbiegła Eliza. Spłoszona odskoczyłam od ukochanego. Spojrzałam na siostrę, która zrobiła się cała purpurowa.

– Co wy wyprawiacie? Co wy do cholery robicie?

– Ciii – powiedziałam, próbując ją uspokoić.

– Po co mąci jej pan w głowie? – naskoczyła na Franza. – Co by pan zrobił, gdyby wszystko się wydało? Myślicie, że nikt o was nie wie? Jak patrzycie sobie w oczy i gruchacie jak gołąbki? Co by pan zrobił, gdyby pańscy przełożeni się o wszystkim dowiedzieli? Chroniłby pan Marysię czy udawał, że to wszystko jej wina? Co by pan zrobił?

Franz pobladł, przerażony wybuchem dziewczyny.

– Odpowiem panu. Nic by pan nie zrobił. Bo ona jest tylko Polką. Tak by było. A ty, głupia – Eliza spojrzała na mnie – wierzysz w jego słowa...

– Kocham pani siostrę – powiedział mocnym głosem Franz.

Zamarłam w bezruchu.

– A ja pana nienawidzę. Pana i wszystkich Niemców! – krzyknęła Eliza i splunęła na buty oficera. Franz stał nieruchomo ze spuszczoną głową, ja również nie mogłam zrobić żadnego ruchu. Eliza wybiegła z domu, a my zostaliśmy sami.

– Nigdy nie wolno pozwolić na to, by ktoś zabił miłość – powiedział Franz. W jego oczach, nieco jaśniejszych od koloru morza w pogodny dzień, odbijało się niebo. Patrzył na mnie przenikliwie. Odwróciłam twarz, nie mogąc wytrzymać tego spojrzenia.

Spojrzałam na zegarek. Było już po dwudziestej, a Eliza wciąż nie wracała do domu. Wiedziałam, że tego dnia będzie w szpitalu. Ostatnio nie chodziła tam codziennie, a co dwa, trzy dni. Do głowy przychodziły mi różne czarne myśli. Mimo że była już godzina policyjna, opatuliłam się wełnianą chustą i ruszyłam w stronę szpitala. Przemykałam ostrożnie uliczkami, by nie złapał mnie żaden patrol. Weszłam do budynku i zapytałam młodą sanitariuszkę o Elizę.

– Tak, jest. Zmywa podłogi – powiedziała, a ja odetchnęłam z ulgą.

Pobiegłam po schodach na pierwsze piętro.

Zastałam siostrę na korytarzu.

– Co ty wyprawiasz?

– Pracuję.

Nie podniosła na mnie wzroku, tylko nadal tarła szmatą zabrudzenie na podłodze.

– Myślałam, że kończysz pracę o szesnastej.

– Potrzebowali mnie.

– A ja się o ciebie martwiłam.

Eliza rzuciła szmatę w kąt, wstała, wytarła ręce w fartuch.

– Opatrywałam rannych partyzantów. Chłopaków, którzy walczą o naszą ojczyznę – mierzyła mnie wzrokiem. – Trzymałam jednego za rękę tak długo, dopóki nie umarł. Mógł mieć dziewiętnaście lat.

– To, co robisz, jest bardzo szlachetne, ale...

– Nic nie usprawiedliwia tego, że puszczasz się z Niemcem – syknęła przez

zaciśnięte zęby, a mnie zatkało. – Odbiło ci.

Rozejrzałam się po korytarzu, na szczęście nikogo nie było w pobliżu.

– Ty nic nie rozumiesz. Czasami miłość...

– Miłość, dobre sobie... – prychnęła i na powrót uklękła, by wyczyścić podłogę.

– Kiedy wrócisz do domu?

– Dziś już nie wrócę.

– A jutro?

– Może. Marysia, ty niczego nie rozumiesz, tu jest inny świat. Ten chłopak bardzo chciał żyć. Wiedzieliśmy od początku, że umrze. To były ostatnie minuty jego życia – rozkleiła się. – Zapytałam go o imię. Chciałam, by wiedział, że w tych ostatnich chwilach swojego życia jest dla kogoś ważny. Chciałam mówić do niego po imieniu. Odpowiedział, że ma na imię Leszek. Jego oddech był płytki. Złapałam go za rękę i gładziłam. Chciałam, by uwierzył, że będzie dobrze. Bał się. Oddychanie sprawiało mu trudność. Wychrypiał, że nigdy nie miał dziewczyny. Nigdy żadna go nie pocałowała... Już nic więcej nie zdołał powiedzieć. A ja pochyliłam się nad nim i pocałowałam go. Marysiu, pocałowałam go. Byłam z nim do końca. Opowiadałam mu o swoim dzieciństwie, o tym wszystkim, co przed wojną, o roześmianej mamie, o tacie, który czytał nam bajki. A on się uśmiechał. Umarł z uśmiechem na twarzy. Przed nim było całe życie, ale umarł przez tę cholerną wojnę, którą rozpętali Niemcy. Gdyby niemiecki naród nie ruszył za Hitlerem, nie byłoby wojny.

– Nie wszyscy Niemcy chcieli tej wojny.

Eliza pokręciła głową.

– Wyjdź stąd! Wyjdź!

Odwróciłam się na pięcie i ruszyłam w stronę drzwi.

– Marysia – usłyszałam za sobą głos siostry. – Wojna mnie już nie przeraża, tylko ty. Tylko ty! – powtórzyła dobitnie.

Tej nocy spotkałam się z Franzem jak zwykle na strychu. Byłam przygnębiona, on też nie tryskał humorem.

– Może nie powinniśmy ciągnąć tego romansu? – westchnęłam z żalem.

– Bo twoja siostra się o nas dowiedziała?

Pokręciłam głową tak mocno, że związane luźno włosy powychodziły mi spod tasiemki.

– Nie, bo tak nie powinno być. Polka nie powinna kochać Niemca.

– Marysza... – szepnął.

– Nigdy nawet nie wypowiesz poprawnie mojego imienia.

Zamilkliśmy. Pocałowałam go w policzek.

– Marysza... – Franz zaczął mnie całować. Całował mnie jak obłąkany. W tych pocałunkach było tyle namiętności, tyle czułości, a jednocześnie jakiejś złości. Złości na cały świat, na to, co się wokół nas działo.

– Wojna jest bezmyślna, sam w nią nie wierzysz – znów zaczęłam drążyć temat.

– Nie wierzę i nie chcę jej.

– To ucieknijmy gdzieś, na koniec świata.

Pokręcił głową.

– Dlaczego?

– Jestem żołnierzem, Niemcem. Przysięgałem. Tu są moi rodacy. Oni też nie chcieli tej wojny... – jego oczy były takie smutne. – Nie zdawałem sobie sprawy z tego, co będzie działo się na wojnie. Wiedziałem, że będzie okrutna, ale nie wiedziałem, do czego jesteśmy zdolni, my, ludzie. Od najmłodszych lat wpajano mi, że my, Niemcy, jesteśmy rasą aryjską, rasą panów. Uczestniczyłem w defiladach na cześć Hitlera. Podobało mi się to. Dopiero tutaj, w Polsce, zdałem sobie sprawę, że wprowadzono nas w błąd, że to była fałszywa wizja świata. I teraz wiem, że za często odwracałem oczy od zła, że byłem uczestnikiem tego zła, które zabija niewinnych ludzi. Tylko co ja sam mogę teraz zrobić? – zapytał, ale nie chciał, bym odpowiadała na to pytanie.

Wtuliłam się w niego mocno.

– W każdym narodzie są zwyrodnialcy – kontynuował. – Wstyd mi za nich. Żadne tłumaczenia tu nie pomogą. Ja nawet nie chcę wygrać tej wojny. – Oczy miał zamglone. – Nie powinniśmy wygrać tej wojny. Mam wódkę – powiedział znienacka i wyjął pierśiówkę zza pazuchy. – Alkohol niekiedy pomaga.

Pociągnęłam duży łyk wódki. Wzdrygnęłam się.

– Ohyda.

– Po wódce czasami łatwiej jest żyć.

Wypiliśmy całą butelkę. Zaszumiało mi w głowie. Franz miał jakieś takie szklane oczy. Zmusił się do uśmiechu.

– Zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia. Nigdy nie wierzyłem w taką miłość. A jednak mnie dopadła. Kocham cię z każdym dniem coraz mocniej, ale...

– Tak, zawsze musi być jakieś „ale”.

– Marysza... – przytknął swój palec do moich ust. – Jesteś głęboko w moim sercu. Będę cię nosił w sercu aż do śmierci, ale nie chcę cię okłamywać. Być może faktycznie będziemy musieli się rozstać na jakiś czas, na kilka lat...

– Obyśmy tylko nie zgubili do siebie drogi – pogłaskałam go po plecach.

Splótł palce z moimi palcami, po czym znów mnie całował. Oboje zdawaliśmy sobie sprawę, że przyszłość wcale nie będzie należała do nas...

Rano obudziłam go szturchnięciem w bok.

– Już świta, musimy zejść na dół, do swoich pokoi.

– Ale ja nie chcę – przyciągnął mnie do siebie.

– Wiem, ale już czas...

Powoli wkładał ubranie.

– Te chwile z tobą należą do najpiękniejszych w moim życiu.

Wstałam z koca, podeszłam do niego i pocałowałam go w czubek nosa.

– To tylko chwile...

Kiedy otworzyłam drzwi do pokoju, zobaczyłam Elizę.

– Eliza, wróciłaś... – próbowałam się do niej uśmiechnąć. Byłam zdziwiona, że wróciła i że jest w moim pokoju.

Eliza stała oparta o łóżko i patrzyła na mnie wrogo.

– Czy coś się stało? – zapytałam.

– Gdzie byłaś przez całą noc?

Przełknęłam ślinę.

Już chciałam coś odpowiedzieć, ale ona uniosła do góry rękę.

– Nic nie mów, bo skłamiesz – wyjęła zza pleców listy. – Jak mogłaś? – rzuciła mi otwarte koperty. To były listy, które pisał do mnie Franz.

– Skąd je masz?

– Wróciłam do domu w nocy. Przemyślałam kilka spraw. Chciałam z tobą porozmawiać. Weszłam do twojego pokoju, ale ciebie nie było.

– Więc postanowiłaś przeszukać moje rzeczy! – krzyknęłam, nie kryjąc złości.

– Miałam dużo czasu, gdy ty zabawiałaś się z niemieckim oficerem.

– Brak mi słów! – cała się trzęsłam.

– To ty mi robisz wyrzuty? – siostra podeszła do mnie bliżej. Była wściekła. Żyły na jej szyi nabrzmiały. – Jesteś zdzirą, która puszcza się ze Szwabami!

– Ty nic nie rozumiesz... – moje oczy napełniły się łzami.

– Rozumiem aż za dużo – pokręciła głową. – Ubieraj się. Idziemy.

– Ale dokąd?

– Pokażę ci coś. Może w końcu coś do ciebie dotrze. Bo ty nadal nie rozumiesz, co oni nam robią – jej oczy były duże jak spodki. Była roztrzęsiona. – Zawiodłaś mnie! Zawiodłaś całą naszą rodzinę!

Opuściłam bezwiednie ręce. Cóż mogłabym jej powiedzieć?

Jak miałabym się ze wszystkiego wytłumaczyć? Nie zrozumiałaby. Nikt by nie zrozumiał. Sama siebie nie rozumiałam.

Szłyśmy kilka kilometrów przez las. Przed dziewiątą dotarliśmy w okolicę stacji kolejowej. Na boczniczy stał pociąg towarowy. Dookoła wagonów roilo się od niemieckich żołnierzy. Kucnęłyśmy za drzewem.

– Widzisz ten pociąg? – zapytała Eliza.

Skinęłam głową.

– Tam są ludzie.

– Zamknięci?

– Tak. Jadać kilka dni, by dotrzeć do obozu koncentracyjnego. W nieludzkich warunkach, w ścisku, smrodzie, bez jedzenia i picia.

– Oni... – z trudem przełykałam ślinę.

– Część z nich nie przetrwa tej wyprawy. To są wagony przeznaczone dla bydła, a Niemcy przewożą nimi ludzi. Część z tych ludzi umiera z głodu, pragnienia, zimna. Są też tam dzieci. Małe, niewinne dzieci.

Słyszałam o obozach koncentracyjnych i o ludziach przewożonych w bydlęcych wagonach, ale dopiero teraz, kiedy zobaczyłam ten pociąg stojący na boczniczy, zdałam sobie sprawę z tego, że to się dzieje naprawdę.

– Maryśka, otrząśnij się, twój żołnierz Wehrmachtu naopowiadał ci bajeczek. Chciał się wybielić... A ty mu we wszystko wierzysz...

– Ale... – nie dokończyłam, bo w sumie nie wiedziałam, co miałabym jej powiedzieć. Kochałam Franza, lecz wiedziałam też, że nie jest bez winy. On też był temu

przyczynił się do tego, co działo się na naszej ziemi.

W oczach Elizy znowu dostrzegłam złość. Kąciki jej ust były wykrzywione w dół.

– Musisz mi obiecać, że szybko to zakończysz – powiedziała z naciskiem.

– Eliza, to nie jest takie proste.

– Dlaczego nie? – odparła, przeszywając mnie wzrokiem.

– Bo ja go kocham.

Uśmiechnęła się do mnie ironicznie.

– Rodzice byliby z ciebie szalenie dumni – zakpiła.

– Może by zrozumieli. Znasz ich historię...

– Nie sądzę. On zabija naszych. Czyś ty, do cholery, zgłupiała?

Byłam bardzo zmieszana i nie wiedziałam, co powiedzieć.

– On jest Niemcem – wysyczała moja siostra przez zaciśnięte zęby. – Niemcem – powtórzyła. W jej głosie wyczuwałam pogardę.

– Jest też człowiekiem, który nie chciał tej wojny.

– Wojna trwa, a on w niej uczestniczy. Takie są fakty.

Nie mogłam nie zgodzić się z jej słowami.

Eliza patrzyła na mnie z wyrzutem. Bolało. Tamtego dnia spadł na mnie kolejny cios: dowiedziałam się, że aresztowali nauczycielkę matematyki, która uczyła Antka, panią Michniewicz, i panią Zamoyską, nauczycielkę języka polskiego, która uczyła na kompletach Emilkę. Potem, po wojnie dowiedziałam się, że obie zmarły. Jedna powiesiła się w celi, bo była tak katowana podczas przesłuchań, że wolała się powiesić niż przechodzić przez to jeszcze raz. Pani Michniewicz z kolei została wywieziona do obozu w Auschwitz i tam zmarła.

Od tamtej rozmowy Eliza prawie przestała się do mnie odzywać. Oddaliłyśmy się od siebie, dzielił nas niewidoczny mur. Nigdy więcej nie wspominała o moim związku z Franzem, ale wiedziałam, że mną gardzi. Wydawało mi się, że muszę poczekać, aż emocje opadną, bo w tamtej chwili nie chciała słuchać ani moich przeprosin, ani próśb. Przytłoczył mnie smutek i bezgraniczna pustka. Było mi wstyd, a jednocześnie nie chciałam się wstydzić tego, że pokochałam Franza.

ROZDZIAŁ 29

Franek od samego rana był jakiś niespokojny. Na każde moje pytanie o samopoczucie wybuchał niekontrolowaną złością. W końcu odpuściłam, wiedząc, że jeśli sam będzie chciał mi się zwierzyć ze swoich problemów, to tak zrobi.

Zapukał do mojego pokoju po południu.

– Wejdz – zaprosiłam go do środka.

Opadł ciężko na łóżko. Usiadłam obok niego.

– Ta pieprzona wojna... – zaczął.

– Nic z niej dobrego.

– Nic.

Przez chwilę milczeliśmy, patrząc w okno. Zapadał zmierzch.

– Muszę to z siebie wyrzucić – powiedział, a jego oczy zaszyły łzami.

– Jeśli tylko chcesz mi o czymś powiedzieć, to mów.

– Chyba nie jestem dobrym człowiekiem. Ba, na pewno nie jestem.

– Franuś, co ty mówisz. Z ciebie jest złoty chłopak! – Chciałam go przytulić, ale odtrącił moją rękę.

– Opowiem ci o wszystkim – przełknął głośno ślinę i potarł dłonią skroń.

– Mów.

– Wiesz już, że działałam w podziemiu... – ściszył głos.

Skinęłam głowę.

– Wczoraj wymknąłem się nocą z domu. Ruszyliśmy do Warszawy, by pozdejmować niemieckie flagi, a w ich miejsce wywiesić polskie. Mieliśmy też mnóstwo pojemników z farbą, by wymalować na murach propagandowe hasła. Ludność polska nie powinna tracić wiary.

Ponownie skinęłam głowę.

– Wszystko szło zgodnie z planem. Żadnego patrolu. Aż w końcu nie wiadomo skąd pojawił się niemiecki żołnierz. Był bardziej przerażony od nas. Odwrócił się, udając, że nic nie widzi. A ja wiedziałem, że nie można tak tego zostawić. Złapaliśmy go. Zakneblowaliśmy mu usta, związaliśmy ręce i wywieźliśmy go do lasu. Staliśmy dookoła niego, nie wiedząc, co mamy począć. Zasugerowałem, że powinniśmy go wypuścić. Niemiec był młody. Mógł mieć z osiemnaście, góra dziewiętnaście lat. Wychudzony, o smutnym spojrzeniu. Trząsał się jak osika na wietrze. Ale Józek twierdził, że jeśli go wypuścimy, to nas zakapuje i że wszyscy przez niego zginiemy. Ten Szkop próbował coś powiedzieć, knebel mu jednak przeszkadzał. Zresztą na pewno nie rozumiał po polsku. „Zabijmy go i będzie po kłopotcie” – powiedział Zenek, najmłodszy z naszej grupy. Nie wierzyłem własnym uszom. „Jest wojna, bracie. Oni zabijają naszych, my zabijamy ich...” – Te słowa przychodziły mu bez trudu. A ja zdałem sobie sprawę, że nie chcę zabijać.

Niemiec płakał.

Zenek walnął go w głowę. „Niemiecka świnia! Zaraz zginiesz” – śmiał się do rozpuku.

Inni też dołączyli do niego. Złapałem Zenka za rękę. „Kurwa! – powiedziałem. „Nie jesteśmy mordercami”. A on tylko prychnął. Na to wtrącił się Józek, mówiąc, że trzeba go sprzątnąć i że to jedyne wyjście...

Patrzyłem na klęczącego chłopaka ze smutkiem. Zdałem sobie sprawę, że on też gdzieś tam miał rodzinę. Matkę, która modliła się każdego dnia o jego szczęśliwy powrót do domu, ojca, który wyczekiwał powrotu syna, może dziewczynę, która pisze do niego czułe listy. Gdzieś tam, w Niemczech, zostawił za sobą swoje życie.

Zenek podniósł go. Nogawki jego spodni przesiąkły moczem. Bał się, a ja razem z nim.

Chciałem coś powiedzieć, ale zanim wydobyłem głos, Józek odbezpieczył pistolet i strzelił. Zabiliśmy go... A ja nic nie zrobiłem, by go uratować...

Oczy Franka zaszły łzami. Przytuliłam go mocno. Nie byłam w stanie nic powiedzieć. Byłam dumna z postawy brata. Dumna z tego, że był tak wrażliwym człowiekiem, że mimo całego tego chaosu, zła, on wciąż był czuły na ludzką krzywdę. Wojna czyni z nas ślepców – pomyślałam. – Wojna jest bestią, która pożera tych najbardziej niewinnych.

– To było niepotrzebne morderstwo – powiedział Franek. Jego oczy były pełne łez.

– Tak, zgadzam się. Dobrze, że potrafisz odróżniać dobro od zła. To, że ktoś stoi po drugiej stronie barykady, nie oznacza jeszcze, że jest złym człowiekiem.

Wojna zabiera różnych ludzi. Walczą ze sobą młodzi mężczyźni, którzy się boją i tacy, którzy pragną powrotu do domu, którzy z każdą chwilą zastanawiają się, kiedy nadejdzie koniec. Ich koniec lub koniec wojny. Są mądrzy żołnierze i partyzanci, ale też i krwiożercy przesiąknięci chęcią mordy. Niektórzy ludzie źle pojmują patriotyzm, inni nie mają sprecyzowanych poglądów i sami nie wiedzą, o co i dlaczego walczą. Na wojnie są też dobrzy ludzie, którzy na początku nie godzą się ze śmiercią, ale potem – kiedy wokół ścielą się trupy – widok śmierci im obojętnieje. Czy można nazwać ich niezdolnymi do współczucia? Wygłodniali, tęskniący za rodziną, zawszeni wykonują rozkazy i martwią się o to, by przeżyć w tym bestialstwie kolejny dzień i potem jeszcze jeden, i następny...

Po naszej rozmowie Franek wyszedł na zewnątrz i usiadł pod drzewem. Dołączyłam do niego. Był ciepły wieczór, a powietrze rześkie.

– Jeszcze półtora roku temu, kiedy było mi źle, uciekałem myślami do domu naszego „starego” życia. Za każdym razem, gdy coś robiłem, myślałem sobie, co zrobiłby tato na moim miejscu...

– Ale na pewno nie zawsze robiłeś to, co tato by zrobił.

Uśmiechnął się łobuzersko.

– Oczywiście, że nie zawsze. I źle robiłem. Dużo razy postąpiłem źle.

– Jak każdy z nas. Jesteś dobrym chłopcem, Franio. Dobrym człowiekiem.

– Brakuje mi ojca i mamy... – Widziałam, jak bardzo był zdenerwowany. Wyginał palce.

– Mnie też.

– Wszystko zostało nam odebrane przez tę cholerną wojnę. A najgorsze, że staliśmy się takimi samymi ludźmi, jak oni, jak nasi okupanci.

– Nieprawda.

Franek potarł dłonią policzek.

– Kiedyś ukradłem koledze drewniany samochodzik. Tato bardzo się na mnie zdenerwował. Krzyczał na mnie przez kilka minut. Razem poszliśmy do domu tego dzieciaka i odnieśliśmy zabawkę. Oczywiście, musiałem go przeprosić. Kiedy wracaliśmy do domu, usiedliśmy na ławce w parku. Schowałem głowę w dłoniach i zacząłem płakać. Łzy ciekły mi po rękach i moczyły nogawki spodni. Tato wtedy mnie przeprosił, powiedział, że za ostro zareagował... „Ja nie dlatego płaczę, że krzychałeś” – powiedziałem. „Nie?” „Nie. Tylko ze wstydu płaczę”. Ojciec zaczął mnie wtedy tulić. „Jesteś takim dobrym dzieckiem” – mówił, całując moje czoło. „Takim dobrym chłopcem”. Marysia, teraz też mi wstyd i chce mi się płakać...

– Płacz, płacz...

Nasi rodzice zrobiliby dla nas wszystko. Kiedy popełniali błędy, umieli za nie przeproszać. Ale zawsze, kiedy tylko działo nam się krzywda, stawali w naszej obronie. Pamiętam, gdy byłem małą dziewczynką, w szkole złapałam wszy. Mama musiała mi obciąć moje piękne włosy. Sama nad tym ubolewała, ale miałam taką wszawicę, że to było jedyne wyjście. Obcięła mnie krótko, a ja wyglądałam jak chłopak. Dwie dziewczynki ze szkoły naśmiewały się ze mnie. Któregoś dnia szły za mną aż pod sam dom. Mama obserwowała całą sytuację z okna. Kiedy dalej mnie wyzywały, wybiegła z domu z chochlą w ręku. Nigdy wcześniej nie widziałam jej takiej złej. Choć wiedziałam, że mama nigdy nikomu nie przetrzepała skóry, jej postawa wskazywała, że zdolna jest do wszystkiego. Nie musiała się odzywać, dziewczynki były tak przestraszone, że czmychnęły, ile sił w nogach. Od tamtej pory skończyły się prześladowania.

Tego samego wieczoru Eliza wpadła do domu jak oparzona.

– Gdzie jest Oberleutnant? – zapytała.

– W gabinecie. Co się stało?

Nic nie odpowiedziała, tylko wbiegła po schodach na górę. Popędziłam za nią. Nawet nie zapukała do gabinetu, tylko otworzyła drzwi i wbiegła do środka. Ja za nią.

– Za górką, na urwisku w lesie leży niemiecki żołnierz – sapała. – Jest ciężko ranny. Przykryłam go gałęziami i ściółką. – Franz wstał zza biurka. – Jeśli chcecie, by przeżył, wyślijcie po niego ludzi. Inaczej wcześniej czy później zabiją go nasze chłopaki.

Franz wybiegł z pokoju. Zostałyśmy z Elizą same.

– Wracałam ze szpitala do domu przez las – mówiła Eliza (nie miałam siły się z nią momencie teraz kłócić, choć już kilka razy prosiłam ją, by wracała do domu okężną drogą; lasy były takie niebezpieczne...). – Usłyszałam stękanie. W rowie leżał ranny niemiecki żołnierz. Podeszłam do niego. W jego oczach zobaczyłam strach i ból.

– Zabij mnie. Mam pistolet – powiedział.

Zauważyłam od razu, że był ranny, a ja niosłam ze sobą torbę, w której miałam apteczkę. Odciągnęłam go głębiej w las. Był taki ciężki... Zaczęłam go opatrywać. To był taki młody chłopak. Kiedy zapytał, po co to robię, powiedziałam mu, że moim

zadaniem jest ratować ludzi. Nieważne, kim oni są.

– Kto go postrzelił?

Przez chwilę zastanawiałam się, czy to ten sam chłopak, o którym opowiedział mi Franek. Brat twierdził, że go zabili, ale być może przeżył. Oby przeżył – pomyślałam.

– Nie wiem. Pewnie partyzanci.

Spojrzałam na siostrę. Cała była umazana w krwi.

– Muszę się umyć – ominęła mnie.

– Eliza... – powiedziałam, a ona się zatrzymała. – Chciałabym, by między nami było jak dawniej. Kocham cię, jesteś moją siostrą.

Nic nie odpowiedziała. Ruszyła w stronę schodów.

ROZDZIAŁ 30

Franz się rozchorował. Udawał, że wszystko jest w porządku, ale ja widziałam, jaki jest słaby.

– Może wezwać lekarza?

– Nie – pokręcił głową i zakasłał.

– Gdzieś się wybierasz? – zapytałam, kiedy ruszył w stronę drzwi.

– Muszę zanieść dokumenty do Müllera.

Oberst Müller był przełożonym Franza. Stacjonował trzy domy dalej.

– A gdzie Reiner?

– Wysłałem go do Warszawy.

– Daj, ja to zrobię...

– Ale...

– Połóż się.

Wzięłam dokumenty i ruszyłam w stronę gospodarstwa Michalaków.

Adiutant Müllera kazał mi wejść do pokoju i położyć dokumenty na stole. Szybkim krokiem weszłam tam, położyłam na biurku teczkę i zawróciłam. Adiutant zachowywał się jakoś dziwnie. Zauważyłam, że miał wypchane kieszenie. Pamiętam, że pierwsze, o czym pomyślałam, to że coś ukradł, po czym uznałam, że nie powinno mnie to nic obchodzić. Kradli wszyscy: oficerowie, adiutanci, Polacy, Żydzi. Wszyscy – jak jeden mąż.

Następnego dnia rano usłyszałam krzyki. Drzwi do kuchni otworzyły się i stanął w nich czerwony z wściekłości Oberst Müller, któremu zaniosiłam poprzedniego dnia dokumenty. Na jego czole i łysinie lśniły kropelki potu. Był niski, gruby, napawał mnie odrazą i obrzydzeniem.

– Ty mała polska dziwko! – wrzasnął i pociągnął mnie z całej siły za włosy. Tak mocno, że bałam się, że wyrwie mi je ze skórą. Drugą ręką ścisnął mój nadgarstek.

Za jego plecami wyrósł Franz.

– Co się stało? – zapytał przejęty.

– Ta polska dziwka mnie okradła. Adiutant powiedział, że była wczoraj z korespondencją i wyszła z wypchanymi kieszeniami. W szufladzie miałem biżuterię.

– Dlaczego adiutant jej nie sprawdził? – zapytał przejęty Franz.

– A skąd mogę wiedzieć?

– Możemy przeszukać jej pokój, dom... – Franz starał się załagodzić sprawę domniemanej kradzieży.

– Na pewno nie jest na tyle głupia, by trzymać biżuterię w domu. Ty kurwo! – Müller przypominał rozjuszonego byka. Jego uścisk wcale nie zelżał. – Zabiję ją! Zabiję ją! – Jego oczy nabiegły krwią. Cały się trząsał.

– Ja się tym zajmę – powiedział Franz. – Okradłaś Obersta Müllera? – zapytał.

– Po co pytasz tę polską szmatę? Wiadomo, że to zrobiła. Ta dziewczucha, ta szmata, ukradła własność Rzeszy.

– Niczego nie ukradłam – próbowałam się bronić. Mój głos drżał. Bałam się. Naprawdę się bałam.

– Gdzie jest biżuteria? – zapytał Franz. Widziałam, że jest tak samo przerażony jak ja.

– Ja niczego nie ukradłam – popatrzyłam mu w oczy. Wierzył mi.

Oberst Müller wyjął pistolet, odbezpieczył broń i wycelował we mnie. W tym samym momencie Franz się zamachnął i uderzył mnie z całej siły w twarz. Złapałam się dłonią za piekący policzek, a wtedy on kopnął mnie w brzuch. Przez chwilę nie mogłam złapać oddechu. Osunęłam się na kolana.

– Bij! Kop! – słyszałam, jak Müller skanduje. – No już!

Franz kopnął mnie raz jeszcze. Starał się to robić niezbyt mocno, ale i tak jego kopniaki bolały.

– Szkoda nabojów na tę polską szmatę! – usłyszałam głos Franza. Zakaszłał.

Müller zaczął się zanosić ze śmiechu.

– Zostawmy już tę kurwę w spokoju – schrypnięty głos Franza wdzierał się do moich uszu. – Chodź się napić. Pokażę ci obrazy, które znalazłem schowane na strychu. Były zawinięte w szmaty. Są cenniejsze od biżuterii. Może będziesz zainteresowany? Jesteś przecież koneserem sztuki.

Wyszli, a ja leżałam na podłodze, zwinięta w kłębek. Za drzwiami słyszałam ich donośne śmiechy. Ciało nie bolało tak bardzo jak dusza. Franz udawał, przez cały czas udawał, że mu na mnie zależy, że dostrzegł we mnie kobietę, ludzką istotę. A ja pokochałam swojego oprawcę. Po policzkach spłynęły łzy. Musiałam zasnąć, może zemdlałam z bólu? Ocucił mnie zimny okład, który ktoś położył na moim czole. Otworzyłam jedno oko, drugiego nie byłam w stanie, tak było zapuchnięte. Zobaczyłam pochylającego się nade mną Franza, który przykładał zimne okłady do mojego czoła.

– Przepraszam – powiedział smutno.

– Idź sobie – odpowiedziałam niemal szeptem. Mój głos był zachrypnięty.

– Przepraszam, przepraszam, przepraszam – powtarzał w kółko. – Musiałem to zrobić, inaczej Müller by cię zabił.

Wybrał mniejsze zło. Ale czy zło wyrządzone drugiej osobie może być mniejsze lub większe? Powinnam być mu wdzięczna, a ja zamiast tego go znienawidziłam. Wolałabym, aby Müller mnie zabił, niż żeby człowiek, którego pokochałam, tak mnie poturbował.

– Wynoś się! – powiedziałam najgłośniejszym głosem, jaki tylko mogłam. – W tej chwili się wynoś!

Uratowałam ci życie. Wybacz.

Karteczkę o takiej treści znalazłam na poduszce następnego dnia.

Wiem, że Franz mnie uratował, ale ja nie potrafiłam mu wybaczyć.

Oberst Müller był człowiekiem zapatrzonym w Führera. Był niski, łysawy i brzydki. Nawet Franz stwierdził, że nigdy wcześniej nie widział tak brzydkiego człowieka. Swoje braki nadrabiał tym, że lubił wyżywać się na bezbronnych ludziach, a zwłaszcza na kobietach. On po prostu nie lubił kobiet. Był wobec nich podejrzliwy i nieufny.

Z rzadka tracił nad sobą panowanie, ale jak go coś zdenerwowało, z łatwością wyciągał broń i strzelał do ludzi. I nieważne, czy to była kobieta, czy dziecko... Franz był jego podwładnym, więc musiał być mu posłuszny. Był przecież żołnierzem Wehrmachtu, któremu wpojono posłuszeństwo wyższym rangom oficerom i samemu Adolfowi Hitlerowi.

Usłyszałam pukanie do drzwi. Nie odpowiedziałam. Ktoś pociągnął za klamkę. W drzwiach stanął Franz.

– Przepraszam za to, co ci zrobiłem – tłumaczył znowu.

Uniosłam głowę i spojrzałam na niego z pogardą. W tym spojrzeniu było tyle goryczy i zawiedzionych nadziei.

Odwrócił wzrok.

– Spójrz na mnie – wyszeptałam.

Podniósł oczy, a ja uśmiechnęłam się na tyle, na ile pozwoliła mi rozcięta warga.

– Dlaczego? – zapytałam z pretensją w głosie.

– Chciałem ci pomóc... Musisz mi uwierzyć, że wybrałem lepsze zło.

– Naprawdę myślisz, że jest lepsze zło? Jak zło może być lepsze lub gorsze?

– Ja... Ja cię kocham... Nigdy nie chciałem cię skrzywdzić... Musiałem to zrobić, bo on by cię zabił. Chciał cię zabić... Musiałem cię chronić... Wszystko się skomplikowało.

– Ukrył twarz w dłoniach.

– Czego pan ode mnie chce, Oberleutnant Franz?

– Już nie mówisz do mnie po imieniu?

– Czego pan ode mnie chce? – powtórzyłam z naciskiem.

– Chcę, by było jak dawniej. Chcę się z tobą spotykać, chcę się z tobą kochać, rozmawiać o wszystkim...

– Nie mogę uwierzyć, że pan mnie o to prosi.

– Marysza... – chciał złapać mnie za rękę, ale nie pozwoliłam mu na to.

– Do tej pory sądziłam, że traktujesz mnie jak równego sobie człowieka. Teraz wiem, że jestem dla ciebie tylko Polką. Czy bycie Polką, Żydówką, Czeszką upoważnia was, Niemców, do tego, by niszczyć komuś życie? By zabrać komuś jego świat? By odebrać mu dzieci, rodzinę?

– Nie, nic nas do tego nie upoważnia.

Franz bardzo chciał mnie dotknąć, ale ja się odsuwałam od niego, jakby cuchnął. Spróbował po raz ostatni. Wyciągnął w moim kierunku dłoń, ale kiedy spojrzał w moje oczy, opuścił ją. Wiedział, że jeśli mnie dotknie, to się rozsypię. Ja też o tym wiedziałam. Skłonił się lekko. Jako dobry żołnierz wiedział, kiedy złożyć broń, chociaż nie było to łatwe.

– Niczego nie żałuję – powiedział. – Oprócz tego, że podniosłem na ciebie rękę. Jesteś najwspanialszą kobietą, jaką dane mi było poznać w całym moim życiu.

– Nie zapominaj o najważniejszym, nie jestem Niemką...

– To nie jest ważne.

– Jak się okazało, to duży problem.

– Wybacz... – skłonił się ponownie i wyszedł z pokoju, delikatnie zamykając za sobą

drzwi.

Po chwili znów usłyszałam pukanie. Myślałam, że to znowu Franz, ale do pokoju weszła Eliza. W jej oczach widziałam całe morze smutku. Przyniosła mi pajdę żytniego chleba z powidłem i szklanek mleka.

– Kochana... – usiadła na skraju mojego łóżka. Delikatnie odgarnęła kosmyki włosów z mojego policzka. – Kochana... – powtórzyła.

Uśmiechnęłam się do niej niemrawo.

– Nie powinnaś być w szpitalu?

Pokręciła głową.

– Przez kilka dni zajmę się tobą i domem. A ty odpoczywaj.

– Jest tyle rzeczy do zrobienia...

– Odpoczywaj... – patrzyła na mnie z czułością.

– Eliza, miałaś rację.

Zaczęła kręcić głową.

– Myliłam się. Myliłam się...

– Ale...

– On uratował ci życie.

– Powiedział ci tak?

– Nie, Reiner mi powiedział. O wszystkim. Wiem... Uderzył cię, ale dzięki temu żyjesz. Żyjesz! – w jej oczach pojawiły się łzy. Przysunęła się do mnie i objęła mnie delikatnie.

Rany na sercu szybko się goiły, gorzej było z tymi na duszy. Przestałam odzywać się do Franza, wręcz go unikałam. Nie przychodziłam już na strych, więc nasze kontakty były sporadyczne. Franz pisał do mnie miłosne listy, na które nie odpisywałam. Czytałam jego wyznania i przykładalam kartki do serca. Powinnam była palić te wszystkie listy, ale nie byłam w stanie tego robić. Nie zniszczyłam ich, bo za mocno go kochałam. Chciałam czytać je każdego dnia kilkakrotnie i delectować się każdym słowem. To była wielka miłość, na przekór całemu światu. Z drugiej strony to była miłość, której powinnam była pozwolić odejść.

Czasami łzy lały się po moich policzkach bezwiednie. Zaczynały płynąć z nienacka i mogły płynąć bez przerwy godzinę, dwie, a czasem nawet dłużej. Nie wiedziałam, że mam tyle łez. Serce rozpadało się drobnutkie kawałeczki. Bolało, bardzo bolało. Najgorszy był ten ucisk, który czułam w dołku na każde wspomnienie chwil, które spędziłam z Franzem.

W końcu zaczęłam funkcjonować jak automat. Popadłam w rutynę. Śniadanie, pranie, odrabianie lekcji z dziećmi, sprząatanie, zmywanie naczyń, kolacja i tak uciekał dzień za dniem. Wcale nie kochałam mniej, a z każdym dniem bardziej.

Franz cały dzień próbował się do mnie zbliżyć, ale ja starałam się go unikać. Kiedy jednak wieczorem weszłam do spiżarni, stanął za mną. Zamknął drzwi i przekręcił kluczyk.

– Znalazłaś chleb i czekoladę? Zostawiłem na górnej półce.

Skinęłam głową.

– Nie potrzebujemy, żebyś nas dokarmił.

– Marysza... – patrzył mi prosto w oczy. – Musiałem to zrobić. Inaczej on by cię zabił.

Tym razem pokręciłam głową.

– Przykro mi, przykro mi – powtarzał bezradnie.

– Nie chcę mieć z tobą nic wspólnego!

Milczał. To milczenie było okropne. Chciałam, by powiedział cokolwiek, ale się nie odezwał. Chciałam, by wziął mnie w ramiona i zapewniał o swojej miłości. A on stał jak posąg.

– Żałuję, że miałam z tobą romans! – słowa z trudem przechodziły mi przez gardło.

Miałam ochotę się rozplakać, a jednak trzymałam fason.

– A ja nie żałuję – odparł.

– Idź już.

– Naprawdę tego chcesz?

– Chcę.

Wyszedł, a ja usiadłam na taborecie i rozplakałam się. Było mi naprawdę ciężko, ból rozlewał się po całej klatce piersiowej. Poczucie wielkiej straty. Od tej pory oboje się unikaliśmy. Widywałam go przelotem podczas posiłków, jak wchodził do gabinetu. Witaliśmy się skinieniem głowy o poranku. Jakbyśmy byli obcymi sobie ludźmi, jakbyśmy się nigdy nie znali, nigdy ze sobą nie rozmawiali, nigdy nie kochali. Jakby jedno drugiemu nie oddało całego swojego serca. Trudno było tak żyć.

Czasami znajdowałam jedzenie w spiżarni, przykryte ceratą. Wiedziałam, że to od Franza. Ostatnio zostawił migdały, kawałek chleba i pasztet z królika. Nawet nie wiedział, jaka byłam mu wdzięczna. Bo przecież o pożywienie było coraz trudniej. I nie wiedział, że nadal bardzo go kochałam. Bo ta prawdziwa miłość nie umiera...

Wierzchem dłoni otarłam łzy i ruszyłam w stronę kuchni. Przystanąłam za drzwiami, kiedy usłyszałam głosy.

– Jakże musi mnie pan nienawidzić – powiedział Franz.

– Nienawidzić? – odezwał się mój brat. – Nienawiść czyni człowieka głupcem. Nienawiść sprawia, że człowiek traci czujność. A ja nie mogę sobie pozwolić na brak czujności. Ja czekam... Ja spokojnie czekam...

– Musi zatem pan mną gardzić.

– Kto tu mówi o pogardzie? Dlaczego chce pan wiedzieć, co o panu myślę? Przecież jestem nic nieznaczącym Polaczkiem.

– Gardzi pan mną?

– Jak mógłbym gardzić człowiekiem, który uratował życie mojej siostrze, który wie o mnie wszystko, a mimo to milczy? Nie, nie gardzę panem.

ROZDZIAŁ 31

Pamiętam dokładnie ten dzień, kiedy Niemcy kazali wszystkim mieszkańcom wsi zebrać się na placu przed zegarem.

– Będziecie na to patrzeć – rechotał Oberst Müller. Jego śmiech przypominał kwiczenie zarzynanej świni.

– O co chodzi? – pytali zdezorientowani mieszkańcy.

Na środku placu stały już szubienice. W nocy Niemcy złapali dwóch młodych Polaków, którzy dźwigali zabitego cielaka. Cała trzoda należała przecież do Niemców. A ci młodzi chłopcy przemykali pod osłoną nocy z ubitym cielakiem, zapewne chcąc nakarmić swoich bliskich. Miała zostać im wymierzona najwyższa kara – śmierć przez powieszenie. Chłopcy działający w podziemiu próbowali ich odbić, niestety się nie udało. Złapano i skazano także ich.

Doszliśmy na plac. Eliza mocno ścisnęła mnie za rękę.

– Jezu! – jęknęłam. Poczułam, że grunt usuwa mi się spod nóg. Nogi miałam jak z waty, moje ciało oblał zimny pot.

Wśród skazańców był też Franek. Eliza spojrzała w tę samą stronę, co ja.

– Boże, nie! – z piersi siostry wydobył się skowyt.

Powiodłam wzrokiem po niemieckich żołnierzach. Ujrzałam Franza, który dowodził plutonem egzekucyjnym.

Boże, dlaczego mi to robisz? Dlaczego? Poczułam nagle, że świat wiruje mi przed oczami, a nogi się pode mną chwieją.

Siostra chwyciła mnie pod ramię. Z drugiej strony pojawiła się ciotka Felicja.

– Maryśka, trzymaj się.

Zaczęłam im się wrywać, choć nie miałam siły. Chciałam biec w stronę, gdzie stali skazańcy i osłonić Franka swoim ciałem. Kobiety trzymały mnie mocno i nagle usłyszałam głos Franza. Znałam ten głos bardzo dobrze.

– Nie wykonam rozkazu – powiedział dobitnie Franz. Mówił głośno, by zgromadzeni ludzie usłyszeli.

– Co? – twarz Obersta Müllera zrobiła się purpurowa.

Wśród zgromadzonego tłumu zaczęto szeptać. I nagle stało się coś dziwnego. Franz odbezpieczył broń i strzelił w stronę Müllera. Müller zatoczył się i upadł z szeroko otwartymi oczami. Franz wypuścił z dłoni pistolet. Otoczyli go żołnierze. Jeńcy, wykorzystując chwilę nieuwagi, rozbiegli się na wszystkie strony.

– Franz! – krzyknęłam.

Odwrócił w moim kierunku głowę. I wtedy po raz ostatni spojrzeliśmy sobie w oczy.

Na pobliskiej latarni zawisło ciało Franza. Ręce związane miał na plecach, a na piersi wisiała tabliczka:

Oficer Wehrmachtu, który nie wykonał rozkazu i zdradził swój naród.

W nocy partyzanci wykradli jego ciało i pogrzebali. To był dobry człowiek. Dobry

Niemiec.

Wiele razy zastanawiałam się, co czuł w ostatnich chwilach życia. Mógł poświęcić życie za Führera, ojczyznę, a poświęcił życie za wroga. Był szkolony do bezwzględnego posłuszeństwa wodzowi, do wierności niemieckiemu narodowi. Kochał swój kraj, wiem o tym, ale kochał też ludzi. Nieważne, czy byli Polakami, czy Żydami. Czy nie była to najpiękniejsza ofiara? Jak tu nie kochać takiego człowieka? Po jego śmierci nieraz słyszałam opowieści o tym, że był łagodnym oficerem, że kilka razy podarł rozkazy, które zlecono mu wykonać. Ludzie nie dzielą się na Polaków i Niemców, ale na dobrych i złych.

Żałuję, że nie zdążyłam mu powiedzieć o tym, że mu wybaczyłam. Żałuję, że nie powiedziałam mu, jak wdzięczna mu jestem, że mnie uratował, że tak bardzo pomógł mojej rodzinie...

Po śmierci Franza opiekowała się mną Eliza. Byłam w takim stanie, że pragnęłam umrzeć. Nigdy wcześniej ani nigdy potem nie chciałam śmierci. Ale wtedy tak. Siostra przyniosła mi morfinę.

– Skąd ją masz?

– Mam.

– Ukradłaś?

– Nie powinnam cię nią faszzerować, morfina nie pomaga na złamane serce, ale...

– Po prostu zrób to.

Byłam jej wdzięczna za to, że wykonała zastrzyk, bo mogłam po nim spać i spać, i nie myśleć, nie szlochać, nie cierpieć. Kiedy otwierałam oczy, cały świat był czarny. Nie widziałam nic poza czernią. I wydawało mi się przez chwilę, że umarłam... A jednak żyłam. Moje serce wciąż bolało. Ból zjawiał się nagle i niespodziewanie. Nadchodził jak tsunami. Szybko, bez zapowiedzi. Olbrzymimi falami. W moje serce wbijały się ostrza noży, które rozrywały je na strzępy. Ból zmieniał się w mękę, która potrafiła trwać kilkadziesiąt minut. I nic nie potrafiło go złagodzić. To był ból straty. Ból złudnych nadziei. Ból pogrzebanej miłości.

Wiele lat później, już po wojnie, Franek powiedział mi, że rzadko spotyka się takich ludzi jak Franz. Mieliśmy to szczęście, że go spotkaliśmy.

– Franz wiedział, że działałam w podziemiu – powiedział kiedyś. – A mimo to nie wydał mnie. Nigdy świadomie nie skrzywdziłby ciebie ani naszej rodziny.

– Skąd ta pewność?

– Którejś nocy wszedłem do stodoły, by schować pistolet w wykopanej pod wiadrem dziurze. Kiedy podniosłem głowę, ujrzałem czyjąś postać. To był Franz. Palił papierosa. Skinął głową i odmaszerował. Przez następne dni bałem się, że może mnie wsypać. Nic takiego się jednak nie stało. Wtedy zdałem sobie sprawę, jak bardzo cię kocha.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś?

– Bo wtedy go nienawidziłem. Tylko dlatego, że był Niemcem.

ROZDZIAŁ 32

Wiedziałam, że nie mogę się nad sobą rozczulać. Trwała wojna. Z jedzeniem i opałem było coraz gorzej. Coraz częściej byliśmy głodni. Rację chleba zmniejszono do głodowej.

W sklepach nie było niczego prócz chleba. Na polach też rosło coraz mniej warzyw. Kiedy w spizarnce znalazłam dwie cebule i kilka ziemniaków, ugotowałam z nich zupę na dwa dni. Antek wylizał talerz. Po skończonym posiłku wstaliśmy od stołu i stwierdziliśmy, że wszyscy jesteśmy dalej głodni. Noce dłużyły się w nieskończoność. Słysząc było tylko zgrzytanie zębów i burczenie w brzuchu.

Po śmierci Franza nie zakwaterowano już u nas żadnego Niemca. Mogliśmy spać wygodnie we wszystkich pokojach, a mimo to gnieździł się w jednym, bo było nam wtedy cieplej. Wychudzone ciała słabo nas grzały. Kiedy wstawałam, cieszyłam się, że idę do sklepu w nadziei, że będzie chleb, bo wiedziałam, że za chwilę coś zjemy i burczenie w brzuchu ustanie na kilka godzin.

Pamiętam jeden jesienny poranek, temperatura spadła poniżej zera, było przeraźliwie zimno. Ulice były obludzone. Weszłam do sklepu, w którym odebrałam przydział ciemnego chleba. Kiedy wychodziłam, poślizgnęłam się i przewróciłam się na plecy.

– Auua – jęknęłam i potarłam bolącą głowę. Nagle uświadomiłam sobie, że nie mam chleba. Rozejrzałam się dookoła i zobaczyłam dziewczynę, która uciekała z moim bochenkiem.

– Zaczekaj! Zaczekaj! – Chciałam się podnieść, lecz nogi ślizgały się po obludonym chodniku. Głowa wciąż bolała.

– Mój chleb! To jest mój chleb! – Sama nie wiedziałam, skąd miałam w sobie siłę, by tak wrzeszczeć.

Tego dnia nie jedliśmy chleba. Na szczęście miałam w spizarni jeszcze trochę mąki, z której robiłam placuszki.

Któregoś dnia wszyscy pochorowaliśmy się od żytniego chleba i mięsa, choć podobno wszystko było świeżutkie. Eliza zdobyła je na czarnym rynku. Już od kilku dni wyczuwałam, że coś z tym chlebem jest nie tak. Miał posmak goryczki, był wilgotny i dość kwaśny. Mięso również było włókniste i ciężko je było zgrzyć.

Wszyscy mieliśmy biegunkę i wymioty. Na szczęście ciotka Felicja poratowała nas naparem z ziół.

– Lepiej zrobić placki z ziemniaków – poinstruowała mnie. – Do przydziałowego chleba dodają trocin, a mięso pochodzi z uboju starych i chorych zwierząt.

Od tamtej pory radziliśmy sobie głównie dzięki znalezionym w spizarnce ziemniakom. Tarłam je na tarce, dodawałam trochę żytniej mąki, kładłam na rozgrzanej blasze i smażyłam coś na kształt placków ziemniaczanych. Ciocia nauczyła mnie robić pierniki z mąki żytniej z dodatkiem kawy zbożowej. Na obiad do ziemniaków podawałam surówkę z pokrzyw. I tak zaspokajaliśmy pierwszy głód.

Wcale nie byłam bohaterką i wcale nie byłam silną dziewczyną. Bywały dni, że

wolałabym się nie obudzić. Rozbite, ubogie życie, strach i utracona miłość sprawiały, że chciałam umrzeć. Sen był najlepszym lekarstwem na ból. Bo kiedy widziałam, co dzieje się wokół, serce bolało.

To Eliza pierwsza zorientowała się, że jestem w ciąży. Piersi nagle zrobiły się większe, mój brzuch zaokrąglił się tak, że nie mogłam się w nic zmieścić. Ze starej zasłony uszyłam sobie dwie sukienki, choć bardziej przypominały worki niż kobiece ubrania.

– Marysiu, wszystko z tobą w porządku? – zapytała mnie któregoś dnia siostra, która od dłuższego czasu przyglądała mi się uważnie.

– Tak, w porządku.

– Jesteś blada i trochę się zaokrągliłaś, mimo że jesz tyle, co kot napłakał.

– Nie, zdaje ci się – próbowałam ją zbyć.

– Jesteś w ciąży? – zapytała bez ogródek.

Spojrzałam na nią i uświadomiłam sobie, że nie warto kłamać. Ona już wiedziała.

– Tak, jestem – usiadłam na stołku, a twarz ukryłam w dłoniach.

– Z nim? – zapytała.

– Tak, a z kim niby?

– Cieszę się – Eliza pochyliła się nade mną. – Będiesz wspaniałą mamą.

Rozplakałam się, a siostra czule gładziła mnie po plecach.

– W takich czasach być w ciąży...

Podniosłam wzrok na siostrę, po moich policzkach płynęły łzy.

– I co ja mam zrobić? Jest wojna. Dziecko nie będzie miało ojca. Z jedzeniem coraz gorzej... Jesteś sanitariuszką, może mogłabyś...

– Ciii... – przyłożyła palec do ust. – Nie, nie mogłabym. Damy sobie radę. Wszystko będzie dobrze. Urodzisz to dziecko. Urodzisz, a ja ci we wszystkim pomogę.

– Myślałam, że ty... Że nie lubiłaś Franza.

– To dziecko jest cudem, owocem miłości... – mówiła, gładząc mnie po policzku.

Mój brzuch był już wydatny – jak na czwarty miesiąc naprawdę duży. Eliza co chwila podtykała mi pod nos swoje racje żywnościowe.

– Eliza, jedz. Ty też musisz jeść – mówiłam do niej.

– Ja już zjadłam, a ty potrzebujesz więcej. Dziecko potrzebuje. – Wiedziałam, że kłamię. Wiedziałam, że czasami wcale nie jadła, tylko oddawała mi swoją porcję.

Miłość daje i nie prosi o nic w zamian.

Któregoś dnia we wsi pojawił się syn starej Lisowej, który był lekarzem w jakiejś małej miejscowości pod Krakowem. Kiedy przychodził, w której pracował, została zamknięta, wrócił do domu. W rodzinnym domu przyjmował pacjentów ze wsi i okolic. Bardzo często do nas zaglądał, pytając o zdrowie. Czasami przyniósł dla młodszych dzieci czekoladę lub cukierki, które dostawał od pacjentów.

– Ja nie lubię słodczy, a dzieciaki z chęcią zjedzą – mówił.

– Dziękuję pięknie. Może wejdzie pan na kawę? – zaproponowałam któregoś dnia.

– A wie pani, że z przyjemnością.

Zaprosiłam go do kuchni i zrobiłam lurowatą kawę z cykorii.

– Przepraszam, ale nie mam nic do kawy.

– Zadowolę się kawą – uśmiechnął się.

Wyciągnęłam z kredensu filiżanki i nalałam do nich czarnego napoju.

– Proszę – postawiłam przed nim filiżankę.

– Pięknie dziękuję. Dorastałem w tej wsi, ale jakoś nie przypominam sobie pani.

Pokręciłam głową.

– Mieszkaliśmy w Warszawie, dopiero kiedy babcia zmarła, rodzice postanowili przenieść się tutaj.

– Musieliśmy się minąć. Wyjechałem na studia, a pani przyjechała na wieś.

– Pewnie tak. Proszę mi mówić po imieniu, tak będzie łatwiej – uśmiechnęłam się do niego. On poderwał się na równe nogi i złapał moją dłoń w swoją dłoń, po czym uniósł ją do ust i pocałował.

– Fryderyk.

– Marysia.

Od tej pory Fryderyk był stałym gościem w naszym domu.

Bardzo nam pomagał. Nie wiem, skąd miał jedzenie, ale niekiedy przynosił nam mąkę czy mleko. Byłam mu bardzo wdzięczna.

– Podobasz mi się – powiedział którejś środy, stawiając worek żytniej mąki na stole.

– Fryderyk – popatrzyłam z czułością na lekarza. – Bardzo cię lubię i doceniam to, co dla nas robisz, ale... Niczego sobie po tej znajomości nie obiecuj. Ja... – zaczęłam. Chciałam powiedzieć, że przecież jestem w ciąży. Na pewno to zauważył, brzuch miałam już mocno zaokrąglony, a on był przecież lekarzem.

– Nic nie mów. Mam oczy. Uznam dziecko, dam mu swoje nazwisko. Stworzymy rodzinę.

– Nie mogę.

– Ale dlaczego?

– Bo wciąż kocham ojca tego dziecka – odparłam i pogładziłam z czułością brzuch.

– Tylko że jego przy tobie nie ma. Gdzie jest?

– Nie ma, ale jakby mógł, toby był – denerwowała mnie ta rozmowa.

– To ta szwabska świnia? – powiedział niespodziewanie i spiorunował mnie wzrokiem. – Wiedziałem. Ludzie we wsi mówią... Co on ci zrobił? Sukinsyn! – Jego twarz zrobiła się czerwona. – Dobrze, że zdechł!

Ledwo wypowiedział te słowa, moja dłoń z trzaskiem wylądowała na jego policzku.

– Ja go kochałam. Wciąż go kocham – powiedziałam, patrząc mu prosto w oczy.

– Ty... Ty zdziro!

Ponownie uderzyłam go w twarz.

– Wynoś się i zabieraj ze sobą swoją mąkę!

Nigdy więcej nie zobaczyłam Fryderyka. Wyjechał ze wsi kilka dni później.

ROZDZIAŁ 33

Był koniec 1943 roku. Od roku dochodziły nas słuchy, że Niemcy wysiedlali ludność Zamojszczyzny, by osiedlić tam kolonistów niemieckich. Część ludzi zdołała uciec, lecz zdecydowana większość została wywieziona do obozów. W najgorszym położeniu były dzieci, które siłą oddzielano od rodziców, a potem pakowano do wagonów i transportowano do obozów. Wieść o przejeżdżających pociągach z dziećmi rozchodziła się po całym kraju w ekspresowym tempie. Ludność mieszkająca na trasie Zamość – Warszawa mobilizowała się i kiedy pociąg się zatrzymywał, mieszkańcy podrzucali ludziom znajdującym się w wagonach wodę i jedzenie, często też jakieś ubrania czy koce. Mimo to i tak większość dzieci umierało podczas transportu.

Wydawało mi się, że każdy chciał na tej wojnie coś ugrać. Nawet zwykli szeregowi niemieccy żołnierze. Bardzo często dawało się ich przekupić.

Na stacji w sąsiednim miasteczku zatrzymywały się pociągi wiozące ludzi do obozów koncentracyjnych. Nierzadko za butelkę spirytusu czy biżuterię można było wykupić jakieś dziecko. Szwab otwierał drzwi wagonu i wyciągał pierwszego lepszego malucha, który się napatoczył. Ludzie z pobliskich wsi szli nieraz kilometrami przez las. Niosąc ze sobą butelki alkoholu, biżuterię rodową, co kto miał.

Niektórzy Niemcy mieli ludzkie uczucia, przecież mogli nam to wszystko zabrać i nas rozstrzelać, a dokonywali uczciwej transakcji. Sami mogli zginąć za to, co robili. Może im także było szkoda tych dzieci? Oni tam w Niemczech też przecież kogoś zostawili.

Któregoś dnia w pobliżu naszej wsi partyzantom udało się odczepić jeden wagon z dziećmi. Ludzie ze wsi zaczęli je do siebie zabierać. Pobieglyśmy z Elizą w okolice torów. Z wagonu wysypywały się wynędzniałe maluchy. Jeden chłopczyk złapał mnie za rękę.

– Tam jest mój braciszek i siostra – powiedział, patrząc na mnie wielkimi oczami, w których było tyle lęku.

– Gdzie?

– Tam! – wskazał ręką na drzwi wagonu. – On śpi, a siostra trzyma go na rękach. Jest zbyt słaba, by wyjść.

Weszłyśmy z Elizą do wagonu, odór fekaliiów był odrażający. Na podłodze leżały dziecięce trupy. W kącie siedziała dziewczyna. Mogła mieć ze trzynaście lat. Później dowiedziałam się, że miała piętnaście. Do piersi tuliła małe dziecko.

– Pomożemy ci – powiedziała do niej Eliza. Złapałyśmy ją pod ramiona.

– To mój braciszek. To mój braciszek. Nie zostawię go tu – powtarzała.

Eliza zbadała dziecku puls i pokręciła głową. Żadna z nas nic nie powiedziała.

– Nie zostawimy go. Dasz radę go nieść?

Dziewczyna skinęła głową.

Wyszłyśmy z wagonu. Dziewczynka tuliła do siebie martwe ciało. U mojego boku znalazł się mały chłopiec, który wcześniej poinformował mnie o rodzeństwie.

– Pójdziemy teraz do domu – powiedziałam łagodnym głosem, by dodać im otuchy.

Po kilkudziesięciu minutach marszu dotarliśmy na miejsce.

– Proszę podać mojemu bratu jakieś lekarstwo – poprosiła dziewczyna, która ostatek sił doszła do pokoju i opadła na fotel. Ani na chwilę nie przestawała rozcierać sinych rączek maluszka.

– On nie żyje – powiedziała Eliza.

Mały chłopiec, który cały czas trzymał się mojej spódnicy, zaczął płakać.

– On śpi... – dziewczyna wciąż rozcierała maleństwu rączki. – On tylko śpi.

Łzy kapały jej po policzkach. Podeszłam do niej i mocno ją przytuliłam. Mały chłopiec wtulił się w moje plecy.

Ciałko najmłodszego dziecka zakopaliśmy w ogrodzie. Z dwóch desek zbiliśmy krzyż. A potem wróciliśmy do domu. Dzieci usiadły w fotelu, a ja w tym czasie ugotowałam zupę na końskich kościach, cudem zdobytych poprzedniego dnia. Wrzuciłam do niej trochę kaszy, kilka ziemniaków i liście starej, przywędłej kapusty. Wygłodniałe dzieci rzuciły się na jedzenie. Jadły ze smakiem tę wodnistą zupę, obgryzały kości.

– Mięsko – powiedział chłopiec z błyskiem w oczach.

– Jedz, na zdrowie – uśmiechnęłam się smutno.

– Jak wam na imię? – zapytałam w końcu, popijając lurowatą kawę z cykorii.

– Bogna – odpowiedziała dziewczyna. – A to jest Stefcio – wskazała ręką na brata. –

Ma osiem lat, a ja piętnaście.

Po posiłku chłopiec zrobił się senny. Nie miałam gdzie ich położyć... Drewniane ramy łóżek przeznaczaliśmy na opał.

– Może tutaj? – wskazałam na sień, która była niedaleko kuchni. Ciepło, które dawał piec, rozprzestrzeniało się przyjemnie po pomieszczeniu. Razem z Antkiem przytargaliśmy do sieni stare drzwi od szafy, wymościłiśmy je słomą, przykryliśmy starym pledem.

– Dziękujemy – powiedziała dziewczyna.

– Żadne luksusy...

– Dziękujemy za wszystko, co dla nas robicie.

Kiedy Stefcio zasnął, Bogna usiadła na krześle w kuchni, a my z Elizą po przeciwnych stronach stołu. O nic nie pytałyśmy, sama zaczęła mówić...

– Oddziały SS otoczyły wioskę. Ludzi wypędzono z domów. Padał śnieg. Staliśmy tak kilka godzin, a oni zaczęli nas segregować na grupy: starcy, dzieci, kobiety, mężczyźni. Dzieci tak bardzo płakały, kiedy oddzielano je od rodziców. Nie chciały nigdzie iść. Trzymały matki za spódnice, a żołnierze ciągnęli je na siłę. Maluchy nie rozumiały, co się dzieje, płakały coraz głośniejszym głosem. Niemcy byli wściekli i z tej wściekłości bili je i popychali na środek placu. Matkom z bólu rozdzierały się serca, kiedy widziały swoje poniewierane pociechy. Same płakały, patrząc na zapłakane buzie swoich dzieci i strach w maleńkich oczach. Przypuszczaliśmy, że gdzieś nas wywiozą, ale gdzie, tego nikt nie wiedział. To było nieludzkie.

– Tak – powiedziałam ze smutkiem w głosie. Czułam, jak obręcz bólu i przerażenia ściska mi gardło. – To było nieludzkie.

Później, po wojnie, dowiedziałam się, że duża część dzieci z Zamojszczyzny trafiła do obozu w Auschwitz. Niemcy potrzebowali dzieci do eksperymentów. Wstrzykiwali w małe ciała bakterie, sprawdzając reakcje małych organizmów. Wykonywano dzieciom punkcje łądźwiowe i niepotrzebne amputacje. Zarażano je tyfusem, zakażano rany. A potem bestialsko zabijano je zastrzykiem z fenolu.

– Mama wcisnęła mi w rękę różaniec – mówiła dalej Bogna. – „Módlcie się” – krzyknęła za nami.

Modliliśmy się ze Stefcim, kiedy staliśmy przed wagonami i czekaliśmy, aż wepchną nas do środka. Chłód doskwierał. Wszyscy płakali. Dookoła nas stali wartownicy z psami i karabinami. Trzymałam jedną ręką Zbysia, a w drugiej dłoni ścisnęłam różaniec. Słowa modlitwy wypowiadałam półgłosem. Jakiś niemiecki żołnierz, przechodząc obok mnie, zaczął się szyderczo śmiać i kpić: „Co ci pomoże twój Bóg?”. A ja wierzyłam, że dzięki modlitwie będzie nam łatwiej to wszystko przeżyć. W coś trzeba wierzyć. Prawda?

– Prawda.

– Wsiadliśmy do wagonu jako ostatni. Byliśmy zmarznięci, głodni, wyczerpani fizycznie, udręczeni. Wie pani, my już na początku podróży byliśmy tak bardzo głodni... Zaryglowano drzwi. Usiedliśmy ze Stefcim w kącie wagonu. Zbysiu bardzo płakał, a ja rozcierałam w dłoniach jego zimne małe rączki. I wtedy poczułam złość na rodziców, że podczas wojny sprowadzili na świat to malutkie dziecko. Zaraz jednak zawstydziałam się moich myśli. Pociąg ruszył. Stefcio oparł główkę o moje ramię, a Zbysiu zasnął. „Jestem taki głodny” – wyszeptał brat. „Śpij, wtedy się nie myśli o jedzeniu”. Posłuchał. Zamknął oczka. Ja też zasnęłam.

Obudziliśmy się po kilku godzinach. Przytuliłam do piersi Zbysia, który popłakiwał cicho. Stefcio jeszcze mocniej się we mnie wtulił. Tak było nam odrobinę cieplej. Jednak wciąż towarzyszył nam strach, czy przeżyjemy, czy złapiemy kolejny oddech, czy nie zamarzniemy. Strach o to, co będzie dalej. Czy w ogóle będzie jakieś „dalej”? Dzieci cały czas płakały, były głodne, zmarznięte, tęskniły za swoimi matkami. Ta tęsknota była chyba najgorsza. Który człowiek może być taką bestią, by rozdzielić dziecko i matkę? Czy ci ludzie, którzy nam to robili, mieli jakieś zasady? Zapewne w swoim kraju zostawili rodziny, matki, ojców, żony, dzieci... Kto ich wychował? Kto nauczył ich zabijać? W imię czego była ta rzeź?

Koła pociągu turkotały. Z każdym przejechanym kilometrem czuć było w wagonie coraz większy smród, większy strach, większą tęsknotę. Stefan popłakiwał, że chce do mamy. Ja też chciałam znaleźć się w bezpiecznych ramionach mamy. Co oni nam zrobili? Dzieciom, które potraktowali jak przestępców. „Pomódlmy się” – powiedziałam do Stefcia. Nie chciał. „Co nam da modlitwa?” – powiedział. Nie wiedziałam. Naprawdę nie wiedziałam. Ale palce chwytaly paciorki różańca, a usta już szeptały: „Zdrowaś Maryjo...”

W pewnej chwili pociąg gdzieś się zatrzymał. Ludzie z okolicznych wiosek podawali nam jedzenie i wodę. I Stefciovi udało się złapać dwie pajdy chleba. Przeżułam chleb i włożyłam do buzi Zbyszkowi. Krztusił się. Wiedziałam, że wolałby mleko. „Jedz, kochanie, jedz” – mówiłam do brata, a on jakby na przekór wypluwał chleb. W końcu

jednak połknął kawałek.

Pociąg ruszył. Dzieci płakały coraz mniej, jakby ciszej. Przymknęłam powieki, bałam się je otworzyć. Nie chciałam wiedzieć, co się wokół mnie dzieje. One umierają – przemknęło mi przez myśl. Mocniej przytuliłam Zbysia, a drugą ręką dotknęłam policzka Stefcia. Obaj oddychali. A ja wspominałam te wierzby rosochate przy naszym domu i mamę, która krzątała się w kuchni, i tatę, który nosił nas na barana. I wspomnienia były przesiąknięte śmiechem. Wszędzie słyszałam śmiech. I wydawało mi się, to wszystko jest takie odległe, takie nierealne, a jednak to szczęście kiedyś było naszym udziałem. Byliśmy tacy szczęśliwi...

Bogna i Stefcio zostali z nami. Franek ukrywał się w lasach. Antek z Emilką chodzili do szkoły, a ja zajmowałam się domem. Życie toczyło się dalej, mimo że z każdym dniem było coraz trudniejsze.

ROZDZIAŁ 34

Na początku 1944 roku Niemcy zaczęli wycofywać się w stronę Warszawy, a do naszej wsi zawitali Rosjanie. Na początku ogarnęła nas radość, ale potem zrozumieliśmy, że jest jeszcze gorzej niż podczas okupacji niemieckiej. Banda pijanych żołdatów chciała zaspokoić swoje żądze. We wsi zostały już praktycznie same kobiety, dzieci i starcy. Rosjanie czuli się jak u siebie. Pozarzynali ostatnie kury. Ich łby latały wysoko nad naszymi głowami. Taką zabawę sobie urządzili. Rzucali kurzymi łbami w siebie, w nas. Rechotali przy tym jak obłąkani. Potem zabili starego kulawego konia. Rozcięli mu brzuch na pół i zaczęli wyjmować wnętrzności. Śmiali się przy tym do rozpuku. Byliśmy przerażeni, nie wiedząc, co nas jeszcze czeka. I nagle jeden z żołnierzy zarządził, by wszystkie kobiety spędzić na plac.

– Emilka, Bogna, biegnijcie do piwnicy, schowajcie się za skrzyniami! – krzyknęłam.

– Ale... – protestowała siostra.

– Ale już.

Bogna zdążyła uciec. Emilia puściła się w stronę domu, ale drogę zagroził jej rosyjski żołdak.

– A ty dokąd? – powiedział po rosyjsku.

Podbiegłam do niego.

– Ona jest jeszcze dzieckiem.

Rosjanin roześmiał się, po czym jednym ruchem szarpnął tak mocno za bluzkę Emilki, że tkanina rozerwała się. Skrępowana dziewczynka zaczęła zasłaniać klatkę piersiową.

– Ma już duże piersi. Na plac!

– Nie, proszę... Ona jest... – dostałam kolbę pistoletu w głowę i upadłam na ziemię.

– Ty pójdiesz z nami pierwsza, do obory – powiedział, a dwóch żołnierzy złapało mnie za ręce.

– Ona jest w ciąży! – drogę zagroziła im Eliza. Rozłożyła ręce szeroko. Żołnierze zaczęli się śmiać. – Spójrzcie na jej brzuch. Moja siostra jest w zaawansowanej ciąży!

– Wszystkie pójdziecie do obory – powiedział kolejny żołnierz do kobiet, które stały na placu. Były wśród nich dziewczynki i stare kobiety. Ogarnęła nas trwoga.

W tym samym momencie usłyszeliśmy odgłosy najeżdżających ciężarówek i czołgów. Wszyscy, włącznie z żołnierzami, odwrócili głowy w tamtym kierunku. Na plac wjechał samochód, z którego wysiadł oficer.

– Co się tu dzieje? – zapytał, rozglądając się dookoła. Znałam na tyle rosyjski, że wszystko rozumiałam.

– Panie kapitanie... – żołnierze byli wyraźnie zdezorientowani.

– Co wy wyprawiacie? – potężny oficer był zdenerwowany. – Czy mam was rozstrzelać? Puścić kobiety, niech idą do domów – rozkazał.

– Jest wojna – wyrwało się jednemu z żołnierzy.

– Milcz! Jesteście żołnierzami, nie zwierzętami. Są pewne granice...

Rosyjski oficer uratował nas wszystkie przed gwałtem. A wiesz, co się w tamtym czasie działo? Gwałcono małe dziewczynki i staruszki, a potem je zabijano albo tak torturowano, że kobiety umierały w męczarniach...

Tak się złożyło, że ten oficer, Aleksiej Morozow, zamieszkał u nas.

Czy to nie ironia losu? Znów mieliśmy w domu okupanta – tyle że teraz ze wschodu. Był u nas do grudnia 1944 roku, a potem Rosjanie ruszyli w stronę Warszawy.

Wiesz, co jest najgorsze? Kiedy w Warszawie trwało powstanie, Armia Czerwona była już na obrzeżach stolicy, a miała przewagę nad wojskami niemieckimi. Rosjanie mogli nas wesprzeć, ale tego nie zrobili.

Babcia przerwała i zamyśliła się głęboko.

– Jakie to wszystko smutne – powiedziałam.

– Wojna jest smutna. Wojna odczłowiecza. Wojna to cierpienie.

– Jak was traktował ten Rosjanin?

– Dobrze. Mieliśmy szczęście do dobrych ludzi podczas wojny. Najpierw Franz, później Aleksiej Morozow... Byli dobrymi ludźmi. Eliza nawet polubiła tego Rosjanina.

– Zakochała się w nim?

– Nie, Eliza nie zakochałaby się ani w Niemcu, ani w Rosjaninie. Była samotna, bardzo samotna, jak każda z nas wtedy. Dopiero po latach opowiedziała mi o tym...

– Wszyscy odczuwaliśmy taką samotność – mówiła Eliza po wojnie – że aż nas bolała. Widziałam, jak kapitan Morozow wodzi za mną wzrokiem. I ja nie pozostawałam obojętna na jego wdzięki. Był potężnym, dobrze zbudowanym mężczyzną o chmurnych oczach. Potrzebowałam wtedy silnych ramion, na których mogłabym się wesprzeć. Czułam się taka słaba. Ty, Marysiu, byłaś w ciąży. Lada dzień miało nadejść rozwiązanie. I nadeszło szybciej, niż się spodziewaliśmy.

– Pamiętam dokładnie, jak się to wszystko zaczęło – przerwałam siostrze. – Byłam senna i bardzo źle się czułam. Skóra na moim brzuchu była tak napięta, że wydawało mi się, że zaraz pęknie. Strasznie swędziała, ale kiedy się drapałam, piekła. Położyłam się, ale nie mogłam znaleźć odpowiedniej pozycji i długo kręciłam się z boku na bok. Ledwo sen mnie utulił, a już obudził mnie przeraźliwy ból w podbrzuszu. Miałam ochotę krzyknąć, ale bałam się, że wszystkich zbudzę. Zaciśniętą pięść włożyłam do ust. Kolejny skurcz przyszedł po kilku minutach. Nie był tak silny jak poprzedni. Mocno westchnęłam, a potem chciałam na nowo zasnąć, ale sen nie przychodził. Znów nadszedł skurcz, i jeszcze jeden, i kolejny. Podniosłam się, opierając ręce o komodę, i wtedy odeszły mi wody. Chciałam zejść na dół po ciebie, ale nie byłam w stanie się ruszyć. Ból był nie do wytrzymania. Tak mi się wtedy wydawało. Nie sądziłam, że za kilka chwil będzie bolało jeszcze bardziej. Krzyknęłam jedynie twoje imię, a łyzy

napłynęły mi do oczu. Usłyszałam, jak biegniesz po schodach na górę i po chwili spojrzałaś na moją wykrzywioną bólem twarz. Kazałaś mi się położyć. „Myślisz, że to już?” – zapytałam. Skinęłaś głową. Nie byłaś akuszerką, ale pomagałaś w szpitalu przy porodach. Położyłaś na moim czole dłoń. Uspokajałaś mnie, że wszystko będzie dobrze...

– Zbiegłam na dół i nastawiłam wodę – tym razem Eliza przerwała mi w pół zdania. – W progu stanął Moskał. Zapytał, czy to już. „Już” – odparłam. „Pomogę ci. Idź do siostry” – powiedział. Przyjęłam poród, dzielnie pomagała mi Emilka. Kapitan donosił gorącej wody, rozdzierał prześcieradła, robiąc z nich pieluszki dla dziecka, a potem zbił kołyskę dla nowo narodzonego maluszka. „Dziękuję” – powiedziałam mu, kiedy było już po wszystkim. „Tutaj, z wami, przez chwilę wydaje mi się, że jestem człowiekiem” – odparł.

Eric, wbrew oczekiwaniom, urodził się śliczny i tłuściutki. Widać, natura, przeciwstawiając się nienawiści, walczyła o swoje prawa uparcie, niezłomnymi rezerwami żywotności. Wydawało mi się, że od pierwszej chwili się uśmiechał. Jesteś ciekawa, czego jeszcze dowiedziałam się od Elizy po latach?

– Bardzo – odparłam, zachęcając babcię do kontynuowania opowieści.

– Następnego dnia spotkałam kapitana w kuchni – wspominała Eliza. – Na zewnątrz zapadał wzrok. Zapytał o samopoczucie i zdrowie malucha. Odpowiedziałam, że wszystko jest dobrze. Popatrzyliśmy sobie w oczy i wiedziałam, że będziemy się kochać. Chciałam być kochana chociaż przez chwilę. Tęskniłam za ciepłym dotykiem. Ja, która ciebie krytykowałam, Marysiu, zrobiłam to samo.

Aleksiej mimo swojej postury, wielkich dłoni, był bardzo delikatny, powiedziałabym, że za bardzo. Całował mnie po szyi, za uchem – tak delikatnie, jakbym miała się zaraz rozsypać czy rozpląnąć w powietrzu. Nigdy przedtem ani nigdy potem nie zaznałam takiej delikatności. Zsunął ze mnie sukienkę, a potem wyjął wsuwki z moich włosów. Loki rozsypały się na nagie ramiona. Rozpięłam pas u jego spodni. Sprawnym ruchem zsunął je na dół. Kiedy byliśmy oboje nadzy, wziął mnie w ramiona i zaniósł na łóżko. A potem językiem zataczał koła na moich piersiach, dłonie położył na moich wąskich biodrach. Tęskniłam za taką bliskością. Chciałam go poczuć. Rozłożyłam nogi, on wyszedł mi naprzeciw. Jego ruchy, moje drżące uda...

Zrobiłam to raz. Tylko raz. By zabić samotność. Poczucie się kobietą. Poczucie, jak to jest normalnie żyć. Wiedziałam, że wkrótce się rozstaniemy, wiedziałam, że nasze drogi na zawsze się rozejdą. Wiedziałam, że to nieprzyzwoite... Ale co było w tamtych czasach przyzwoite? Zabijanie drugiego człowieka? Upajanie się złem?

Żar, splecione ciała, mocne ruchy, tak było dobrze, bo nadeszło spełnienie. Było mi dobrze i nawet zobaczyłam błysnięcie gwiazd. Na moment...

Nigdy więcej tego nie zrobiliśmy, bo nie chciałam, bo nie kochałam. On się zakochał jak wariat, ale ja jakoś nie mogłam. I mógłby brać mnie siłą, wszystko mógłby, ale uszanował moją odmowę. W grudniu wyjechał.

- Jesteś piękną, mądrą, odważną kobietą – powiedział na pożegnanie.
- Dobrze, że mi o tym mówisz. Dawno nikt mi tego nie mówił.
- Nie wiem, co mógłbym ci jeszcze powiedzieć? – splótł dłonie z moimi dłońmi.
- Idź.
- Może jeszcze kiedyś się spotkamy?
- Sam w to nie wierzysz... Zresztą...
- Ciii. Nie chcę, byś mi mówiła, że mnie nie kochasz. Chcę wierzyć, że choć przez chwilę kochałaś.
- Tak, przez chwilę byłeś dla mnie ważny.
- Dziękuję – uśmiechnął się niemrawo.
- Idź – musnęłam wargami jego policzek. W jego oczach pojawiły się łzy. Ten wielki Rosjanin kochał...

Wierzę, że każdy choć raz w życiu kogoś kochał. Miłością szaleńczą, prawdziwą, platoniczną, choć może niewłaściwą i nieodwzajemnioną. Każdy z nas niesie w sercu coś pozostawionego przez miłość: radość, blizny, cierpienie, zapach lawendy, ciepło, odgłosy, szmery, wspomnienie czułych dotyków.

ROZDZIAŁ 35

Kilka dni po zakończeniu wojny wybrałam się z Elizą i Antkiem do Warszawy, by zobaczyć, co zostało z naszego dawnego domu.

Bogna i Stefan wyjechali dzień wcześniej. Przyjechał po nich wujek, który, jak się okazało, od miesięcy ich poszukiwał... Eric został z Emilką. Malec bardzo lubił swoją ciocię. Emilka traktowała siostrzeńca jak żywą laleczkę, którą ubierała, rozbierała, całowała i łaskotała. A on śmiał się do niej. Kiedy tylko mogła, zajmowała się chłopcem.

Nikt oprócz mnie i Elizy nie wiedział, kto jest ojcem Erica. Chciałam to ukryć. Ludzie we wsi i tak się domyślali, ale ja tego nie komentowałam...

Kilkanaście lat po wojnie Emilia przyjechała w odwiedziny. Piłyśmy herbatę i oglądałyśmy albumy ze zdjęciami.

– To skóra zdjęta z ojca – stwierdziła Emilia, kiedy spojrzała na zdjęcie Erica.

– Co masz na myśli? – zaczęłam kręcić się niespokojnie na krześle. Eric był tak podobny do Franza, że z pewnością gdyby ten żył, nie wyparłby się syna.

Emilka spojrzała mi prosto w oczy.

– Marysiu, wszyscy wiedzieli, co się działo, tylko nikt ci tego nie powiedział wprost, no może z wyjątkiem Elizy. Ona zawsze miała niewyparzony język.

Czułam, jak krew odpływa mi z twarzy. Nabrałam powietrza w płuca, siląc się na obojętność. Siostra nie spuszczała ze mnie wzroku, a ja czułam gdzieś w środku ogromny ciężar.

– Nie sądzisz chyba, że nie dostrzegłam podobieństwa Erica do Oberleutnanta Franza? Byłam młoda, ale nie naiwna.

– Ja... Ja... – jąkałam się, nie wiedząc, co mam jej powiedzieć.

Emilia zaczęła się śmiać.

– Zachowujesz się jak pensjonarka. Zakochałaś się, koniec i kropka.

– Ale...

– Mnie nie musisz się tłumaczyć. Nikomu nie musisz się tłumaczyć. Masz pięknego syna – siostra położyła dłoń na moim ramieniu. Wciąż na mnie patrzyła, ale w jej spojrzeniu nie było pogardy, tylko sympatia.

Pamiętam dokładnie, co czułam, kiedy szłam ulicami Warszawy i nie mogłam uwierzyć, że nasze kochane miasto umarło. Jak okiem sięgnąć widać było niemal same ruiny, ulice pokryte gruzem, tak że niekiedy nie dało się przez nie przejść. Dookoła betonowe mury, druty wystające z ziemi. Piach, pył... Dużo pyłu... Warszawa była niemal zrównana z ziemią. Pogorzelisko. Brak mostów. Pozostawione miny... Musieliśmy uważać, gdzie stąpamy.

Inni ludzie też powracali do swojego miasta. Miasta, którego prawie nie było. Dookoła panowała cisza. Nikt się nie odzywał.

W milczeniu odgruzowywaliśmy Warszawę. Bo jest w człowieku taka siła, która powoduje, że on może z niemożliwego uczynić możliwe. Bo jest w człowieku taka nadzieja, która potrafi wskrzesić do życia ducha.

Nagle, nie wiadomo skąd, usłyszałam muzykę. Spojrzałam w prawo. Między gruzami stał... fortepian, a przy nim siedziała stara kobieta i grała. Wyobrażasz to sobie? Pięknie grała Chopina. To było niemal surrealistyczne. Gruzy i ta muzyka. Ludzie zebrali się wokół pianistki. Dookoła czuć było melancholię i tęsknotę za tym, co minęło. I wierzę, że powstaniemy z popiołów, że Polska powstanie z kolan, że odbudujemy nasze miasto i inne miasta, i wsie. Już dwa miesiące później otworzono w Warszawie pierwsze kawiarenki. Ludzie chcieli tu mieszkać i żyć. Bardzo chcieli normalnie żyć...

Kiedy tylko usłyszałam, że otworzyli pierwszą kawiarnię w Warszawie, poszłam tam. Usiadłam przy stole i zamówiłam kawę. Była niedobra, zbyt mocna i słabej jakości. A mimo wszystko rozkoszowałam się nią. Tak często rozmawiałam z Franzem o tym, co będzie po wojnie, o tym, że napijemy się razem kawy w kawiarni, i o tym, że nie będziemy już wrogami, a dwojgiem zakochanych w sobie ludzi. Piłam kawę, a myśli goniły jedna drugą. Znowu bolało, jak wtedy, kiedy zabili mojego ukochanego.

Wszystko, co dzieje się dookoła nas, ma swoje uzasadnienie. Tylko wojna nie miała. Nie doceniamy piękna w codzienności, w rutynie, w tym, co dostaliśmy od losu. Czasami życie daje nam kopniaka, by popchnąć nas z miejsca, a my się opieramy ze strachu i dalej tkwimy tam, gdzie byliśmy. Jak wkopane w ziemię słupy.

– Do domu wrócił Franek i wujek Bronek, mąż cioci Felicji. Tylko rodzice nie wrócili... – babcia na chwilę przestała opowiadać.

Była zamyślona i smutna. Nie przerywałam jej milczenia. Po chwili powiedziała, patrząc gdzieś przed siebie:

– Wiesz, co ci jeszcze powiem? Miłość czasami się kończy, czasami nie wytrzymuje rozłąki i to nie dlatego, że ludzie przestają się kochać, ale dlatego, że dzieli ich zbyt wyboista droga, by mogli na nowo do siebie wrócić.

Wujek Bronek po wojnie był już innym człowiekiem. Dzień przed jego powrotem ciocia dostała list. Nie zapomnę jej radości. Siedziała całą noc i szyła z zasłony nową sukienkę. Potem Eliza skróciła jej włosy. Ciocia była bardzo zdenerwowana, ale jeszcze bardziej uradowana. Co chwila przeglądała się w kawałku lustra, które miała w pokoju, co rusz podszczypując policzki, żeby się zaróżowiły.

– Ciociu, wyglądasz naprawdę pięknie – komplementowałam ją. Chciałam dodać jej odwagi.

– Postarzałam się – powiedziała.

Wojna wszystkich nas zmieniła. Ciocia również nie wyglądała tak, jak kiedyś. Sieć

drobnych zmarszczek otoczyła jej błękitne oczy. Gdzieś w włosach pojawiły się siwe pasma.

Zgromadziłam się na tarasie, wyczekując wujka. Zauważyliśmy go już z daleka, jak szedł w stronę domu szybkim krokiem. Dziewczynki puściły się pędem, by uściskać swojego tatusia. Ciocia pobiegła za nimi. Później przywitałam go ja, Eliza, Antek i Emilia. Wyglądał na zmęczonego. Był wychudzony i blady, ale uśmiechał się na nasz widok.

Jakieś dwa tygodnie po powrocie wujka do domu przyszła do mnie ciocia.

– Marysia... – westchnęła ciężko i usiadła na taborecie.

Obierałam właśnie marchewkę, a nogą bujałam kołyskę.

– Ciociu, coś się stało? – zapytałam. Miała taką smutną minę.

– Dziecko, nie chcę cię obarczać swoimi problemami, ale nie mam komu się zwierzyć.

– Mów ciociu, mów.

– Bronek... – ciocia pogładziła swoje zmierzwiłone włosy. – On już nie jest tym samym człowiekiem, co przed wojną.

– Ciociu, nikt, kto przeżył wojnę, nie jest już tą samą osobą.

– Tylko, że on... – ciocia z rozwagą dobierała słowa. – Nie okazuje nam uczuć.

Wszystkie czynności wykonuje jak w letargu. Wstaje, goli się, je śniadanie, czyta gazetę, idzie do stajni, w pole. Przychodzi, kładzie się do łóżka, śpi i tak dzień za dniem. Minęły dwa tygodnie, a my... No, wiesz, nic z tych rzeczy, co mąż i żona... – była zakłopotana.

– Ciociu, wujek potrzebuje czasu. Widział na pewno straszne rzeczy.

– Tak, ja też widziałam. I dziewczynki też. Garniemy się do niego, a on nas unika. Wychodzi z domu, kiedy tylko nadarzy się okazja. Jakby chciał być jak najdalej od nas.

Nie wiedziałam, jak mogłabym pocieszyć ciocię. Było mi jej naprawdę żal. Przez cały ten czas ciocia żyła tylko myślą, że wujek wróci, że znów będą wszyscy razem, że będzie jak dawniej. A kiedy on wrócił, nic nie było tak jak dawniej.

– Wczoraj nalałam mu do kieliszka trochę wódeczki. Miałam ukrytą małą buteleczkę w spiżarni. Wypił duszkiem. Usiadłam obok niego i gładziłam jego zarosnięty policzek. Zapytałam, jak się czuje. Uniósł brwi i spojrzał na mnie szeroko otwartymi oczami, jak na wariatkę...

– Jak się czuję? Cały ten czas żyłem z śmiercią za pan brat. Widziałem porozrywane ciała moich kolegów. I ty pytasz, jak się czuję?

– Nie chciałam cię urazić... Myślałam tylko... Sama nie wiem, co... Przepraszam cię – pocałowałam go w policzek i objęłam mocno. Myślałam, że odwzajemni mój pocałunek. Jego wargi były martwe. Nie chciały mnie całować. Zdjął moje ręce ze swojej szyi i wstał.

Zaczęłam mrugać szybko powiekami.

– Co mogę zrobić, byś na nowo poczuł się szczęśliwy?

– Obawiam się, że to nie jest w twojej mocy – powiedział zimnym tonem.

Odwróciłam się od niego i poszłam robić obiad. Łzy kapały po moich policzkach.

– Ciociu. Cioteczko! – odłożyłam nóż i marchewkę na stół, ręce wytarłam w fartuch.

Podeszłam do cioci i mocno ją przytuliłam. – Daj mu trochę czasu.

– Czasu... – powtórzyła niczym echo.

Dni mijały, a w małżeństwie wujostwa nie działało się dobrze.

Wujek stracił poczucie humoru i wiecznie był niezadowolony. Denerwowały go jego własne dzieci. Pragnął ciszy i spokoju, a dzieci – jak to dzieci – chciały się bawić z ojcem.

– Fela! Fela! Zabierz je do pokoju – mówił ze złością w głosie.

– One chcą się tobą nacieszyć – mówiła do męża Felicja.

– Ale ja potrzebuję spokoju. Rozumiesz, co ja przeżyłem? – odpowiadał poirytowany.

– A zastanawiałaś się, co ja przeżyłam? Codziennie walczyłam o przetrwanie. Zastanawiałam się, czym nakarmić dziewczynki, w co je ubrać. Modliłam się, by nie spadła na nas żadna bomba. Nie było cię tutaj, kiedy dziewczynki zachorowały na ospę ani kiedy miałam kłopoty z krzyżem i myślałam, że z łóżka się nie podniosę, a musiałam się podnieść, bo miałam dzieci. Musiałam je wyprawić do szkoły, wyprać ubrania i zastanowić się, co im przygotować do jedzenia. Po raz kolejny cerowałam spodnie, rajstopy, by miały w czym chodzić. A przede wszystkim nie mogłam patrzeć na to, jak one płaczą za tobą, jak pytają mnie każdego wieczora, czy jutro wróci ich tatuś. A teraz wróciłeś i chcesz, żebyśmy cię zostawiły w spokoju? Jeśli masz choć odrobinę przyzwoitości, to pobądź z nami choć kilka chwil w ciągu dnia, nie tylko ciałem, ale duchem.

Wujek nie poradził sobie z tym nowym życiem po wojnie, wiedział, że przegrał największą bitwę swojego życia. Kiedy był na froncie, o niczym tak nie marzył, jak o tym, by być z rodziną, a kiedy z nią był, wszystko go denerwowało. Któregoś dnia spakował torbę i przeniósł się do rodzinnego domu, na końcu wsi.

Rok po zakończeniu wojny otrzymałam dwa listy. Stempel pocztowy informował, że były to listy z Berlina. Jeden z nich mam do dziś. Jest pomięty, pożółkły, litery są już wyblakłe. Ale znam go na pamięć, każde słowo. Lubię siadać na krześle, otwierać kopertę i wyjmować z niej kartkę. Sięgam po kieliszek napełniony koniakiem, pociągam łyk bursztynowego płynu. Zamykam oczy i wyobrażam sobie Franza, jak w skupieniu pisze do mnie ten list. Widzę jego duże dłonie, jak kreślą zdanie po zdaniu...

Ukochana!

Skoro trzymasz w dłoni ten list, to znaczy, że nie ma mnie wśród żywych. To Irmina, moja siostra, wysłała go do Ciebie na moją prośbę. Chciałbym Ci tyle powiedzieć, ale

brakuje mi słów... Mój polski nie jest tak dobry, jak sądziłem, ale dobrze, że go znam.

Taka miłość, jak nasza, zdarza się niezwykle rzadko. Niektórzy często przeżywają całe życie, nie zaznając tak wielkiej miłości. A my byliśmy szczęściarzami, mając siebie chociaż przez te chwile, magiczne chwile. Nasza miłość była od początku skazana na niepowodzenie, ale nie przejmowaliśmy się tym, prawda?

Nawet nie wiesz, ile bólu i smutku kosztowało mnie nasze rozstanie. Po stokroć zadaję sobie pytanie, dlaczego Ci to zrobiłem? I po stokroć odpowiadam: by uratować Ci życie.

W tym momencie zazwyczaj przerywam czytanie, by sięgnąć po raz kolejny po kieliszek i ponownie pociągnąć kilka łyków alkoholu.

Zanim Cię spotkałem, myślałem, że jestem szczęśliwym człowiekiem. Jakże się myliłem! Nigdy w życiu nie znałem takiego nieszczęśliwca. To dzięki Tobie odkryłem szczęście. I wiem, że szczęście to drugi człowiek.

Już kiedy Cię zobaczyłem po raz pierwszy, wiedziałem, że między mną a Tobą jest magia, o której sniły zarówno kobiety, jak i mężczyźni, że to, co niemożliwe, stanie się możliwe, namacalne.

Nie wiem, czy kiedykolwiek otrzymasz ten list. Ale wiem jedno: spotkamy się jeszcze kiedyś w naszym raju.

Kocham Cię, Marysza.

Franz

– Babciu, kto przysłał ci ten list? – zapytałam.

– Wydaje mi się, że Irmina, siostra Franza. Musiał go do niej wysłać, kiedy jeszcze żył. Może coś przeczuwał? Wiesz, szalała wojna, na pewno zdawał sobie sprawę, że w każdej chwili może umrzeć.

– Czy zawsze trzeba mieć stuprocentową pewność, by się z kimś związać?

Babcia pokręciła głową.

– Ludzie nigdy niczego nie są pewni na sto procent. Zawsze jest jakieś „ale”. Dam ci dobrą radę: bierz z życia jak najwięcej.

– A jeśli to, co będę chciała zrobić, będzie niewłaściwie?

Babcia uśmiechnęła się do mnie łobuzersko.

– Rachunek sumienia zrobisz na końcu życia.

– Czyli uważasz, że ze wszystkiego można się wypowiadać?

– Ba, ja uważam, że za wszystko można uzyskać przebaczenie od miłościwego Boga, przecież on chce dla nas jak najlepiej.

– Babciu, a nie chciałabyś czasami cofnąć czasu? Bo ja tak.

– Chyba każdy z nas czasami chciałby cofnąć czas. I naprawić niektóre rzeczy, zmienić bieg wydarzeń. Ale tego nie da się zrobić. Niekiedy musimy żyć z niedokończonymi sprawami, z wyrzutami sumienia, z niewypowiedzianym w porę:

„Kocham cię”. Też chciałabym cofnąć czas, by móc powiedzieć Franzowi, że mu przebaczam, że kocham i nawet na chwilę nie przestałam. Chciałabym móc o wszystkim powiedzieć Ericowi.

– Jeszcze możesz.

– Nie – zaoponowała. – Teraz jest już za późno...

Pamiętam, jak kilkanaście lat temu siedziałam z Elizą na tarasie. Eric czytał książkę. Eliza patrzyła na mojego syna jak urzeczona.

– Czy kiedyś powiesz mu prawdę? – zapytała.

– Nie ma takiej potrzeby.

– Wygląda jak Franz. Nawet uśmiech ma taki sam i spojrzenie.

– Nigdy go nie lubiłaś.

Pokręciła głową.

– To nieprawda. Chciałam być lojalna w stosunku do ojczyzny. Bałam się, że cię skrzywdzi. A może też po trosze zazdrościłam ci tej miłości?

– Kiedy zorientowałaś się, że ja i on...

– Wiedziałam chyba od samego początku. Między wami było tak duże napięcie, że nietrudno było się domyślić. Wodziliście za sobą wzrokiem. Gdzie ty, tam i on. A potem w nocy wymykałaś się na strych.

– Myślałam, że śpisz.

– Czasem spałam, czasem nie. Dwoje ludzi pokochało się w zadziwiających okolicznościach. Co czułaś, kiedy pierwszy raz cię pocałował?

– Słodczy i gorczy. Tak, pamiętam to dokładnie. Nie myśl, że nie miałam wyrzutów sumienia. Wyrzuty sumienia zżerały mnie każdego dnia. Czasami nawet myślę, że on kochał mnie bardziej niż ja jego... – westchnęłam ciężko. – Ale przecież nie można zmierzyć miłości.

– A mnie się wydaje, że kochałaś go bardziej, niż byłaś w stanie sama przed sobą się do tego przyznać. Łatwo przychodzi nam osądzanie ludzi, mówienie, że tak nie można, że tak się nie powinno robić, że nie należy kochać tej czy tamtej osoby. Tylko kto dał nam prawo do tego, by rozbijać czyjeś szczęście? Nie mamy prawa mówić drugiemu człowiekowi, co należy robić, jak żyć, jak być szczęśliwym, kogo kochać. A jednak zbyt często to robimy. Wiesz, Marysiu... – Eliza spojrzała mi w oczy. – Nie każdy może przeżyć taką szaloną miłość. Ty miałaś to szczęście. Przyznaj, później już tak nie kochałaś. Żadnego ze swoich mężów nie kochałaś tak, jak kochałaś wtedy Franza, prawda?

– Masz rację. Lubiałam ich, darzyłam sympatią, podziwiałam, kochałam... chyba też, ale nie tak szaleńczo, nie tak namiętnie.

– A Wojtek? Wyszłaś za niego za męża, kiedy wróciłaś ze Stanów.

– Wojtek był miłym facetem, z poczuciem humoru. Zauroczyłam się. Ale zauroczenia mają to do siebie, że szybko się kończą. To nie było to. Rozumiesz?

– Chyba tak. Każda miłość jest inna. Nie można przyrównywać jednej do drugiej.

Każda ma inne zabarwienie, inne natężenie, inaczej smakuje. Jest miłość namiętna, pożądliva, ale i spokojna, wyważona, dojrzała. Miłość na chwilę i ta do końca życia.

– Masz rację. Może i kochałam Wojtka, ale nie tak szaleńczo. Co przychodzi ludziom z szaleństwa?

– Wspomnienia?

Wzięłam ze stołu szklaneczkę z nalewką i pociągnęłam spory łyk...

Byłam taka młoda, samotna. Miałam na wychowaniu syna. Wojtek o mnie zabiegał. Pamiętam, że któregoś dnia poszliśmy do lasu, Wojtek zabrał ze sobą bimber. Niewiele tego było, ale się upiłam. Na smutno się upiłam. Rozplakałam się.

– Dlaczego płaczesz? – ocierał moją twarz.

– Bo nie mam nikogo bliskiego.

– Masz syna.

– Żadnego mężczyzny u boku – łkałam.

– Masz mnie – powiedział i spojrzał na mnie z pożądaniem.

– Jesteś dla mnie taki dobry – mówiłam. Świat lekko wirował.

– Kocham cię.

Zrobiło mi się go żal i pocałowałam go. Lekko mnie odepchnął.

– Nie chcę, by to się stało w tym lesie, kiedy ty jesteś zamoczona alkoholem.

– Ale ja chcę. Ja tego chcę – nie przestawałam go całować.

Obudziły mnie pierwsze promienie słońca. Wyswobodziłam się z ramion Wojciecha. Przykryłam go płaszczem i ruszyłam w stronę domu. Wiedziałam, że będę czuć się niezręcznie, kiedy i on się obudzi. Słońce padało na zielone liście paproci, dookoła panowała niezmacona niczym cisza. Piękna, romantyczna sceneria – pomyślałam wówczas. Poranne powietrze niesło ze sobą zapach drewna i mchu.

W pobliżu domu usiadłam na kamieniu. Było mi dziwnie ciężko na sercu. Nie tak wyobrażałam sobie swoje życie. Kochałam się z niekochanym przez siebie mężczyzną.

Przez kolejne tygodnie Wojtek przychodził do mnie, przynosił kwiaty. Chodziliśmy do kina, do teatru. Zauroczyłam się nim i wyszłam za niego za mąż...

– A właściwie to o czym my tu rozmawiamy? – wróciłam do rzeczywistości i spojrzałam z lekkim rozbawieniem na Elizę. – Dwie stare baby, którym przyszło rozmawiać o miłości i o seksie.

Eliza spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

– Przynajmniej nie nosimy moherowych beretów.

– Dobrze i to. Ale o miłości, w tym wieku?

– Świat zwariował.

– Raczej schodzi na psy.

Wybuchliśmy niekontrolowanym śmiechem.

– Myślę, że ich skrzywdziłam – powiedziałam, kiedy opanowałyśmy już śmiech. – Najbardziej Kazimierza.

Zamyśliłam się, słuchając babci...

Dziadek Kazimierz nie był moim prawdziwym dziadkiem. Swojego dziadka Wojtka nie pamiętam. Umarł przed moimi narodzinami. Dziadek Kazik był moim przyszywanym dziadkiem, ale jedynym, którego znałam. Bardzo go kochałam.

Babcia Marysia trzymała nas na dystans, ale dziadek zawsze nas przytulał, sadzał na kolanach i czytał bajki Andersena. A my słuchaliśmy opowieści z zapartym tchem, z wypiekami na twarzach. To dziadek biegał rano do sklepu po landrynki dla nas i dawał nam po jednej przed śniadaniem. Babcia go za to karciała, a on się tylko uśmiechał i puszczał do nas oko.

Po krótkiej chwili babcia podjęła opowieść i wróciła do ważnej dla siebie rozmowy z siostrą...

– Kazimierz zrobiłby dla ciebie wszystko... – powiedziała Eliza.

– Tak... – westchnęłam. – Byłam wtedy wdową, nie pierwszej młodości, choć jeszcze nie czułam się stara. Może dlatego związałam się z Kazikiem? I byłam w tym związku szesnaście lat...

– A potem rozstałaś się z nim. A mogłaś przecież zostać z nim do śmierci.

– Mogłam, ale wiedziałam, że muszę to zrobić. Oczywiście, mogłabym z nim być dla samego bycia, ale unieszczęśliwiałam go. On mnie kochał za nas dwoje, a ja nie potrafiłam go pokochać. Pobraliśmy się, kiedy miałam czterdzieści osiem lat, on pięćdziesiąt trzy. Nie wiem, dlaczego zdecydowałam się na ten ślub. Miałam odchowane dzieci, wiodłam spokojne życie. Chyba czułam się samotna. I to samotność pchnęła mnie do tego, że podpisałam papiery w urzędzie. Takiego mężczyzny to ze świecą szukać. Robił mi śniadanie do łóżka, kiedy gdzieś wychodziłam, z troską podawał mi szal i czapkę, abym przypadkiem nie zmarzła, piekł dla mnie drożdżowe ciasto, które tak bardzo lubiłam, i pięknie śpiewał.

– Oj, jak Kazik zaśpiewał – westchnęła siostra.

– W chórze co niedziela wyśpiewywał kościelne pieśni.

– Dla ciebie też śpiewał. Miał taki piękny głos.

– A mnie wciąż czegoś brakowało. Tej iskry, tych wyładowań. Nie mogłam pozwolić, by przy mnie marniał. Doskonale wiedział, że go nie kocham, ale twierdził, że mu wystarczało, że przy nim byłam. Nie byłam taką egoistką, by pozwolić na ten związek... Lubiłam Kazika, szanowałam, ale nie kochałam, a to jest największa zbrodnia w małżeństwie: „nie kochać”. Gdybym nie podjęła decyzji o rozwodzie, on by nie odszedł. Na rozprawie rozwodowej płakaliśmy oboje. Ale oboje wiedzieliśmy też, że tak będzie lepiej.

– Znalazł sobie kogoś?

– Nie.

– Szkoda.

– Ano, szkoda.

ROZDZIAŁ 36

Następnego dnia babcia długo nie wstawała. Przestraszyłam się, że może te wszystkie opowieści i smutne wspomnienia za bardzo ją wyczerpały.

Zapukałam do jej pokoju.

– Proszę – usłyszałam babciny głos.

Siedziała w fotelu i czytała książkę.

– Babciu, dlaczego nie schodzisz na dół? – wystraszyłam się.

– Pomyślałaś, że kipnęłam?

– Babciu...

– Ha! Pomyślałaś.

Uśmiechnęłam się do niej. Zeszliśmy na dół i zjadliśmy śniadanie.

Przy porannej kawie zapytałam:

– Babciu, mówiłaś, że otrzymałaś dwa listy z Berlina. Od kogo był ten drugi list?

– Od Eleonore.

– Kim była Eleonore? – nie bardzo kojarzyłam to imię.

– Pamiętasz tę kobietę zakochaną we Franzu?

– Tę, z którą przespał się przed wyjazdem z Niemiec?

– Tak, właśnie tę.

– Dlaczego do ciebie napisała?

– W liście prosiła o spotkanie, a ja nie chciałam się z nią spotykać. Nie wiedziałam nawet, od kogo wie o moim istnieniu. Wyjechałam do Stanów, ale kiedy wróciłam do Polski, Eliza przekazała mi kolejny list od Eleonore. I w tym liście kobieta po raz kolejny prosiła o spotkanie. W końcu uległam i spotkałam się z nią w kawiarni w Warszawie.

– Pani Marysia? – zapytała po niemiecku, kiedy podeszła do stolika.

– To ja – wyprostowałam się, wstałam i uścisnęłam jej dłoń. Odwzajemniła uścisk.

Była brunetką. Dość szczupłą, średniego wzrostu. Miała piękne zielone oczy i długie rzęsy. Ładna. Naprawdę była ładna. Chyba inaczej ją sobie wyobrażałam.

– Podać paniom kawę? – zapytała kelnerka. Eleonore zamówiła herbatę.

– Jak się pani podoba w Warszawie? – zagaiłam.

– Miasto zostało odbudowane...

Skinęłam głową.

– Była pani kiedyś w Niemczech?

– Nie.

– Powinna pani odwiedzić Niemcy, w końcu... – nie dokończyła.

– Na razie nigdzie się nie wybieram – powiedziałam. Mój głos wydał mi się szorstki. Nie chciałam, aby tak to wyszło, jednak nie byłam w stanie powstrzymać emocji.

Zaczęłyśmy od zwykłej rozmowy, ale i ona się nie kleiła. Nie do końca wiedziałam, jaki jest cel wizyty Eleonore i po jaką cholere chciała mnie widzieć.

– Jest pani mężatką? – zapytałam bez sensu, a ona pokręciła głową.

– Nie. Przed laty chyba kochałyśmy tego samego mężczyznę – patrzyła mi w oczy przez dłuższą chwilę. Odpięła klamrę torebki i wyjęła z niej papierošnicę. Otwartą wyciągnęła w moim kierunku.

– Nie palę – powiedziałam.

– Ja też nie powinnam, ale... – znów nie dokończyła.

Zapaliła papierosa i zaciągnęła się nim. Napięcie między nami narastało z minuty na minutę. Obie byłyśmy zdenerwowane i speszone.

– Wie pani, że w naszym miasteczku zrobiono tablicę upamiętniającą żołnierzy, którzy zginęli na wojnie?

– U nas też są takie tablice – powiedziałam.

– Tak... A wie pani, że nazwiska Franza nie ma na tej tablicy?

– Franz był dobrym żołnierzem – powiedziałam z całym przekonaniem.

– Dla nich wszystkich, dla władz, dla mieszkańców naszego miasteczka był zdrajcą narodu – odparła i spiorunowała mnie wzrokiem, a ja pokręciłam głową.

– Nikt tak nie kochał Niemiec, jak Franz.

– Czy pani wie, na co pani go naraziła? – zapytała oburzona.

– Naraziłam? Więc miłość jest zbrodnią?

– Wtedy była.

Na chwilę zamilkłyśmy. Ona odezwała się pierwsza:

– Czy wierzy pani w siłę przebaczenia?

– Czasami nie – powiedziałam z przekonaniem. – Sądzę, że niektórych rzeczy nie da się przebaczyć.

– Racja.

Znów to niezręczne milczenie.

– Zapewne zastanawia się pani, w jakim celu tu przyjechałam?

Skinęłam głową. Ucieszyło mnie, że w końcu przechodzimy do sedna sprawy.

– Irmina, siostra Franza...

– Wiem, kim jest Irmina.

– Znamy się z Irminą dość dobrze. To nie jest przyjaźń, ale dobra znajomość.

– Rozumiem.

– Kochałam Franza – znów zaciągnęła się papierosem. – A on nie odwzajemniał moich uczuć. Nigdy się mną nie interesował.

– Przykro mi – odpowiedziałam. Były to jedyne słowa, które wówczas przychodziły mi do głowy.

– Mnie jeszcze bardziej – odparła, zaciągając się ponownie. – Kiedy napisał mi, że mnie nie kocha, że mnie nie chce, niemal oszalałam z rozpacz. Wypłakiwałam się Irminie, a ona starała się podnieść mnie na duchu. Od początku wiedziałam, że w jego życiu jest inna kobieta. Irmina wprawdzie zaprzeczała, ale potem przyznała mi rację. Franz kochał siostrę i ze wszystkiego się jej zwierzał. W jednym z listów opowiedział jej o pani. Znienawidziłam panią i jego też. Najpierw jego, potem panią, a może było

na odwrót...

Czułam, że krew zaczyna mi krążyć szybciej w żyłach.

– Teraz wiem, że to nie mogła być prawdziwa miłość – kontynuowała. – Bo jak się kogoś kocha, to nie można go aż tak nienawidzić. A ja go znienawidziłam z całego serca. W tamtej chwili nie panowałam nad sobą i nad targającymi mną emocjami. I wtedy to zrobiłam.

– Ale co?

– Coś, czego nie wybaczę sobie do końca życia.

– Szuka pani u mnie wybaczenia? – zmrużyłam oczy, próbując zrozumieć.

– Chyba tak... – odłożyła papierosa na skraj popielniczki. Ręce jej drżały. Podparła nimi głowę.

– To ja go zabiłam – wydusiła z siebie.

– Co pani opowiada? – zapytałam z niedowierzaniem.

– Zabiłam go – powtórzyła.

– Byłam przy tym i...

– Tak, słyszałam, jak zginął, ale ja się do tego przyczyniłam.

– Nie bardzo rozumiem... – przesunęłam dłonią po głowie tak mocno, że kosmyki włosów wysunęły mi się z koka.

– Doniosłam na niego.

– Ale jak to???

– Doniosłam, że pomaga Polakom, że jest zakochany w Polce, że zdradza swój naród.

– On zginął, bo...

– Powtarzam pani, wiem, w jakich okolicznościach zginął. On zginął, bo musiał zginąć. Na niego wydany był już wyrok. I to ja podpisałam na niego wyrok. Nawet gdyby nie strzelił do tego drugiego oficera i tak by go zabili...

Patrzyłam na nią i nic z tego nie rozumiałam. Byłam tak roztrzęsiona, że wydawało mi się, że zaraz spadnę z krzesła. Kręciło mi się w głowie, a zawartość żołądka podchodziła do gardła. Czułam, jak łzy napływają mi do oczu. Otworzyłam usta, by coś powiedzieć, ale nie wiedziałam, co miałyby to być. Miałam ochotę ją zabić. Tę podłą, wyrafinowaną niemiecką sukę...

– Jak pani mogła? Jak pani mogła? – wyszeptałam jedynie.

– Przepraszam.

Wstałam gwałtownie, przewracając filiżankę.

– Będzie pani musiała z tym żyć...

Odwróciłam się i wyszłam.

Babcia przerwała opowieść. Była bardzo smutna.

– Muszę się przejść – powiedziała.

– Pójdę z tobą.

– Nie. Chcę być sama.

– Rozumiem.

Wróciła do domu po dwóch godzinach, bardzo zmęczona. Opadła na fotel, a ja podałam jej herbatę.

– Ten, kto przeżył koszmar wojny, już nigdy się od niego nie uwolni – zaczęła, jakby kontynuując naszą poranną rozmowę. – Wspomnienia tak trudno odegnąć. Twarze zmarłych wciąż stają mi przed oczami. Wciąż myślę o rodzicach, o Jadźce, wujku Bronku, Eleonore i moim ukochanym. Ciągłe pamiętam o tym, że byli tacy Niemcy, którzy sprzeciwili się hitlerowskiemu reżimowi. Wszędzie są dobrzy ludzie, ale nie możemy pomijać jednego bardzo istotnego faktu. Gdyby w 1933 roku naród niemiecki masowo nie poparł partii nazistowskiej, nie mielibyśmy wojny, która boleśnie doświadczyła miliony ludzkich istnień. Ta sama wojna zrodziła tysiące niemieckich zbrodniarzy, spośród których wielu nigdy nie trafiło przed oblicze wymiaru sprawiedliwości.

W każdym człowieku jest dobro i zło. Chcę wierzyć, że dobro zwycięża. Lecz nie zawsze tak jest. Czasami życie tak się układa, że budzą się w nas demony zła. Czasami wierzymy ślepo przywódcom, mediom, czyjemuś słowu. Chciałabym, aby tragedia wojny nie powtórzyła się nigdy więcej. Ale wojny wciąż trwają. Wciąż jest w człowieku tyle samo miłości, co nienawiści i żądzy zysku. Bo przecież wojna to interes, czasem bardzo dochodowy. Tylko dlaczego cierpią niewinni?

ROZDZIAŁ 37

Następnego dnia obudziłam się tuż po siódmej. Babcia siedziała w fotelu i piła herbatę.

– Dzień dobry – podeszłam do niej i pocałowałam ją w policzek.

– Cześć – uśmiechnęła się do mnie. – Nalej sobie herbaty – powiedziała.

Wzięłam ze stołu filiżankę i poczęstowałam się herbatą, po czym usiadłam na kanapie.

– Słyszałaś *Już nie ma dzikich plaż* w wykonaniu Santor i Kukiza?

– Nie. Znam tylko wykonanie Ireny Santor.

– To posłuchaj. – Babcia wstała z fotela, wolnym krokiem podeszła do wieży i puściła muzykę.

– *Ludzie są samotni, czy tego chcą, czy nie* – powtórzyła za wokalistką słowa piosenki.

– Prawdziwe.

– I wiesz co? Ty też musisz schować w torbę „okrucy tamtych dni”. By żyć dalej, musisz to zrobić.

Kiedy piosenka wybrzmiała, babcia zwróciła się do mnie:

– Nie myśl sobie, że całe swoje życie tylko leżałam i rozpaczałam za swoją utraconą miłością. To, co mi się przydarzyło z Franzem, było mi dane na kilka chwil. Nigdy więcej tak nie kochałam. Bardzo cierpiałam, kiedy zginął. Jednak otrząsnęłam się z marazmu i żyłam dalej. I nie żałuję, że żyłam. Lubiłam żyć pełną parą. Czasami szokowałam ludzi – uśmiechnęła się pod nosem. – Kiedy w latach siedemdziesiątych powstały pewexy, lubiłam do nich chodzić i kupować sobie ekskluzywne czekoladki, dobry alkohol lub inne drogie rzeczy. Wiesz, taka chwila przyjemności tylko dla mnie. To nic, że potem ciułałam pieniądze na jedzenie lub przez cały miesiąc jedliśmy placki ziemniaczane. Pozwalałam sobie poczuć życie. Wiesz, o co mi chodzi?

– Chyba wiem. Babciu, nie wiedziałam, że byłaś taka... – nie potrafiłam dobrać słów.

– Szalona? – babcia zaczęła się śmiać. I ja śmiałam się z nią.

– Tęskniłam, cierpiałam, wypłakałam morze łez. Nigdy nikogo tak szalenie i namiętnie nie kochałam jak Franza, ale wiedziałam, że nie mogę zmarnować życia przez zamartwianie się i płkanie. I nie żałuję, że wzięłam się w garść... Może na starość trochę zdziwaczałam, może jest we mnie jakaś ogromna zadra, w końcu przeżyłam wojnę, ale... Kąpałaś się kiedyś w szampanie?

– W szampanie? Nie.

– Ponoć Kalina Jędrusik zapoczątkowała tę modę. Spróbuj.

– Babciu, czy ty...

– Ano – puściła do mnie oko. W rosyjskim szampanie. Osiem butelek poszło.

– I jak było?

– Lepko.

Śmiałyśmy się do łez.

– Już wiem, dlaczego mężczyźni za tobą szaleli. Lubiałaś szokować, prowokować, uwodzić, kokietować.

– To chyba nie tak. Lubiłam siebie, a oni lubili mnie. Śmiałam się, płakałam, klęłam, jak mi w życiu nie wychodziło. Były momenty, że robiłam z siebie cierpiętnicę. Kiedy twój tato był mały, Eric już chodził do szkoły, ja poświęciłam się w stu procentach rodzinie i dzieciom. Przestałam dbać o siebie.

– Myślisz, że to jest błąd? Poświęcić się dla rodziny?

– Tak, myślę, że tak. W życiu trzeba zachować równowagę. We wszystkim. I kobieta powinna mieć też czas dla siebie, by musnąć usta czerwoną szminką, zakręcić włosy, inaczej czuje się brzydko, staro, nawet mimo młodego wieku. Rodzina tak, ale nikt nie zadba o ciebie lepiej niż ty sama. Dzieci dorosną, wyfruną z gniazda. Mężczyźni dziś są, jutro ich nie ma. Kiedy poznajesz tego jedyne, skowronki śpiewają, motyle fruują, świat nabiera rumieńców. Wszystko pięknieje, a ty stajesz się zaślepiona. I to trwa kilka miesięcy, rok, góra dwa. A potem ptaki przestają śpiewać, motyle odfruwają, kolor różowy szarzeje, a ty sobie myślisz, co by w nim zmienić. A tu nie trzeba nic zmieniać, bo i ty nie jesteś idealna. Trzeba zaakceptować i mieć swoje życie, żeby nie szukać tylko wad i potknięć drugiego człowieka.

– I wtedy się uda?

– Być może. Trzeba dojrzeć do związku, czasami ustąpić, czasem przytaknąć, pochwalić, a nie tylko się czepiać. Ale czasami stwierdzasz, że to nie ma sensu i wtedy widocznie tak jest. I lepiej, by wasze drogi się rozeszły.

Babcia przerwała. Zaczepnęła tchu.

– Zaprosiłam cię do siebie, żeby powiedzieć ci, że mimo straty można żyć. Nie da się porównać straty mężczyzny ze stratą dziecka. I nie wyobrażam sobie, co czujesz, ale kochanie, minęło sześć lat. Jesteś wciąż młoda. Całe życie przed tobą.

Uśmiechnęłam się do babci.

– Miłość jest w życiu ważna, ale ważna jest też pasja, pragnienia, wielkie fascynacje i jeszcze większe namiętności. I to, kim się otaczasz. Trzeba się otaczać barwnymi ludźmi. Takimi kolorowymi ptakami. Maruderzy i cierpiętnicy pociągną cię za sobą w dół. Nigdy nie lubiłam przeciętności, szarości. Życie jest za krótkie na przeciętność. Oczywiście, że trzeba też coś z siebie dawać. Miłość, dobroć, pomoc drugiemu człowiekowi. To też jest ważne. W życiu wszystko jest możliwe i nie ma nic na pewno ani na zawsze... A wiesz, co zbliża ludzi? – babcia otrząsnęła się z zamyślenia.

Wzruszyłam ramionami.

– Samotność.

– Może masz i rację – powiedziałam i napiłam się herbaty.

– Samotność sprawia, że łakniemy drugiego człowieka – dodała. – Kiedy byłam mężatką, czasem czułam się niekochana. Człowiek w swoim życiu dość często odczuwa „niekochanie”. I wydaje mi się nawet, że w życiu – całym życiu, nie jakimś wycinku – jest więcej tego niekochania niż kochania. I powie ci to każdy stary człowiek. Oczywiście, jeśli będzie chciał powiedzieć ci prawdę. Wielu skłamie. I powie, że byli kochani, że przez większość życia czuli się otoczeni miłością. Bzdura. Miłość często przykryta jest zaniedbaniem, złością, pretensjami. Nawet w długoletnim związku,

nawet po tysiącu „kocham cię”, „potrzebuję cię”, „pragnę cię” – wypowiedzianych, napisanych, wysłanych – fantazując na temat tego, by wsiąść do pociągu i ruszyć w kierunku, z którego już nikt ich nie zawróci. Wierzyłam, że nigdy mi się to nie przytrafi.

– Ale co?

– Wysłuchaj mnie...

– Okej... – odstawiłam filiżankę z herbatą na stół, podkuliłam nogi i nakryłam się kocem.

– Wierzę w instytucję małżeństwa – zaczęła babcia. – Tylko że nasze wyobrażenie o życiu małżeńskim czasami nie jest takie, jak powinno. Wychodząc pierwszy raz za mąż, wierzyłam w ten związek. Kochałam wciąż Franza, ale wspomnienia przyblakły. W Wojtku się zakochałam. To nie była miłość, a zakochanie. Myślałam, że z nim będę szczęśliwa. Byłam, przez pierwsze dwa, trzy lata. Potem zaczęliśmy się od siebie oddalać. On był zajęty działalnością partyjną, a mi z partią było jakoś nie po drodze. Spędzał więcej czasu w pracy, na rautach, niż z nami. Ja zajmowałam się domem i dziećmi.

Kiedy wysprzątałam, zrobiłam obiad, często chodziłam do biblioteki. To były te dwie godziny tylko dla mnie, zanim nie odebrałam twojego taty z przedszkola. Miałam chwilkę, by poczytać książkę w spokoju. Czasami w jednym tygodniu zaczynałam czytać kilka książek naraz. Bo bywało i tak, że tę książkę, którą czytałam poprzedniego dnia, już ktoś wypożyczył. Nie chciałam zabierać książek do domu, bo i tak bym ich wtedy nie czytała, a tam, w bibliotece, przy stoliku czułam się odprężona i połykałam książki jeden egzemplarz za drugim. Dookoła pachniało starymi i nowymi książkami. Ludzie krzatali się wśród półek, bibliotekarka uśmiechała się życzliwie.

I właśnie w tej bibliotece poznałam Krzysztofa. Był studentem medycyny. Przeniósł się do ojca do Warszawy, bo pół roku wcześniej zmarła jego matka. Przed tym zdarzeniem mieszkał i studiował w Krakowie. Od słowa do słowa oboje zgodnie stwierdziliśmy, że jesteśmy samotni. Kiedy pierwszy raz go spotkałam, nie miałam na palcu obrączki. Zawsze ją nosiłam, ale akurat tego dnia strasznie spuchły mi palce i zdjęłam ją. Potem już ogóle jej nie wkładałam. Nigdy nie powiedziałam mu, że jestem mężatką, że mam dzieci. Wiedziałam, że to zaszkodziłoby naszej znajomości. Byłam od niego starsza kilka lat, ale i to zataiłam. W ogóle zataiłam przed nim sporo rzeczy. Wykreowałam sobie nową rzeczywistość, nowy świat, który był ucieczką od samotności.

Babcia przerwała na chwilkę, by zaczerpnąć tchu.

– Ludzie zdradzają się do wieków. I to jest smutne, że chcemy wierzyć, że to nas nie spotka, że my nie zdradzimy. Zdradzamy. A ja opowiadam swojej wnuczce takie historie. A chciałoby się, by ta siwiutka osóbka była uosobieniem dobra, a okazuje się, że nie jest. Bo każdy z nas popełnia błędy. I ludzie się nie zmieniają. Świat się zmienia, ale nie ludzie. Każdy chce kochać i być kochanym, chce być dla kogoś całym światem. Twój dziadek był moim mężem, ale wtedy zaniedbywał mnie, prawie go nie widywałam, nie rozmawialiśmy ze sobą, nie kochaliśmy się. Próbowałam różnych sztuczek. Odchudzałam się, zmieniałam fryzury, ubiór, a on był jakiś zubożniały na

moje wdzięki. Kochał mnie, tego byłem pewna, ale namiętność między nami umarła, a ja chciałam, by jeszcze ktoś mnie pożądał. Chciałam zawładnąć czyimiś myślami. Czyż to nie było próżne? A może ludzkie?

Byłam matką i żoną, ale przede wszystkim kobietą. Zapomniałam wtedy, jak to jest nią być. A dzięki Krzysztofowi sobie przypomniałam. Krzysztof miał być na chwilę. Nie na romans, raczej na rozmowę. I rozmawialiśmy naprawdę dużo, o książkach i teatrze, o wystawach artystów i o tym, co się dzieje w Polsce, o jego studiach. A potem zaczęłam się łapać na tym, że zbyt często spoglądałam na jego usta, bo chciałam poczuć ich smak. Chciałam, by chwycił mnie w swoje silne ramiona. I w końcu złapałam się na tym, że lubię go za bardzo, a to już był problem. To nieprawda, że kobiety nie zdradzają, robią to tak samo często jak mężczyźni. Może są bardziej dyskretne, nie obwieszczają całemu światu o swoich podbojach? Na pewno mają inne powody, by zdradzić męża. Na pewno głównym powodem zdrady ze strony płci pięknej jest osamotnienie. Przy Krzysztofie poczułam się po prostu kobietą. Częściej się uśmiechałam, wręcz promieniałam. A przede wszystkim czułam, że ktoś pragnie równie mocno mojego towarzystwa, jak ja jego.

– Kochałaś Krzysztofa?

– W żadnym razie. Byłam zafascynowana, ale nie kochałam. Miłość zaczyna się tam, gdzie kończy się romantyczna bajka. Chciałam poczuć namiastkę tego, co kiedyś czułam do Franza. Żyłam wspomnieniami, a przecież nie wiem, jak wyglądałoby życie z Franzem po wojnie. Nie znałam tego mężczyzny w prozie życia. Zachłysnęłam się nim, bo to był początek wszystkiego. A wszystko na początku ma kolor różowy. I nawet chleb smakuje inaczej. A czy nie jest tak, że prawdziwa miłość przychodzi z dojrzałością? – babcia zastanawiała się na głos. – Każdego mężczyznę, którego spotkałam w swoim życiu, porównywałam z Franzem i może dlatego nigdy potem nie przeżyłam tak szalonej miłości... A może to prawda, że prawdziwa miłość zdarza się tylko raz?

Babcia spojrzała w moją stronę. Nasze spojrzenia się skrzyżowały.

– I co mi na to wszystko powiesz? – uśmiechnęła się niemrawo.

– Nie spodziewałam się...

– Że z twojej babki taki numer, co?

I ja się do niej uśmiechnęłam.

– Prawdę powiedziawszy, nie. Jedna wielka miłość do Niemca w czasie wojny, dwóch mężów, a na dokładkę romans ze studentem. Wow! Dobry materiał na książkę.

– No popatrz, a to tylko życie... To banał, co teraz powiem, ale to prawda, że życie pisze najlepsze scenariusze. – Trzy lata temu byłam w sanatorium...

– Na zabiegach, to zrozumiałe, babciu. W twoim wieku...

– A tam, na zabiegach. Ja chciałam się zabawić.

– Zabawić?

– A myślisz, że po co ludzie tam jeżdżą?

– Nie dla zabiegów w borowinie?

– Wy, młodzi, sądzą, że nam, starym, nic już się od życia nie należy. Byłam na pięciu, może sześciu turnusach. Za każdym razem przeżyłam niezapomniane chwile,

a potem żyłam wspomnieniami do następnego roku. O osiemnastej zaczynają się dancingi. Kobiety się stroją, wkładają swoje najlepsze sukienki, mężczyźni też przychodzą wyelegantowani, ogoleni, pachnący najlepszą wodą po goleniu. Gasną światła, z głośników płynie muzyka i ani śladu po chorobach, starości, kuśtykaniu. Starzy ludzie chcą żyć, bawić się. Wiedzą, jak niewiele im tego czasu zostało. Dzieci odchowane, nie muszą się przed nikim tłumaczyć, niczego udowadniać, mogą się wreszcie dobrze bawić. W każdym wieku ludzie chcą żyć, chcą jeszcze coś przeżyć. Do sanatoriów uciekają żony od mężów i mężowie od żon. Znudzeni, sfrustrowani codziennością. Nie mówię, że to jest dobre, ale tak już jest.

Zaparzyłam w czajniczku świeżej herbaty. Piłyśmy ją w milczeniu.

– Żyj! – powiedziała babcia. – Kochaj! Bądź szczęśliwa! Nie zamykaj się na ludzi, na miłość. Rób to, co uważasz za słuszne, nikogo nie słuchaj, bo pełno jest doradców, a życie jest tylko jedno.

– Babciu...

– Co „babciu”! Co! Bierz dupsko w troki i jedź, gdzie masz jechać.

– Ale dokąd?

– No, tego to ja nie wiem. To ty wiesz najlepiej.

Dwa dni później spakowałam plecak i wyruszyłam w drogę powrotną do domu. Siedziałam w pustym przedziale, pociąg jechał szybko. Wyciągnęłam z plecaka kartkę i długopis, po czym zaczęłam pisać:

Będę się śmiała i płakała.

Będę czytała książki, które mnie interesują, i oglądała rzewne filmy. Takie, przy których można porządnie się wybeczeć, wychlipieć, wysmucić.

Będę spotykała się z cudownymi kobietami, piła z nimi wino, gadała głupoty.

Wykasuję z telefonu numery nieciekawych ludzi. Co oni jeszcze robią w moim życiu?

Będę spoglądała ukradkiem na ładne męskie tyłki, zachwycała się urodą innych kobiet.

Będę tańczyła do utraty tchu, nawet i całą noc, tak jak lubię.

Będę zapisywała wspomnienia.

Będę kochała i będę kochana.

Będę wstawiała i upadała. Dla zachowania równowagi.

Zrobię sobie fryzurę, o jakiej dawno marzyłam. A czasem będę chodzić rozczochrana.

Będę się rumienić, gdy ktoś powie mi coś miłego. Zawsze wtedy się rumienię.

Nie będę się bała, że zrobię coś nie tak, bo skoro chcę to zrobić, to znaczy, że chcę ;-)

Nie będę traciła czasu na znajomości, które nie mają już dla mnie znaczenia.

Nie będę martwiła się na zapas.

Nie będę lamentowała, że niekiedy jest mi bardzo źle, bo wcale tak źle nie jest.

A może będę, gdy w tej właśnie chwili będę miała taką potrzebę?

ROZDZIAŁ 38

Weszłam do kawiarni. Kiedyś lubiłam tu przychodzić z Sebastianem. Wnętrze nie było może ładne, a potrawy zbyt wyszukane, ale to miejsce był świadkiem naszej miłości. Przy dwóch stolikach stały skórzane kanapy. Skóra na pufach była już mocno wytarta. Z drewnianych stolików gdzieniegdzie odpryskiwała biała farba. Sebastian siedział przy oknie. Na zewnątrz padał deszcz, ludzie kulili się pod parasolami. Ruch na ulicy był spory. Autobusy rozbryzgiwały kałuże. Usiadłam naprzeciwko niego i zamówiłam miętową herbatę. Przez chwilę milczeliśmy. Sebastian odezwał się pierwszy.

– Kilka razy myślałem, żeby zmienić numer telefonu.

– Ale nie zrobiłeś tego.

– Bo wiedziałem, że zadzwonisz. Nigdy nie przestałem cię kochać. Umawiałem się z różnymi kobietami i każda z nich miała coś z ciebie. Włosy, uśmiech albo sposób, w jaki się śmiała. Ale żadna nie była tobą. Wiesz, że chciałem ci się oświadczyć? Tej nocy, kiedy to się wydarzyło... – zgasił papierosa w popielniczce. – Kupiłem dla ciebie pierścioneł i chciałem, byś została moją żoną. Miałem oświadczyć ci się przy śniadaniu...

Potrząsnęłam głową. Te słowa bolały, wbijały się niczym szpileczki w moje serce.

– Nie miałem ani przez chwilę wątpliwości, że to ty powinnaś zostać moją żoną, że z tobą chcę spędzić życie. Kochałem cię.

Nic nie odpowiedziałam. Siedziałam i wpatrywałam się w niego.

– Ale wydarzył się wypadek... – wydukałam w końcu. Po sześciu latach nadal nie mogłam o tym spokojnie rozmawiać. Wciąż targały mną emocje.

Wstał od stolika, przykucnął na wprost mnie. Jego dłonie zbliżyły się do mojej twarzy. Objął moją głowę rękami. Zamknął oczy. Przybliżył swoje czoło do mojego. Byliśmy ze sobą bardzo blisko. Mogliśmy teraz wszystko. Pocałować się, tulić się lub wyznać sobie, że wciąż chcemy być razem. Nie zrobiliśmy nic. Trwaliśmy w bezruchu, nie padły żadne słowa. Bo oboje wiedzieliśmy, że na wszystko jest już za późno.

Sebastian usiadł z powrotem, zaczęliśmy rozmawiać. Przegadaliśmy trzy godziny, a potem po prostu wstaliśmy i się pożegnaliśmy.

– Gdybyś chciała mnie kiedyś odwiedzić... – powiedział na odchodne.

– To mieszkania też nie zmieniłeś?

– Nie zmieniłem.

Uśmiechnęliśmy się do siebie, po czym każde ruszyło w swoją stronę.

Tato zadzwonił do mnie w sobotni poranek. Chciałam jeszcze pospać, ale telefon nie przestawał dzwonić.

– Halo?

- Ada, zbieraj się.
- Co się stało?
- Jedziemy do babci Marysi. Jest w szpitalu.

Jeszcze tego samego dnia siedziałam obok łóżka babci i trzymałam ją za rękę. Wyglądała blado i mizernie. Na jej twarzy malowało się cierpienie, a mimo to w jej oczach dostrzegłam radość. Chciało mi się płakać. Nie wiedziałam, czy powstrzymać łzy, czy udawać twardzielkę. Obie rozumiałyśmy, że przyszedł już czas, tylko że ja nie chciałam się z tym pogodzić.

– Umieram... – głos babci był zachrypnięty.

– Ale babciu, jeszcze tydzień temu...

– To było tydzień temu...

Ścisnęłam jej rękę mocniej.

– Nie płacz... Czuję, że będzie mi tam dobrze... Spotkam się... Z nim... – Marysia uśmiechnęła się.

Odchodziła świadomie, bez żalu. Jej wielkie oczy, w których wciąż tliła się iskierka życia, błędziły po mojej twarzy.

Płakałam.

– Trzymaj się... – jej palce ostatkiem sił zacisnęły się na mojej dłoni. Chwilę później cała rodzina zebrała się przy łóżku babci. A ona z minuty na minutę słabła, aż w końcu przestała oddychać. Już jej z nami nie było. Na chwilę wszyscy wstrzymaliśmy oddech, a potem usłyszałam płacz siostry, jęk wujka Erica, cichutkie pochłipywanie taty.

Babcia umarła ze świadomością, że spotka się z Franzem.

Na pogrzebie babci pojawił się mój przybrany dziadek Kazimierz, ubrany w stalowy garnitur. Stał nieruchomo, wsparty o laskę. Na jego twarzy malował się ogromny ból i smutek. Ciągle na niego zerkalam. Oddychał płytko, bladł, to znowu robił się czerwony. W kościele podczas komunii gdzieś mi zniknął. Potem usłyszałam, jak z chóru śpiewa mocnym tenorem.

Popatrz, jak prędko mija czas.

Życie twe też przeminie wraz.

Życie – to jedno, które Bóg ci dał.

Wszystko przemija tak, jak sen,

Troski, kłopoty skończą się,

Powiedz: szczęśliwym będziesz ty?

Zamknęłam oczy, łzy same kapały po policzkach. Moje ciało drżało od słów tej pieśni, od głosu dziadka, od tęsknoty za babcią. Kazimierz skończył. Usłyszałam przerażający szloch za miłością utraconą. Jak ten człowiek musiał kochać...

Nie lubiłam styp. Zresztą chyba nie znam osoby, która lubi tego typu uroczystości. Zamiast spędzać czas z żałobnikami, wyszłam na świeże powietrze i usiadłam na werandzie. Było ciepło i wiał lekki wiaterek. Pomyślałam o babci. Cieszyłam się, że zdążyła opowiedzieć mi swoją historię. Nigdy tak naprawdę nie próbowałam jej poznać. Teraz żałuję, że spędziłyśmy ze sobą tak mało czasu. To prawda, że straconego czasu nie da się nadrobić.

Usłyszałam za sobą szuranie. Odwróciłam głowę. Wujek Eric szedł w moją stronę.

– Mogę? – wskazał na drugie krzesło.

– Jasne, siadaj.

Uśmiechnął się do mnie. Był ubrany w ciemny garnitur i stalową koszulę.

– Jak się trzymasz? – zapytałam. Widziałam, jak wujek cierpi. Opuścił ramiona wzdłuż ciała. Dolna warga zaczęła mu drżeć. Ja również się rozkleiłam. Przytuliłam się do niego. Słyszałam bicie jego serca.

– To było głupie pytanie – powiedziałam po kilku chwilach.

Wujek grzbietem dłoni otarł łzy.

– Jest mi źle.

– Wierzę ci, mnie też.

– Mama była... Trudno mi o niej mówić w czasie przeszłym... Była wszystkim tym, co kochałem najmocniej.

Wujek Eric nigdy nie założył swojej rodziny. Mieszkał dość daleko, więc rzadko się widywaliśmy.

Te chwile, które spędziłam z babcią, wiele mnie nauczyły. Przede wszystkim tego, żeby nie odkładać niczego na potem oraz tego, że nie można mieć uprzedzeń, że życie nikogo nie oszczędza. Cudownie jest, jeśli w życiu można kogoś kochać tak prawdziwie, bez oczekiwań. Każda miłość jest ważna i każda jest piękna. Niespełniona miłość boli mniej niż ta, która nigdy się nie przytrafiła. Wiem już, że siłę odnajduje się w drugim człowieku.

Szłam alejkami cmentarza, szukając grobu Franza Shalla. Nigdzie nie mogłam go znaleźć. Już miałam zrezygnować z poszukiwań, kiedy zobaczyłam księdza.

– Przepraszam – powiedziałam. – Czy nie wie ksiądz, gdzie jest grób pewnego Niemca z okresu II wojny światowej. Nazywał się Franz...

– Chodź, dziecko. Zaprowadzę cię.

Szliśmy omszałymi ścieżkami.

– To tutaj – wskazał na nagrobek. Paliły się na nim świece, a w wazonie stały świeże kwiaty. Na tablicy nagrobnej widniał taki napis:

Stracony przez Wehrmacht, ponieważ wzbraniał się strzelać do polskiej ludności.

– Ludzie pamiętają. To dobrze – powiedziałam. – Trzeba pamiętać.

ROZDZIAŁ 39

Zapukałam do drzwi.

Otworzył tak szybko, jakby stał za nimi, czekając na mnie.

– Cześć – powiedziałam.

– Cześć – odparł Sebastian. Był smutny. I ja byłam smutna. Pewnie wiedział tak samo dobrze jak ja, po co przyszedłam, i zapewne wiedział też, że to będzie nasz ostatni raz, kiedy się widzimy.

Byłam egoistką. W tamtej właśnie chwili byłam egoistką. Wszystko, co robiłam, było dobrze przemyślane i zaplanowane.

Odsunął się na bok, zachęcając mnie tym gestem, żebym weszła do środka.

Telewizor był włączony, na stole stała szklanka z napojem. Obok leżała popielniczka z niedopałkami.

– Myślałam, że nie palisz – powiedziałam, wskazując głową na popielniczkę.

– Bo nie palę – westchnął.

Podeszłam do niego bliżej. W jego oczach widziałam strach i obawę. W moich oczach musiał zobaczyć to samo: obawę i strach, ale także... miłość.

Kochałam go i nawet na chwilę nie przestałam. Między nami nie padły żadne słowa, oboje wiedzieliśmy, dlaczego tu jestem. Pochylił głowę. Jego wargi dotknęły moich. Zaczęliśmy się całować. Delikatnie. Jego usta smakowały papierosami i sokiem pomarańczowym. Wtuliłam się w jego ramiona. Przez chwilę tkwiliśmy w uścisku, a potem on cofnął się o krok i spojrzał na mnie z podziwem.

Jego palce odpięły suwak mojej bluzki. Zdjęłam ją. Stałam przed nim w samym staniku i cała się trzęsłam. A on zdjął t-shirt i przyciągnął mnie do siebie. Ciało przy ciele. Tak bardzo za nim tęskniłam... Zręcznymi palcami rozpiął mój biustonosz. Moje palce sięgnęły do jego rozporoka. Zauważyłam, jak bardzo mnie pożąda. Resztę ubrania zdjęliśmy w ekspresowym tempie. Moje stringi i jego bokserki wylądowały na podłodze. Pragnęliśmy siebie tak bardzo, jak tylko człowiek może pragnąć drugiego człowieka. Całowałam go żarłocznie. Chciałam się z nim kochać, chciałam go czuć w sobie. Uniósł mnie do góry, a ja oplotłam jego biodra nogami. Zaniósł mnie do łóżka i położył delikatnie na pościeli, a potem sam położył się na mnie. Jedyne, czego chciałam, to tego, by znalazł się we mnie szybko. Jego ruchy były dzikie, a ja wychodziłam mu naprzeciw. Jęczałam.

– Boli? – zapytał.

– Nie przestawaj! Nie przestawaj!

Przyspieszył. Nie był delikatny, raczej brutalny. Wbiłam paznokcie w jego plecy. Chciałam mu zadać ból. Sama nie wiem dlaczego, ale chciałam, by cierpiał. Drapałam go jak opętana, a on uderzał biodrami w moją miednicę. Bolało, bardzo bolało, a z drugiej strony było przyjemnie. Rozkosznie przyjemnie. Już po chwili przyszło spełnienie.

Teraz musimy zacząć wszystko od nowa, ale bez siebie. Bo tak naprawdę przyszedłam

do niego też z innego powodu. Oczywiście, że mu o tym powiem, ale jeszcze nie teraz. Poczekam.

Nasze oddechy wciąż były przyspieszone. Sebastian odnalazł porzuconą na podłodze koszulkę. Odwrócił się do mnie plecami i dopiero wtedy zauważyłam, jak bardzo go podrapałam. Przekręciłam się na bok. Byłam obolała. Czułam każdy mięsień, każdą cząsteczkę swojego ciała. Nareszcie czułam, że żyję. Sebastian założył koszulkę, po czym podszedł do łóżka. Kucnął naprzeciwko mnie i dotknął mojego policzka.

– Kocham cię – powiedział.

Nic nie odpowiedziałam. Wielka klucha rozpaczy zatykała moje gardło.

– Przez te sześć lat myślałem o tobie każdego dnia.

– Brzmi jak kwestia z melodramatu...

– Kocham cię – powtórzył, nie przestając gładzić mojego policzka.

– Wiem – odpowiedziałam. Pod powiekami poczułam łzy. Pękła tama bólu i wszystkie emocje uwalniały się na zewnątrz. Zanosłam się od płaczu. Szlocham spazmatycznie.

Sebastian mnie przytulił.

Długo tuliliśmy się do siebie. Mijały minuty, godziny, a my leżeliśmy w łóżku i obejmowaliśmy się. Kiedy w końcu się uspokoiłam, pocałowałam go. Tym razem delikatnie. Spojrzałam na niego i zdałam sobie sprawę, że moja miłość do niego przeplatała się z nienawiścią. Kochałam go i nienawidziłam. Czy to samo czuła babcia Marysia do Franza?

Choćbym bardzo się starała, wiedziałam, że nie ma dla nas przyszłości. Cała sytuacja związana ze śmiercią mojego synka przerosła nas. Miłość nie wystarczy, by stworzyć dobry związek. Potrzeba czegoś więcej...

A między nami oprócz miłości nie było już nic.

Dwa miesiące później zadzwoniłam do Sebastiana. Spotkaliśmy się w „naszej” kawiarni.

Siedzieliśmy na kanapie przy filiżankach miętowej herbaty. Trzymaliśmy się za ręce. Oboje byliśmy spragnieni dotyku. Nawet nie wiedziałam, że człowiek może być tak bardzo spragniony dotyku, że człowiek tak bardzo potrzebuje do życia drugiego człowieka. Samotność nie jest normalnym stanem. Samotność zabija na raty, doprowadza do obłądzenia, rozdziera serce.

– Mieliśmy się już nie spotykać, ale... – powiedziałam z ociąganiem.

– Tak, tak mówiłaś... Dobrze, że zadzwoniłaś.

– Posłuchaj... – głos mi drżał. – Teraz może mnie znienawidzisz, ale zrobiłam coś okropnego...

– Nigdy cię nie znienawidzę.

– Tego nie wiesz.

Wyswobodziłam swoją dłoń z jego ręki.

– Powiedz, o co chodzi. – Jego błękitne oczy patrzyły na mnie z wielką miłością.

Wdychałam powietrze przez nos i głośno wypuszczałam je przez usta.

– Jestem w ciąży – oznajmiłam.

– W ciąży?

– Tak, z tobą – spuściłam wzrok.

– Ten jeden raz...

– Tak, właśnie wtedy. Wiedziałam, że mam dni płodne. Zrobiłam test owulacyjny.

Chciałam tego – przełknęłam głośno ślinę.

– Szkoda, że mi o tym nie powiedziałaś.

– Bo wiedziałam, że jeśli ci powiem, będziesz chciał stworzyć ze mną rodzinę. Być ze mną.

– Tak, chcę tego.

Potrząsnęłam głową tak mocno, że końcówki włosów znalazły się w filiżance z herbatą.

– Ale ja nie chcę. Nie chcę być z tobą. Przebywanie w twoim towarzystwie boli.

– To dlaczego zaszłaś ze mną w ciążę?

– Bo niczego innego tak bardzo nie chciałam, jak znowu zostać mamą.

– Dziecko potrzebuje ojca.

– Dlatego wybrałam ciebie.

– Nie mogę tego ogarnąć... – Jego ręce drżały.

– Ja też nie. Może postąpiłam źle... Tak, to było nie fair, ale...

– Co chcesz zrobić?

– Przeprowadzić się do domu babci, nad morze, i zacząć wszystko od nowa, bez ciebie. Wybacz.

– Czy będę mógł spotykać się z dzieckiem?

– Tak, oczywiście. Dlatego ci o tym mówię. A teraz... – spojrzałam mu w oczy. –

Muszę iść... Muszę iść.

Podniosłam się z krzesła. Sebastian złapał mnie za rękę i pocałował moją dłoń.

– Dziękuję ci za wszystko, co mi dałeś. Za wszystko... – wyrwałam dłoń z jego ręki i szybkim krokiem ruszyłam w stronę drzwi.

EPILOG

Minęły trzy lata. Mój synek ma na imię Wiktor, od słowa *victoria* – zwycięstwo.

Nigdy nie zapomnę Michasia. To nieprawda, że czas wymazuje wspomnienia. Kiedy się kogoś kocha, tak mocno kocha, to miłość nie umiera nigdy, a wraz z nią żyją zapachy, smaki, czułości. Wszystko to pozostaje w nas. Mój mały Michaś zostanie w mojej pamięci na zawsze – mały roześmiany chłopiec. W jego oczach już zawsze będą tlić się psotne chochliki. Ja się zestarzeję, Wiktor dorośnie, a Michaś będzie buszował w moich wspomnieniach jako słodki dzieciak.

Wierzę w to, że kiedyś wszyscy się spotkamy w naszym raju, bo gdybym w to nie wierzyła, zwariowałabym z rozpaczy.

Mój telefon wydzwaniał melodyjki w torebce, ale zanim się do niego dokopałam, przestał dzwonić. Agata. Oddzwoniłam.

– Cześć, siostra – zaczął dzwonić do telefonu.

– A ty coś taka wesoła?

– Zaczęłam śnić. Odkąd zmarł Michaś, nie śniłam, więc to chyba dobry znak.

– Tak, a o czym?

– Uprawiałam seks z Bradleyem Cooperem.

Po drugiej stronie usłyszałam kilka kaszlnięć i śmiech.

– Pojechałaś po bandzie.

– Jak szaleć, to szaleć.

– Z tego, co wiem, Bradley nie jest w twoim typie.

– Napatoczył się na imprezie, więc...

– I dobrze zrobiłaś.

Śmiałyśmy się obie.

– Ada?

– Hmm?

– Miło słyszeć, jak się śmiejesz.

Rozłączyłam się i włączyłam piosenkę Santor i Kukiza:

Ludzie są samotni, czy tego chcą, czy nie

Patrzę w oczy jesieni, nad morzem stada chmur

Pejzaż moich nadziei umyka mi spod kół...

Kiedyś wierzyłam w to, że wystarczy kogoś kochać, by z kimś być. Teraz zweryfikowałam swoje poglądy. Miłość jest podstawą każdego związku, ale żeby z kimś stworzyć związek, potrzeba czegoś więcej. I nie jest prawdą, że jeśli kogoś kochamy, będziemy z nim do końca swoich dni. Ludzie odchodzą. Czasem w złości, czasem z żalem, czasem odchodzą, bo uznają, że nie ma sensu już dłużej tu być. Z tobą, przy tobie. Ludzie zostawiają nas czasami bez powodu. Niekiedy nie potrafimy

tego zrozumieć. Bardzo często chcemy, by do nas wrócili, choć na jeden moment, jeden dotyk, jeden pocałunek.

Kiedyś myślałam, że nie wolno tak głośno rozpaczać po stracie. Wolno. Trzeba rozpaczać, by wylać z siebie cały ból, wszystkie zgryzoty. Płakałam w swoim życiu setki, tysiące razy. Płakałam w samotności, przy innych ludziach, kiedy ktoś mnie zawiódł, kiedy bolało, kiedy byłam szczęśliwa też płakałam. Ze szczęścia wylewałam łzy. Z miłości płakałam. W łóżku, w kościele, na ramieniu przyjaciółki. Te łzy były potrzebne.

*Wystarczy kochać [...], by przekroczyć bariery obcości
i porozumieć się [...] z istotą tak odmienną. [...]
Wystarczy kochać, a nawet wygnanie z Raju nie będzie karą,
ale początkiem wspólnego życia i wspólnego szczęścia.*

Mark Twain

OD AUTORKI

Chciałabym podzielić się z Wami kilkoma ciekawostkami, na które natknęłam się podczas pracy nad książką.

Choćby opowieść o Broni i Gerhardzie. Ona była Polką zesłaną na przymusowe roboty, on Niemcem. Dziewczyna miała zaledwie 16 lat. Pokochali się od pierwszego spotkania. Ponoć ona długo broniła się przed tym uczuciem, aż w końcu uległa. Miłość rodzi się w różnych warunkach. Uczucie z góry skazane było na niepowodzenie i oboje o tym wiedzieli. Pokochali się, choć zdawali sobie sprawę z tego, że nie powinni byli się kochać. Ludzie mają oczy, lubią gadać... Ktoś na nich doniósł. Zgolono im włosy, odziano w worki, na ich piersiach zawisły tabliczki z obraźliwymi napisami i tak popędzono ich przez wieś. Gapie rzucali w nich zgniłym jedzeniem, pluli na nich i wykrzykiwali obelgi. Byli zadowoleni z ukarania „winnych”. A oni godnie znosili upokorzenie. Gerharda wysłano na front wschodni, a Bronię do obozu koncentracyjnego. Nigdy więcej się nie spotkali... Dowiedziałam się, że podczas II wojny światowej wykonano kilkadziesiąt wyroków za złamanie ustawy o czystości rasowej...

Wśród niemieckich oficerów byli też dobrzy ludzie. Potwierdziła to moja babcia. Opowiadała mi, że w jej rodzinnym domu stacjonowali niemieccy oficerowie, którzy dobrze traktowali jej rodzinę. Dzięki niej zrozumiałam, że wszędzie są dobrzy i źli ludzie, nieważne, czy to Polacy, Żydzi, Słowacy, czy Niemcy.

Niektórzy niemieccy oficerowie sprzeciwiali się okrucieństwu wojny i mordowaniu niewinnych ludzi. Wśród nich był Otto Schimek – żołnierz Wehrmachtu. Schimek, zanim trafił do okupowanej Polski, służył w Jugosławii. Już wtedy po raz pierwszy zaprotestował wobec egzekucjom cywilów. Został ukarany aresztem. W 1944 roku stacjonował w pobliżu Tarnowa. Podczas jednej z akcji pacyfikacyjnych Schimek odmówił strzelania do miejscowej ludności. Za niesubordynację został skazany na śmierć (informacje na jego temat zaczerpnęłam ze strony: natemat.pl).

Inna historia. Wilm Hosenfeld także był oficerem Wehrmachtu. W czasie wojny pomógł kilkudziesięciu Polakom i Żydom. Z książki *Staram się ratować każdego. Życie niemieckiego oficera w dziennikach i listach* dowiedziałam się, że Hosenfeld bardzo głęboko przeżywał okrucieństwa swojego narodu. Opisywał w listach do żony, co się działo w Polsce, sytuację w obozach, egzekucje, łapanie. Cud, że jego listami i dziennikiem nie zainteresowała się cenzura wojskowa. Widocznie tak musiało być, widocznie świat musiał się dowiedzieć, że byli tacy ludzie jak Hosenfeld.

I jeszcze jedna ciekawostka, choć nieco z innej beczki. W dwudziestoleciu międzywojennym to właśnie język niemiecki był najczęściej nauczonym językiem obcym w polskich szkołach. Uczyło się go ponad 65% uczniów szkół średnich. Dr Franz Thierfelder, sekretarz generalny Deutsche Akademie w Monachium, uważał, że polscy nauczyciele języka niemieckiego należą do najlepiej wykwalifikowanych w Europie. Mówił: „Polska posiada tak doskonałe czytanki niemieckie i dzieła niemieckie, że

nawet same Niemcy mogłyby jej ich pozazdrościć”.

Trzeba jednak pamiętać, że wojna to zło. W czasie II wojny światowej nasz kraj został zniszczony, zginęły miliony niewinnych ludzi. Ludzie ginęli na frontach, podczas bombardowań, umierali w obozach koncentracyjnych, więzieniach, byli rozstrzelani, wieszani na ulicach, ginęli od mrozu i głodu... Napisałam tę książkę, by ukazać trudy wojennej miłości, która czasami przekracza granice. Przychodzi nie w porę, trwa wbrew temu, co sądzą o niej inni.

Chciałam położyć nacisk na wartości moralne, które w czasie wojny tracą na znaczeniu.

Pojęcia dobra i zła zaczynają się rozmywać. Okrucieństwo wojny sprawia, że niektórzy stają się biernymi obserwatorami – przestają reagować na cierpienie innych. Postawy bohaterów w chwili bólu, straty czy zagrożenia były bardzo różne i niejednoznaczne z punktu widzenia nauk etycznych. Czy jednak mamy prawo osądzać innych? Nie wiemy, jak sami zachowalibyśmy się na ich miejscu.

Czy Ada powinna była zostać ze swoim synem, zamiast pędzić co tchu do ukochanego? Gdyby tylko wiedziała, co się stanie, na pewno wszystko potoczyłoby się inaczej... Czy Marysia powinna była odrzucić miłość Franza tylko dlatego, że był Niemcem?

W swojej opowieści chciałam pokazać, że nie ma ludzi bez skazy, ci, którzy wydają nam się źli, mają niekiedy wielkie serca, a ci dobrzy również popełniają błędy. Niekiedy błądzą.

Podczas pracy nad książką posiłkowałam się fachową literaturą. Przeczytałam kilkanaście, ba, kilkadziesiąt książek na temat II wojny światowej. Korzystałam z wiedzy zawartej m.in. w następujących pozycjach: *Wojna Stalina. 1939–1945. Terror, grabież, demontaże* profesora B. Musiała; *Nie dali ziemi skąd ich ród* J. Markiewicza; *Ten okrutny wiek* B. Wołoszańskiego; *Gehenna Dzieci Zamojszczyzny* w opracowaniu M. Kasza i W. Krawczyka; *Losy Dzieci Zamojszczyzny w okresie okupacji* B. Wróblewskiego; *Dzieci Zamojszczyzny w Siedlcach 1943–1983* Z. Więckowskiej; *Galopem pod wiatr* M. Ginter; *Widzę to wszystko jakby wczoraj* Z. Wójcik; *Postawa mieszkańców Siedlec wobec Dzieci Zamojszczyzny* Z. Świętochowskiej; *Polska Walcząca* J. Śląskiego; *U Bram Leningradu* W. Lubbecka; *Byłem żołnierzem Wehrmachtu* B. Dobrowolskiego; *Warszawskie wigilie lat wojny* W. Bartoszewskiego; *Okupacyjna codzienność* (praca zbiorowa) oraz z opracowania *Hitlerowski plan wysiedlenia 50 milionów Słowian*.

Sporo informacji zaczerpnęłam też ze stron internetowych: odkrywca.pl i świadkowiehistorii.pl. Wysłuchałam kilkanaście audycji Polskiego Radia na temat II wojny światowej; korzystałam też z artykułów zamieszczonych na stronie: polskieradio.pl.

Dziękuję babci, która opowiedziała mi o tym, jak ona widziała wojnę. Mojemu dziadziusiowi za wszystkie bajki, które mi przeczytał, kiedy byłam małą dziewczynką. Moim rodzicom – niezmiennie i zawsze za wszystko. Mojemu mężowi za cierpliwość. Dziękuję za ogromne wsparcie mojej przyjaciółce, Uli, która wykupuje pół nakładu każdej z moich książek. Za literaturę, którą mi podsyła. I za to, że przy mnie jest. Monice Madejek za pomoc na wszystkich frontach. Kochana, gdyby nie Ty... Bożence za nasze rozmowy.

Eli Durka, Anecie Pimpis, Ani Piotrowskiej, Ewie Sołtysiak, Lidii Szarna, Ani Lidke, Agnieszce Średnickiej, Donacie Wiśniewskiej, Ewie Markuszewskiej, Zuzi Osieckiej Godlewskiej, Magdalenie Mazurek, Ewie Borkowskiej, Teresie Kłos-Zakrzewicz, Ani Grzyb, Grażynce Cybulskiej za całe morze ciepłych słów na temat moich książek.

Marcie Szymańskiej i Justynie Rohde za „skup butelek” i książkowe zdjęcia. Monice Szydłowskiej za promowanie moich książek na wszystkich forach i gdzie tylko się da. Dziękuję!

Pani Krystynie Jaworskiej – za rozmowę przy kawie o wojennych czasach.

Ewie R. za makijaż do zdjęć. Robi ze mnie boginię, choć na co dzień do bogini wiele mi brakuje. I za najlepsze imprezy, jakie urządzasz :-)

Ekipie z Wydawnictwa FILIA dziękuję za wsparcie i promocję moich książek na rynku wydawniczym, a także pani Krysi Sadeckiej za ciężką pracę przy redagowaniu tej książki.

Wam, Drogie Czytelniczki i Czytelnicy, dziękuję za recenzje, opinie o moich książkach i wszystkie ciepłe słowa, które od Was otrzymuję. Zapraszam Was do odwiedzenia mnie na stronie: <https://www.facebook.com/gargasgabriela>.

Powieści Gabrieli Gargaś w Wydawnictwie Filia:

Droga do domu

Tylko Ty

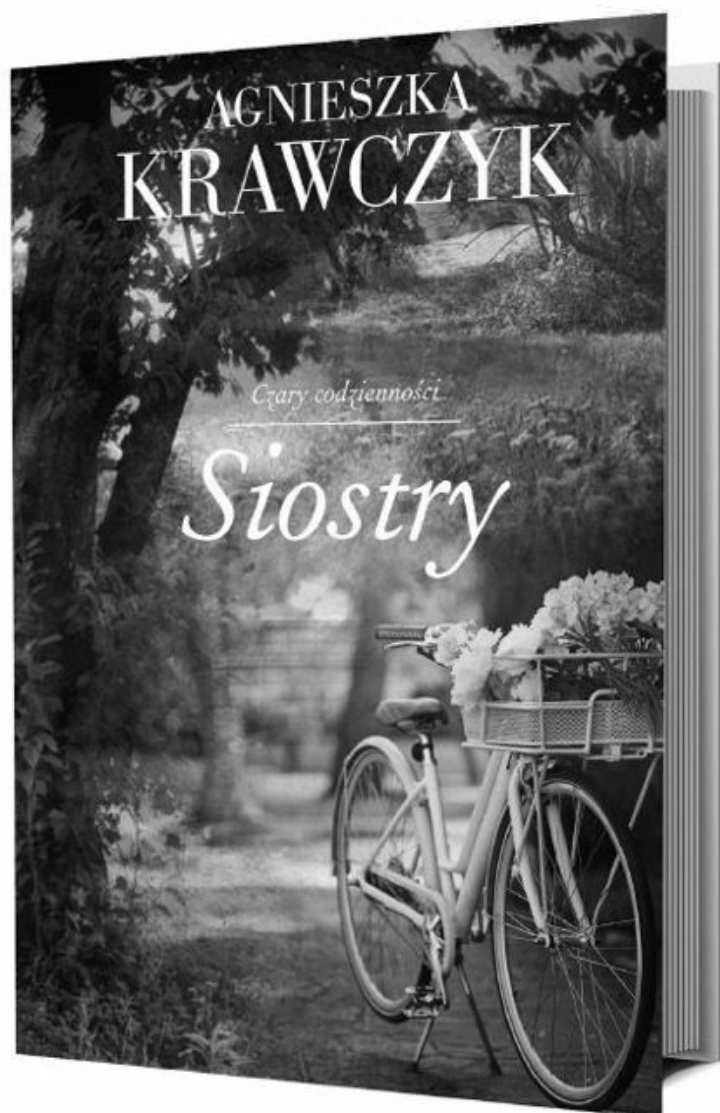
Jutra może nie być



Jutra może nie być

Książka o wielkiej miłości,
odnalezionej po latach

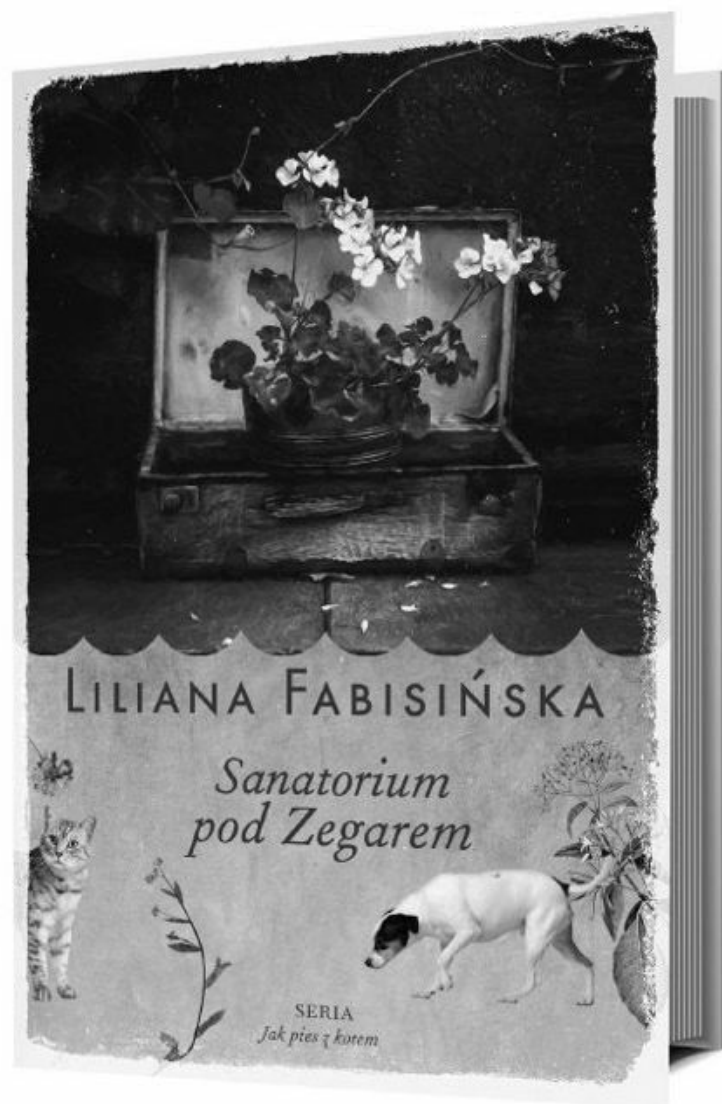
FILIA



Czary Codzienności

Pierwszy tom nowej sagi
AGNIESZKI KRAWCZYK

FILIA



Sanatorium pod Zegarem

Ciechocinek, zabawna intryga kryminalna
i piękna obyczajowa opowieść o zamianie ról.

FILIA

SPIS TREŚCI

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Cytat](#)

[Cytat 2](#)

[PROLOG](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[ROZDZIAŁ 15](#)

[ROZDZIAŁ 16](#)

[ROZDZIAŁ 17](#)

[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[ROZDZIAŁ 20](#)

[ROZDZIAŁ 21](#)

[ROZDZIAŁ 22](#)

[ROZDZIAŁ 23](#)

[ROZDZIAŁ 24](#)

[ROZDZIAŁ 25](#)

[ROZDZIAŁ 26](#)

[ROZDZIAŁ 27](#)

[ROZDZIAŁ 28](#)

[ROZDZIAŁ 29](#)
[ROZDZIAŁ 30](#)
[ROZDZIAŁ 31](#)
[ROZDZIAŁ 32](#)
[ROZDZIAŁ 33](#)
[ROZDZIAŁ 34](#)
[ROZDZIAŁ 35](#)
[ROZDZIAŁ 36](#)
[ROZDZIAŁ 37](#)
[ROZDZIAŁ 38](#)
[ROZDZIAŁ 39](#)
[EPILOG](#)
[OD AUTORKI](#)

[Książki Gabrieli Gargaś w Wydawnictwie Filia](#)

[Reklama 1](#)

[Reklama 2](#)

[Reklama 3](#)

[Karta redakcyjna](#)

